

SPIS TREŚCI

Od autorki; Pieniądz w starożytnym świecie 11

Wstęp 13

Rozdział I: Mój pan to istny poganiacz niewolników

PIRAT; łowca ludzi na morzu wewnętrznym 20

HANDLARZ NIEWOLNIKÓW; kupić, sprzedać, zarobić 21

KONTROLER CZASU; która godzina? mój słoneczny stanął 23

NIEWOLNIK HOPLITY; niezbyt szczęśliwy asystent osobisty 25

GÓRNIK W KOPALNI SREBRA; robota bez wyjścia 26

TIRO; najszybszy stenograf w Rzymie 27

GLADIATOR; nie mógł odmówić wyjścia na arenę 29

NOMENCLATOR; poprzednik komputera kieszonkowego 31

SKRYBA; tylko u nas - pikantny trójkąt małżeński! 32

ORNATRIX; udręczona przez klientki fryzjerka 34

KLEZIPPPOS; historia świecznika z brązu 36

NIEWOLNICZE FUCHY; bieganie z sekatorem i inne synekury 37

NIEWOLNICZE „PSIE ROBOTY”; obsługa latryn i inne odstręczające zajęcia 39

VICARIUS; dubler 41

WALERIAN; kariera do złamania karku 42

Rozdział II: Dziewicze kapłaństwo i bardziej świeckie profesje

DOBRZE, DOBRZE BYĆ KAPŁANEM; dla każdego coś kultowego 46

PROSTYTUTKA; nic nowego pod latarnią 48

PRZEWODNIK DUSZ; prosił was tu ktoś? 50

TERAPEUTA SNEM; śpij i zdrowiej 51

CHŁOPIĘCA PROSTYTUCJA; równouprawnienie w seksbiznesie 53

SPURYNA; od jasnowidza do bogacza z morderstwem w tle 55

WYTWÓRCA AMULETÓW; sprzedawał fascynujący towar 56

WESTALKA; i ty możesz zostać Maximum Virgin 58

LIKORIS; królowa chironomii 60

PULLARIUS; decyzje kurzych mózdków 62

VICTIMARIUS, POPA, CULTRARIUS; zatrudnimy silnych w ramionach i żołądku 64

AUGUR; pomagał przezwycięzać lęk przed czynem 65

ASTROLOG; czytanie w gwiazdach dla przyjemności i zysku 67

PANKRATES; o myszach, ludziach i magii 69

Rozdział III: Rozkosze żołądka i mniej przyjemne sprawy

ROLNIK: spadające ceny, rosnąca zależność	72
PSZCZELARZ; słodka robota, gdy wiesz, gdzie sięgnąć	74
<i>FRYNE; pączkujące piękno</i>	75
KUCHARZ; ostentacja ważniejsza od jedzenia	77
LEKARZ; cudowne leki i niby-kuraeje	19
AQUARIUS; nosiwoda	81
FRUMENTARIUS; pszeniczny krętacz	82
WYROBNIK; w pocie czoła	83
PIEKARZ; w domu szczęśliwego zaczynu	85
PRODUCENT GARUM: król sosów	87
HANDLARKA RYBAMI; czuła się na rynku jak ryba w wodzie	88
PRAWIE DENTYSTA; prawie lec/ył	90
PREGUSTATOR; praca, że aż ślinka cieknie	92
STERCORARIUS; jak ze „złota” zrobić złoto	93
PRODUCENT WINA; dla mnie bezołowiowe	95
RZECZOZNAWCA WIN; ach, gdzież te niegdysiejsze trunki	97

Rozdział IV: W służbie prawa i okolic

POLICJANT Z ŁUKIEM; strzał w dziesiątkę	100
STRAŻNIK; w dzień strzegł od ognia, w nocy od przestępców	101
PREFEKT PRETORIANÓW; pociągał za sznurki	103
LIKTOR: ochroniarz na pokaz	105
<i>SZCZĘŚCIARZ BULLA; dobry, zły, fajny</i>	106
<i>LUKULLUS; broń masowego rażenia p.n.e.</i>	108
LEGIONISTA; więcej walczyk czy dźwigał?	109
<i>AMANIRENAS; miejcie się na baczności przed wojowniczą królową</i>	II 1
DOWÓDCA SŁONIA BOJOWEGO; sprawca niechęci do gruboskórnych	113
<i>MARIUSZ; rwący się do walki</i>	115
NAJEMNY ŻOŁNIERZ; z własnego wyboru pod cudze rozkazy	116
PROCARZ; zarabiał na chleb rozżarzonym ołowiem	118
ŻEGLARZ; rozpinął żagle na morzu i na lądzie	120
WIOŚLARZ; niewolnik, ale tylko wiosła	122

Rozdział V: Głady pochlebcy & wyrobniacy muz

<i>APELLES; twórca wizerunku</i>	126
SCENOGRAF. PROJEKTANT KOSTIUMÓW: kto stoi za tą maską?	127
AKTOR: nazywali go hipokrytą	129
GRAWER: umiał robić pieniądze	131
MUZYK; płatny grajek	133
AUTOR. DRAMATURG, POETA: tylko bez plagiatów!	135
GARNCARZ, ZDOBICIEL WAZ; naczynia dla każdego, choć niektóre tylko dla dorosłych	137

RZEŹBIARZ I SPÓŁKA; zespół artystyczny	139
MALARZ FRESKÓW; więcej niż zwykły kopista	140
UKŁADACZ MOZAIK; mistrzowskie kawałki	142
MALARZ SZYLDÓW I OGŁOSZEŃ; graffiti - znak czasów	144
<i>SENCJA SEKUNDA; zeszklonego domu</i>	145
<i>APOLLODOROS; wodzony piniacz</i>	147
NAUCZYCIEL; wymarzony zawód dla kryptosadystów.....	149
PRZEWODNIK; starożytne wciskanie kitu	150

Rozdział VI: Płatki i rekiny

HURTOWNIK OLIWY: kto oliwi, ten jedzie	154
<i>PASJON; świetnie liczył - na siebie</i>	155
WYTWÓRCA PERFUM; zamknąć zapach we flakonie	157
POSZUKIWACZ BURSZTYNU: kompas w głowie	158
WYDAWCA-K.SIĘGARZ; przyzwoity plan marketingowy	160
<i>KEFALOS; pożyteczny element napływowy</i>	162
GOLIBRODA: całkiem gładko, pomijając skaleczenia	164
WYTWÓRCZYNI GIRLAND: wiła wianki na zaproszone głowy.....	166
JUBILER: nie przymierał głodem wśród bogatych	167
TRAGARZ. LEKTYKI; wygodna podróż, lecz nic dla każdego	169
HANDLARZ PURPURA; kosztowny kolor władzy	171
WYSKUBYWACZ; skubał, lecz nie oskubywał	172
IMPORTER STLPHIUM; wszystko, co dobre, kiedyś się kończy	174
SZEWEC: przydeptane? to niedopuszczalne!	175
CHIRURG: lepiej być zdrowym	177

Rozdział VII: Wreszcie jestem kimś w show-biznesie

<i>HERODOROS; dął jak wiatr</i>	180
KOMIK; <i>asbestos gelos</i> to zdrowie	181
<i>TEOGENES; uczynił Tasos ważną wyspą</i>	183
KIEROWNIK DRUŻYNY (WOŹNICÓW); panowie i służby w największym widowisku świata	184
WOŹNICA RYDWANU; życie pełne wstrząsów	186
<i>DIOKLES; wędrująca supergwiazda</i>	188
HODOWCA KONI: nie miał w stadzie czarnych koni	189
KONIK BILETOWY: specjalność: najlepsze miejsca	191
DOCTOR; nie dla chorych.....	193
EDITOR: nie tak krwawo miało być	194
AUCTORATUS; gladiator ochotnik, bez zahamowań.....	195
GLADIATRIX; flirtowała ze śmiercią	197
DOSTAWCA BESTII: członkowie Towarzystwa Ochrony Zwierząt niepożądani.....	199
ORGANISTA WODNY; wodne, mocne uderzenie	201

S

Rozdział VIII: Z cyrklem, wagą i miarą

HYDRAULIK; prawie heavymetalowiec	204
PRZEDSIĘBIORCA BUDOWLANY; budował, choć nie było wielkiej płyty ...	205
<i>ANDRONIK; niezwykły zegarmistrz</i>	<i>207</i>
KARTOGRAF; mapy lepsze czy dobre	208
BUDOWNICTWO WODNE; twarda rzeczywistość.....	210
<i>SOSTRATOS; z poziomu morza do chwały.....</i>	<i>211</i>
<i>DIOSKORIDES; czerwony (nie od krwi) chirurg.....</i>	<i>212</i>
ASTRONOM; naprawianie kalendarza	214
<i>SERGIUSZ ORATA; czego się nie tknął, wszystko przemienił w ciepłą wodę</i>	<i>216</i>
STOLARZ; specjalność: meble alkoholoodporne	217
<i>FRONTINUS; pozostawił potomnym wodną spuściznę</i>	<i>219</i>
NUREK; ciśnienie okoliczności	220
PRODUCENT CEGIEŁ; dobry produkt - dobre imię	222
ARCHITEKT; trwałe wrażenie	223
GEODETA; mierzyć mierzalne	225
BUDOWNICZY DRÓG; erudyta drogownictwa	226

Rozdział IX: Obowiązki upragnione i niepożądane

LITURGISTA; współzawodnictwo w filantropii	230
GIMNAZJARCHA; pieniądze wyciekają jak oliwa	232
SOFISTA; starożytny PR-owiec	233
SPECJALISTA OD TATUAŻU; „do kreski kreska, aż będę niebieska...”	235
DZIERŻAWCA PODATKÓW; parszywa robota, lecz ktoś musi to robić	237
BUKMACHER; emocje hazardu na zimno	238
TWÓRCA KŁĄTW; na kłopoty - tabliczka	240
<i>KRASSUS; głowa (do czasu) nie od parady</i>	<i>242</i>
SPECJALISTA OD OSKARŻEŃ; dajcie podejrzanego, zarzuty się znajdą	244
<i>JULIA. BALBILLA; poetycka sprawiedliwość czy ironia losu?</i>	<i>245</i>
FOLUSZNIK; nie pachniał fiołkami	247
<i>FEIJC/SSIMUS; urodzony do robienia pieniędzy</i>	<i>248</i>
LICYTATOR; imperium po raz pierwszy, imperium po raz drugi	250
<i>ROSCJUSZ; Jak Clint Eastwood tylko krócej</i>	<i>251</i>

Rozdział X: Zawody wymarłe i wiecznie żywe

PLANISTA ORGII; poszukiwani fachowcy z pomysłami	256
PIECZENIARZ; trochę większa wesz	259
SZYFRANT; wiadomość błyskawiczna, do uznania adresata	260
HEROLD MIEJSKI; zawodowy krzykacz	262
SYKOFANT; wielkość i upadek figowego podziemia.....	263
<i>DEMOKEDES I MILO; mięsożerni i nadzwyczajni</i>	<i>264</i>
SĘDZIA OLIMPIJSKI; liczył się tylko zwycięzca	266

SPRZEDAWCA FAST FOODÓW; porcja kaszy w rozmiarze super	267
BIBLIOTEKARZ; pogrzebać w książkach - owszem. Wypożyczyć? Nie!	269
<i>KALLIMACH; starożytny bibliotekarz czynu</i>	271
POŚLANIEC; cesarski konny	273
TOPIARIUS; mistrz „rzeźbienia” roślin	274
MASAŻYSTA; dumny z posiadania śliskich klientów	276
PRODUCENT BIELIZNY: co starożytny pod spód wdziewał?	277
CENZOR; gęsi też się liczyły	279
PRZEDSIĘBIORCA POGRZEBOWY; zgonem zyskać na znaczeniu	280
KLAUN POGRZEBOWY; za opłatą rozweselał żałobników	282
Podziękowanie	284
Bibliografia	285

OD AUTORKI

Pieniądz w starożytnym świecie

Starożytni Grecy i Rzymianie nie znali pieniądza papierowego, mieli za to znaczną różnorodność monet i szereg tajemniczych skrótów na ich oznaczanie. Ale bez obaw, książka ta nie będzie zmuszać czytelnika do wnikania w owe zawiłości, ograniczając się do spraw zasadniczych. Oto najczęściej wymieniane w niej środki płatnicze i ich przybliżona siła nabywcza.

Greckie:

- ◆ obol: najmniejsza srebrna moneta; sześć oboli to jedna drachma;
- ◆ drachma: z grubsza odpowiednik rzymskiego denara;
- ◆ talent: nie moneta, lecz wielka suma pieniędzy, wyrażana wagą zawartego w monetach złota lub srebra; jeden talent to sześć tysięcy drachm.

Rzymskie:

- ◆ sestercja: moneta z brązu; cztery sestercje to jeden denar;
- ◆ denar: moneta srebrna;
- ◆ aureus: moneta złota, będąca równowartością dwudziestu pięciu denarów.

Jak czytelnik będzie mógł się przekonać w trakcie lektury, dzienny zarobek wynosił najczęściej od jednej do trzech drachm (bądź ekwiwalent tej kwoty w denarach), nieraz nawet mniej. Ale bardzo często płacono „za dzieło” czy „od sztuki” - począwszy od rzeźbiarzy wykonujących posągi dla Akropolu do producentów cegieł. Brak źródeł pisanych, postępy inflacji w ciągu stuleci i spadek wartości monety utrudnia śledzenie siły nabywczej. Z pewnością można jedynie przyjąć, że znikomy procent populacji żył w nieprzyzwoitym dobrobycie, a większość ludzi pracy w pocie czoła zarabiała na chleb, korzystając okresowo z jakiejś formy

pomocy publicznej. Na przykład piekarz czy cieśla mógł zarobić pięćdziesiąt denarów dziennie, z czego dwadzieścia cztery musiał wydać na około kilograma wieprzowiny, by wyżywić rodzinę.

Roczne pobory legionisty wzrosły ze 112 denarów w II wieku p.n.e. do 300 denarów w roku 83 n.e. Z tej sumy potrącano jednak koszty wyżywienia i innych wydatków.

Według wykazu maksymalnych płac i cen, wydanego przez cesarza Dioklecjana w roku 301 n.c, 36 litrów pszenicy kosztowało sto denarów, a około 4 litry najtańszego wina - sześćdziesiąt cztery denary; nauczyciel mający czterech uczniów potrzebował miesiąca, by tyle zarobić.

A u szczytu drabiny zarobkowej bogacz z I wieku n.c. martwił się, bo dopiero roczny dochód w wysokości miliona sestercji pozwalał zakwalifikować się do rzymskiej klasy senatorskiej.

WSTĘP



Dwa tysiące lat temu świat był zdumiewająco podobny do naszego: zabiegani ludzie zarabiali na życie uprawiając najprzeróżniejsze zawody, których liczba i rodzaj może zaskakiwać. Nie musieli przechodzić na dietę śródziemnomorską, bo po prostu ją stosowali, gdyż nic znali innej. Ówcześni kupcy wyprawiali z siebie żyły w podróży handlowych. Artykuły spożywcze i przedmioty trwałego użytku przemierzały długie trasy po morzu lub lądzie siecią drogową liczącą 85 tysięcy kilometrów na trzech kontynentach.

Ten świat, który jak anakonda owijał się wokół Morza Śródziemnego i Morza Czarnego, sięgając wybrzeży atlantyckich, dziś nazywamy Imperium Rzymskim i jest to błędne określenie, gdyż polityczna ekspansja Rzymu rozpoczęła się około roku 220 p.n.e., gdy był on wciąż republiką. I jak anakonda, republika przeradzająca się w cesarstwo połykała całe kraje oraz kultury i ich kosztem rosła. Ale nie trawiła ich i nie przerabiała na swoją modłę. Podbite ziemie i ich mieszkańcy zachowywali własne języki i swoich bogów o imionach trudnych do wymówienia.

Zdobywcy stosowali pomyslową taktykę asymilacji: zamiast narzucać własny styl życia przejmowali od podbitych ich ulubione zwyczaje, uroczystości i wierzenia; prosty zabieg określany mianem synkretyzmu. Pełni respektu wobec greckiej kultury, zawłaszczyli ją w całości, wraz z wielkimi osiągnięciami nauki i sztuki, starożytnym greckim bogom nadając łacińskie imiona.

Imperium Romanum było w nieustającym ruchu, zapracowane, aktywne. By prowadzić interesy, należało znać dwa podstawowe języki: łacinę i grekę. Daleko było jeszcze do globalnej wioski telewizyjno-internetowej, lecz ludzi łączyło jedno prawo, kalendarz i pieniądz. Łatwo było sprzedawać i kupować, nad bezpieczeństwem transakcji czuwały stałe siły porządkowe. Był to jakby pierwowzór wspólnego rynku europejskiego.

Pracujący mozolili się swoje osiem godzin od świtu do trzeciej po południu. Weekendy? To pojęcie jeszcze nie istniało, lecz w zamian była masa świąt, urodzin cesarzy, ciągnących się całymi dniami igrzysk (teatr,

walki gladiatorów, wyścigi rydwanów) oraz dni feralnych, kiedy również nie wolno było podejmować pracy. W roku 165 n.e. cesarz Aureliusz próbował zahamować lawinowy przyrost dni odpoczynku i ustalił ich liczbę na 135 w roku, jednak mimo jego usiłowań w roku 354 było ich już 177 (oczywiście, podobnie jak w dzisiejszych czasach, niektórzy musieli pracować także podczas dni oficjalnie wolnych).

Zatrudnieni plotkowali przy pracy o swoich pryncypałach; starali się uzyskać napiwki od obsługiwanych; sprawdzali swe horoskopy, gdy przełożony robił sobie przerwę na wino. Spotykając się w ówczesnych barach szybkiej obsługi, zakładali się, która drużyna wygra następną gonitwę rydwanów. Po fajrancie wstępowali gremialnie do gospody. Począwszy od zarządzających największymi firmami po robotników najniższego szczebla - wszyscy odczuwali ciężar podatków od niemal wszystkiego. Wszyscy z wyjątkiem dobrze zarabiających, chciwych, żonglujących papirusami poborców.

Rozłożenie aktywów siły roboczej to jakby preludium współczesnej statystyki. Niektórym najemcom wiodło się znakomicie, większość jednak miała rujnujące długi. Stąd popularność stowarzyszeń zawodowych, pomagających gromadzić pieniądze na przyzwoity pogrzeb. Pewne kategorie zatrudnionych, szczególnie zawodowi żołnierze, otrzymywały duże odprawy na koniec służby. Niektórzy z weteranów spędzali ostatnie lata życia w koloniach emerytów. Ale większość cywilów nie miała żadnego zabezpieczenia na starość. W razie choroby szukali pomocy w ośrodkach medycyny wszechstronnej, choćby w sanktuariach Asklepiosa, leczącego boga.

Nawet ówczesna gospodarka przypomina naszą, z takimi dominującymi dziedzinami jak biurokracja państwowa, wojsko czy organizacja rozrywek - począwszy od widowisk teatralno-muzycznych po starannie i z wielkim rozmachem planowane wyścigi rydwanów. Budowa nowych kolonii, osiedli, portów, większych świątyń i kolejnych willi dla senatorów dawała zajęcie cieślom, hydraulikom, operatorom dźwigów, monterom, nurkom i geodetom. Olbrzymim biznesem było rolnictwo, szczególnie produkcja zboża, wina, oliwy, zapewniająca wyżywienie ludziom z trzech kontynentów. Wiele towarów transportowano i magazynowano w glinianych dzbanach - popularnych opakowaniach wielokrotnego użytku, zużywalnych i zarazem odtwarzalnych, będących źródłem niezłego dochodu dla wytwórców.

Wszędzie kwitła drobna wytwórczość i usługi. Jadłodajnie, garkuchnie, winiarnie, wykonawcy napisów, obwieszczacze wiadomości, salony

kosmetyczne (w których na przykład usuwano tatuaże czy dokonywano depilacji) utrzymywały ekonomię w ciągłym ruchu. Były profesje wymagające więcej sprytu, przebiegłości, zazwyczaj pogardzane, lecz zawsze potrzebne: licytatora, trenera gladiatorów, donosiciela, zbieracza informacji i plotek, wywiadowcy, dostarczyciela dowodów i oskarżeń. Większym na pewno prestiżem cieszyli się choćby wróżący z wnętrzości zwierząt kapłani i interpretatorzy przepowiedni.

Firmy średniej wielkości zajmowały się budową statków, konstrukcją rydwanów, produkcją cegieł i posągów z brązu. A największym cywilnym pracodawcą była olśniewająca, świadcząca pełny zakres usług wczesna wersja biznesu spa - ogromna sieć tysięcy łaźni publicznych, zatrudniająca mnóstwo siły roboczej we wszystkich miastach od Iberii po Syrię, od Galii po Morze Czarne.

Ale Imperium Rzymskie, to grecko-rzymskie połączenie pracy i energii, było pod pewnymi względami zupełnie niepodobne do naszego świata. Co było największą różnicą? Ich narzędzia. Zamiast polegać na silnikach spalinowych i złożonych technologiach, używali narzędzi żywych: milionów mężczyzn, kobiet i dzieci; młodych i starych. Właściciele nazywali swe narzędzia *senits* (stąd serwilizm), my używamy określenia - niewolnicy.

W mniemaniu Rzymian przymusowe niewolnictwo było rzeczą naturalną i sprawiedliwą. Nie znano wymiany jeńców wojennych z nieprzyjacielem, nie umieszczano wziętych do niewoli w specjalnych obozach. Nie zabijano wszystkich przeciwników i cywilnych świadków - zamieniano ich w niewolników i często sprzedawano pośrednikom w rodzaju piratów. Popaść w niewolę można było także inaczej: za długi, za przestępstwo; niewolnikami zostawały też podrzutki, potomstwo samych niewolników zaś dziedziczyło po nich ten opłakany stan.

Wierzenia religijne nadawały niewolnictwu oficjalną legalizację, bo to przecież sami bogowie ustalili, że gwiazda, pod jaką się rodzisz, określa twój status. Więc jeśli urodziłeś się pod złą gwiazdą, łatwo mogłeś stać się niewolnikiem. Była jednak szansa na zmianę tego

stanu: dokumenty wykazują, że w ciągu jednego trzydziestolecia przed naszą erą wyzwolono ponad pół miliona kobiet i mężczyzn i ich życie na ogół uległo poprawie.

Te okoliczności sprawiły, że siłę roboczą stanowiła mieszanka niewolników, wyzwolenców i wolno urodzonych. W firmach, od piekarni po zakłady pogrzebowe, pracowali obok siebie ludzie ze wszystkich tych kategorii. Arcydzieła architektury, jak greckie świątynie, wspaniałe budowle w Atenach, Antiochii i Aleksandrii, wznosiły zespoły budowniczych, złożone z wolnych i niewolnych, często pracujących za taką samą dniówkę. Przez stulecia, niezależnie od tego, kto sprawował władzę: król, tyran, zgromadzenie obywateli, senat, cesarz - system klasowy i patriarchalny usiłował utrzymać ludzi na zdeterminowanej urodzeniem pozycji. Nie zawsze skutecznie, na przykład kobiety miały się „niestosownej” działalności wszelkiego rodzaju, poczynając od filantropii, a na dobrowolnym gladiatorstwie skończywszy. Zwiększaniu mobilności społecznej sprzyjała też instytucja patrona, opiekującego się klientem - łagodniejsza forma zjawiska „ojca chrzestnego”.

Niemniej jednoprocetowa frakcja ludności dzierżyła niewyobrażalne bogactwa. Rzymscy bogacze dysponowali majątkami wartości setek milionów sestercji; mogli kupować całe armie - i niektórzy tak czynili. Gdyby chcieli, mogliby pokryć roczne wydatki państwa w dziedzinie militarnej (co nigdy się nie zdarzyło). W pewnym obrzydliwie bogatym greckim mieście-państwie przed mającymi nastąpić uroczystościami wydano prawo dające kobietom pełny rok na zakup najbardziej ostentacyjnych i pełnych przepychu szat i biżuterii, by godnie uświetniły obchody. Tym miastem było Sybaris, od którego wywodzą się określenia „sybaryta” i „sybarytyzm”.

Ale większość populacji żyła na granicy nędzy. Nawet najcięższa praca nie chroniła przed biedą. Za spokojnych i pomyślnych rządów Augusta nauczyciel w szkole zarabiał miesięcznie tyle samo co poganicz mułów.

Poza odkrywaniem podobieństw i kontrastów pomiędzy naszym światem pracy i ich książka ta, strząsając kurz stuleci z twarzy

ludzi sprzed wieków, przedstawi nieopiewane przez nikogo historie cennych niewolników i wielkich przedsięwzięć, nada nowe znaczenie starożytnym bitwom, ukazując niedolę żołnierzy i wodzów. Bowiem właśnie to „dzianie się” jest esencją całej ludzkiej historii.

Jak to kiedyś ujął profesor Brian Fagan, autor prac historycznych: to nie wykopaliska i artefakty określają historię i społeczeństwa, lecz ludzie, z całą swą różnorodnością i zmiennością.

Poprzez te pracowite żywoty osób i ich sprawy osobiste dostrzeżemy podłoże idei i ideałów, na których opiera się nasz świat. Prawo, naukę, sprawy płci i ducha ludzkiego postrzegamy na sposób grecki i rzymski. Nasz język przesycony jest słowami i pojęciami pochodzącymi od Greków i Rzymian. Bez tego wspólnego DNA kulturowego nie moglibyśmy nawet rozmawiać o polityce, filozofii czy architekturze.

Wiedza o tym, skąd przychodzimy i co nasi odlegli poprzednicy czynili, by przeżyć, może okazać się dodatkowym bonusem. Badanie przeszłości, inspiracje stąd płynące, być może pozwolą nam lepiej zrozumieć sposób, w jaki działają nasze społeczeństwa lub jak mogłyby działać lepiej.

Mój proces uczenia się, że „niczego nowego nie ma pod słońcem”, zaczął się, gdy byłam dziesięcioletnią, buszującą w książkach entuzjastką starożytności. Potem okoliczności sprawiły, że jako młoda kobieta mogłam mieszkać i pracować w słonecznych, pachnących tymiankiem krajach śródziemnomorskich. Uśmiech losu pozwolił mi poznać języki romańskie i nie tylko.

W ciągu lat wędrówek po siedmiu krajach poznałam bezpośrednio narzędzia starożytnych, od pieców chlebowych po hełmy gladiatorów; czytałam setki inskrypcji pozostawionych przez nich samych bądź współpracowników, opisujących ich pracę i zasługi obywatelskie; podziwiałam niezliczone nagrobki, pomniki, mauzolea, na których, wśród wielu innych, z pełnym arcyzmem przedstawiono sceny z pracy hydraulików, sprzedawców poduszek, rzeźników, literatów, legionistów, kucharzy, budowniczych i wielu, wielu innych.

Stopniowo zaczęłam rozumieć niezwykłą dumę zawodową Greków i Rzymian, ich głębokie pragnienie bycia zapamiętanym jako członek społeczności. Nie tylko jako głowa rodziny, lecz jako najlepszy w mieście piekarz. Nie wyłącznie jako żona i matka, ale jako zdolna jubilerka.

W przeciwieństwie do Juliusza Cezara, gdy przybyłam i zobaczyłam, sama zostałam pokonana przez codzienność starożytnego świata pracy, który stopniowo uchylał przede mną drzwi. Gruntowniejsze studia doprowadziły mnie do zdumiewająco szerokiego spektrum podstawowych źródeł materialnych, w tym z wykopalisk, odsłaniających warsztaty pracy od pracowni balwierskich po przydrożne gospody. Inne odkrywki, jak choćby egipski Kellis zwany „Pompejami pustyni”, pokazały mi, jak szeroko znane miasta zyskiwały sławę dzięki swym rzemieślnikom. Najnowsze odkrycia archeologii podwodnej stanowią potwierdzenie starożytnych świadectw pisanych, dotyczących prężności ówczesnej ekonomii i światowego zasięgu wytwarzanych przez nią towarów.

Badania pomogły mi też obalić stereotypy i mity rodem z Hollywood. Przedstawię czytelnikowi prawdziwy los galerników, średnią długość życia gladiatora, tajną działalność biznesową westalek, a nawet prawdziwy charakter starożytnych orgii.

I wreszcie - nie miałym zaskoczeniem była dla mnie konstatacja, jak wiele używanych przeze mnie (i przez was) słów pochodzi z języka wcale nie tak martwego, jak by się zdawało. Na przykład „fascynacja” starożytnością ma źródło w *fascinum*, uniwersalnym symbolu fallicznym, który noszony przez Greków i Rzymian miał chronić przed pechem i wskazywać drogę powodzeniu.

Mój „entuzjizm” dla tej pracy to także dar od starożytności. U Greków *enthousiasmós* oznaczał ekstazę, uniesienie zgoła boskie, aczkolwiek chwilowe.

Tak jak prace Studsa Terkela, Barbary Tuchman i innych podziwianych przeze mnie historyków, książka ta opowiada o ludziach i ich sposobach zarabiania na chleb, których nie poznacie z innych opracowań, filmów czy telewizyjnych seriali. Ludzie ci, ich praca, zainteresowania, zmagania z losem są „antyczne” jedynie w rozumieniu chronologicznym, umownie określanym skrótami p.n.e. bądź n.e. Ich dokonania, heroizm, nawet ich zmartwienia są ponadczasowe; stanowią lustro, w którym możemy wyraźniej ujrzeć samych siebie.

Vade mecum - pójdz za mną. I przygotuj się na niespodzianki.

PIRAT

łowca ludzi na morzu wewnętrznym

Piraci nie gardzili skrzynią pereł czy statkiem pełnym wina, lecz ich prawdziwie ulubioną dziedziną aktywności był handel ludźmi - pasażerami i załogami. Najmilej widzieli wielkie, nieruchawe jednostki do przewozu zboża, mogące nieść nawet tysiąc sztuk żywego towaru.

Dwa tysiące lat temu zapotrzebowanie na pracę niewolniczą przypominało dzisiejszą sytuację na rynku nieruchomości w Kalifornii: wszyscy twierdzili, że popyt nie może już być większy, a jednak rósł.

Po udanym ataku ci niewątpliwi fachowcy dostarczali swój przerażony towar w jedno z kilku zwyczajowych miejsc sprzedaży. Centrami handlu niewolnikami były porty handlowe Azji Mniejszej (dzisiejszej Turcji) oraz greckie wyspy Kreta, Chios i Delos. Według greckiego dziejo-pisa Słrabona tylko na ostatniej z wymienionych dzienny obrót wynosił 10 000 niewolników. Piraci działali w myśl zasady „zawinąć do portu, rozładować, sprzedać za tyle, za ile się da”.

Czemu chwytanie ofiar przychodziło piratom tak łatwo? Dysponowali okrętami szybszymi i zwrotniejszymi niż atakowane statki, do tego groźnie wyglądającymi, z pozłocistymi żaglami i purpurowymi tentami (płóciennymi dachami). Gdy wynurzały się zza horyzontu, kandydatom na ofiary miękły nogi.

Pogoń za atakowanym stanowiła największą atrakcję i wyzwanie, lecz piraci nie byli na tyle wielkoduszni, by oszczędzić statek uszkodzony czy znajdujący się w jakichś innych kłopotach. Pierwszy lepszy herszt bez skrupułów dokonywał też porwań czy wymuszeń na lądzie. Przez lata

morscy rozbójnicy ściągali haracz z ponad czterystu miast znad Morza Śródziemnego i Morza Czarnego. W okresie szczytowego rozwoju w ten bezprawny biznes zaangażowanych było ponad dziewięćset jednostek pływających.

Nie wszyscy piraci działali samowolnie, nielegalnie, na własną rękę; nieliczni łotrzykowie uzyskiwali coś na kształt umocowania prawnego. *Polis* w rodzaju Sparty wynajmowały ich, by niepokoiłi

nieprzyjacielskie miasta, w tym wypadku Ateny. Władcy korzystali z ich usług, na przykład z lekka obłąkany król Pontu Mitrydates, który nawet uczestniczył czasem w ich wyprawach.

Uprawiając swe rzemiosło piraci chwyтали nieraz kogoś znacznego, traktowali go wtedy jako zakładnika lub żądali okupu. Nie zawsze wychodzili na tym dobrze. Po pierwsze zysk uzyskiwali niewielki, po drugie uwolnieni okazywali się niewdzięczni, jak choćby Juliusz Cezar. Pochwycony przez bandę Sycylijczyków i wypuszczony po wpłaceniu dwudziestu pięciu talentów srebra, znając drogę szybko powrócił do ich kryjówki w towarzystwie legionistów, którzy wszystkich członków bandy ukrzyżowali.

Zawód pirata był ryzykowny; śmiertelność wśród uprawiających go była wysoka, zmniejszając okresowo ich liczbę. Jednak przyciągał bezrobotnych, w szczególności najemnych żołnierzy. Wojujące państwa rzetelnie opłacały swoich najemników, póki trwała wojna, lecz gdy tylko się kończyła, przystępowały do redukcji sił zbrojnych.

W I wieku p.n.e. perspektywy piratów zaczęły rysować się czarno. Nasilały się opinie, że powodzi im się zbyt dobrze, że fortuna zanadto im sprzyja. Atakowali wiele transportowców, zagrażając zaopatrzeniu w żywność samego Rzymu. Nadszedł czas na srogą odpłatę. Dysponujący niewyczerpanym zapleczem rzymski wódz Pompejusz ruszył przeciwko nim, ekspedując większość w takiej czy w innej formie do Hadesu.

Zaledwie garstka ocalałych schroniła się na bezpańskie wody Morza Czarnego, gdzie kontynuowała swądziałalność w miarę swobodnie przez kolejne sto lat, póki Rzymianie nie dokonali i tam pacyfikacji.

Nieliczni rozbójnicy wegetowali jeszcze, wciąż uprawiając swą szkodliwą działalność, lecz ich złote czasy przeminęły. Odrodzili się dopiero w XVI wieku naszej ery.

HANDLARZ NIEWOLNIKÓW

kupić, sprzedać, zarobić

Handel niewolnikami, kupowanie i sprzedaż ludzi było w starożytności zjawiskiem powszechnym. Nawet najbardziej światłe jednostki uznawały go za element przyrodzonego porządku rzeczy. Zważywszy, że okoliczności takie jak wojna czy napad piratów często zmieniały pozy-

cję społeczną poszczególnych osób, przekonanie o niewolnictwie wpływającym z samej natury było słabo uzasadnione. Jednym z nielicznych Greków, krytykujących samą instytucję niewolnictwa, był dramaturg Eurypides.

Handlarze niewolników, najnikczemniejsze ogniwo w obrocie ludzkim towarem, byli wyjątkowymi draniami wykorzystującymi każdą okazję do wzbogacenia. Toteż osobnicy w rodzaju Toranusa, niesławnego handlarza z czasów Augusta, byli bezwstydnie bogaci. Ale też prowadzili nader pracowite życie, często towarzysząc walczącym armiom, oczywiście w bezpiecznej odległości. Gdy bój był skończony, zwycięzcy - zamiast kłopotać się o zakwaterowanie i wyżywienie olbrzymich mas jeńców - sprzedawali ich handlarzom za marne grosze. Ówczesne obyczaje wojenne akceptowały też zagarnianie miejscowości wraz z ich cywilnymi mieszkańcami; w ten sposób w niewolę popadały kobiety i dzieci.

Gdy natężenie działań zbrojnych słabło, handlarze zdobywali towar inaczej. Brali dzieci porzucone przez rodziców, pozostawione na progach świątyni, niechciane potomstwo prostytutek i biedaków. Częściej jednak nabywali świeży towar od piratów, potem odsprzedając nabytki po sztuce na rynku wtórnym.

Większe targi detaliczne odbywały się na wspomnianych wcześniej greckich wyspach i w miastach Azji Mniejszej, takich jak Sajda, Efez i Sardis; te w Atenach i Rzymie miały znaczenie drugorzędne. Wszędzie tam gromadzono w wielkich liczbach nieszczęśników wszelkich ras i religii: Aleksandryjczyków, Sarmatów, Persów, Galów, Żydów, Etiopów...

Handlarz wystawiał licytowanego niewolnika na pokaz na podwyższeniu. „Towar” zazwyczaj występował nago z zawieszonym na szyi napisem informującym o stanie zdrowia, narodowości i wieku, zapewniającym o braku skłonności do kradzieży, samobójstwa czy epilepsji. Gwarancja wystawiana była na sześć miesięcy, w czasie których nabytek można było w razie czego zwrócić. Sprzedawani bez gwarancji przybrani byli w specjalne czapki. Szczególnie wysokie ceny uzyskiwali greccy medycy, aktorzy, eunuchowie i piękni chłopcy, często kupowani przez bezpośrednich niebawem użytkowników, nie pośredników.

Handlarze niekiedy źle kończyli, zabijani przez rozwścieczonych niewolniczych gladiatorów czy otruci przez konkurentów. Lecz najgorszy chyba kres przypadł Panioniosowi z Chios, specjalizującemu się w skupie przystojnych chłopców, których następnie kastrował, a tych, którzy przeżyli, sprzedawał za ciężkie pieniądze wschodnim bogaczom.

Jedną z jego ofiar był Hermotimas, z czasem ulubiony eunuch i zaufany urzędnik perskiego króla Kserksesa. Po latach odwiedził Panioniosa, udając przyjaźń, po czym pochwycił niespodziewającego się podstępny handlarza i zmusił go do wykastrowania czterech własnych synów, a tych następnie do uczynienia tego samego ojcu. Tę strasliwą i zapewne prawdziwą historię opisał Herodot, świadek epoki.

Współczesnemu czytelnikowi łatwo przychodzi oburzenie na krwawe i wstrząsające realia odległej przeszłości. Ale może powinniśmy skierować nasz protest przeciw dzisiejszemu handlowi niezliczonymi dziećmi i dorosłymi z Ameryki Łacińskiej, Azji i innych kontynentów, sprzedawanymi do USA, gdzie wciąż istnieje rynek zbytu. Współczesne niewolnictwo i starożytne zło wciąż są żywe wśród nas.

KONTROLER CZASU

która godzina? mój słoneczny stanął

Nieustanne zerkanie na zegarek dzisiaj często wywołuje dezaprobatę, ale inaczej było w starożytnych Atenach. Gdy trwała sesja sądu, specjalnie wyznaczony człowiek nie odrywał wzroku od czasomierza, podczas gdy zespół 201 (lub więcej) ławników płci męskiej rozpatrywał sprawę z wokandy.

Żadnych ciekłokrystalicznych wyświetlaczy, żadnych wielkich wskazówek. Zegarem obserwowanym przez kontrolera-niewolnika była klepsydra, zwana obrazowo przez Greków „złodziejem wody” (do dziś w języku angielskim mianem „maniaka klepsydrowego”, *clepsydra-maniac*, określa się zarówno człowieka obsesyjnie spoglądającego na zegarek, jak i klepto-mana, którego obiektem pożądania są czasomierze).

Antyczny zegar składał się z dwóch naczyń glinianych albo brązowych umieszczonych jedno nad drugim. Po napełnieniu wodą górnego przez odpowiednio skalibrowany mały otwór płyn ściekał na dół. Kontroler klepsydry miał za zadanie ogłaszać, kiedy opróżni się górny pojemnik i niekiedy „zatrzymywać zegar” woskowym czopem, gdy np. w sądzie odczytywano na głos dokumenty. „Złodzieje wody” miały różne rozmiary. W niektórych mieściło się tyle cieczy co w standardowej amforze (ok. 23 litry).

Mniejsze opróżniały się w ciągu sześciu minut, więc strażnik czasu musiał stale być czynny.

Grecy, a potem Rzymianie nigdy nie starali się ujednoczyć godzin, by przez cały rok miały jednakową długość i by mieściło się ich dwadzieścia cztery w jednej dobie. Zamiast tego dostosowywali długość godziny do długości dnia, zależnej od pory roku. Letnie godziny w dniu dzisiejszego 21 czerwca wydłużali aż do naszych 75 minut, a zimowe skracali (21 grudnia) do 45 minut.

Skoro więc godziny zmieniały się sezonowo, gadatliwi Grecy ustalili hierarchię spraw sądowych. Poważne, kryminalne godne były większej ilości wody, spadkowe zaś mniejszej. Oskarżony, często broniący się samodzielnie w tej wolnej jeszcze od adwokatów erze, dostawał więcej wody niż oskarżyciel.

Także w rzymskich sądach podobne urządzenia odmierzały czas wystąpień stron; oskarżyciel dostawał dwie amfory, a oskarżony trzy. Rozpoczęcie każdej kolejnej amfory oznajmiał sądowy kontroler czasu.

Grecy i Rzymianie niekiedy mierzyli upływ czasu również w zaciszu domowym, korzystając z mniejszych klepsydr szklanych. Także w armii używano „złodziei wody” i ich wojskowych obserwatorów, by dokładnie ustalać moment zmiany warty.

Zegar wodny nie był niczym nowym, znano go już w Chinach i Egipcie. Grecy najpewniej zapożyczyli go od kapłanów z Nilu, którzy za jego pomocą koordynowali swe nocne rytuały.

W Grecji i Rzymie z zamięłowaniem umieszczano w miejscach publicznych zegary słoneczne, choć były bezużyteczne nocą czy w pochmurny dzień. Za czasów republiki zwycięscy legionści ustawili "i na Forum Romanum taki olbrzymi zegar, zagarnięty z Katanii. Ale że był przystosowany do szerokości geograficznej południowej Italii, więc w Rzymie pokazywał zdecydowanie niewłaściwy czas. Błąd naprawiono dopiero po dziewięćdziesięciu dziewięciu latach, gdy władze wreszcie kazały dostosować go do czasu lokalnego.

Prócz zegarów słonecznych o upływie czasu informowało Rzymian wołanie niewolnika, obwieszczającego południe, gdy słońce przesunęło się pomiędzy dwoma określonymi budynkami na Forum. Świadczą o tym zapiski pozostawione przez ówczesnych plotkarzy, informujące o istnieniu ludzi, którzy byli w pełnym znaczeniu niewolnikami zegara, i o ich doniosłej pracy.

NIEWOLNIK HOPLITY

niezbyt szczęśliwy asystent osobisty

Wielkie sukcesy bojowe odnosili sławni hoplici, Grecy z klas średnich, którzy na wezwanie swych *polis* ochotniczo i bez wynagrodzenia służyli w wojsku. Nazwa formacji pochodzi od słowa *hoplon*, oznaczającego okrągłą tarczę z drewna i brązu o średnicy blisko metra. Hoplici niemal co roku latem musieli walczyć w obronie ojczyzny. Każdy dźwigał ponad 30 kilogramów: nagolenniki i napierśnik z brązu, hełm, tarczę, miecz i blisko dwuipółmetrową włócznię.

Wojownika ten rynsztunek kosztował trzydzieści drachm (cenę trzydziestu pierwszorzędnych wołów). W Atenach obowiązkowi służby wojskowej podlegali mężczyźni od osiemnastu do sześćdziesięciu lat; wielu więc było siwowłosych i nie całkiem sprawnych (oficerem w takiej formacji był Sokrates).

Grecy stanowili społeczność rolniczą, przywiązaną do tradycji. Walki wewnętrzne przybierały zrytualizowaną postać. Odbywały się nieodmiennie latem, gdy mężczyźni mieli mniej pracy, i zazwyczaj na równinach (by stworzyć jednakowe szanse obydwu stronom); staczano krótkie, gwałtowne bitwy, walczone wręcz. Piesi hoplici tworzyli zwartą prostokątną formację zwaną falangą, złożoną z pięciu—ośmiu szeregów; napierali na nieprzyjaciela masą swych ciał i włóczniami. Gdy zaś pod naciskiem przeciwnika szyk pękał, hoplici porzucali tarcze i uciekali. Większość ofiar śmiertelnych padała nie w głównym boju, lecz wtedy, gdy łucznicy i kawaleria rozprawiała się z uciekinierami.

Lecz zanim rozczulimy się nad losem nieszczęśliwych hoplitów, zwróćmy uwagę na tych, którzy przez większość czasu dźwigali ich ciężkie wyposażenie. Nieopiewani, prawdziwi bohaterowie greckich wojen, wykonujący czarną robotę, to niewolnicy. Każdy hoplita miał własnego niewolnika, który tasz-

czył cały rynsztunek i ubierał swego pana w zbroję. Nie było taborów ani samochodów terenowych - tylko ludzkie muły juczne.

Po każdej bitwie niewolnik zmywał zakrzepłą krew ze zbroi i z wojownika, podawał mu wino, potem gorliwie zabierał się do gotowania wieczery, zazwyczaj składającej się z mieszaniny kaszy jęczmiennej i sera mocno przyprawionej cebulą.

Bardzo rzadko Grecy i Rzymianie zdobywali się na uzbrojenie niewolników i posłanie ich na wojnę w obronie kraju, który nie był ich ojczyzną; w większości przecież urodzili się jako ludzie wolni, a wielu z nich popadło w niewolę jako bojownicy strony przegranej -wzięci jako jeńcy, byli szybko sprzedawani.

GÓRNIK W KOPALNI SREBRA roboty bez wyjścia

Grecy nigdy nie zdołali stworzyć wspólnego państwa. Przeciwnie, ich *polis* walczyły ze sobą niemal bez przerwy przez 500 lat z okładem, zawierały i zrywały sojusze - byle wzajemnie sobie szkodzić. Wojna kończyła się zabiciem bądź sprzedaniem wziętych jeńców i zagarnięciem w niewolę kobiet i dzieci. Niewolnice służyły zwycięzcom do różnych celów, między innymi do rodzenia kolejnych pokoleń niewolników. Dzie-

zaś bardziej niż dorośli podatne były na tresurę,

łatwiej było wdrożyć je do posłuszeństwa, jadły

niewiele i miały przed sobą dłuższe życie - niektóre faktycznie mogły doczekać starości.

W złotym wieku Aten inwestycje publiczne, od świątyn Akropolu po zdobiące miasto dzieła sztuki, finansowano w znacznym stopniu z dochodów kopalni srebra w Laurion. Eksploatacja kruszcu oparta była na systemie wypożyczania niewolników.

Według świadectwa Ksenofonta i innych historyków wódz armii ateńskiej Nikiasz wynajął dzierżawcom kopalni tysiące swoich niewolników, biorąc jednego obola za dzień pracy każdego z nich. Inni właściciele też posyłali do tej pracy setki nie-

wolnych robotników. Przez dziesięciolecia ofiarą nieludzkiego wyzysku padły w Laurionie setki tysięcy ludzi. Najstraszniejsze, że były wśród nich dzieci, nawet dziesięcioletni chłopcy, których niski wzrost predestynował do prac w ciasnych (i gorących) szybach i sztolniach.

Górnik spędzał dzień zazwyczaj leżąc na wznak we wnęce rozmiarów trumny, przy świetle pochodni wydobywając srebro za pomocą oskarda z brązu. Gdy kosz wreszcie napełnił się kruszcem, metodą „podaj dalej” wędrował na górę. W Laurionie wykopano dwa tysiące otoczonych nie-ociosanymi palikami szybów, niektóre sięgały 120 metrów w głąb ziemi.

Nadejście nocy nie przynosiło wytchnienia. Niewolników, małych i dużych, karmiono źle. Na powierzchni wciąż płonął węgiel drzewny na paleńskach, gdzie wytapiano metal; trujące dymy wypełniały powietrze.

Nikt nie starał się poprawić doli górników; byli to przecież cudzoziemcy i jeńcy wojenni, jak wspomniano wyżej, także małoletni. Ofiary wypadków i zmarłych zastępowano nowymi. Laurion miało sławę miejsca straszliwej kaźni, a w innych kopalniach nie było wcale lepiej.

Rzym przez stulecia zaspokajał zapotrzebowanie na kruszce importem z Egiptu i Iberii. W II wieku p.n.e. w kopalniach srebra w okolicach Kartageny na Półwyspie Pirenejskim pracowało 40 tysięcy kobiet i mężczyzn. Średnia przeżycia wynosiła tam trzy miesiące. Z kolei w trakcie dziesięcioletniego panowania Wespazjana przymusowi robotnicy wydobyli w Hiszpanii złoto według dzisiejszych cen warte 450 mln dolarów.

Rzymianie wyprawili się na Brytanię głównie ze względu na tamtejsze złoża cyny, ołowiu i srebra. Już dwa lata po inwazji wywożono z wyspy stu-kilogramowe sztaby ołowiu, wydobytego przez tamtejszych niewolników.

Górnicy z przymusu rzadko uzyskiwali wolność. Źródła archeologiczne wskazują, że w Laurionie w ciągu jednego stulecia mogło cierpieć i ponieść śmierć do 30 tysięcy osób. To wstydlivy sekret klasycznego okresu kultury helleńskiej.

TIRO; najszybszy stenograf w Rzymie

Urodził się jako niewolnik w wiejskiej posiadłości Cyclerona, wtedy i obecnie uchodzącego za jednego z najwybitniejszych mówców rzymskich. Właściciel szybko dostrzegł inteligencję chłopca i osobiście zajął się jego edukacją. Niewolnik nazwany Tiro („Nowicjusz” czy „Początkujący”) szybko stał się biegłym, wytrawnym skrybą.

Nic więc dziwnego, że został osobistym sekretarzem pana. Nie była to funkcja łatwa. Zręczny skryba potrafił zapisać 35 słów na minutę, orator--fachowiec zaś wypowiadał ich w tym czasie 150, w porywach do 180. By temu podoleć, młody Tiro opracował sposób szybkiego, skrótowego notowania. Gdy zastosował ten wynalazek i udało mu się nie uronić z gwałtownych oracji swego pana w senacie, każdy posiadający niewolników senator zapragnął podobnego unieśmiertelnienia własnych słów.

Tiro nauczył więc innych skrybów swojej stenografii. Był w niej przynajmniej jeden do dziś używany znak: &. Wszechstronnie uzdolniony, wykonywał też inne zadania, zajmował się księgowością i zarządzaniem majątkiem ziemskim Cyclerona. Jako lojalny powiernik, redaktor i buchalter, stał się niezastąpiony, a pan mógł zająć się działalnością publiczną, która doprowadziła go w roku 63 p.n.e. do godności konsula.

Będąc człowiekiem wielce próżnym, Cycero lubił uważać się za dobrego pana, więc często, chwając Tira, wspominał o jego wyzwoleniu. Żył też do niego uczucia innego rodzaju; bardzo możliwe, że wykorzystywał go seksualnie, co dawało powód, by chłopcu nie darowywać wolności, jako że Rzymianin mógł legalnie współżyć z własnymi niewolnikami płci męskiej, lecz nie z cudzymi ani z wolnymi ludźmi.

Mijały lata, a obietnice starego retora o wyzwoleniu pozostawały tylko słowami. Gdy Tiro doszedł czterdziestki, był już kompletnie wyczerpany nerwowo. Obawiał się, że gdyby pan popadł w długi albo umarł, on sam zostałby sprzedany innemu, może okrutnemu właścicielowi. Cycero miał politycznych wrogów i gdyby został postawiony przed sądem, niewolnika Tirona zgodnie z prawem przesłuchiowano by na torturach.

Podczas wspólnego wojażu po Grecji skryba zapadł na gorączkę i zdawało się, że niebawem umrze. To wreszcie skłoniło pana do wyznaczenia daty wyzwolenia. Lecz Tiro został wyleczony przez nowego przyjaciela Cyclerona, który w retorze zyskał patrona. Wszystko skończyło się więc dobrze dla wszystkich. Jako wyzwoleniec, czyli *libertus*, Tiro nadal podróżował z Cyceronem i kontynuował swe prace pisarskie. W nowej sytuacji otrzymywał już zapłatę za pracę, mógł więc odkładać pieniądze. Z czasem kupił małą posiadłość wiejską w Kampanii i stał się

poniekąd właścicielem ziemskim jak jego dawny pan. Choć oczywiście nie mógł marzyć o dorównaniu mu, gdyż tamten dzięki posagowi żony był jednym z największych kamieniczników w Rzymie, wyznającym zasadę odkładania remontu na później, więc jego domy czynszowe wciąż się waliły.

Nawet gdy gwiazda Cyclerona jako polityka zbladła i wrócił do pisarstwa, Tiro wytrwał przy nim, katalogując i wydając każde z jego pism. Ale w roku 43 p.n.e. Cycero postawił na zdecydowanie niewłaściwego konia i znalazł się na sporządzonej przez Marka Antoniusza liście osób „do unieszkodliwienia”.

Po krótkiej żałobie po swym ściętym byłym panu Tiro siadł i napisał jego biografię. Słodka i pochlebna to ona nie była. W swych pracach Cycero opowiadał się za wysokimi standardami moralnymi i etycznymi, ale Tiro widział na własne oczy, jak jego pan załatwiał sprawy: na przykład stale uważał, że ma za mało pieniędzy, więc rozwiódł się z nieposzlakowanej opinii pierwszą żoną, by poślubić młodą spadkobierczynię wielkiego majątku, którą potem wymienił na żonę numer trzy.

Po opublikowaniu swej demaskatorskiej książki na nowo odrodzony Tiro cieszył się życiem jako wyzwoleniec jeszcze przez zaskakująco liczne dekady

GLADIATOR

nie mógł odmówić wyjścia na arenę

Rzymianie, naśladowując w tym Etrusków, uważali za obowiązek okazywanie czci swym zasłużonym za życia zmarłym. Ponieważ zwykły pogrzeb wydawał się niewystarczający, ktoś poszukujący silnych wrażeń proponował walkę na śmierć i życie w celu urozmaicenia uroczystości. Wkrótce pomysł przybrał formę walk zawodowych wojowników uzbrojonych w krótkie miecze wzorowane na wojskowych, zwane *gladius*.

Stąd wzięli się gladiatorzy i bazujący na nich cały przemysł rozrywkowy, za opłatą organizujący krwawe widowiska na arenie.

Gladiatorami najczęściej zostawali na ochotnika niewolnicy, jeńcy wojenni czy skazani przestępcy. Właściciel szkoły gladiatorskiej, tzw. *lanista*, kupował ich zupełnie zielonych i dopiero po długotrwałym szkoleniu wystawiał do walki.

Szkoły gladiatorów, czyli *ludi*, miały specjalistyczną kadre, w tym trenerską i lekarską. Około roku 80 n.e. istniały w Rzymie trzy takie ośrodki treningowe; z jednego podziemny tunel prowadził wprost do Koloseum, powszechnie znanego miejsca igrzysk i różnych uroczystości.

W ręce szkoleniowców trafiali też kandydaci nieprzydatni. Nie odsyłano ich do domu; starano się uczynić z nich *bestiarii*, czyli pogromców dzikich zwierząt, uczestniczących w widowiskach mniejszej rangi. Także skazańcy w większości uczestniczyli w igrzyskach - jako mięso arenowe rzucane bestiom na pożarcie lub zabijani w inny, niewypowiedzianie okrutny sposób.

Wyselekcjonowani, obiecujący nowicjusze, skoszarowani pod strażą, starannie pilnowani nocami, byli dobrze (wedle rzymskich standardów) odżywiani, otrzymywali pokarm wysokobiałkowy: jęczmień, fasolę, mąkę owsianą i popiół, który miał sprzyjać przybieraniu na wadze i spowalniać wypływ krwi z ran.

Przyszły gladiator ćwiczył z drewnianym mieczem, później przechodził do atakowania słomianych manekinów i pozorowanych walk ze współluczniami. Większe szkoły miały areny treningowe. Trener (często

były gladiator) uczył podopiecznych pracy nóg, szermierki i anatomii człowieka, by bez pudła umieli przeciąć ostrzem główne arterie.

Gdy przebyli wstępny etap nauki, gladiatorzy ćwiczyli szybkość, siłę, rozmach i zręczność. Wreszcie przydzielano ich do jednej z pięciu kategorii, uprawiając} eh klasyczne style walki. Gladiator mógł walczyć jako Trak, Samnita, *retiarius*, *murmillio* bądź *secutor*. Były też inne, oryginalniejsze specjalizacje, na przykład *ara-batus* nosił hełm zasłaniający oczy. Jednak w większości widzowie woleli podziwiać

raczej sprawność zawodników niż dziwaczne reguły pojedynku. Gladiatorów dobierano do starcia starannie, by odbywało się fair i przebiegało ciekawie.

Upowszechniło się przekonanie, że każda walka kończyła się śmiercią jednego z przeciwników. Tak ujmowały rzecz popularne i nie zawsze ściśle melodramaty książkowe i filmowe, w których ulubionym motywem był skierowany w dół kciuk czy okrzyk "*Ave Caesar, morituri te salutant*". Tymczasem właściciele sporo inwestowali w przygotowanie gladiatorów i pragnęli, by ci jak najdłużej przynosili dochód. Walki, podobnie jak w boksie, nie były częste. Panowie wysyłali swoich bojowników-niewolników na odległe areny. Ustalano ranking gladiatorów, a co za tym idzie i ich szkół. Gdy gladiator poniósł w walce śmierć, trener wystawiał organizatorowi igrzysk rachunek stukrotnie przewyższający cenę zakupu danego niewolnika.

Także gladiatorzy mogli wydobyć się ze stanu niewolnictwa. Niektórzy zostawali instruktorami kolejnych pokoleń następców. Inni żyli jak rentierzy ze swych nagród i wygranych, nieraz bardzo okazałych, uzupełnionych jeszcze podarkami od fanów. Niejaki Feliks przeszedł w stan spoczynku w wieku lat czterdziestu pięciu, mając sławę, złoto i - co niezwykłe - obdarzony rzymskim obywatelstwem.

Trudno nam dzisiaj to zrozumieć, ale niektórzy po prostu lubili swój zawód. Secutor Flamma zyskał sławę zwyciężając w dwudziestu jeden walkach, a jeszcze większą czterokrotnie odrzucając propozycję przejścia na emeryturę.

NOMENCLATOR

poprzednik komputera kieszonkowego

Wpływowy arystokrata rzymski, pociągający za sznurki władzy, wciąż miał do czynienia z tłumami przyjaciół, wrogów, klientów, krewnych, współników, wyborców, wreszcie z podobnymi i równymi sobie. Gdy był widziany na Forum, już był wielki, lecz gdy był rozpoznawany, stawał się jeszcze większy.

Jak miała poradzić sobie wypasiona rzymska szychka, gdy szwankowała jej pamięć? Dobierając sobie osobistego pomocnika-przypominacza czyli *nomenclatora*. Taki niewolnik, wybrany spośród innych dzięki swej

zdolności kojarzenia i zapamiętywania twarzy i imion (oraz wszelkich zalet danej osoby, jeśli była naprawdę ważna), trzymał się u boku pana niczym satelita.

Rzymski senator miał *nomenclatora* głównego i pomocniczych, ponieważ oczekiwano, że każdego, kto jest tego godzien, powita jak dawno niewidzianego przyjaciela. Podobnie jak wszystkie osoby coś znaczące w życiu publicznym, senatorowie prowadzili domy otwarte. Gospodarz dostojnie siedział, przyjmując ustawionych długim szeregiem klientów i wyborców, a przypominacz szeptał mu imię kolejnego gościa, opisywał jego sytuację rodzinną i zasługi, nie pomijając spraw delikatnych w rodzaju niespłaconych długów.

Od czasu do czasu pojawiał się ktoś wyjątkowy, z nadzwyczajną pamięcią, jak cesarz Hadrian. Wszystkich bolała już głowa od jego przechwałek, że ma stado *nomenclatorów*, lecz zupełnie nie potrzebuje ich pomocy. Jeśli nawet było to prawdziwe, zdawało się takie... gminne; jakże arystokrata może przeżyć dzień, kiedy przypominacz konfidencjonalnie nie mruczy mu do ucha.

Począwszy od I wieku n.e., gdy republika przemieniła się w cesarstwo, bogaci i możni kolekcjonowali niewolników niczym klejnoty i pysznili się nimi. Szczytem pretensjonalności było posiadanie specjalnego *nomenclatora* do identyfikacji niezliczonych własnych niewolników.

SKRYBA

tylko u nas - pikantny trójkąt małżeński!

W piśmiennictwie antycznym nie brakowało bystrych, zdolnych piór. Najostrzejszymi dysponowali Grecy, o całe stulecia wyprzedzający Rzymian w dziedzinie literatury. Ci ostatni, szczęśliwie dla siebie, po podporządkowaniu sobie Grecji i niemal całego świata znaleźli się wśród mnóstwa wykształconych ludzi, teraz służących im jako niewolnicy.

Owi tak zwani *librari* byli użyteczni na wiele sposobów. Pracowali jako prywatni sekretarze ważnych osób obojga płci, jako redaktorzy i bibliotekarze; sporządzali streszczenia książek i organizowali biblioteki domowe; byli kopistami, przepisywali dzieła na papirusie, także naprawiali uszkodzone zwoje.

Niektórzy z *librari* byli niewolnikami stanowiącymi własność państwa; ci opracowywali niekończącą się korespondencję, produkowaną przez biurokrację i urzędników z rozległych prowincji.

Specjalna grupa skrybów, biegłych w stenografii czy choćby zwykłym szybkim notowaniu, zatrudniona była w *Acta Diurna* (Codzienne Zapisy), czymś w rodzaju starorzymskiej gazety. Zapoczątkowana za czasów Juliusza Cezara, pierwotnie miała postać napisów wprost na wielkich, pobielonych wapnem tablicach ogłoszeniowych. Gdy z czasem objętość *Acta* się rozrosła, przygotowane wcześniej teksty umieszczano na Forum Romanum.

Wielu obywateli wysyłało tam własnych skrybów, by sporządzali odpisy; w ten sposób zapewniając sobie dostawę informacji do domu. Inni kupowali odpisy na papirusie wykonywane przez kopistę na miejscu. Codziennie poprzedni numer *Acta* przenoszono do biblioteki, powstawało w ten sposób kompletne archiwum.

Wiadomości do gazety błyskawicznie zbierali działający pod nadzorem urzędników *notarii* (reporterzy), odwiedzający sądy, świątynie i senat. Dzięki Tacytowi, Juwenalisowi, Petroniuszowi i innym mamy dobry wgląd w treści zawarte w tej odległej poprzedniczce „Timesa”.

Najważniejsze były wiadomości o ostatnich uroczystościach, wyścigach rydwanów i bulwersujących procesach sądowych, ich stronach zwycięskich i przegranych, o uniewinnionych i skazanych. Ponadto informacje o edyktach urzędników, dekretach senatu, przejawach łaski i przywilejach udzielonych przez aktualnego cesarza, także o testamentach możnych, oraz starannie cenzurowane, skąpe doniesienia z przebiegu wojny, jeśli jakąś imperium właśnie toczyło.

Specjalna rubryka poświęcona była urodzinom, zgonom i rozwodom. W dziale gospodarczym omawiano sytuację na rynku zbożowym i wpływ do kasy państwowej danin z podległych prowincji.

Oczywiście najpoczytniejsze były takie tematy jak astrologia, skandale towarzyskie, ciekawostki, sensacje - zupełnie jak dwa tysiące lat później - narodziny obojnaka czy trzygłowego kurczęcia, deszcz żab padający w Kapui, zło wróżbne znaki w Brytanii, pikantny, szcze gółowy opis trójkąta miłosnego w składzie: dama z towarzystwa, senator i gladiator, z podaniem imion, przebiegu wydarzeń i ich lokalizacji.

Powstała około roku 50 p.n.e. pręgazeta przetrwała blisko 500 lat - do czasu, gdy Rzym utracił supremację na rzecz Konstantynopola. Całkiem nieźle jak na dziennik bez zdjęć, karykatur politycznych czy reklam.

ORNATRIX udręczona przez klientki fryzjerka

Choć utalentowana *ornatrix* mogła zdobyć zawodowe szczyty, stając się fryzjerką gwiazd, warunków pracy nie warto jej zazdrościć, gdyż najczęściej była niewolnicą w zamożnym domu.

Zawsze działała pod presją, czy to daremnie próbując ukryć łysinę wiekowej cesarzowej, czy starając się nadać najkorzystniejszy wygląd synowej cesarza. Rzymskie matrony, w większości znudzone swymi naturalnymi wdziękami, były wymagające. Głównie żądały włosów kruczoczarnych albo grzywy jasnych loków. Jedno i drugie trudno było osiągnąć. Farbę dla przyszłych brunetek sporządzano z orzechów, atramentu wydzielanego przez mątwy i żółci. By uzyskać intensywnie ciemną barwę, stosowano wyciąg z pijawek.

Rozjaśnianie szło znacznie łatwiej. Fryzjerka wytwarzała preparat mieszając nawóz gołębi i popiół; później płukała włosy w moczu, by je wzmocnić. Gdy pojawiały się problemy z łupieżem czy słabnięciem włosów, sięgano znowu po nawóz, w którego lecznicze właściwości Rzymianie wierzyli. (Nic dziwnego, że przy okazji wielkie rozmiary osiągnęło zapotrzebowanie na perfumy, maskujące uboczne skutki takich zabiegów).

Poza farbowaniem i rozjaśnianiem włosów *ornatrix* umiała wpleść w nie pasma czy warkocze ścięte niewolnicom z krajów o chłodniejszym klimacie albo całkowi-

cie zakryć owłosienie naturalne blond peruką. To często okazywało się rozwiązaniem awaryjnym, bowiem przy nieszczęśliwym zbiegu okoliczności piekielne środki używane do zmiany koloru włosów powodowały czasem przejściowe wyłysienie.

Kiedy farbowanie się udało i włosy nie wypadły, fryzjerka mogła zademonstrować pełnię swych zdolności. Spiętrzona fryzura patrycjuszki wymagała godzin pracy z zastosowaniem szpilek i żelazka (rurek) do fryzowania. Wszystkie te warkoczyki, wałeczki, loczki i ozdoby mocowano na specjalnym rusztowaniu. Zaletami fryzjerki były zręczne palce, cierpliwość i pogodne usposobienie, udzielające się obsługiwanej. Lecz gdy ta nie była zadowolona, *ornatrix* zamiast napiwku mogła oczekiwać bolesnych klapsów, uszczypnięć czy nawet chłosty.

Niektóre specjalistki zatrudniane były w ówczesnych salonach piękności, rozrzuconych po całym mieście. Choć dysponowały pewną niezależnością, pracowały równie ciężko jak domowe niewolnice. Musiały znosić humory zarozumiałych pań domu i kapryśnych kurtyzan, pragnących wspaniałych kreacji za cenę taniego wina.

Fach fryzjerski nie zawsze był tak trudny. Przez wieki Rzymianki i Greczynki zadowolaly się prostym uczesaniem, wiązały włosy w węzeł lub upinały na głowie na kształt korony czy w kok bądź zaplatały długie sploty w warkocze. Lecz ta moda zaniknęła w czasach cesarza Klaudiusza, podobnie jak my byliśmy świadkami klasycznego stylu Joni Mitchell z przedziałkiem na środku.

Kobiety najpierw zapragnęły fryzur wymiennych, nakrywających głowę jak czapka, czasem z odważnie wplecionym końskim ogonem. Znamienitsze damy kupowały też czepki z delikatnej złotej siatki, biedne i niewolne używały pęcherzy zwierzęcych dla osłonięcia nieuczesanych

włosów. Stosowano też szerokie barwne wstążki.

Wiadomo, że fryzura nie cieszy długo, pojawiała się potrzeba zmiany wyglądu i bycia podziwianą, a z nią rósł popyt na biegłych fachowców, artystki fryzjerstwa czy zgoła kapłanki tej sztuki - czyli *ornatrix*.

KLEZIPPOS; historia świecznika z brązu

Klezippos był niewolnikiem. Najgorsze jednak, że urodził się w nędzy (i dla nędzy), garbaty i na dodatek brzydki.

Gdy dorastał, został zatrudniony w pralni, gdzie zajmował się czyszczeniem tóg i innych części garderoby. Codziennie na swym stanowisku pracy harował przy brudnej odzieży, pośród nieświeżego moczu i oparów siarki. Nie narzekał jednak, bo innym wiodło się gorzej.

Któregoś dnia pojawił się licytator Teon. Gdy czekał na swe ubranie, dojrzał Klezipposa taplającego się w kadzi i pomyślał o swojej okropnie ciężkiej pracy, polegającej na podbijaniu cen. Rzymianie z klas wyższych z pasją kolekcjonowali ludzkie dziwolągi. Skoro dobrze sprzedawali się ułomni i chromi, Teon postanowił użyć tego niewolnika w charakterze chwytliwej przynęty, którą dołączy do przewidzianego na jutrzejszą licytację oryginalnego korynckiego świecznika.

Nazajutrz, zapowiadając sprzedaż brązowego kandelabra, wskazał na Klezipposa:

- Kto wygra licytację, dostanie ode mnie gratis tę ohydną pokrakę, która będzie prawdziwą atrakcją najbliższej uczty.

Po ekscytującej aukcji świecznik wraz z dodatkami trafił do domu bogatej rzymskiej wdowy Geganii, która wywindowała cenę do skromnych pięćdziesięciu tysięcy sestercji. Mając ten niepowtarzalny zestaw, wdowa zaczęła sumiennie przygotowywać ucztę. Po krótkim namyśle postanowiła zademonstrować swą główną maskotkę nagą. Widok kaleki bez odzieży rozbawił gości,

— lecz wywołał też skutek zgoła nieoczekiwany.

Geganię ogarnęło namiętne pożądanie

i rychło zaczęła dzielić łożę z zakupionym niewolnikiem. I tak spędzili długie lata, które Klezipposowi przyniosły znacznie więcej

niż rozkosze łoża: gdy wdowa zmarła, otrzymał większą część jej majątku i wolność.

Garbus był najwyraźniej prostym człowiekiem, swymi przekonaniem religijnymi nie różnił się od większości współczesnych. Wierzył głęboko, że odmianę losu zawdzięcza nie własnym zdolnościom ani wspaniałomyślności zmarłej pani, ale boskiej substancji zawartej w kandelabrze, i zaczął otaczać go czcią. Przedmiot z brązu stał się jego prywatną relikwią. Mówiono, że i inni łatwowierni przyłączyli się do „świecznikowego bałwochwalstwa”.

Kiedy zbliżał się koniec jego życia, Klezippos uczynił to, o czym marzyli wszyscy Rzymianie: wybudował dla siebie wielki i wspaniały grobowiec przy via Appia. Na kamiennej budowli wyrzył opowieść o Geganii, kandelabrze i o swej drodze życiowej od nędzarza do bogacza. Wykonana w I wieku n.e. inskrypcja nadal zadziwia swą treścią.

NIEWOLNICZE FUCHY

bieganie z sekatorem i inne synekury

Były takie zajęcia dla niewolników, o które ci chętnie by się pobili.

Na przykład *sandaligerula*, wymarzona funkcja dla niewolnicy przypisanej na stałe do domu pana. Wymówienie nazwy tego stanowiska zajmuje więcej czasu niż dzienna praca na nim. Szlachetnie urodzeni Rzymianie i Grecy ściśle przestrzegali zasad dobrego tonu w kwestii obuwia. Na przykład człowiek, który wkroczyłby do siedziby senatu w todzie i sandałach, zostałby po prostu wyśmiany.

Sandaligerula towarzyszyła pani w drodze na ucztę, by zadbać o właściwe obuwie na każdą porę. Po przybyciu na miejsce zdejmowała właścicielce buty wyjściowe i nakładała stosowne pantofle. Samodzielne zmienianie obuwia było przejawem skrajnej pauperyzacji, więc nawet goście najniższego stanu wlekli za sobą niewolnika od sandałów. Gdy

zaproszeni ucztowali, służba obuwnicza miała chwilę wytchnienia. Na przyjęciach szczególnie wystawnych gościom spoczywającym na łożach myto stopy. Tym z kolei zajmowali się wyspecjalizowani niewolnicy gospodarza, obmywający nogi gości i namaszczający je oliwą.

Inne zajęcie pożądane przez młodszych niewolników i niewolnice to *flabellifer*. Obowiązkiem takiego było noszenie za panią wachlarza i na życzenie robienie zeń użytku. Podczas sierpniowej kanikuły mógł mieć pełne ręce roboty, lecz przez większą część roku służył tylko na pokaz, o czym dobrze wiedział.

Odpowiednio wyszkoleni i doświadczeni niewolnicy, odznaczający się dobrą pamięcią i dykcją, zostawali *salutigeruli*. Ich życie upływało na ustnym przekazywaniu pozdrowień pana dla jego przyjaciół, znajomych i wszystkich umieszczonych na liście ludzi, których trzeba polechnać.

Niewolnicy uzdolnieni muzycznie zdobywali budzące zazdrość stanowisko *fistulatores*, dostępne jednak pod warunkiem, że właściciel był publicznym retorem. *Fistulator* nosił trzciniowy kamerton w formie piszczałki, z którego na początku przemowy pana dobywał delikatny dźwięk, sugerujący wielkiemu mówcy, w jakiej tonacji zacząć. Podobno jako pierwszy paradował w towarzystwie takiego pomocnika słynny retor z czasów republiki Grakchus.

Klasy wyższe miały problem, jak elegancko jeść, spoczywając niedbale na łożu biesiadnym. Bystry Rzymianie znaleźli oszczędzające wysiłku rozwiązanie, czyli *scissor*; słowo oznaczało zarówno przyrząd służący do cięcia, jak i posługującego się nim niewolnika. Każdy wytworny dom zapewniał więc wszystkim uczującym tego rodzaju obsługę; niewolnik o silnych i czystych rękach narzędziem z brązu krajał uczestnikowi przyjęcia mięso i wszystkie „trudne w obsłudze” potrawy, którymi można było się pochłapać czy ubrudzić.

Większość niewolnych mogła tylko pomarzyć o lekkiej, niewypełniającej wszystkich godzin dnia pracy. A najjaskrawszy przykład lekkiego zajęcia to asystowanie tryumfatorowi. Gdy w jakiegokolwiek bitwie rzymski

wódz zabił co najmniej pięć tysięcy nieprzyjaciół, zasługiwał na tryumf, czyli publiczną huczną uroczystość z ofiarami z wołów, rozdzielaniem łupów i wielką paradą podczas której prezentowano upokorzonych nieprzyjacielskich władców i wodzów, skutych złotymi łańcuchami.

Niewolnik stawał na rydwanie za zwycięzcą, trzymając nad jego głową wysadzany drogimi kamieniami złoty diadem. Ale miał też delikatniejsze zadanie: gdy pochód postępował wśród wiwatów, szeptał wodzowi do ucha otrzeźwiający tekst: „Nie jesteś taki wielki, rozejrzyj się wokół i pamiętaj, że jesteś tylko człowiekiem”.

Rzymianie myśleli o wszystkim na wypadek, gdyby fortuna się odwróciła albo tryumfatora ogarnęła megalomania.

NIEWOLNICZE „PSIE ROBOTY”

obsługa latryn i inne odstręczające zajęcia

Byłoby czymś niezwykłym, gdyby w świecie grecko-rzymskim, z jego systemem społecznym, niewolnicy czerpali przyjemność ze swojej pracy. W większości godzili się jednak z losem, dziękując bogom, że nie jest jeszcze gorszy i nie muszą robić czegoś naprawdę odrażającego.

W Grecji czy Rzymie taką odrazę budziła profesja kata (*carnifex*). Wykonujący ją niewolnik państwowy pracował samodzielnie, niczym niezależny usługodawca. Była tak hańbiąca, że nie wolno mu było zamieszkać wśród innych ludzi, musiał zadowolić się szopą poza murami miejskimi, gdzie wymierzano karę niewolnikom. Ponieważ działo się to niewątpliwie przed wynalezieniem szubienicy, *carnifex* musiał własnoręcznie dusić skazańców sznurem. Jego zadaniem było ponadto torturowanie, głównie biczowanie. Ofiarami bywali inni niewolnicy i cudzoziemcy skazani za przestępstwa, lecz nie Grecy ani Rzymianie.

Z innego powodu o mdłości przyprawiało stanowisko sprzątacza mitraeum. Kult Mitry popularny był w Rzymie tylko wśród mężczyzn, szczególnie wojskowych. Nowych wyznawców przyjmowano sprawiając im przysnyc z krwi zabitego byka. Po takiej cere-

monii mitraeum, czyli podziemne pomieszczenie służące tym krwawym obrzędom, wymagało gruntownego mycia.

Skoro mowa o paskudztwach nie z tej ziemi, to na co dzień miał z nimi do czynienia niewolnik obsługujący toaletę. Za czasów rzymskich miasta miały publiczne latryny, z których korzystał każdy bez różnicy płci. W samej stolicy imperium było ich 144. Siadano tam obok siebie (nie stosowano ścianek działowych) na kamiennych sedesach, pod którymi płynęła bieżąca woda. Przed siedzącymi znajdowało się koryto również z bieżącą wodą wypełnione kijkami, do których umocowane były gąbki, służące do podcierania; tania, użyteczna przyjemność epoki nieznającej papieru toaletowego. Czasami, gdy późną nocą trafił się podchmielony klient lub gdy komuś zdarzyło się chwycić niewłaściwy koniec kijka, rezultaty bywały... zafajdane. Wówczas posługacz miał więcej obrzydliwej roboty, ale i napiwki były większe.

Igrzyska wymagały udziału wielkich zespołów niewolników; wielu z nich miało pracę trudną i niebezpieczną, porównywalną z zadaniami gladiatorów. Niektórzy długie godziny spędzali w półmroku, w podziemiach amfiteatru, podnosząc na poziom sceny za pomocą ręcznie poruszanych dźwigni i wind klatki z przeznaczonymi na śmierć zwierzętami (także skazańcami). Można ich poniekąd nazwać pierwszymi w świecie windziarzami.

Inni czekali poniżej areny na zmianę dekoracji. Publiczność łatwo popadała w znużenie, więc widowiska musiały być coraz bardziej spektakularne. By rozerwać tłum, trzeba było na przykład zamienić piaszczystą arenę w las - najprawdziwszy, z drzewami naturalnej wielkości. Scenografię zmieniali niewolnicy, dokonując tego w przerwach przedstawienia siłą własnych mięśni, z profesjonalizmem, który mógłby zadziwić zespół Cirque du Soleil.

W przeciętnym rzymskim domu największą niechęć służby budził *silentarius*, stojący niezbyt wysoko w hierarchii nadzorca, zaopatrzonego w zniechęcający bicz albo różgę. Jego jedynym zadaniem

było pilnowanie pozostałych niewolników, by zachowywali się cicho, gdy pan lub pani obecni byli w domu. Nawet kichnięcie czy kaszel mogły pociągnąć za sobą chłostę, która w rzeczywistości tylko wywoływała głośniejsze krzyki i jęki. *Silentariusem* zostawało się z własnego wyboru; przypuszczalnie byli to najwstrętniejsi lizusi spośród służby.

VICARIUS dubler

W czasach przed naszą erą istnieli właściciele niewolników będący prawdziwymi draniami i strachu przed nimi nie dało się na nikogo przetrzucić. Można jednak było, i chwała za to Apollonowi, przenieść na inną osobę brzemię obowiązków. Pojawiła się z czasem instytucja *vicarius*, będąca dowodem na dynamikę rynku pracy. Niewolnik mógł kupić sobie innego niewolnika, by ten go zastępował.

Historycy odkryli przeróżne umowy o zastępstwo, zazwyczaj zawierane przez niewolników ze średniego szczebla zarządzania. Niektórzy, mimo iż niewolni, byli urzędnikami publicznymi i zarabiali wystarczająco wiele, by kupić sobie *vicarius* - jednego bądź dwudziestu. Na przykład za Tyberiusza cesarski niewolnik imieniem Musikus miał zespół szesnastu dublerów. Inny, zaledwie prowincjonalny biurokrata niskiego szczebla, wszedł w posiadanie trzech sekretarzy, dwóch lokajów, dwóch kucharzy, dwóch szambelanów, handlowca i lekarza!

Skąd niewolnik, państwowy czy prywatny, brał pieniądze na zakup żywego towaru? Większość środków pochodziła z *peculium*, osobliwego, rozpowszechnionego sposobu ciułania grosza i zarządzania aktywami. Pan, który dysponował określonym majątkiem, złożonym na przykład z nieruchomości, ruchomości, sklepów, innych niewolników bądź gotówki, mógł powierzyć zaufanemu niewolnikowi zarząd swymi aktywami, ich częścią bądź całością, zastrzegając sobie odwołanie pełnomocnictwa w dowolnym czasie. Zarządca składał regularne sprawozdania finansowe i zatrzymywał zysk w całości lub części. Ponieważ funkcjonowało to nieco podobnie do amerykańskiego systemu emerytalnego 401(k), niewolnik mógł skorzystać też w inny sposób - uzyskując od pana dodatkowy dochód w uznaniu szczególnych uzdolnień.

Dzięki temu godni zaufania niewolnicy stawali się przedsiębiorcami, *peculium* okazywało się długoterminowym instrumentem kredytowym, a pan cichym współnikiem. Gdy niewolnik (niewolnica) osiągał trzydziestkę, mógł za zysk kupić własną wolność bądź własnych niewolników - *vicariusów*.

Teraz sytuacja miała szansę rozwinąć się w sposób frapujący. Gdy nie-wolnik-manager kupił *vicańsa* na targu niewolników i minął sześciomiesięczny okres gwarancji, *vicarius* sam uzyskiwał dostęp do *peculium* i pod zwykłymi warunkami mógł zakupić własnego zastępcę! Cenny dokument znaleziony w rzymskiej niegdyś Brytanii wskazuje, że mógł ukształtować się cały łańcuch zastępców i podzastępców.

W późniejszych wiekach termin *vicarius* stosowano odnośnie urzędników niebędących niewolnikami, z czasem określenie wikary, wikariusz trafiło także do języka polskiego. Słowo to w łacińskiej wersji stanowi oś wiekowego sporu o tytuł papieża *Vicarius Filii Dei* (Zastępca Syna Bożego). Kościół Adwentystów Dnia Siódmego od dawna wskazuje, iż litery z tych słów przełożone na cyfry rzymskie dają sumę 666, biblijny „znak Bestii”. Oczywiście purpuraci rzymskokatolicy odrzucają taką interpretację. Wiele hałasu o nic? Szukanie problemu tam, gdzie go nie ma?

WALERIAN; kariera do złamania karku

Gdy w III wieku n.e. siła militarna Rzymu zaczęła maleć, nowi cesarze następowali równie często, jak plagi spadające na państwo.

Jednak w roku 253 nastąpił jaśniejszy moment, gdy do godności cesarskiej podniesiono Waleriana, niegłupiego faceta z zasłużonego rodu, mającego dorobek w służbie dla państwa, zarówno wojskowej, jak cywilnej. Wszyscy, od senatorów po plebejuszy, byli zadowoleni z tego wyboru, zwłaszcza po tak długim szeregu nieudaczników na cesarskim tronie.

Walerian ze swym synem Galleniusem przystąpił do umacniania granic, poważnie szarpanych przez Persów, Germanów i innych agresorów. Zwycięstwa przyniosły Walerianowi szereg szumnych tytułów, jak na przykład „Odnowiciel Rodzaju Ludzkiego”.

Lecz brutalnie żywotni Persowie uderzyli ponownie. Latem roku 260 Walerian musiał po raz kolejny wyruszyć w pole. Zdziesiątkowana przez perskich łuczników armia cesarska padła dodatkowo ofiarą zarazy, która straszliwie przerzedziła jej szeregi.

Ufny, że będzie przecież układał się z ludźmi, sześćdziesiąty któryś cesarz udał się na rokowania z Persami; ci zaś uwięzili go i uczynili niewolnikiem.

Byli bezwzględni. Nie zgodzili się na okup i ani im się śniło zapewnić jeńcowi godziwą kwaterę czy bodaj dodatkowe racje żywności. Za to, gdy perski król Szapur I dosiadał konia, nieszczęsny Walerian musiał służyć mu za podnózek.

Grzbiet cesarza długo tego nie wytrzymał. Zmarłego Waleriana Szapur kazał obłupić ze skóry, a tę ufarbować na szkarłatny kolor. Umieszczona na poczesnym miejscu w jednej z perskich świątyń, straszyla odwiedzających przez kilka pokoleń.

DOBRZE, DOBRZE BYĆ KAPŁANEM dla każdego coś kultowego

Gdy grecki filozof Tales odkrył rudę magnetyczną, wykrzyknął: „Wszystkie przedmioty pełne są bogów!”. To przekonanie trwało w antycznym świecie przez tysiąc lat. A skoro w każdej rzeczy zawarta jest iskra boskości, to lepiej ją uczcić, niż potem żałować. Zbudować świątynię, ustanowić rytuał, składać ofiary.

Religia Greków i Rzymian przypominała politeistyczny sklepik ze słodyczami, gdzie poszukiwacze duchowości znaleźć mogli każdy smak. Grecy czcili skomplikowaną społeczność bogów i bogiń olimpijskich, ale Rzymianie szybko zdystansowali ich, jeśli chodzi o liczbę wyższych duchów i ich specjalizację.

Strzeżeniem rzymskich drzwi zajmowało się czterech bogów (po jednym na każdy zawias). Dla zainteresowanych zaświatami otwierała się możliwość uczestnictwa w różnych misteriach, od tych ku czci Izis po zastrzeżone tylko dla mężczyzn krwawe obrzędy kultu Mitr}’.

Nadmiar ofert stwarzał wielkie pole do popisu dla kapłanów i kapłanek.

Pierwotnie czynności sakralnych dokonywali świeccy, powoływani na czas określony przez wspólnotę wiernych. Od I wieku p.n.e. funkcja kapłańska stała się zawodem. Głównym zadaniem kapłanów obojga płci było nie prowadzenie modłów, nie opieka nad parafianami, lecz uszczęśliwianie bogów. Gdy tłumy wyznawców powiększały się i rosły świątynie, obowiązków przybywało; należało strzec świątynnych skarbów i depozytów

bogaczy, zapierających dech swą wartością, a złożonych w podziemiach przybytków.

Ciągoty fanów dzikości zaspokajali luperkowie, wilcze bractwo kapłańskie wywodzące swą nazwę od słowa *lupa* (wilczyca). Każdego roku w lutym, w święto wilka, prawie nadzy mężczyźni (wśród których był raz nawet Marek Antoniusz) w uniesieniu biegali ulicami, chłoszcząc kobiety rzemieniami z kozłej skóry, co miało zapewnić płodność. Dla zdeklarowanych masochistów było coś specjalnego: galijscy kapłani kultu Kybele przyjmowali do swe-

go grona tylko tych, którzy własnoręcznie się wykastrowali podczas publicznych obchodów okrutnego marcowego obrzędu.

W samym Rzymie istniały cztery główne kolegia kapłańskie, na czele których stali pontifeksi. To oni wyznaczali dni świąteczne, kierowali sprawami administracyjnymi, doradzali senatowi. Augurzy niezbędni byli przy podejmowaniu każdej decyzji; oceniali, czy znaki i wróżby są pomyslnie, czytając wyroki losów z wielu zjawisk, jak lot i odchody ptaków, wnętrzości zwierząt, błyskawice. Kapłani błyskawicy, bractwa szczególnie pociągającego dla ryzykantów, składali ofiarę z dwuletniej owcy w świątyni Jowisza o przydomku Gromowładny, wzniesionej w miejscu, gdzie uderzył piorun.

Udarem kalorycznym groziła funkcja epulona, czyli organizatora świątecznych uczt. I nie chodziło o jakiś szwedzki bufet - przy specjalnych okazjach, w chwilach narodowej radości (zwycięska wojna) albo nieszczęść (nieprzyjaciel u bram), siedmiu epulonów szykowało wystawne przyjęcie dla trzynastu najważniejszych bogów. Po ulokowaniu świętych wizerunków za stołami zastawianymi jadłem odmawiali modlitwę, po czym zabierali się do konsumpcji, zmiatając wszystko do ostatniego okruszka.

Gdy Rzym miał już za sobą okres władzy jednego czy dwóch cesarzy, a ludziom prawie kończyły się pomysły na nowe kultury, kilku spryciarzy zagruchało: „A właściwie dlaczego nie czcimy zmarłych imperatorów?”. To wywołało boom w budownictwie świątynnym, a boski kult cesarzy objął całe imperium, przynosząc ze sobą obfitość prestiżowych stanowisk. Stąd pozostawał już tylko krok do deifikacji aktualnie panujących wraz z ich rodzinami. Tendencja dotknęła nawet szczególnie zasłużonych wodzów w rodzaju Marka Antoniusza.

I jakkolwiek wolno było czcić dowolnego boga (bądź żadnego), formalne uczestnictwo w kultcie cesarza zaczęło uchodzić za przejaw lojalności wobec państwa; okazało się ono me do przyjęcia

dla narodu żydowskiego i wywodzącej się zeń nielicznej sekty, która później zaczęła być znana jako chrześcijanie. Nieważne, jak bardzo pogańscy kapłani starali się być przekonujący, kiedy wyznawcy judaizmu bądź Jezusa odmówili oddawania religijnej czci cesarzowi, ich konflikt z władzą rzymską stał się nieunikniony.

PROSTYTUTKA nic nowego pod latarnią

Podobnie jak dzisiejszy rynek świadczeń seksualnych, grecki system usług był skomplikowany, wielopoziomowy, miał różnorodne kanały dystrybucji i wiele punktów sprzedaży, dostosowując ofertę do zasobności nabywcy. Czy działał zadowalająco? Zależy, jaką pozycję się na nim zajmowało: kupującego czy sprzedającego.

W roku 594 p.n.e. wpływowy ateński reformator Solon, chcąc choć trochę złagodzić problem lokalnej trudnej młodzieży, zmodernizował w swym mieście dystrybucyjną sieć punktów płatnej miłości. W bramach miasta umieścił roznegliżowane kobiety, które świadczyły najprostsze usługi za jednego obola. Innym świetnym pomysłem tego męża stanu było nakłonienie nierządnic i ich klientów do składania datków na rzecz budowy uroczej świątyni Afrodyty Pandemos (Ludowej). Zebrano w ten sposób 18 milionów oboli i Ateny zyskały nową świątynię, a uliczne prostytutki dogodne miejsce do pracy i wypoczynku.

Z systemem Solona konkurowała sieć lokali, rozpoznawalnych po lampkach oliwnych nad drzwiami. Przy drogach, w miejscach wszelakich uroczystości i w miastach nastawione na wszechstronną obsługę klientów przybytki tej firmy oferowały wyżywienie, napoje, gry hazardowe i noclegi - z damskim towarzystwem albo bez.

Na wyższym poziomie cenowym stały *auletrides*, flecistki. Ta profesja miała niezliczone odmiany. Wykwalifikowane tancerki i muzykantki, odziane w połyskujące i prześwitujące szaty z przedniego jedwabiu, za opłatą zabawiały (w każdy sposób) towarzystwo na zakrapianych biesiadach.

Poszukujący panienki luksusowej i o najwyższych talentach, wybredny Grek musiał zwrócić się do pośredników tego towaru, czyli stręczycieli, od czasu do czasu dysponujących takimi ekskluzywnymi ofertami. Z dru-

giej strony atrakcyjne i wykształcone hetery („damy do towarzystwa”) pracowały nierzadko na własny rachunek, samodzielnie przyjmując bądź odrzucając zlecenia. Inaczej niż pozostałe pracownice tej branży, były na ogół osobami wolnymi. Wiele z nich przybywało do Aten ze wschodu, na przykład z Jonii; musiały wtedy dodatkowo płacić za prawo pobytu w mieście.

Ale czy się pracowało w klasie hi-lux, czy w standardzie podstawowym, nie był to łatwy kawałek chleba. Greckie prostytutki obciążone były niezliczonymi podatkami. Blond peruki, buty na koturnach, przezroczyste suknie też nie były tanie. (Ale i tak miały lepsze warunki niż w Rzymie, gdzie uliczne prostytutki musiały nosić wełniane togi, by sygnalizować swą dostępność i płacić czynsz za cudzołożenie pod łukami gmachów publicznych).

Ciąża i choroby weneryczne mogły przydarzyć się w każdej chwili. prostytutki, wiedzące o kontroli urodzin więcej od kobiet zamężnych, często w charakterze substancji plemnikobójczych używały olejku cedrowego lub kadzidła zmieszanego z oliwą. W razie potrzeby aplikowały ocet na organ klienta, co miało powstrzymać wytrysk. Aborcja była legalna i nie uchodziła za przestępstwo.

„Pastwisko”, jak nazywano uprawianie tego zawodu, nie okrywało wstydem. Było to zajęcie legalne i chronione prawem. prostytutki, gdy zechciały, mogły zrezygnować z pracy bądź zająć się innymi aspektami swego biznesu, prowadząc dom publiczny czy szkoląc nowe adeptki.

Tworzyły zamkniętą społeczność, miały ulubione miejsca spotkań i modlitw. Większość była stałymi bywalczyniami świątyni Afrodyty Kallipygos, czyli tłumacząc na język współczesny „Dupiastej Wenus”. Hucznie obchodziły swe święta, na przykład Afrodyzje, celebrowane w całej Grecji, a ze szczególnym entuzjazmem w Koryncie i na Eginie.

W odróżnieniu od mężatek poruszały się samodzielnie i cieszyły swobodą w życiu towarzyskim i sypialni. Zaskakująco wiele spośród nich na stałe utrwaliło się w dzie-

jach; należały do kobiet, o których najwięcej się w swoim czasie mówiło i pisało, najbardziej godnych zapamiętania.

PRZEWODNIK DUSZ prosił was tu ktoś?

Sądząc po relacjach starożytnych, Grecy mieli poważne problemy z siłami nadprzyrodzonymi, często potrzebując pomocy profesjonalistów. Adepci antycznych szkół spirytystycznych przykładali wagę do tytułów. Grecki pogromca duchów najbardziej lubił, gdy nazywano go *psychopomposem*, czyli przewodnikiem dusz.

Najsłynniejsza sprawa pokonania duchów zaczęła się, gdy pyszałkowaty wódz spartański Pauzaniusz, który w 479 roku p.n.e. odparł perskich najeźdźców, sycił się chwałą w swym obozie. Tam to ujrzał cnotliwą Kleonikę i zapalał do niej pożądaniem. Zwycięski na polu bitwy, lecz w sprawach miłosnych subtelny jak taran, grę wstępą ograniczył do wydania strażom rozkazu „przyprawdźcie ją w nocy do mnie”. I stało się, że podczas szaleńczej nocnej szamotaniny dziewczyna wyrwała się poza krąg światła lampki oliwnej, mało stabilny emocjonalnie zalotnik zamiast za afrodyzjak chwycił za miecz - i bach: oto mamy dziewczynę martwą jak kłoda.

Pauzaniusz cierpiał wtedy na szok pourazowy, a zabójstwo jeszcze bardziej wyprowadziło go z równowagi. Udał się więc do najbliższej poradni psychiatrii paranormalnej, do Wyroczni Śmierci nad Morzem Czarnym. Mimo iż przybył tam niezapowiedziany, duch Kleoniki pojawił się na wezwanie podejrzenie szybko i przemówił: „Myślisz, że masz problemy? Potrzeba ci spokoju, wracaj do domu”. Uspokojony Pauzaniusz podążył do Sparty, gdzie natychmiast oskarżono go o zdradę, deportowano do Aten i tam zamurowano żywcem w świątyni patronki miasta. Sprawa zamknięta, duch zadowolony, jak można by uznać. Lecz nie. Ateńczycy oburzyli się, że ich bogini nie

okazano należnego szacunku. Zażądali, by Spartanie

zwrócili się do innej wyroczni - niezawodnej delfickiej.

Ta zaś oznajmiła: „Wezwijcie fachowców”. Dwóch przewodników dusz podjęło wyzwanie, uwolnili święty

przybytek od ducha Pauzanasza, a przy okazji również od niezdolnego fetoru jego doczesnych szczątków.

Zasadniczą rolę *psychopompos* było uchronienie ducha zmarłego prowadzonego do krainy cieni przed nieproszonymi, groźnymi i nachalnymi, upiorami. Ale wykonywał również wymagające silnej odporności i przytomności umysłu prace w miejscach jak najbardziej publicznych - w rzymskich cyrkach.

Psychopompos asystował tam przy walkach gladiatorów. Reprezentował boga Merkurego* (w wersji etruskiej, greckiej bądź rzymskiej) w jego aspekcie przewodnika dusz zmarłych na tamten świat. Czarno odziany, w rękę dzierżył brązowy kaduceusz - oplecioną węzami zakrzywioną laskę. Jego zadaniem było upewnić się, że dusze, które miał prowadzić, rzeczywiście uszły z ciał. Służył mu do tego rozpalony do czerwoności kaduceusz, jakim sprawdzał, czy powalony gladiator nie udaje martwego.

Na arenie stał jeszcze drugi przewodnik, przebrany za Radamantysa, sędziego w podziemnym świecie. Ubrany w wysokie, ciemne buty, tunikę i złowróbną maskę kruka, drewnianym młotkiem na długim trzonku dotykał zwłok gladiatora, by wezwać jego duszę do Hadesu.

Jak makabryczne nie wydawałyby się te czynności, owi dwaj ludzie w każdym zakończonym pojedynku wskazywali jego metafizyczne elementy, wskazując moment religijnego szacunku dla chwili, gdy inny człowiek opuszczał właśnie krainę żywych.

TERAPEUTA SNEM śpij i zdrowiej

Kobieta straciła wzrok. Filozofa nękała chroniczna niestrawność. Żołnierzowi utkwiała w piersi strzała i rana ropiała przez dwa lata. Kto miał zająć się tymi przypadkami i tysiącem innych?

* Merkury (grecki Hermes) posłaniec bogów, zarazem bóg handlu i przewodnik zmarłych. Jego kaduceusz (uskrzydloną laskę) oplatały dwa węże. Asklepios, grecki bóg medycyny, nosił drewnianą laskę z owiniętym wokół niej węzem, symbolizującym odrodzenie. Starożytni medycy otaczali wciąż symbol Asklepiosa, o czym będzie jeszcze mowa w „Terapeucie snem”. Z czasem przestano dostrzegać istotne różnice między obydwoma insygniami, toteż we współczesnej medycynie bezrefleksyjnie używa się wizerunku jednego i drugiego.

Oczywiście terapeuta snem, zdolny kapłan pracujący (dosłownie) w sanktuarium Asklepiosa. Grecki bóg sztuki medycznej był ostatnią nadzieją dla dotkniętych przewlekłą słabością czy tajemniczą chorobą. Najślynniejsza z jego świątyń powstała w V wieku p.n.e. w Epidaurus, a na jej wzór zbudowano kolejne: między innymi w Sparcie, Syrii, Atenach, Rzymie (na wyspie na Tybrze), w afrykańskiej Cyrenajce i Ilirii.

Przybywający do świątyni-lecznicy pacjent podlegał trzydniowemu rytuałowi oczyszczenia, podczas którego zakazany był seks, pieczone koźle mięso i ser. Składał ofiarę z placków i kwiatów, potem kapłan przeprowadzał z nim rozmowę wstępną. Pierwszą noc kuracjusz, przybrany w wieniec laurowy, spędzał na posłaniu w izbie zwanej *abaton*, pośród szwendających się tam świętych psów. Kapłan przysiadł się doń od czasu do czasu, przygotowując pacjenta na spodziewaną wizytę boga. Najczęściej chory miał ciekawe sny, spisywane rano przez kapłana; czasem dotyczyły one przebiegu kuracji.

Brzmi to dziwacznie, lecz trudno kwestionować prowadzoną przez dziesięć wieków dokumentację. Wiele tysięcy cierpiących znajdowało w sanktuariach ulgę, niekiedy całkowite uzdrowienie. Spokojna, zalesiona okolica; religijna atmosfera niczym w Lourdes; wygoda i troskliwy personel niczym w hospicjum. Plus mała kropelka nadprzyrodzonego ogłupiania: bóg Asklepios pojawiający się często pod postacią węża.

Grecy i Rzymianie niejadowite węże darzyli raczej sympatią, nie unikali ich, nawet hodowali w domach. Sam Asklepios powiedział, że tak jak gady pozbywają się starej skóry, tak na jego rozkaz człowiek pozbędzie się choroby. Wokół

jego laski owijał się wąż. Grecy lekarze modlili się do Asklepiosa o dobrą radę, a laskę z wężem przyjęli za swój znak cechowy.

Z racjonalnego punktu widzenia sanktuaria boga medycyny były oazami spokoju, oferującymi różnorodne formy terapii, od ścieżek zdrowia różnorodne kąpiele. Kapłani praktykowali medycynę holistyczną, stosowali zdrowotną dietę, zajęcia sportowe i ćwiczenia gimnastyczne,

wierzyli w uzdrawiającą moc muzyki i poezji. Jak w innych sanktuariach, również w Epidauros znajdował się teatr pod gołym niebem (o 55 kondygnacjach; stoi tam do dziś i wciąż jest używany).

Najbardziej wzruszające świadectwa dokonań kapłanów Asklepiosa mają postać wyrytych w kamieniu inskrypcji w sanktuariach. Inne znajdują się na pomnikach i w pismach ówczesnych autorów, jak orator Ary-stydes, który cierpiał na przewlekłą, nienazwaną dolegliwość i spędził w Epidauros szereg miesięcy.

Wśród owych deklaracji wdzięczność jest na przykład taka: „Bóg poradził niewidomemu żołnierzowi Waleriusowi Aperowi wziąć krew białego koguta i mieszać z miodem, smarować tą maścią oczy przez trzy dni. Żołnierz przejrzał i ruszył w swoją drogę, w głos składając bogu dzięki”.

A co się stało z żołnierzem z ropiejącą raną? Gdy się obudził w Epidaurros, grot strzały znalazł w swej dłoni. I odszedł zdrow i szczęśliwy.

CHŁOPIĘCA PROSTYTUCJA równouprawnienie w seksbiznesie

Szukający wrażeń seksualnych starożytny Grek miał większe możliwości wyboru niż dzisiejszy użytkownik Internetu: pierwszorzędne hete-ry, bezpretensjonalne miejskie domy publiczne, małżeństwo ze stosowną kobietą wresz-cie niewolnicy i niewolnice na każde skinienie. Lecz niekiedy naciskany przez libido Grek czuł potrzebę głębszej relacji z młodym mężczyzną z dobrej rodziny. A w takiej sytuacji problemem zasadniczym stawała się nie płeć czy nawet pozycja społeczna; znaczenie w tamtym świecie miało, kto kogo przeleci w takich kontaktach.

Arystokraci szukający męskiej zdobyczy cenili młodość i urodę. Za ideał piękna uchodził młodzian o szerokich ramionach, smukłej talii, wyrazistej muskulaturze i jędrnych pośladkach. Winien mieć prosty nos, dolną wargę jak Elvis Presley, a włosy bujne i falujące. I mógł mieć filigranowe genitalia, gdyż w tym towarzystwie rozmiar nie grał roli. Nareszcie! Oto odpowiedź na zagadkę mizernego wyposażenia słynnych greckich posągów.

Według świadectwa swoich uczniów Sokrates szalał na punkcie chłopców, w towarzystwie przystojnych młodzieńców popadając w nieomal boskie uniesienie. Niemniej, jak się zdaje, w większości przypadków umiał sublimować swe namiętności, ograniczając się do nauczania chłopców filozofii moralnej, zamiast miętosić ich w łóżku.

Gdy liczba napalonych Ateńczyków polujących na zdobycz przewyższyła ilość dwunasto-, osiemnastoletnich wolno urodzonych piękniśków, powstał system chłopięcej prostytucji, by zaspokoić ich potrzeby.

Większość z tych dzieciaków nie miała jeszcze osiemnastu lat. Ich kariera, trwająca przecież tak krótko, w dalszym życiu kosztowała ich utratę praw obywatelskich. Przy czym samo świadczenie usług seksualnych za pieniądze nie było jeszcze przestępstwem, lecz służenie za stronę bierną już tak*.

W Atenach chłopcy uprawiający prostytucję operowali w tych samych częściach miasta co ich koleżanki: na wzgórzu Lykabetos i w dzielnicy Keramikos, miejscu skąd pochodziły wszystkie wyroby garncarskie (i gdzie dokonywano wielu bezprawnych czynów). Niektórzy używali nagrobków i ławek na cmentarzu w charakterze tablic ogłoszeniowych, czasem także jako okazynego warsztatu pracy.

Natomiast Rzymianie nie byli zachwyceni greckim wzorcem stosunków typu doświadczony mentor - młodzieniec. Różne prawa zabraniały tego typu zachowań. Z drugiej strony mogli penetrować swych niewolników ile wlezie. Nie żywili też odrazy do męskich prostytutek.

Prostytutki żeńskie i męskie w Rzymie znajdowały się często pod kontrolą i opieką sutenerów (również obojga płci), zwanych *leno*, stąd *pu-eri lenom*, czyli „chłopcy bajzelmamy”. Ci mieli zresztą wyższy prestiż

* W Atenach mężczyźni będących bierną stroną w kontaktach homoseksualnych karano wetknięciem w tyłek wielkiej rzodkwi. Uważano, że związane z tym publiczne upokorzenie jest wystarczająco dotkliwe, nie mówiąc o przykrościach fizycznych powodowanych przez piekące warzywo. Zdumiewające, jak komedie Arystofanesa nabierają dodatkowych znaczeń, gdy odczyta się owe rzodkiewkowe aluzje.

społeczny i lepsze zarobki niż w Grecji, a nawet własne święto, które w rzymskim kalendarzu przypadało na 25 kwietnia.

Lecz gdziekolwiek uprawiali swój fach, stale narażali się na maltretowanie i choroby weneryczne. Wprawdzie nie dotyczyły ich kwestie ciąży czy aborcji, ale stawali w obliczu kompletnej nędzy, gdy pojawiał się zarost, zanikał ich chłopięcy wygląd i popyt na nich się zmniejszał. Nawet *leno* musiał się zgodzić, że nie była to kariera długoterminowa ani bodaj satysfakcjonująca.

SPURYNA; od jasnowidza do bogacza z morderstwem w tle

Jak wiedział każdy wart tego miana wróżbiarz odczytujący przyszłość z wnętrzości zwierząt, powodzenie w tym interesie zależało od dobrej opinii - zła publicity potrafiła wykończyć. Gdy klient uwzględniał ostrzeżenia przed zagrożeniem, reputacja przepowiadacza była ugruntowana, jeśli je ignorował - to tym lepiej.

Weźmy taką karierę Westrycjusza Spuryny - chociaż żył w czasach, gdy w Rzymie panowały się gangi uliczne, pracy było niewiele, a posiłki nieregularne, wygrał los na loterii, gdy do odczytywania zwierzęcych trzewi zatrudnił go przebojowy dyktator.

Klient ów, Juliusz Cezar, sprawiał Spurynie sporo kłopotu. Owszem, sympatyczny, lecz notorycznie niewyplacalny. A nawet, gdy wreszcie coś zapłacił, to i tak bezlitośnie nabijał się z najlepszych przepowiedni wróżbiarza, nazywając je bzdurami, odmawiając przejmowania się spiskami na tym świecie i znakami z tamtego.

Szczególnie kłopotliwy przypadek zdarzył się, kiedy wróżbiarz otworzywszy ofiarne zwierzę nie znalazł jego serca. Wtedy Cezar z pełnym wyższości uśmiechem rzekł:

- Drobiazg. Ja potrzebuję pomyślnej przepowiedni, ty chciałbyś utrzymać się na posadzie. Rozkrawaj więc następne zwierzęta i badaj ich wnętrzości, aż trafimy na dobre wieści.

Spuryny mało szlag nie trafił; klient z takim nastawieniem mógł z jasnowidza uczynić ateistę.

W roku 44 p.n.e., pierwszego dnia marca, poświęconego bogu wojny Marsowi, Spuryna jak zwykle na początku miesiąca dokonywał w domu Juliusza Cezara analizy trzewiów zwierzęcych. A te wręcz krzyczały: „Niebezpieczeństwo nadchodzi! W połowie miesiąca spodziewaj się naj-

gorszego!". Analityk nie miał innego wyjścia, jak powiadomić o wszystkim gospodarza, który oczywiście zaśmiał mu się w nos.

Piętnastego dnia miesiąca wróżbiarza czekało kolejne upokorzenie. Cezar udał się do senatu, by wygłosić tam mowę. Po drodze zatrzymał się przy ulicznym ołtarzu, aby jego osobisty wróż przeprowadził oficjalny odczyt z wnętrzości. Gdy w pierwszym zwierzęciu ofiarnym pojawił się zły omen, dyktator kazał ponowić próbę, a potem wyśmiał groźne zapowiedzi, jakby były owocem fantazji jasnowidza!

Najgorsze zaś, że zaufanie do Spuryny podważył wobec całego tłumu, mówiąc:

- Jesteś fałszywym prorokiem. Popatrz, nadeszły idy marcowe i nic złego mnie nie spotkało.

Gdy odchodził, Spuryna stracił zimną krew i rzucił za nim, jakby w natchnieniu:

- Idy nadeszły, to prawda, lecz jeszcze nie minęły.

Ledwie wróżbita uprzątnął pozostałości ofiary, gdy usłyszał wrzawę. Obejrzał się i zobaczył mężczyzn w poplamionych krwią togach wybiegających z budynku.

Wkrótce nowina dotarła do wszystkich: Juliusz Cezar, który sam się ogłosił dożywotnim dyktatorem Rzymu, został właśnie zamordowany, otrzymując ponad dwadzieścia pchnięć nożem od spiskowców.

Westrycjusz Spuryna popatrzył ze smutkiem, jak zakrwawione ciało jego klienta niewolnicy odnoszą w lektyce do domu. I bez zaglądania do wnętrzości wiedział, że teraz lista jego najznacniejszych klientów będzie się tylko wydłużać. Lecz na Apollona i Jowisza: żeby aż tego było trzeba, by dowieść swej kompetencji?!

WYTWÓRCA AMULETÓW sprzedawał fascynujący towar

Życie było niepewne, bogowie nieprzewidywalni; kto wiedział, kiedy kometa zmieni wszystko w chaos? Nie można było iść przez świat bez ochrony. Toteż już od kołyski nawet najbardziej niefrasobliwi spośród Greków czy Rzymian nosili amulety z czarami lub głaskali *fascinum*.

Tak jak później królicza łapka, w starożytności amuletem przynoszącym powodzenie był wizerunek fallusa zwany *fascmum* (stąd nasze słowo „fascynacja”), noszony na szyi przez niemal wszystkich już od dziecka. Sprzedawcy i producenci amuletów mieli zapewniony zbył.

Na półwyspach Peloponeskim i Apenińskim obraz fallusa malowano nad drzwiami, ryto na murach i kamiennym bruku; rzeźby w tym kształcie stawiano w ogrodach i na rozstajach dróg. Przechodnie dotykali ich na szczęście, pobliscy mieszkańcy regularnie oczyszczali z ptasich odchodów. Symbole falliczne, chroniące przed pechem i złymi spojrzzeniami, opatrywano czasem napisem *Hic vivetfelicitas* (Tu mieszka szczęście).

Z pełnym szacunkiem dla współczesnych przewodników po Pompejach i innych ciekawych miejscach - wbrew temu, co twierdzą, wizerunki te ustawiano nie po to, by wskazywały drogę do domów publicznych.

W czasach antycznych znacznie ważniejsze było zabezpieczenie przed złym losem, chorobą, klęskami żywiołowymi, zarazą bezdziejnością, przed wszechobecnymi niezycliwymi urokami niż starania o pomyślność. Jako ochronę prości ludzie stosowali amulety i pierścienie. Często przedmioty te wykonywano z materiałów roślinnych czy tkanin, nadawano im symboliczne kształty: pszczoły, oka lub totemicznego zwierzęcia i przyszywano do odzienia. Grecy woleli pasikonika; jego wielki wizerunek zawiesili przed Akropolem, by chronił świątynie. Na pierścieniach często przedstawiali Heraklesa, gdyż jeden z jego tytułów brzmiał: „Ten, który odwraca zło”.

Przedsiębiorcy wytwarzający i sprzedający amulety często parali się ziołolecznictwem jako dochodową działalnością uboczną. Jak popularne w naszych czasach kryształki lecznicze, amulety odznaczały się specyficzną selektywną siłą działania. Przekupień wypytywał klienta o jego potrzeby i dobierał mu talizman - leczący albo choć przynoszący ulgę. Nieco cyklamenu zapobiegnie łysieniu. Dzwonki leśne oddalą zło i ułatwią ro-

dzenie dzieci. Amulet z piwonią przyspieszy gojenie ran, a pszczoła przyniesie szczęście. Noworodka oczywiście należy wykąpać w moczu czy winie, zanim zacznie działać ta magiczna biżuteria.

Dzisiejszego czytelnika wiara w moc amuletów może śmieszyć do rozpuku. Lecz nauka, odkrywająca psychosoma-

tyczną naturę człowieka, przyznaje rację starożytnym Grekom, twórcom koncepcji wszechstronnego panaceum, i Rzymianom, nieco podobnie postrzegającym lecznicze właściwości placebo. Skoro pacjenci tak silnie ufali amuletom, to mogły one sprawić wiele dobrego. No i szkodziły mniej niż ówczesne tak zwane leki, często sporządzane z nawozu czy innych „leczniczych” substancji.

WESTALKA

i ty możesz zostać Maximum Virgin

Instytucja westalek powstała w ósmym stuleciu przed naszą erą jeszcze za czasów monarchii. Westę, opiekunkę ogniska domowego, uznano wtedy za matkę miasta i bóstwo opiekuńcze państwa.

Spośród dwudziestu kandydatek wybrano sześć dziewcząt do podtrzymywania świętego ognia, płonącego ku czci bogini. Kryteria doboru nie były ostre - wystarczyło pochodzić z Italii, mieć wszystkie kończyny w komplecie i urodzić się z wolnych rodziców, którzy nie parali się mało szlachetnymi zajęciami, na przykład prowadzeniem licytacji. W pierwszych wiekach trzydziestoletnią służbę dla Westy obejmowały przeważnie córki szlacheckich rodów.

Rozstawszy się z rodzicami, zamieszkiwały w przestronnych kwaterach i przez pierwsze dziesięć lat przyuczały się do swych zadań, przez następne dziesięć je wykonywały, przez kolejną dekadę nauczały młodsze adeptki. Po trzydziestu latach kapłaństwa mogły rzucić się w wir rozpusty, lecz niewiele tak czyniło. Zamiast szukać męża czy rozrywek większość byłych westalek usuwała się na ubocze, by tam

ścić opowieści o minionych czasach.

W przeciwieństwie do większości Rzymianek, które żyjąc pod władzą mężczyzn miały znikome możliwości pięcia się w górę życia towarzyskiego czy kształcenia umysłu, westalki mogły robić to wszystko. Co bystrzejsze mogły też ubiegać się o godność przełożonej westalek (zwanej Virgo Maxima albo Maximum Virgin).

Miały prawo wstawiać się za ludźmi, którzy popadli w kłopoty. Skorzstały zeń m.in. około roku 60 p.n.e., gdy młody Juliusz Cezar znalazł się na sporządzonej przez dyktatora Sullę liście proskrypcyjnej. Kapłanki Westy uprosiły łaskę dla Cezara, ratując mu życie. Czy się odwdzieczył? Oczywiście. Wkrótce potem kwatery westalek zostały rozbudowane i luksusowo wyposażone na koszt Juliusza.

Na sześć miesięcy przed śmiercią Cezar złożył u Virgo Maxima swój testament. Strzegła go jak oka w głowie - i słusznie. Zawierał bowiem klauzulę mogącą uczynić z Rzymu cesarstwo oraz wyznaczał adoptowanego przez Cezara siostrzeńca Oktawiana następcą i spadkobiercą dyktatora.

Po objęciu władzy Oktawian (obdarzony przez senat przydomkiem „Augustus”, czyli „wybraniec bogów”) okazywał westalkom podobną przychylność i rozszerzył ich przywileje, przyznając najlepsze miejsca w cyrkach i teatrach, luksusowe środki transportu i prestiżową gwardię przyboczną liktorów.

Każdego dnia kapłanki od nowa czyniły Rzym bezpiecznym, dokonując oczyszczenia paleniska, doglądając ognia i tajemniczego relikwiarza (zdaniem wielu znajdował się tam gliniany fallus, związany z kultem boga Fascinusa). Wypiekały słone placki (dziesięciominutowa receptura, taka sama jak na rzymskie placki weselne) do użytku obrzędowego. W czerwcu otwierały wewnętrzne sanktuarium na dziewczęce obrzędy. Padały z przepracowania 15 czerwca, gdyż tego dnia dokonywały rytualnego oczyszczania świątyni, po czym następowało kolejne pół roku spokoju.

Załatwiwszy obowiązki kultowe, zabierały się do czynności świeckich: działały jako urzędowe powiernice, świadkowie i notariuszki, uwiarytelniały testamenty i umowy, przedstawiały dowody w sądach, uzyskiwały łaskę dla przestępców, którzy przypadkowo znaleźli się w konflikcie z prawem.

Dzięki poświadczeniu ostatniej woli często bywały uposażane przez testatorów. Gdy ich dusze przeszły na tamten świat, westalce przypadła niemała część majątku pozostałego po zaspokojeniu roszczeń spadko-

ność, którą swobodnie dysponowała. I na odwrót, wolno jej było zapisać swoje dobra komukolwiek, nawet kobiecie spoza ich zgrupowania. Niektóre z dziewczyc Westy zgromadziły fortuny.

Mimo rzadkich przypadków utraty niewinności, za co karą było spalenie żywcem, stowarzyszenie przetrwało bez problemu do roku 394 n.e., kiedy to władze chrześcijańskie nakazały jego rozwiązanie. Westalki zignorowały rozkaz; sześć lat później ostatnia stara, zasuszona westalka przyłapała na gorącym uczynku chrześcijańską arystokratkę kradnącą naszyjnik z posągu bogini i przeklęła ją za profanację sanktuarium. Klątwa, jak się okazało, była skuteczna: kilka lat potem złodziejka wraz z całą rodziną została stracona przez przeciwników politycznych.

LIKORIS; królowa chironomii

Jeszcze jako dziecko Likoris tańczyła jak Madonna, śpiewała niczym Maria Callas, nosiła się jak Katharine Hepburn. Talent kwalifikował ją do teatru pantomimicznego, sztuki niezbyt wysokich lotów. Właściciel, skuszony perspektywą zarobku, posłał ją do szkoły mimów, gdzie nadano jej pseudonim artystyczny „Kyteris”.

W jej czasach mim daleki był od milczenia na scenie. Zupełnie nie przypominało to pantomimy dawniejszej, prezentującej widowiska na poły baletowe, w których pojedynczy aktor milcząco odgrywał wszystkie role.

To specyficznie rzymskie przedstawienie podobne było raczej do pantomimy angielskiej. Był to spektakl z muzycznymi wstawkami i śmiesznymi fabularnymi scenkami o sprośnej treści, opowiedanej przez głównego mima, męskiego albo żeńskiego, gestami, minami i tańcem. (Włosi do dziś rozmawiają za pomocą chironomii, wymownej sztuki gestykulacji: obejrzyjcie jakiś film z Joe Pescim).

Jako mim Likoris występowała boso, bez maski czy wyszukanych kostiumów. Narrator recytował wiersze lub opowiadał wesołe dykteryjki nawet dziś brzmiące wulgarnie, na przykład: „Chodź ze mną do łaźni, a dam ci zaznać filozofii cyników”.

Gdy kurtyna opadała, Likoris czekało kolejne zadanie: randki z wpływowymi przyjaciółmi pana. Oddawała mu większość uzyskanych pieniędzy, lecz w końcu zdobyła status wyzwolenca. W społeczeństwie rzymskim istniał jednak zawiły system zależności, więc chociaż wyzwolona, Likoris nadal pozostawała w zależności od byłego właściciela, a teraz

patrona; musiała świadczyć usługi jako kurtyzana i dawać bezpłatne pokazy mimiczne podczas uczt.

W wieku 21 lat została kochanką Marka Antoniusza. Ten będący prawą ręką Cezara zawodowy żołnierz z poważnym problemem alkoholowym uwielbiał zabawy w gronie typów o zaszarganej opinii. Niesiony do Li-koris w luksusowej dwuosobowej lektyce, załatwiał interesy w ruchu, ciągnąc za sobą ogon stręczycieli, artystów i innych (jedną z tych innych była jego matka).

Takie pogwałcenie naturalnego porządku raziło wielu, także lokalne władze, które musiały zapewniać parze zakwaterowanie i traktować Li-koris z szacunkiem należnym czcigodnej matronie.

Ale mimo swych wad Marek Antoniusz nie był snobem. Kochał Likoris i traktował ją uprzejmie. Oburzali się na to jego podkomendni, szczególnie gdy podarował dziewczynie posiadłość ziemską.

W roku 47 p.n.e. interweniował sam Cezar. Likoris zapewne sama rozumiała, że rozstanie jest bliskie. Potem jeszcze przez lata nazywano Marka Antoniusza Kyteriusem, czyli „chłopakiem Kyteris”, tak jakby nie istniał cały zastęp jego żon i kochanek, z Kleopatrami włącznie.

Likoris szukała pociechy w powrocie do kariery scenicznej. Jej wokalna interpretacja klasycznych wersów Wergiliusza poruszyła wszystkich, nawet tych złośliwych bogaczy, co wypisywali o niej jadownicze paszkwile. Życie osobiste nadal jej się nie układało. Zakochał się w niej inny patrycjusz, Marek Brutus, lecz okrył się jeszcze większą niż Likoris niesławą, przyłączając się do zbrodniczej grupy „nieznanych sprawców”.

Przetrwała i ten skandal, zachowując tytuł najpopularniejszej rzymskiej aktorki mimicznej. Namiętną miłością i kilkoma przyzwoitymi wierszami obdarzył ją poeta Gallus. Potem poszła za głosem serca

i zniknęła ze sceny publicznej, szu-

kając szczęścia u boku skromnego oficera.

I jeszcze przez stulecia aktorki mimiczne przybierały na jej cześć sceniczne pseudonimy Likoris lub Kyteris.

PULLARIUS

decyzje kurzych mózdków

Rzymskie wojsko miało specjalistów od spraw duchownych, tyle że nie odprawiali oni nabożeństw ani nie podnosili morale wśród legionistów. Byli to augurowie, których zadanie polegało na obserwowaniu (łac. *an-spicium*) świętych ptaków, by sprawdzić, co niesie przyszłość, czy z woli bogów będzie pomyślna i wszystko przebiegnie bez zarzutu. Na wojnie żołnierze nie mogli uczynić kroku, zanim augurowie nie skonsultowali się z Jowiszem i jego nadprzyrodzonymi partnerami.

Najbardziej pedantycznym, drobiazgowym fachowcem w tej branży był *pullarius*, objaśniający ruchy świętych wojskowych kur (*puli*). Przez większość czasu jego praca była nudna jak flaki z olejem.

Jednak w najważniejszych momentach, zwłaszcza gdy wódz miał zdecydować, czy podjąć bitwę, opiekun kur miał swoje pięć minut. Wyższe szarże gromadziły się wtedy wokół klatki z kurami. Na dany znak *pullarius* rzucał na ziemię ziarno i miękkie ciasto zwane *pulse* i uwalniał ptaki z zamknięcia.

Zaczynało się widowisko. Pod czujnym okiem augura i dowódców kury wylaziły na zewnątrz i brały się do dziobania. Ze sposobu, w jaki drób się pożywiał (albo rezygnował z karmy), dało się wywnioskować wszystko. Dobrym znakiem było, gdy natchnione ptaki jadły łapczywie. Jeśli upuszczały ziarna i okruchy, a te spadały na ziemię, zapowiadało

to wspaniałe perspektywy. *Pidlarius* dumnie wrzeszczał: "*tripudium solistimum*", czyli „nasiona tańczą”, i wszyscy szaleli z entuzjazmu.

Gdy natomiast niezdolne kury wróżebne ignorowały pożywienie i zaczynały kurzym zwyczajem trzepotać skrzydłami czy gdakać, odczytywano to jako znak niełaski bogów i porzucano wszelkie zamiary działań zbrojnych.

Tylko samobójczy *pullarius* mógł z premedytacją podać błędne dane. W roku 293 p.n.e. pewien taki funkcjonariusz, zniecierpliwiony brakiem apetytu u podopiecznych, oznajmił swemu dowódcy, że nasiona tańczą, choć wcale tak nie było. W bitwie Rzymianie wprawdzie zwyciężyli, lecz oszust zginął od zabłąkanego oszczepu.

Gdy przekłete ptaki zdecydowanie odmawiały ruszenia się z klatek, był to zdecydowanie przerażający sygnał, jakiego żaden z rzymskich wodzów by nie zignorował. Albo prawie żaden. Podczas pierwszej wojny punickiej badano kury, gdy okręty już płynęły na spotkanie z wrogiem. Oczywiście ptaki, wystraszone kołysaniem, nie chciały wychodzić z klatek. Wódz wyprawy zakrzyknął:

- Skoro nie chcacie, niech się napiją!

I kazał wyrzucić święty drób za burtę. Zaraz potem przegrał bitwę, a rodacy gremialnie potępili tę profanację.

I choć uznane za kurze mózdzki, te kurczaki nie były takie głupie. Gdy 1 stycznia roku 69 świeżo powołany zaocznie na cesarza Serwiusz Galba chciał zasięgnąć za ich pośrednictwem porady niebios, ptaki nie chciały mieć ze staruszką nic wspólnego i uciekły. Dwa tygodnie później Galbę pchnięto nożem w szyję - był pierwszym z trzech nader krótkotrwałych cesarzy w ciągu jednego roku, podczas którego przemiany w imperium następowały szybko jak w kalejdoskopie.

Za wysłanników Jowisza uznawano też inne ptaki, od jerzyków po sowy. Ich zachowanie augurowie również pilnie obserwowali. Lecz wojskowi w swej mądrości polegali na zwyczajnych kurach.

W samym Rzymie obywatele mogli się ubiegać o stanowisko miejskiego opiekuna urzędowych świętych kur w dobrym, służącym zwykle do wróżenia punkcie na dostojnym Wzgórzu Kapitolińskim. Stosownie do wymogów rzymskiej biurokracji, tenże *pullarius* podlegał prokuratorowi świętego drobiu.

VICTIMARIUS, POPA, CULTRARIUS zatrudnimy silnych w ramionach i żołądku

Victima to po łacinie ofiara. Dziś słowo to (w j. angielskim) najczęściej oznacza człowieka znajdującego się w rozpaczliwym położeniu, potrzebującego naszego współczucia i pieniędzy. Kiedyś oznaczało coś zupełnie innego; nie odnosiło się do człowieka, nawet nie do ssaka z rzędu naczelnych.

Dotyczyło zwierzęcia domowego, ptaka czy czworonoga, przeznaczanego na dziękczynny prezent dla greckiego, rzymskiego czy innego starożytnego boga. Gdy podarek miał uśmierzyć gniew niebios, też nosił postać zabitego zwierzęcia, lecz nazwę *hostia*.

Kto wykonywał tę brudną robotę i jak? Do złożenia ofiary potrzebny był odpowiedni personel: augur odczytujący tajemnice z wnętrzości zwierzęcia, grajkowie akompaniujący świętym czynnościom oraz trójka pomocników trzymających i zabijających zwierzę: *victimarius*, *popa* i *cultrarius*.

Na kolumnie Trajana, jednym z najslynniejszych rzymskich pomników, wciąż widać rzeźby tych fachowców, gotowych do złożenia ofiary bogu wojny Marsowi.

Przybrany w wieniec laurowy, okryty czymś w rodzaju plażowego ręcznika, muskularny, potężnie zbudowany *victimarius* wiódł wystrojoną ofiarę ku jej przeznaczeniu. Widzowie z bliska przyglądali się zwierzęciu; gdy prowadzący trzymał powróz swobodnie, a zwierzę zdawało się nic nie przeczuwać, był to dobry znak. W większości jednorazowo składano na ofiarę tylko jedno zwierzę. Jeśli władze chciały ofiarą szczególnie zwrócić uwagę właściwych bogów, na ołtarzu spalano *suovetataurilia*, czyli przekładaniec z byka, tryka i knura.

Kiedy procesja dotarła do ołtarza, *victimarius* rozpałał ogień, szykował sól, wino i pieczywo mola, także noże i pozostałe przyrządy. Następnie delikatnie i łagodnie wprowadzał zwierzę na miejsce kaźni i przytrzymał je. Gdy była to większa sztuka, na przykład byk, skłaniał je, by uklęknęło
trudne zadanie, zważywszy, że wszystko musiało odbyć się w ciszy.

Augur posypywał głowę ofiarnego zwierzęcia przewidzianymi rytuałem artykułami żywnościowymi;
następnie

zbliżał się drugi półnagi osilek, zwany *popa*. Jego zadaniem było ogłuszyć zwierzę ciężkim młotem czy obuchem topora. Gdy tego dokonał, szybko przystępował z nożem *cultrarius*, specjalista od dobijania, który potem toporem rzeźnickim otwierał brzuch ofiary, by augur mógł obejrzeć trzewia.

Teraz następował ryzykowny moment: świeżą posokę zbierano do brązowych naczyń i polewano nią ołtarz, augur zaś szybko umykał z pola rażenia, by oszczędzić sobie odwiedzin w pralni.

Solidny obrzęd musiał być przeprowadzany starannie, czysto, w ciszy, precyzyjnie, perfekcyjnie w każdym szczególe. Hałas spowodowany przez zwierzę czy człowieka był złym znakiem, mógł spowodować unieważnienie wróżby, którą wtedy należało powtórzyć na nowo, od początku. Rytuał wymagał udziału trójki ludzi o delikatnych rękach i wszechstronnej umiejętności postępowania ze zwierzętami, by ofiara do końca nie domyślała się, co ją czeka, i nie odczuwała strachu.

Wielu było kandydatów
na wymienione w tytule
stanowiska. Musieli być
zręczni, inaczej sami sta-
liby się ofiarami, chociaż
w innym sensie: ofiarami
bezrobocia.

AUGUR

pomagał przewycięzać lęk przed czynem

Rzym miał wprawdzie boginię pogody imieniem *Tempestates*, lecz na synoptyków nie było popytu. Warunki drogowe na *via Appia* też miejscowych przesadnie nie wzruszały. Przeciętnego Rzymianina tak naprawdę interesowało głównie to, co bogowie sądzą o jego planowanej podróży

bądź małżeństwie. Senatorowie i wodzowie nie byli pewni, czy zacząć działać. Jak bogowie widzieliby ich kolejną kadencję, na przykład? A czy przewencyjna wojna z Partami, którą mieli ochotę wywołać, byłaby wystarczająco legalna?

By udzielić im odpowiedzi, sztab specjalistów pracował pełną parą.

Augurów nie interesowały takie określenia jak „przewidywanie”. Oni wiedzieli. W ich mniemaniu siły wyższe komunikowały się ze śmiertelnikami za pomocą znaków - im bardziej niejasnych, tym lepiej.

Choćby kichnięcie. Niejedną bitwę odłożono z powodu czyjegoś nieopatrznego kichania w trakcie świętego obrzędu. Niektórzy z wróżbitów posługiwali się lusterkiem, inni wpatrywali się w wodę. Jeszcze liczniejsi uprawiali kleromancję, czyli rzucanie losów, do czego używali kości albo wyschniętych ziaren fasoli. (Cezar, choć nie dbający o przepowiednie odnoszące się doń personalnie, posłużył się kleromancją nad Rubikonem, czego efektem były słynne słowa „Kości zostały rzucone”).

Najstarszą gałęzią wróżbiarstwa było przewidywanie przyszłości na podstawie zachowania ptaków. Interpretowano ich lot i głosy. Określonym gatunkom przypisywano nosicielstwo dobrych albo złych znaków, zależnie od okoliczności. Widok sępa źle wróżył, ale nie czcicielom Zeusa, gdyż sęp i orzeł to ulubione ptaki tego boga. Szczególnie ważne przepowiednie uzyskiwało się z lotu pierwszego ptaka widzianego w dniu 1 stycznia każdego roku.

Jeszcze wyżej stała hieromancja, czyli czytanie znaków z wnętrzości zwierząt. Zajmujący się nią augurowie mieli za sobą tradycje jeszcze przedrzymskie; to Etruskowie jako pierwsi zagłądali w jelita czworonogów. Zawód wymagał specjalnych kwalifikacji: biegłości w tajemnej sztuce czytania w trzewiach; znajomości imion etruskich bogów, z których Fufluns nie był najdziwniejszy; odporności na widok i zapach rozprutego brzucha zwierzęcego, wreszcie zręcznych palców, by zagłębić się w gorące, krwawe, śliskie wnętrze zwierzęcia i nic w nim nie uszkodzić.

Przybrany w dziwaczny kapelusz, szafranowe szaty i płaszcz z frędzlami, augur odszyfrowywał wolę bogów, badając nieprawidłowości w zwierzęcej wątrobie i woreczku żółciowym. Brak jednego z płatów wątroby - nieszczęście. Podwójne płaty - groźny omen. By poznać swe rzemiosło, *haruspex* w trakcie szkolenia ćwiczył na brązowym modelu wątroby byka, na którym umieszczono wizerunki czterdziestu bogów i szesnastu sektorów niebios.

Praktykujący *haruspex* dostawał różne wynagrodzenie, zależne od ofiarnego zwierzęcia. Gołębie i kury nie dawały dużego zarobku; nieco większy zapewniały króliki; świnie, owce i bydło stanowiły elitę zwierząt ofiarnych.

Gdy kończył się obrzęd, co działo się z mięsem zwierząt, które tak młodo rozstały się ze światem? Należną bogu porcję przepisowo spalano na ołtarzu, resztę w postaci pieczonego otrzymywali fundatorzy ofiary. Resztki, jeśli jakieś zostały, otrzymywał augur jako napiwek.

ASTROLOG

czytanie w gwiazdach dla przyjemności i zysku

Najlepszą rzeczą w byciu astrologiem dwa tysiące lat temu był fakt, że niemal każdy już od kołyski bulił mu pieniądze. Dziecko otrzymywało horoskop ledwie przyszło na świat. Czytający w gwiazdach budzili respekt - no, w większości. Poeci, satyrycy i niedowiarkowie nieraz wyśmiewali ich, powątpiewając we wszechwładną moc zodiaku. Wcześniej także greckie *polis* i ich kolonie często zabraniały uprawiania astrologii na swym terytorium.

Lecz przez wieki rzymskiej dominacji działania astrologów harmonizowały z powszechnymi przekonaniem religijnymi. Jeśli gwiazdy coś zapowiadają, musi być to zgodne z wolą bogów - tak sądzono. Wspólnym elementem większości kultów i wyznań była akceptacja przeznaczenia.

Każdy znał dwanaście znaków zodiaku oraz ruch siedmiu planet i gwiazd, dostarczających każdej nocy odprężającego widowiska, z pewnością bardziej godnego uwagi niż dzisiejszy wieczorny program TV.

Symbole astrologiczne świetnie nadawały się na bransolety i amulety, zapewniając niezbyt drogą ochronę przed złym losem. Tańsza niż ofiary ze zwierząt, mniej kłopotliwa i bardziej higieniczna niż wróżenie z użyciem kurczaków, astrologia nadawała gwiazdom i planetom osobowość: każda miała swoje imię, symboliczną barwę, także przypisane jej rośliny i zwierzęta. (Dla Saturna były to osioł i cebula).

Astrolodzy, zwani podówczas matematykami, zajmowali się liczbami i obserwacją nieboskłonu. Słowo „horoskop” wywodzi się z greckiego wyrażenia oznaczającego „badanie czasu (upływu godzin)”. Nic dziwnego, że pytano ich zarówno o przyszłość poszczególnych ludzi, jak i mające nastąpić niezwykle zjawiska astronomiczne, zaćmienia Słońca i inne. Okresowo liczebność astrologów spadała, do czego przyczyniał się jakiś zdenerwowany cesarz czy złowrogi omen w rodzaju krwawego deszczu czy narodzin trojaczków, wywołujący panikę wśród ludności. Reakcja władz polegała na zmuszeniu gwiazd do wyniesienia się w inne strony, aż nastroje się uspokoją.

Szczególnie zagrożeni czuli się władcy. Astrologowie sporządzali bowiem przepowiednie, które, znając ludzką naturę, łatwo mogły trafić w ręce przeciwników, pociągając za sobą nadzwyczaj groźne skutki w razie kryzysu. W roku 11 n.e. August na wszelki wypadek ustanowił prawo zakazujące wszystkim, także astrologom, posiadania horoskopu cesarza, sporządzonego przy narodzinach.

Za rządów Tyberiusza i Klaudiusza zdarzały się sytuacje najwyższego zagrożenia państwa czy władzy. W roku 52 zaprzyjaźniony z tym ostatnim astrolog zdradził opinii publicznej, że w dniu urodzin cesarza, 1 sierpnia, nastąpi zaćmienie Księżycy. Uczynił to w dobrej wierze, by złagodzić złe skojarzenia, jakie zjawisko to mogłoby wywołać. Musiał więc być niemile zaskoczony, gdy jeszcze w tym samym roku zaniepokojony całą sprawą Klaudiusz wygnał z Wiecznego Miasta wszystkich astrologów.

Poprawna politycznie astrologia kwitła w epoce Hadriana, skądinąd znakomitego specjalisty w tej dziedzinie i jedyne go cesarza, którego horoskop przetrwał do dziś. Kolejny szczytowy rozwój przeżywała za Sep-tymiusza Sewera; on to narzucił kult solarny jako oficjalną religię państwową, w której astrologia odgrywała kluczową rolę. Nawet w wyborze małżonki kierowano się zgodnością horoskopów.

Z małymi potknięciami, jak to bywa, astrologowie prosperowali od II wieku p.n.e. do roku 357, w którym niegłupi chrześcijański cesarz uznał ich działalność za zbrodnię główną. Choć współczesna astrologia ponownie szuka natchnienia w starożytnej, różni się od tamtej zasadniczo, uwzględnia bowiem więcej planet, mniej aspektów i pojęcia transformacji i rozwoju.

PANKRATES; o myszach, ludziach i magii

Nawet zrównoważeni i zdrowi psychicznie cesarze bywali zabobonni do przesady i taki też był Hadrian, skądinąd jeden z najrozsądniejszych nosicieli purpury. Wpakował tyle pieniędzy w przepowiadaczy losu, że mogliby bez trudu wykształcić wszystkich swych potomków [w ojczyźnie autorki, USA, gdzie wykształcenie jest szalenie kosztowne, takie porównanie jest szczególnie dobitnym określeniem ogromu wydatków cesarza - przyp. red.]. Nałogowo wierzył w znaki, był amatorskim interpretatorem wnętrzości zwierzęcych i maniakiem astrologii.

Mimo lat pokoju pod jego rządami i „gospodarskich wizyt” w różnych punktach imperium dla umacniania więzi z poddanymi prześladowały go myśli o nieszczęściu. Stopniowo zaczął majstrować przy mrocznej stronie świata duchowego, co stało się jego obsesją, która osiągnęła szczyt w 130 roku. Wówczas Hadrian w znanym z duchów egipskim Heliopolis pozyskał usługi sławnego maga Pankratesa.

Mający już pięćdziesiąt cztery lata i sceptyczny cesarz widział już wielu szarlatanów i przewidywał ich triki. Wciąż jednak nie tracąc nadziei, zaoferował Pankratesowi olbrzymie wynagrodzenie za przeprowadzenie eksperymentu z dziedziny nekromancji.

Czarnoksiężnik zdradził bowiem w zaufaniu, że posiada niezawodną receptę na zabicie człowieka za pomocą czarnej magii. Przekazał cesarzowi niektóre jej szczegóły, na przykład „weź pełną mysz i ubóstwij ją (czyli utop) w źródlanej wodzie. Weź dwa żuki i ubóstwij je w źródlanej wodzie; weź kraba rzecznoego i tłuszcz z cętkowanej dziewiczej kozy i łajno pawiana o twarzy psa, dwa jajka ibisa, dwa łuty styraksu, dwa łuty mirry i dwa krokusa, cztery łuty cibory z Italii, cztery łuty kadzidla, jedną cebulę. Umieść to wszystko w móździerzu wraz z myszą i żukami (...) i gruntownie utrzyj, zamknij w ołowianej szkatułce i korzystaj w miarę potrzeby”.

Po godzinie czarownik sporządził tę smakowitą mieszankę i wypowiedział zaklęcie pod adresem człowieka, który akurat przybył do siedziby Pankratesa. Po dwóch godzinach nieszczęśnik ów poczuł się źle, po siedmiu był już martwy.

Mimo możliwości ewidentnego oszustwa w tym pokazie cesarz był zachwycony. Wtedy Pankrates zapowiedział, że ześle Hadrianowi sny potwierdzające moc jego czarów. Cesarz tak ogłupiał, że zapłacił mu dwa razy więcej niż obiecał.

Przepis na czary z użyciem myszy, żuków i łajna przetrwał do naszych dni, bowiem w piaskach egipskich odkopano fragment stosownego papirusu, a wraz z nim również inne recepty: na zniewolenie, sympatię, ochronę; niektóre pisane stylem mrocznym i poetyckim.

Pankrates mający oprócz biegłości w swym fachu również talent literacki znalazł wkrótce nową okazję do naciągnięcia swego klienta. Gdy cesarz wciąż przebywał nad Nilem, zaginął jego rudowłosy młody kochanek Antinus. Nie znaleziono go już nigdy. Pankrates pośpieszył wtedy do cesarza z różowym kwiatem lotosu i poematem tragicznym, który pośpiesznie spłodził. Porównał tam Antinusa do lotosu, który wykwita z ziemi i otrzymuje krew od lwa.

I tak cwany Egipcjanin, już będący na topie cesarskiej listy faworytów, dzięki łzawemu kwietnemu symbolizmowi wspiał się jeszcze wyżej.

Zasmucony władca przed wyjazdem z Egiptu wynagrodził go ponownie, tym razem stałą posadą w muzeum i Bibliotece Aleksandryjskiej - najbardziej beztruską synekurą, o jakiej naukowiec

(czy magik) mógł marzyć.

ROLNIK

spadające ceny, rosnąca zależność

Pomijając dobre zbiory oliwek, winogron i fig, greccy chłopci rzadko opływali w dostatki. Żyznej ziemi było niewiele, a płaskich, zdalnych do uprawy terenów jeszcze mniej. Lepsze grunty miała Italia - nawet w większej ilości niż potrzeba było we wczesnym okresie do wyżywienia rodzimej ludności. Przeciętne gospodarstwo liczyło 2 hektary lub mniej. Drobnym rolnik, nawet wspomagany przez niewolników, musiał się sporo napracować, by przeżyć.

Niech przykładem będzie taka historia: wyzwoleniec Chresimos uzyskiwał ze swej małej farmy zbiory wyższe niż sąsiedzi, więc pomówiono go o czary - że jakoby magicznie ściągał na własne pole cudze plony. Oskarżony przedstawił sędziom swoje dowody: dobrze utrzymane żelazne narzędzia, lemiesz, szereg schludnie odzianych niewolników pracujących na roli, dwa tłuste woły. Wskazując to wszystko powiedział: „To są moje «czarodziejskie różdżki]], niestety nie mogę okazać mojej pracy do późnej nocy ani mojego potu”. I choć musiał potem sprzątać w sądzie po swych zwierzętach pociągowych nieczystości - a woły sobie nie pożałowały - został uniewinniony.

Archeolodzy odkryli wyryte w kamieniu „almanachy” na dwanaście miesięcy, ukazujące pracę italskich rolników w zgodzie z porami roku i siłami nadprzyrodzonymi. Oto przykład:

Maj, 31 dni, 7 maja nony
 dzień 14,5 godzin, ciemności nocne 9,5 godzin
 słońce w znaku Byka; opiekun: Apollo
 plewić pszenicę, strzyc owce, prać wełnę
 okiełznać młode woły
 skosić wykę
 pobłogosławić łany zbożowe, złożyć ofiarę Merkuremu i Florze

Rzymianie z wyższych sfer pielęgnowali nostalgię za dawnymi, do-
 brymi czasami, gdy wszyscy, nawet brudni piebejusze, mieli własne za-
 grody i pola, a mężowie stanu po wypełnieniu misji wycofywali się do
 wiejskiego zacisza. W rzeczywistości politycy posiadali majątki ziem-

skie i z nich czerpali większość swoich dochodów. Miewali również posiadłości wokół stolicy, które obrabiane przez niewolników przynosiły pokaźne sumy; wytwarzano tam produkty luksusowe: tuczniaki, pawie, kozatki itd. (Niewolnicy odżywiali się chlebem, figami, wyciżkami oliwek i tanim winem).

Dni drobnych, samodzielnych rolników były już policzone. Popadali w długi i coraz powszechniej uwalniali się z nich za cenę utraty własności, z właścicieli przeobrażając się w dzierżawców, użytkujących grunt za połowę zbiorów.

Stopniowo coraz większe obszary ziemi ornej przechodziły w ręce bogatych inwestorów. Tak działo się na Półwyspie Apenińskim, Sycylii i w Afryce Północnej. W uprawach stosowano monokulturę: uprawiano pszenicę bądź soczewicę, hodowano wielkie stada zwierząt; siłę roboczą stanowili wyłącznie niewolnicy. Typowe gospodarstwo posiadało do 2000 krów, 1000 kłaczy, 10 000 owiec, które obsługiwało 500 niewolników. Rolnictwo wielkoobszarowe rozwijało się gwałtownie.

Na tych megafarmach, zwanych latyfundiami, niewolnikom wypalano piętna. Nadzorca, również niewolnik, batem wymuszał efektywność. Gdy nie pracowali, trzymano ich skutych w specjalnych więzieniach, istniejących na większości farm. Celowo łączono w jednej grupie ludzi różnych narodowości, by zmniejszyć prawdopodobieństwo buntów. Byli to głównie jeńcy wojenni, bez żadnych widoków na poprawę losu. Po zawodzie górnika była to druga najgorsza profesja, jaka niewolnikowi mogła przyspaść w udziale.

Skrajnie ciężkie warunki życia i pracy mogły doprowadzić do rebelii, jak w latach 135 i 104 p.n.e. na Sycylii. Powstańcy wywalczyli sobie przejściową, kilkuletnią wolność, w końcu jednak zostali pokonani i bestialsko straceni.

Niewolnictwo na roli nigdy nie kończyło się wyzwoleniem. Gdy ustawał dopływ tanich niewolników, opłacało się zatrudniać wolnych dzierżawców zwanych *coloni*. Pracowali razem z niewolnikami, przypisa-

ni do ziemi; status jednych i drugich upodabniał się coraz bardziej, dopóki Imperium Rzymskie nie rozpadło się w mozaikę średniowiecznych państw.

PSZCZELARZ

słodka robota, gdy wiesz, gdzie sięgnąć

Ponieważ miód był jedynym w starożytności środkiem słodzącym i kluczowym składnikiem leków, jego producenci, hodujący pszczoły w apiariach, cieszyli się wielkim poważaniem.

Koneserzy najbardziej chwalili miód z Attyki, czyli z okolic Aten. Tam pszczoły roiły się wokół licznych kwiatów dzikiego tymianku, owiewanych przez wiatr od morza. Później, za czasów rzymskich, niektórzy pszczelarze umieścili swe pasieki na równinach południowej Galii i udało im się wytworzyć miód niemal dorównujący jakością tamtemu.

Antyczni hodowcy przemierzali ze swoimi owadami znaczne dystanse. Gdy w okolicy nie było odpowiedniej roślinności, brali ule i ruszali w drogę. W niektórych częściach Italii ule, umieszczone na łódkach, płynęły daleko w górę rzek i każdego ranka pszczoły wylatywały szukać pyłku. Gdy łódź zaczynała się coraz bardziej zanurzać, pszczelarz poznawał, że jego pracownicy inwentarz zapełnił plastry. W Iberii ule przewożono na grzbietach mułów, co było znacznie trudniejsze.

By wzmocnić pszczoły i zachęcić do pracy, karmiono je rodzynkami, suszonymi figami, podsuwano pod ule drewno nasączone winem rodzynekowym. Ponieważ wierzono, że owady zalęgają się same w zepsutym mięsie, pszczelarze rozkładały padlinę, oczekując, że wylecą z niej nowe pszczoły. Błędnie też uważano, że w ulu rządzi król pszczeli, nie królowa.

Wysokie, kopulaste ule sporządzano z kory,

kopru, korka, suszonego nawozu bądź ciasno splecionej łożyny i uszczelniano błotem i liśćmi.

(Z rzadka trafiały się też luksusowe ule z cegieł czy szczególnie drogie ze szkła, dające możliwość obserwacji wnętrza). Plastry ułożone były w ulu raczej pionowo niż poziomo, można było je wysuwać i strząsać z nich owady. Zdaniem Greków wlot ula należało kierować na wschód, skąd wiały łagodniejsze wiatry niż z północy i zachodu.

Zbiory odbywały się dwa razy w roku. Do wiosennych dawały znak Plejady, ukazując się na nieboskłonie. Najpierw pozyskiwano miód, potem воск - drogą płukania, suszenia, potem topienia w glinianych naczyńkach. Воск najwyższej jakości, zwany punickim, stosowano w medycynie. Pszczelarz miał tu więc dodatkowy kanał zbytu.

Zawód jego nie był wolny od niepowodzeń czy nieszczęść. Kontakt pszczół z rododendronem czy laurem górskim powodował, że miód stawał się trujący, „szalony”, jak mawiali Grecy. Mógł spowodować choroby i śmierć krów i psów, a także zdziesiątkować rzesze ludzi.

Grecki wódz Ksenofont, który z jakichś masochistycznych powodów szczegółowo opisał straszliwą klęskę swej armii w Persji, wspomina także o groźnym miodzie. Gdy jego wygłodzeni podwładni splądrowali ule nad Morzem Czarnym, zachowywali się potem, wedle jego słów, „niczym obłąkani szaleńcy”. Spotkało to tysiące żołnierzy, niektórzy nigdy nie doszli do siebie.

Obecnie zidentyfikowano truciznę obecną w „szalonym miodzie”: to acetylandromedol, inhibitor enzymów oddechowych, niszczący układ nerwowy i serce. Chory Ksenofont i jego ludzie musieli się poddać tradycyjnej greckiej „kuracji” złożonej z ruty zmieszanej ze starym miodem pitnym oraz kawałkami solonej ryby.

FRYNE; pączkujące piękno

Uprawianie roli nie cieszyło się w Grecji szacunkiem, uważano je za godne niewolników i biedaków. Około roku 328 p.n.e. piękna i młoda niewolnica Fryne ciężko pracowała w głębi łądu przy zbiorze niedojrzałych owoców kopru. Spostrzegawczemu ateńskiemu rzeźbiarzowi Prak-sytelesowi, akurat bawiącemu w okolicy, wpadł w oko ten rozkwitający kobiecy pączek.

Było to dla niego prawdziwe odkrycie. Fryne szybko zajęła miejsce u boku artysty jako metresa i słusznie cieszyła się w Atenach opinią najlepszej, niezrównanej modelki.

Dziela jej nowego, słodkiego ciemężyciela odznaczały się specyficznym stylem, były jakby lekko rozmydlone (zdaniem niezyczliwych krytyków „ulizane”). Dla lepszego efektu Praksyteles nacierał marmurowe powierzchnie woskiem. Fryne pozowała do wielu rzeźb, lecz o parze tej zrobiło się głośno w związku z zamówionym przez mieszkańców wyspy Knidos posągami Afrodyty, o którym nabożnym szeptem powiadano, że ma być najwspanialszą marmurową statuą, jaka kiedykolwiek powstała. Mistrz rzeźbił postacie w przeróżnych dynamicznych pozach, dodając konieczne podpórki zamaskowane jako drzewa bądź udrapowane tkaniny; w przypadku Afrodyty miała to być owalna balia i ręcznik.

Fryne prawdopodobnie była Beotką z Tespeli, w opinii ówczesnych Greków zabitego dechami ciemnogrodu, lecz nie była głupia. Żywiła poważne wątpliwości co do trafności symboliki balii w odniesieniu do bogini miłości, ale wytrwale snuła się wokół mistrza, napomykając o swym pragnieniu otrzymania prezentu, na przykład któregoś z jego najlepszych dzieł? Gdy Praksyteles z ociąganiem zaoferował jej bardzo chwalonego satyra, odpowiedziała „jeszcze się zastanowię”.

Następnego dnia służący Fryne wpadł z krzykiem, że studio artysty spłonęło i większość jego dzieł uległa zagładzie.

- I cóż ja teraz ludziom pokażę, skoro pożar strawił mojego satyra i Erosa! — wołał zrozpaczony twórca.

- To nie pożar — uspokoiła go Fryne z uśmiechem - to ja zabrałam i satyra, i Erosa.

Przez pięćset lat obie rzeźby można było podziwiać w sanktuarium w Delfach, dokąd ofiarowała je ku chwale bogów.

Niebawem urodziwa kobieta nie ograniczała już swej łaskawości wyłącznie do rzeźbiarza. Mimo pozycji czołowej modelki i światowej popularności musiała z czegoś żyć. Została więc heterą, wysoko opłacaną kurtyzaną, która wedle własnych upodobań wybierała sponsorów.

Jednym z nich był orator Hypereides. Gdy Fryne oskarżono, że deprawuje kobiety, zachęcając je do oddawania czci trackiemu bogu (za co można było zapłacić głową), powołała Hypereidesa na swego obrońcę.

Przemawiając, orator spostrzegł, że nie udaje mu się przekonać sędziów. Mruknął do klientki „zaufaj mi” i zdarł z niej szatę, pozostawiając ją półnagą. Ma ten zdumiewający widok sąd złożony z mężczyzn tknięty został religijną bojaźnią — albo niepohamowaną żądzą. W każdym razie uniewinnił boską piękność, której ten incydent przyniósł jeszcze większy rozgłos.

Nie dotrwały do dzisiaj rzeźby satyra i Erosa ani wykonany przez Prak-sytelesa posąg Fryne; w muzeum watykańskim stoi jego rzymska kopia, niekoniecznie rzucająca na kolana. Modelka miała słuszość: balia to nie był dobry pomysł.

KUCHARZ

ostentacja ważniejsza od jedzenia

Rzymski poeta-pieczeniarsz Marcjalis rzekł raz do bogatego patrona: "Wcale nie lubisz być obżartuchem, ale chcesz za takiego uchodzić". Ten czkając przytaknął.

Niełatwo było być obrzydliwie bogatym. Nie miałeś chwili wytchnienia kupując legiony niewolników, chełpiąc się długością listy swych klientów trwoniąc nieprzyzwoicie wielkie sumy najadło i napoje. Obżarstwo było wskaźnikiem zamożności; ekstrawagancja miarą zasobności kufrów - i obwodu w talii.

W czasach, gdy Grecy i Rzymianie żyli skromniej, oczekiwali od umiającego gotować niewolnika, że przygotuje posiłek, i to wszystko. Na specjalne okazje, jak wielka uczta czy przyjęcie weselne, najmowano na agorze czy forum nieco subtelniejszego kuchmistrza.

Już w V wieku p.n.e. autorzy ekstrawaganckich książek kucharskich zaczęli podnosić swe pretensjonalne głowy. W obiegu było przynajmniej piętnaście dzieł zatytułowanych *Sztuka gotowania*. Pewien autor zyskał sławę dzięki przepisowi na uniwersalny sos z octu, miodu,

mleka, sera, siekanych ziół, *silphium* (substancji wzmacniającej doznania smakowe) i smażonej krwi.

Ktoś musiał te przepisy układać czy ulepszać. Kucharz, niegdyś najskromniejszy domowy niewolnik, zyskał na znaczeniu, gdy gotowanie stało się dziedziną sztuki. Młodych, obiecujących adeptów tego kunsztu kierowano do specjalnych szkół. Szef kuchni, który wprawił pana w zachwyty, mógł zyskać wolność i z kolei sprawić sobie własny zespół kuchennych niewolników i pomywaczy.

Gastronomiczna ekstrawagancja władała niepodzielnie. W Atenach kuchmistrze z eleganckich domów przedkładali jaja pawie nad kurze i powszechnie przygotowywali na tacy kanapki z jeżowca, chleba nasączonego winem, sercaków (rodzaj mięczaków) i jesiotra — w charakterze przystawki przed pieczonym prosięciem. Przebojem była cięta w kostki krajanka sporządzona z sera, oliwy i anyżu oraz śpiewające ptaki z różna. Rzymianie w przepychu biesiad poszli jeszcze dalej. Musieli mieć szynkę z Galii, ostrygi z Brytanii, pikle z Iberii. Kucharzy też sprowadzano z odległych krajów, zupełnie jak pieprz i cynamon.

Bogacze podbierali sobie wzajemnie najmodniejszych kuchmistrzów. Uroczystej scenografii uczt towarzyszyło — pod wpływem podręcznika kucharskiego autorstwa Apicjusza - coraz intensywniejsze dążenie do kulinarnych majstersztyków (w wyszukany sposób przyrządzone wymię maciory, płonące kosztatki) i stosowanie niezwykłych produktów (języki flamingów, duszone kopyta wielbłądzie).

W czasach cesarstwa kucharze tworzyli już sprawną organizację zawodową, choć początki cechu sięgały co najmniej roku 200 p.n.e. Osiągali dzięki temu wysokie płace, szczególnie ci najbieglejsi, prawdziwi czarodzieje o sprawnych rękach, cieszący się szeroką sławą.

Do takich musiał należeć autor pewnej „tematycznej” uczy wydanej przez cesarza Domicjana. Goście wchodzili do zaciemnionej sali, gdzie sterczące kamienie nagrobne wyznaczały imiennie ich miejsca

przy stołach. Symbolizujące Hades, niemal przypalone potrawy roznosili na czarnych talerzach nadzy chłopcy, atramentowo czarni jak rzymskie duchy. Podczas uczy cesarz mówił wyłącznie o morderstwach i nagłych zgonach. Po trwającym wieczność wieczorze, wypełnionym namiastka-

mi uśmiechów, anemicznymi komplementami i gapieniem się w talerze niewidzącym wzrokiem, goście w posępnym nastroju rozeszli się do domów, oczekując w każdej chwili wizyty cesarskiego oprawcy. Zamiast tego u każdego zjawił się posłaniec z podarunkiem, na przykład szczerozłotym pucharem lub młodocianym niewolnikiem, teraz odzianym w piękną tunikę.

Straszenie i przejmowanie dreszczem było hitem mody biesiadnej ok. 90 n.e., kiedy to kucharze i konsumenci rywalizowali w naśladowaniu upodobań Domicjana, który uwielbiał leż przekłuwać muchy ostrym lysikiem - zachowanie, na jakie przy biesiadnym stole mógł sobie pozwolić tylko imperator.

LEKARZ

cudowne leki i niby-kuracje

Dwa tysiące lat temu szacunek dla lekarzy nie był tak powszechny jak dziś. Och, jasne, kochali tę ciepłą i miłą przysięgę Hipokratesa, ale gdy przyszło co do czego, często szukali pomocy gdzie indziej, powtarzając „*aegrescit medendo*” (lekarstwo gorsze niż choroba).

Ambitny lekarz najłatwiej mógł zrobić karierę wymyślając nową terapię i skutecznie ją stosując wobec możnego, wpływowego pacjenta — przy czym najlepiej gadatliwego.

Tego właśnie dokonał grecki wyzwoleniec Antoniusz Musa. Wygrał los na loterii, zostając medykiem pierwszego rzymskiego cesarza, cierpiącego na okresowe dolegliwości, spowodowane, jak przypuszczano, wrzodem na wątrobie. Musa radykalnie zmienił sposób leczenia: zakazał ciepłych kąpiel, przepisał dietę opartą na sałacie i lodowatej wodzie oraz kąpiele w zimnym źródle na północ od miasta.

I oto po wielodniowej lodowatej kuracji August powrócił do zdrowia. Szczęśliwy, że wreszcie jest zdrow i ciepły, obdarował Musę pieniędzmi i pierścieniami, a na dodatek uwolnił jego i wszystkich innych lekarzy od podatków — po wieczne czasy! Zrozumiałe, że pomocy uzdolnionego Greka szukali potem inni, wśród nich Horacy, który stan zapalny oczu musiał z kolei leczyć gwałtownym zanurzeniem głowy w ciepłej wodzie.

Już jako czołowy lekarz Antoniusz Musa zachwycał się bukwicą, rozpisując się obszernie na temat cudownych zdolności tej rośliny leczenia czterdziestu siedmiu chorób. (Faktycznie, uśmierza ona dokuczliwy ból głowy, a jej liście, dzięki ściągającemu działaniu, nadają się do opatrywania ran).

Inny cudotwórca grecki objawił się za Nerona. Był to Andromach, osobisty lekarz władcy. Szeroko stosował niemile pachnący preparat zwany *theriac*, antidotum na ukąszenia psów, węży, dzikich zwierząt i wściekłych sąsiadów. Była to mieszanina substancji podobnie bezwartościowych jak woskowina z uszu, wówczas powszechnie uchodząca za „lekarstwo” na pogryzienia. Wiara w placebo dokonywała reszty.

Sukces Andromacha polegał na uczynieniu z *theriacu* nadzwyczajnego panaceum. Po serii eksperymentów opracował tajną recepturę obejmującą 64 składniki leku. Ponieważ pierwotnie był on stosowany na ukąszenia węży, należało włączyć doń nieco mięsa żmijowego. Inne wiele mówiące ingrediencje to konopie indyjskie i opium w znacznych ilościach.

Niebawem cesarski medyk zyskał tłumy zachwyconych pacjentów, a dodatkowy dochód zapewniali mu ci, których (chyba nieumyślnie, ale kto wie) wpędził w nałóg.

Wiodło mu się coraz lepiej, zyskiwał coraz większy podziw. Nawet słynny medyk i naukowiec Galen potwierdził: *theriac* to prawdziwe panaceum.

Galen służył władcom panującym po Neronie, ordynował im wytwarzany przez siebie *theriac* w olbrzymich ilościach. Markowi Aureliuszowi, w wieku dojrzałym cierpiącemu na bóle żołądkowe, być może na tle nowotworowym, podawał ten środek w dawkach wywołujących uzależnienie. Będąc z armią w polu, cesarz od rana do nocy pożywiał się tylko ową wężowo-opiumowo-mleczną mieszanką. Wątpliwe, czy kuracja Galena spełniłaby dzisiejsze kryteria Państwowego Zakładu Higieny, niemniej według zgodnych relacji pozwoliła pacjentowi opanować chroniczny ból na tyle, że skutecznie rządził przez dwadzieścia lat.

AQUARIUS

nosiwoda

Mózgi osób urodzonych w latach 1940—1950 sprawiają wrażenie, jakby specjalnie zostały zaprojektowane do reagowania na określone bodźce. Wsiądź do windy i zacznij nucić Age of Aquarius (Era Wodnika) z powstałego w roku 1967 musicalu *Hair*, a melodię podchwyci każda osoba w średnim wieku.

Prawdziwa era *aquarius* zdarzyła się tysiące lat wcześniej, i nie była szczególnie miła. Wszechobecny *aquarius*, czyli nosiwoda, był postrzegany w Rzymie jako najniższa forma życia. Najczęściej był niewolnikiem. Zadanie miał jedno: nosić cały dzień wielkie gliniane, pełne wody naczynia po wąskich, nieoświetlonych schodach czynszowych domów, pozbawionych instalacji wodociągowej. Niektórzy dostarczali wodę do domów bogaczy, jeszcze inni do publicznych łaźni. Wnosili i wynosili dzbany, napełniali płytkie baseny i polewali wodą kąpiących się.

Woda nie jest lekka, 1 litr to 1 kilogram. Typowa amfora mieściła około 20 litrów, sama też swoje ważyła.

Inna grupa, również objęta nazwą *aquarii*, miała zajęcie ciekawsze i mniej żmudne, a liczyła od 460 do 700 niewolników państwowych, zajmujących się wyłącznie obsługą i dozorem wodociągów. Szefem jej był *curator aquarum* z ramienia miasta, najważniejsza osoba w rzymskich akweduktach.

Zasadniczo obowiązkiem tych *aquarii* było zapewnienie ciągłości dostaw wody, ale w rzeczywistości ich główna misja polegała na bezlitosnym kontrolowaniu odbiorców - prywatnych i firm - czy nie pobierają więcej wody, niż upoważnia ich do tego prawo. A jako że działało się to w Rzymie, ojczyźnie biurokracji, służba ta wkrótce zrodziła liczne specjalności.

Circuitores nadzorowali rewir, wędrując od jednego akweduktu do drugiego, monitorowali przepływ wody i kontrolowali pracę innych wydziałów *aquarii*. Gdy na jakimś odcinku konieczna była interwencja, na przykład z powodu zatkania rury przez obce ciało, najpierw *silicarii* usuwali zewnętrzną osłonę akweduktu, następnie *villici* zabierali się do samych rur. Do poważniejszych awarii lub budowy nowych sekcji wzywano *tectores*, fachowców murarskich.

WYROBNIK w pocie czoła

Ilekcroć obecnie podnosi się kwestię pomocy społecznej w wielkich miastach czy polityki socjalnej w skali kraju mającej uspokoić nastroje, niechętni temu nieodmiennie przywołują zwrot o „chlebie i igrzyskach”. To zwięzłe hasło umieścił Juwenalis w swoim satyrycznym wierszu w kontekście utraty w roku 14 n.e. przez plebejuszy (czyli ludzi wolnych spoza rodów senatorskich i arystokratycznych) istotnego uprawnienia. Nowy cesarz Tyberiusz pozbawił ich wtedy możliwości wyboru własnych sędziów, przekazując kompetencje w tym zakresie senatowi.

Za jednym pociągnięciem pióra zdecydowana większość Rzymian utraciła polityczną władzę. Juwenalis sugerował, że całkowicie im wystarczy obżeranie się przydziałowym chlebem i uczestnictwo w darmowych rozrywkach. Satyryk z wyższych klas, niegdyś skazany na banicję za zbyt zuchwały paszkwil, zabiegał w ten sposób o względy kolejnego cesarza, w sposób ostry i miły rządzącym komentując priorytety leniwego motłochu sprzed 116 lat, tak jak go sobie wyobrażał.

Faktycznie, niemal 20% mieszkańców Rzymu otrzymywało *annona*, miesięczny bezpłatny przydział pszenicy bądź chleba; ponadto dla kolejnego pół miliona ceny sztucznie utrzymywano na niskim poziomie. Lecz rodziny nędzarzy nie mogły żyć ani nie żyły samym chlebem.

Biedacy pracowali, często wykonując zadania nierzucające się w oczy i skromne, lecz niezbędne w herkulesowym trudzie wyżywienia milionowego miasta. Dziś nazwano by tę pracę dorywczą, tymczasową, lecz w ich przypadku byłoby to określenie krzywdzące. Od maja do października poświęcali wiele godzin dziennie na rozładunek ziarna z ciężkich statków transportowych zwanych „jodłami” czy „sosnami” (od długich pni tworzących maszty i stępki).

W porcie istniały wprawdzie świetnie zorganizowane cechy nieźle opłacanych dokerów, przenoszących zboże i przetaczających amfory, specjalistów od rozładunku materiałów budowlanych czy dzikich zwierząt przeznaczonych na arenę, lecz nie pokrywały zapotrzebowania na siłę roboczą.

W roku 1999 historycy i archeolodzy analizowali dane, próbując oszacować ilość rozładowanego zboża i nakład pracy konieczny do przeniesienia ładunku ze statków poprzez barki rzeczne do magazynów.

Liczy okazały się oszłamiające: w zboże, oliwę i wino zaopatrywało Rzym ponad 1800 statków rocznie, przywożących 20 milionów litrów oliwy, 100 milionów litrów wina oraz 4,7 miliona worków ziarna.

Większość transportów przybywała w okresie studniowego szczytu, powodując spiętrzenie rozładunków i tłok jak w największych portach współczesnych. Przy opróżnianiu statków pracowało około trzech tysięcy robotników; kolejne tysiące zajmowały się przewozem żywności bar-kami po Tybrze.

Kto przede wszystkim wykonywał te uciążliwe czynności, wciąż zginając grzbiet? Nie członkowie cechów ani niewolnicy, lecz wolno urodzeni plebejusze miejscy - właśnie ci, których stan majątkowy upoważniał do darmowego przydziału chleba, do korzystania z ówczesnej pomocy społecznej. Dzięki ich uczestnictwu w kompleksowym systemie wyżywienia miasta przez setki lat nie zaznało ono poważniejszych niedoborów, o głodzie nie wspominając.

PIEKARZ

w domu szczęśliwego zaczynu

W społeczeństwie lubiącym potrawy mączne, a takie stanowili starożytni Rzymianie, wytwórca chleba musiał dbać o jego jakość i świeżość. Konsumenci byli wybredni, tylko najlepsze bochenki zasługiwały na miano *primus*.

Zawód piekarza ma bardzo stare tradycje. W Grecji chleby wypiekane w piecach kształtu ula sprzedawały na targu wrzaskliwe przekupki, znane ze swych niewyparzonych języków. Jako żart pewien piekarz wprowadził do obrotu bagietkę w kształcie fallusa, która stała się hitem wśród samotnych Greczynek.

Piekarzom z Rzymu też dopisywało niewybredne poczucie humoru. Nad wieloma piekarniami widniał napis „Tu

mieszka szczęście" obok wielkiego wizerunku fallusa - chroniącego od wszelkich przeciwności losu symbolu boga Priapa.

Podobnie jak niektórzy inni przedsiębiorcy, piekarze najmowali do pracy wszystkich będących pod ręką: wolnych, wyzwolenców i niewolników. Kolegium piekarskie (czyli cech) było jednym z najstarszych w starożytnym Rzymie stowarzyszeń zawodowych, zrzeszającym 254 piekarnie.

Czasami piekarz zajmował się też mieleniem ziarna na mąkę, lecz nie we młynie, a w wielkim moździerzku albo kamiennych żarnach, często znajdujących w odkopanych piekarniach Ostii i Pompejów. Pieczywo z takiego przemiału, choć skądinąd zdrowe, zawierało pył kamienny, co nie było korzystne dla zębów.

Chleb zajmował centralne miejsce w żołądkach i sercach, tradycyjnie służył do religijnych obrzędów, był obiektem niemal sakralnym. Może właśnie dlatego rzymskim piekarzom powodziło się nadzwyczaj dobrze, sądząc po ich domach, piekarniach, a także grobowcach.

Specyficznym przykładem może być Wergiliusz Eurysaces, niegdyś niewolnik, potem zamożny przedsiębiorca budowlany i piekarz - jeszcze za republiki. Dla siebie i żony wybudował grobowiec w kształcie wielkiego pieca chlebowego, kompletnie wyposażonego, z miesadłem do ciasta, obłożonego mozaikami, z dowcipnym, przypominającym anons „Zaraz wracam" napisem: „Przebywający wewnątrz szanowny piekarz dziś się nie pojawi".

Ikonograficzne dowody na udane życie piekarzy to dwa najpopularniejsze, choć dość niekompletne obrazy znalezione w Pompejach i Herkulanum.

Pierwszy, raczej dość toporny, ukazuje dwóch mężczyzn z dzieckiem stojących przy ladzie, otrzymujących chleb z rąk elegancko ubranego człowieka, otoczonego stertami okrągłych bochenków w kształcie płaskich, podobnych do pizzy placków. Niektórzy twierdzą, że scena przedstawia darmowe rozdawnictwo chleba (może sprzedaż po kosztach produkcji) dla szerokich rzesz ludności, zwane *annona*. Inni uważają, że to obraz-panegiryk, przedstawiający zaszczytne dokonania piekarza. Możliwe, że był to antyczny wariant plakatu wyborczego ambitnego rzemieślnika, ubiegającego się o urząd publiczny.

Drugie malowidło to świetny, wykonany techniką enkaustyczną na desce portret piekarza Terencjusza Neona z żoną, dość zagadkowy. Znalezione go w przedsionku pewnego domu w Pompejach. Para w niezgrabnie noszonych wyszukanych strojach, mających wskazywać na właściwą

wyższym klasom ogładę, promieniuje dumą zmieszaną z zakłopotaniem. U tych ludzi rzeczywiście mieszkało szczęście, zapewne aż do poranka 24 sierpnia 79 roku, gdy ich świat zniknął pod deszczem wulkanicznych popiołów i rozgrzanych do białości kamieni.

PRODUCENT GARUM król SOSÓW

Każda nacja ma swoją ulubioną potrawę, często przyprawiającą cudzoziemców o mdłości lub co najmniej o zakłopotanie (że wspomnimy baranie podroby po szkocku czy hawajską specjalność o nazwie poi).

Rzymianie nie stanowili wyjątku. Ich ówczesny keczup czy majonez nazywał się garum. Ów cud smaku komponowano, czy raczej wyciskano, z rybich wnętrzności i krwi, posypywano solą i przyprawami, po czym pozostawiano na 20-30 dni, by dojrzał. Efektem był sos rybi, nieraz czarny jak noc, stosowany do jajek, mięsa i jarzyn, a nawet do smarowania chleba. Rzymianom pasował do wszystkiego, nawet do miodownika.

Jaki miał smak? Zależny od jakości i ceny. Pierwszorzędny *liquamen* wyrabiano z makreli lub tłustych sardynek; poślednie gatunki *allex* i *mu-ria* z wybrakowanych sardeli. Gamm wysokiej jakości mogło przypominać jaśniejszą odmianę sosu worcester, tyle że zapaskudzonego rybą.

Nie wiadomo, kto był pierwszym garum-guru, garmażeryjnym cudotwórcą o stalowym żołądku, który spłodził tego króla smakołyków. Wiadomo tylko, że to w Helladzie wyśniono, skomponowano i wyprodukowano to arcydzieło. Z biegiem wieków szereg miejscowości zyskało rangę stolic sosu: Klazomenaj w Azji Mniejszej, Leptis w Północnej Afryce, Gades w Iberii, Pompeje i Cosa w pobliżu Neapolu.

W tym ostatnim mieście fantastyczne garum produkowała rodzinna firma Sestii, lecz największym rekinem w branży w I wieku n.e. był zapewne wyzwoleniec Aulus Umbrycjusz Skaurus z Pompejów, producent, hurtownik i detalista zarazem. Jego stojący nad wodą pałac o dość skomplikowanej architekturze miał nie jeden, lecz trzy salony.

Takie rodziny zbijały wielkie fortuny dzięki własnej zapobiegliwości, jako że kontrolowały cały proces wytwarzania i dystrybucji. Posiadały własne piece do wypalania ceramiki : warsztaty garncarskie, gdzie wytwarzano gliniane amfory, ówczesne zgrabne, uniwersalne opakowania. Wlewano w nie garum, wino czy oliwę i ładowano na statek. Taki pojemnik na sos odznaczał się specyficznym kształtem (jego wydłużony dolny koniec był pusty w środku) i mieścił do 90 litrów. Przeciętny statek mógł zabrać 5000 amfor garum.

Rzymianie preferowali rzeczy (i potrawy) robione specjalnie dla nich, na zamówienie, dlatego bogacze w swych wiejskich willach trzymali wyszkolonych niewolników wytwarzających garum w warunkach domowych. Większość jednak kupowała wyroby gotowe, o jakości stosownej do zasobności sakiewek, między innymi te z firmy Umbrycjusza, która na amforach umieszczała slogan „Kwiat sosów, wyprodukowany z makreli przez Skaurusa”.

Gdy Rzym rozrósł się w imperium, garum rozprzestrzeniało się po wszystkich prowincjach nadzwyczaj prędko, choć chyba nie tak szybko, jak jego zapach. Archeolodzy, kierując się zapiskami starożytnych autorów (a niewykluczone, że i węchem), odnaleźli ślady sosu i instalacje do jego produkcji wokół całego Morza Śródziemnego, potwierdzając rekordowy zasięg produktu.

Co więcej, we wrakach statków rozsianych od Tuluzy po Hiszpanię i Tunezję stwierdzono obecność niezliczonych amfor, z których niektóre zachowały jeszcze nieopartyżalny rybi odór. Na wielu znajdowała się malowana etykieta lub wytłoczony w glinie znak jakości, umieszczany tam niegdyś przez uznanych producentów.

HANDLARKA RYBAMI

czuła się na rynku jak ryba w wodzie

Cesarz Trajan, nawet jeśli poddani po cichu nabijali się z jego prowincjonalnego iberyjskiego akcentu, dobrze wiedział, czego ludzie chcą, i to na ogół wcześniej niż oni sami na to wpadli. W latach 107—110 n.e. kazał swemu ulubionemu architektowi zbudować przyjazny dla pieszych kom-

pleks 170 biur, sklepów, winiarni i jadłodajni. Zanim ktokolwiek zdążył wykrzyknąć: „Nareszcie”, już było gotowe pierwsze w świecie centrum handlowo-usługowe, półkolisty, wielopoziomowy pomnik chwały.

Patrząc na białe stiuki i lśniące czerwone cegły hal targowych, imperator musiał pęcznieć z dumy. Jakie to wspaniałe! I jakie... puste. Na Jowisza, biznesowi klienci wynajmujący powierzchnię - oto czego brakowało! Starego kramarza oferującego wykwintne togi; jubilera, albo dwóch, dających całości muśnięcie wykwintu. Ale co miałyby być podstawą, samą duszą targu? Oczywiście! pyskata handlarka ryb i nieodparty urok jej pachnącego cząbrem towaru.

Targ Trajana z pewnością miał swe rybne przekupki, rezolutne baby nie dające sobie w kaszę dmuchać i z niewyszukanym poczuciem humoru, jak ich odpowiedniczki w Atenach. Często wyśmiewane w komediach, greckie przekupki specjalizujące się w rybach znane były ze swej potężnej postury i krzepkich ramion, z których robiły dobry użytek, rąbiąc wielkie tuńczyki na kawałki i podsuwając klientom rybnie specjały. Ich ochryple głosy, będące częścią handlowego image'u, natężeniem mogły konkurować z solistami heavymetalowych koncertów. Takim głosem nietrudno było pogonić natrętnych, targujących się gołców, polujących na okazję.

Zważywszy, że szybko psujący się towar nie pachniał różami, a stoiska wymagały mycia po każdym dniu, „dział rybny” usytuowano prawdopodobnie pod arkadami wychodzącymi na via Biberatica - główny, półkolisty pieszy szlak centrum. W kręgu cesarskim można było delektować się winem chłodzonym śniegiem czy innymi delikatesami, lecz prosta przekupka mogła nigdy nie zetknąć się z lodem, z wyjątkiem czubka własnego nosa w grudniu.

Jak wszystkie jej koleżanki po fachu od Kadyksu po Grecję, rzymska bizneswoman z branży rybnej przed świtem udawała się do portu, by wprost od rybaków zakupić świeży towar. Musiała tam dotrzeć i powrócić, zanim wszędzie słońce, gdyż w ciągu dnia zakazany był w mieście ruch kołowy. Chyba tylko kataklizm mógł skłonić ją do zakupu makreli czy sardynek u pośredników, dostarczających furami na miejsce ryby raczej wątpliwej jakości.

Zgodnie z przepisami,
dotyczącymi wszystkich

sklepów na targu Trajana i w całym mieście, stoiska z rybami otwierano o świcie i zamykano koło południa. Sprzedawano na nich ryby z połowów i owoce morza, lecz zapewne największy dochód przynosił handel hodowlanymi węgorzami i ostrygami, pozyskiwanymi ze specjalnych stawów.

Rybie przekupki i przekupnie, często zarazem rybacy, mieli własne stowarzyszenia o charakterze zawodowym i towarzyskim, pełniące również rolę kas zapomogowych, pokrywających koszty pogrzebu. Każdego roku w dniu 6 czerwca nad brzegami Tybru celebrowali *Ludi Piscato-ri*, rybacką uroczystość połączoną z wielką ucztą, na której serwowano z pewnością najlepsze w Rzymie dania z ryb i owoców morza.

PRAWIE DENTYSTA prawie leczył

Fani Briana Blessed'a i brytyjskiego serialu *Ja, Klaudiusz* mogą poczuć się zawiedzeni, dowiadując się, że szeroki uśmiech filmowego cesarza Augusta jest historycznym fałszem. Kronikarz Swetoniusz bowiem opisuje zęby władcy jako „drobne, nieliczne i zepsute”.

Skryboniusz Largus, praktyk i teoretyk dentystyki, sporządził dla Augusta specjalny preparat do zębów, w skład którego wchodził rumianek, świeża solanka, sól i ziele spikenardu. Zęby miały być dzięki temu mocne i śnieżnobiałe, lecz najwyraźniej środek okazał się nieskuteczny.

Niezrażony niepowodzeniem wynalazca opracował kolejny medykament, tym razem dla cesarskiej siostry Oktawii, złożony z mąki jęczmiennej, miodu, octu, soli i jeszcze większej ilości spikenardu - wszystko razem spalone z węglem drzewnym. Nie ma dowodów na skuteczność proszku, ale Largus utrzymał się w łaskach panujących aż do czasów Klaudiusza. W roku 43 wysłany został do Brytanii z armią inwazyjną. Czyżby za karę?

W czasach rzymskich nie istniał zawód dentysty w naszym rozumieniu. Sprawami tak prostymi jak wyrwanie zęba czy likwidacja nieświeżego oddechu zajmował się

golibroda, w tym ostatnim przypadku ordynując płukanie ust wodą cyprysową czy żucie ziół, na przykład portulaki.

Z poważniejszymi dolegliwościami uzębienia walczyli lekarze; zazwyczaj specjalizowali się w tej dziedzinie Grecy. Schorzeniom stomatologicznym zapobiegał powszechny sposób odżywiania (względnie nie-odżywiania): cukier był nieznanym, miód rzadko używany, w diecie więcej było warzyw niż węglowodanów.

Zęby psuły się wszak możliwym i maluczkim. Plebejusze leczyli ból winem i płukaniem ust miętą. Specjaliści sądzili, że przyczyną choroby zębów są gnieźdzące się w nich robaki; wykurzali je więc z ust pacjenta dymem ze zwęglonego lulką czarnego (rośliny o właściwościach odurzających) i smoły, po czym mówili „proszę przepłukać”.

Jamy ustne Rzymian narażone były na jeszcze inne niebezpieczeństwo. Szczególnie uzębienie plebejuszy i żołnierzy ścierało się od zawierającego kamienny pył chleba i owsianki. Zęby łamały się, wypadały. Archeolodzy, badając szkielety, znajdują dowody, że szczególnie groźne dla uzębienia były ciąża i poród. Obszerne studia dowiodły, że wśród rzymskiej ludności dzisiejszego Poundsbury dwukrotnie więcej było ubytków u kobiet niż u mężczyzn.

Metody leczenia poważnych dolegliwości dziąseł czy ropni były na ogół przerażające. Celsus, wiele piszący o leczeniu, a o chirurgii szczękowej w szczególności, zalecał przykładanie do dziąsła rozpalonego żelaza, najlepiej bez znieczulenia, choć niechętnie przyznawał, że ból można złagodzić sokiem z makówek. Wyznając zasadę, „co pacjenta nie zabije, to go uleczy”, chętnie do świeżych dziur po ekstrakcji wkładał ziarna pieprzu bądź rybnie mięso zmieszane z żywicą. Upierał się, że na wrzody ust czy zgorzel szczęki najlepsza będzie mikstura z miodu i spalonego papirusu, a przed jej nałożeniem i po usunięciu trzeba przemyć chore miejsce kleikiem z soczewicy.

Nawet pewni siebie „specjaliści”, w tym wszechwiedzący Celsus, nie odważyli się naśladować czy ulepszać nadzwyczajnych dokonań Etrusków, którzy siedemset lat wcześniej umieli wstawiać pomysłowe protezy zębów i mostki ze złota. Źródła materialne sugerują, że błyszczące sztuczne zęby miały tylko etruskie kobiety oraz że naturalne zęby usuwano celowo. Czy była to kwestia szyku, a błyskające uzębieniem dojrzałe panie uchodziły za eleganckie? Może te powyżej 55 roku życia miały nawet zniżkę? Któż to wie.

RZECZOZNAWCA WIN

ach, gdzież te niegdysiejsze trunki

Być może rzeczywiście *in vino veritas*, lecz najpierw musi być ktoś, co to sprawdzi. Starożytni kiperzy nie mieli łatwego zadania. No bo jakże mogli marudzić o kolorze rocznika czy jego finiszu, skoro pije się z glinianych kubków lub metalowych czar? Nie sposób też było porównać win od poszczególnych producentów, co najwyżej pod kątem krajów ich pochodzenia.

Greckie wina dominowały na stołach smakoszy i opojów od V do II wieku p.n.e.; o pierwszeństwo zawzięcie konkurowały trunki z wysp Kos, Lesbos i Krety. W większości były białe, mocne, o krótkim terminie przydatności do spożycia.

Ówczesna ocena win była domeną wyłącznie mężczyzn, którzy spotykali się na przyjęciach zwanych sympozjonami, odbywanych zgodnie z wyszukany rytuałem. Najpierw wybierano mistrza ceremonii na dany wieczór, zarządzającego pucharem czy dzbanem. To on decydował, w jakiej proporcji należy wino rozcieńczyć (zwykle 1:2 lub 1:3), i jako naczelny krytyk przewodził wachaniu, picciu i ocenianiu.

Gustujących w trunku nierozrzedzonym (pijących „po scytyjsku”) uważano za nieokrzesanych prostaków. Dziś zwyczaj rozcieńczania może dziwić, lecz pamiętajmy, że starożytne wina miały znacznie większą od współczesnych zawartość alkoholu, więc konsumentom łatwiej było popaść w nałóg, nie mówiąc o zwaleniu się z nóg.

Perspektywy otwierały się przed winami z Italii. Te z urodzajnych winnic w okolicach Pompejów miały złą sławę jako wywołujące kaca. Wspaniałe były za to wina Holconi.

Gdy wysokiej jakości trunki włoskie weszły na rynek, greckie stały się outsiderami. Na rzymskich ucztach wytrawni smakosze czuli się niemal w obowiązku narzekać na „dzisiejsze czasy” i wzdychać za niezwykłym rokiem 122 p.n.e.,

kiedy to wyprodukowano wino Opimian. Eksperci winni, rzymscy czy greccy, wywodzili się w większości z klas wyższych i nie zniżali się do pobierania wynagrodzenia (chyba że w naturze, czyli w postaci alkoholowego poczęstunku), szeroko za to rozpisywali się o swych ulubionych typach.

W V wieku p.n.e. smakosz Hermipos słaWił greckie wina, „cudownie słodkie Magnesian i Tassian, nad którymi igra zapach jabłek; oceniam je jako daleko lepsze od innych, zaraz po delikatnym i łagodnym Chian; jest też wino zwane *saprias*, z nad którego unosi się zapach fiołków, róż, ostróżki polnej, święta woń wypełnia wysoko sklepioną salę”.

Być może opis ten dotyczy wina z wciąż poszukiwanych przez niektórych producentów winogron zakażonych botrytis, „szlachetną zgnilizną”. Pięć wieków po Hermiposie niewylewający za kołnierz Pliniusz oceniał blisko dwustuletnie wino Opimian, resztkę pozostałą z roku 122 p.n.e.: „Wina z tego roku dotrwały do naszych czasów, choć zgęstniały jak miód, zapach mają ostry - taka bowiem jest natura starych win. Nie dałoby się ich pić ani bez rozcieńczenia, ani zmieszanych z wodą, gdyż

ich nadmierna dojrzałość nadaje im gorycz, lecz stosowane w małych ilościach stanowią przyprawę wszystkich innych win”.

Ten komentarz potwierdza skłonność starożytnych do win słodkich i ich mieszanek. Mniej od Hermiposa egzaltowanego Pliniusza pewnie rozbawiłaby wieść, że jego recenzja dotrwa do naszych czasów.

- od aroganckich kobiet i bezczelnych niewolników po awanturujących się cudzoziemców.

Wszyscy darzyli sympatią tych wielkich osiłków, choć nieokrzęsanych i niezbyt rozgarniętych, którzy nawet dobrze greki nie znali. Natychmiast w komediach Arystofanesa i innych twórców policjanci ci pojawili się w charakterze postaci komicznych; stali się równie klasycznymi figurami w greckim teatrze jak gliniarze Keystone'a w filmie.

Choć wyobrazenie sobie takich sił porządku może być trudne, ówczesni Grecy uważali, że zajęcia takie jak pilnowanie porządku, wywóz nieczystości i inne służby publiczne będą najlepiej wykonywane przez ludzi zależnych jedynie od miasta-państwa.

Jakie Scytowie mieli warunki pracy? Daleko lepsze niż większość innych niewolników państwowych. Korpus, którego stan ostatecznie urósł do tysiąca ludzi, otrzymywał przydziały wyżywienia i odzieży. Zakwaterowany pierwotnie w namiotach, przeniósł się do lepszych kwater na wzgórzu Aresa. Choć niewolni, policjanci mogli brać udział w licznych ceremoniach religijnych i uroczystościach, wolno im było także przyjmować poczęstunki w postaci jadła i wina od wdzięcznych obywateli.

Scyta szczególnie bystry (o ile nie są to pojęcia wzajemnie się wykluczające) mógł zostać dowódcą swych rodaków; wówczas wolno mu było się ożenić, nabyć dom, wydać potomstwo i spoglądać z góry na podwładnych, delektując się poetyckim tytułem *toxarch*, czyli „władca łuku”.

STRAŻNIK

w dzień strzegł od ognia, w nocy od przestępców

Wedle powszechnych wyobrażeń w roku 64 n.e. Neron śpiewał na tle płonącego Rzymu, przygrywając sobie na lirze. Pożar ów, choć tak niszczący, był tylko jednym z niezliczonych, jakie nawiedziły miasto w jego historii. Podatność na ogień była tym większa, że pierwotnie domy

i świątynie budowano głównie z drewna. Lecz dlaczego nawiedzał miasto później, gdy w oczy wszędzie rzucał się marmur i nawet tandetne budowle wznoszone były z trwałych materiałów? Archeolodzy przyczynę tego upatrują w braku kominów i używaniu otwartego ognia do gotowania i ogrzewania pomieszczeń.

Historycy wskazują ponadto na celowe podpalenia, niosące korzyści finansowe. W czasach republiki w Rzymie działały uliczne gangi, kontrolowane przez oszustów bogacących się w wyniku pożarów. Mieszkańcy mogli przeciwstawić im tylko źle wyposażone grupy niewolników państwowych albo prywatnych.

Szczególnie katastrofalny był pożar w roku 6 n.e., gdy spłonęła niemal jedna trzecia miasta. Skłoniło to cesarza Augusta do powołania formacji *vigiles* (strażników), do której wcielono sześć tysięcy wyzwolonych niewolników. Jako dodatkową przynętę i zachętę przedstawiono im perspektywę rzymskiego obywatelstwa, jeśli dożyją zakończenia sześciolletniej służby. Stanowiska oficerów powierzono Rzymianom - doświadczonym wojskowym. Szeregi strażników uzupełniano początkowo wyłącznie wyzwolencami, jednak mniej więcej od roku 160 zaczęto przyjmować również wolno urodzonych.

Szkolenie, budowa strażnic i koszar w czternastu dzielnicach miasta oraz w porcie w Ostii, a także wyposażenie sporo kosztowało. Na sfinansowanie wydatków praktyczny August wprowadził więc pięcioprocentowy podatek nadzwyczajny od sprzedaży niewolników.

Nazwani wkrótce „ludźmi z matami” strażnicy niemal od ręki poprawili warunki życia w przeludnionej stolicy. Zorganizowani na sposób wojskowy, pozostający pod opieką czterech *doctorów* (nie mylić z lekarzami), osiągnęli z czasem liczebność 7200 chłopa.

Trzy specjalizacje pojawiły się w tym zawodzie: *aqarius*, *siphonarias* i *uncinarius*. Pierwszy organizował brygadę dostarczającą w wiadrach wodę do potężnej pompy; drugi obsługiwał pompę zwaną syfonem; trzeci długimi hakami strącał płonące dachy. W gaszeniu pożaru posługiwali się kubłami, drabinami i toporkami oraz grubymi, nasączonymi octem derkami i plecionymi z ostnicy matami, służącymi do tłumienia ognia. Najpopularniejszym ich narzędziem było *acetum*, gliniany pojemnik z substancją gaszącą, rzucający w płomień niczym granat ręczny.

Ta starożytna straż ogniowa miała prawo nakładania kar pieniężnych na gospodarzy, którzy nie mieli dostatecznych zapasów wody, octu i wiader - a nawet wymierzenia kary chłosty szczególnie niedbałym.

Vigiles okazali się tak efektywni, że szybko dodano im kolejny obowiązek, czemu jednak nie towarzyszył wzrost uposażeń, i tak niższych od żołnierskich. Uzbrojeni w pałki i krótkie miecze, musieli patrolować nocą ulice, tropiąc włamywaczy i zbiegłych niewolników oraz zatrzymując wszystkich łamiących prawo. W każdej strażnicy urządzono areszt dla złoczyńców.

Nowi rekruci wykonywali początkowo mniej emocjonujące czynności, jak dozоровanie kosztowności klientów łaźni publicznych, czyli coś w rodzaju pilnowania samochodów na płatnym parkingu.

Rzym wciąż był zagrożony pożarami, a zdarzało się ich - według obecnych szacunków - około stu każdego dnia, w tym dwa poważne. W latach 15-54 n.e. miasto przeżyło sześć ogromnych klęsk żywiołowych tego rodzaju. Mimo niechęci, z jaką się spotykali, *vigiles* energicznie wypełniali swe podwójne obowiązki, przez pięć wieków chroniąc ponad milion mieszkańców miasta. Morale ci strażacy-policjanci mieli wysokie, wielu pozostawało w służbie przez 26 lat, nim przeszli na zaszczytną emeryturę.

PREFEKT PRETORIANÓW pociągał za sznurki

Jeśli historyczny Lucjusz Eliusz Sejan miał choć połowę tej diabelskiej inteligencji i łotrowskiego talentu do popełniania w rękawiczkach największych niegodziwości, jakie zademonstrował odtwarzający go Patrick Stewart w serialu *Ja, Klaudiusz*, to za cesarza Tyberiusza Rzymianie przeżyli ciężkie szesnaście lat.

Uwieczniony przez Tacyta Sejan nie ma konkurentów na szczycie listy najbardziej amoralnych osobników. Jest najczęściej wspominanym prefektem pretorianów, a był przecież tylko jedną z wielu w długim szeregu szarych eminencji, z ukrycia pociągających za sznurki. W epoce przed-cesarskiej prefektów mianowano na czas określony. Na stanowisko to powoływano urzędników różnych szczebli, od zarządzających funduszem emerytalnym legionistów po gubernatorów prowincji w rodzaju Piłata Poncjusza, ulubieńca historii, jeśli chodzi o facetów niezdecydowanych.

Poczynając od rządów Augusta, zakres władzy prefektów znacznie się poszerzył, obejmując obowiązki zarówno cywilne, jak i wojskowe, a ich

wybór stał się prerogatywą wyłącznie cesarską. Prefekt pretorianów został nagle grubą rybą, dowódcą osobistej gwardii panującego i jego rodziny.

Wraz ze wzrostem znaczenia i liczebności pretorianów rósł w siłę ich dowódca, teraz drugi człowiek w imperium, mający bezpośredni dostęp do samego władcy. Taka pozycja zapewniała bogactwo, prestiż, możliwość nagradzania tych, co znali mores, i karania prawie wszystkich innych.

Sejan był niewątpliwie „człowiekiem z awansu”. Zanim został prefektem, wżenił się w bogatą rodzinę popularnego wówczas rozrzutnego sy-baryty Apicjusza. Gdy tylko dostał wezwanie z pałacu, pozbył się pierwszej żony, by nie przeszkadzała mu w dostępie do łask senatu i cesarza Tyberiusza oraz do łóżek jego żeńskich krewnych.

Sejan kochał swojapracę i z zapalem prześladował wszystkich podejrzanych o nielojalność. Ale zbyt bliska tronu nadmiernie pobudziła jego ambicje. Tyberiusz stracił doń zaufanie dopiero wtedy, gdy wykryto spisek zawiązany przez samego prefekta. Do tego czasu ów zdołał już wysłać na tamten świat mnóstwo ludzi, pretorianów zaś skoszarował w jednym obozie, zapoczątkowując groźną praktykę ułatwiającą zamachy stanu.

Sekstus Burrus, jeden z „dobrych” prefektów, przez osiem lat usiłował utrzymać się u władzy bez wstrząsów, czasem naprawiając, czasem

tuszując występki młodego Nerona. Wreszcie, mimo swej pozycji, padł ofiarą zbrodniczych obsesji cesarza i - jak niemal każdy z otoczenia władcy - zakończył życie przedwcześnie, zapewne otruty.

Pożądany przez wielu urząd prefekta istniał i rósł w znaczenie przez 170 lat. W III wieku naszej ery kilku dowódców pretorianów zdołało obalić swych szefów ze śmieszną łatwością. Władcy zmieniali się wtedy szybciej niż postępowała inflacja.

Zamiast wykonywać swe cywilne i wojskowe zadania prefekt stawał się samowolnym tyranem.

Dopiero Dioklecjan, który przywdział purpurę w roku 284, zreformował i uporządkował strukturę władz, pozbawiając dowódcę pretorianów znaczenia. W wiekach późniejszych funkcja ta stała się bardziej demokratyczna, gdyż zaczęła być dostępna dla żołnierzy pnących się po szczeblach awansu, sam zaś tytuł prefekta oznaczał wtedy dowódcę większego zgrupowania wojskowego w Italii.

LIKTOR

ochroniarz na pokaz

W Rzymie republikańskim, jeśli byłeś krzepkim plebejuszem, muskularnym i o wyglądzie typu „tylko mi podskocz”, miałeś szansę objąć funkcję liktora, prestiżowego strażnika, pełniącego rolę eskorty najwyższych dostojników. (Kilka wieków później szansę tę dano także wyzwolencom).

Jako ochroniarze od parady, liktorowie mieli raczej wzbudzać respekt, a nie czynnie walczyć. Przez większość czasu ich obowiązki były przyśłowiaową bułką z masłem. W największym skrócie sprowadzały się do kroczenia po Rzymie dzierżąc *fasci*, czyli symboliczną wiązkę witek wierzbowych, opartą na lewym ramieniu niczym karabin. Otwierali wrota, stawali u boku urzędników wygłaszających mowy, salutowali różgami wyższym rangą, stukali do drzwi. Otrzymywali dość wysokie wynagrodzenie za każdy dzień służby, około dwie trzecie płacy legionisty - za mozół i ryzyko dziesięć razy mniejsze.

Niekiedy dosłownie musieli chronić eskortowane osoby, na przykład wtedy, gdy towarzyszyli szczególnie niepopularnym urzędnikom. Często trzymali

Straż wokół łaźni, Świątyń, domów publicznych. (Na starość cierpieli nieraz na żylaki, swoją chorobę zawodową).

Byli symbolem hierarchicznego porządku społecznego. Tylko określonym rangom urzędniczym przysługiwała liktorska eskorta. Konsula, najwyższego rangą, otaczało dwunastu liktorów; pretora sześciu. Powoływany w obliczu kryzysu na pół roku dyktator dostawał najliczniejszą, dwudziestoczteroosobową obstawę.

Przywilej otaczania się liktorami przysługiwał także zarządcom licznych rzymskich prowincji, legatom legionów, członkom rodziny cesarskiej oraz westalkom. Najłatwiejsze życie mieli liktorowie w hellenistyczno-rzymskim Egipcie. Tam tylko jeden ceremonialny strażnik dotrzymywał towarzystwa świętemu bykowi Apisowi w jego świątyni. Mniej ważni dostojnicy jak sędzia, kwestor, edyl, cenzor musieli obywać się bez honorowej straży.

Uniform liktorów wyróżniał się elegancją. Pełniący obowiązki w Rzymie nosili laurowe wieńce i świeżo wyprasowane togi. Na prowincji czy dozorując transport pieniędzy wkładali szykowne pancerze, czasem na czerwone albo białe tuniki. Ciemne okulary i bezprzewodowe nadajniki tylko dlatego nie były wymagane, że jeszcze ich nie wynaleziono.

Liktorowie nie nosili broni, z wyjątkiem owych ostrzegawczych długich różeg brzoźowych lub wiązowych. Poza Rzymem w ten falliczny pęk różeg wtykali żelazny topór. Z okazji tryumfu któregoś z wodzów *fascēs* były zdobione gałązkami laurowymi, podczas pogrzebów różgi noszono do góry nogami.

W odległych czasach, gdy Rzymem rządili jeszcze królowie, liktorowie zatrzymywali zakłócających spokój i nadzorowali zgromadzenia. W tej zapomnianej przeszłości pęk różeg faktycznie mógł służyć do chłostania złoczyńców, topór do egzekucji albo do okaleczania. Na pierwszy rzut oka niewygodne *fascēs* nie wydają się dobrym narzędziem do obrony. Niemniej to one i ich nieraz groźnie wyglądający dzierżyciel symbolizują brutalną przemoc rzymską. Chyba dlatego Benito Mussolini wizerunek różeg liktorskich (*fascēs*) uznał za atrakcyjny; od ich łacińskiej nazwy wywodzi się słowo „faszyzm”.

SZCZĘŚCIARZ BULLA; dobry, zły, fajny

Zbója Bullę zwano w Italii „Szczęściarzem”. Był pełnym inwencji rabusiem, zdolnym do zachowań altruistycznych - takim rzymskim Robin

- Z tego samego powodu, mój panie, dla którego ty zostałeś gubernatorem.

Ta odpowiedź zaprowadziła biednego starego Bullę prosto na arenę, gdzie został żywcem rzucony bestiom na pożarcie. Publiczna egzekucja tak przygnębiła kompanów skazańca, że pozwolili się schwytać co do jednego.

Choć Bulla był postacią autentyczną, jego spisana przez greckiego historyka Kasjusza Diona historia, wyprzedzająca opowieści o Robin Hoodzie, zdaje się reprezentować znacznie starszą tradycję ustną opowieści o szlachetnym rabusiu.

LUKULLUS; broń masowego rażenia p.n.e.

Grecy i Rzymianie, nie będąc całkiem pewni, jak to jest w miłości, nie mieli cienia wątpliwości, że na wojnie wszystkie chwytły są dozwolone. Mieli doświadczenie w posługiwaniu się wyszukаныmi podstępami i niezwykłą bronią, nie wstydząc się używania bojowych środków biologicznych czy chemicznych.

Na przykład, gdy w roku 131 p.n.e. miasta Azji Przedniej zbuntowały się przeciw władzy rzymskiej, jeden z wodzów armii okupacyjnej szybko rozprawił się z rebelią, zatruwając wodę zasilającą Pergamon. Wcześniej tę samą metodę zastosowali Grecy oblegając Delfy: zaprawili wodę cie-miernikiem czarnym, by rzucić miasto na kolana.

Od broni biologicznej wielkie straty w Indiach poniósł Aleksander Wielki podczas zdobywania Harmatalianu w dzisiejszym Pakistanie. obrońcy groty strzał i ostrza mieczy zaprawiali jadem żmii Russela, więc nawet lekko ranieni żołnierze Macedończyka umierali w straszliwych cierpieniach, dotknięci konwulsjami i gangreną.

Znał tę historię Lucjusz Licyniusz Lukullus, wódz rzymski. Jako weteran licznych kampanii znał różne brudne triki. Miotał z katapult rozżarzony piasek pod stopy nacierają-

cych, rzucał na nieprzyjacielskie okręty metalowe szrapnele i pojemniki z jadowitymi wężami, stosował od dawna znane „minowanie” pola walki pułapkami-zapadniami, uniemożliwiającymi ruch wrogim rydwanom.

Gdy usłyszał, że senatorowie i wpływowi politycy w stolicy marzą o opanowaniu krain składających się na obecny Irak i Iran, oświadczył: "Jestem człowiekiem, jakiego wam potrzeba".

Okolo roku 74 p.n.e. armia rzymska, tak potężna, że nawet podniosła i tak już wysoką samoocenę Lukullusa, wyruszyła na podbój warownych miast między Tygrysem i Eufratem. Najpierw przystąpiła do oblężenia niepozornej Samosaty i doznała ciężkiego szoku, kiedy przekłęci obrońcy zaczęli polewać ich samych oraz drewniane maszyny oblężnicze łatwopalnym błotem, śmierdzącym i nie do ugaszenia.

Rzymski wódz musiał pośpiesznie się cofnąć, gdy jego wojsko stanęło w płomieniach. Zetknął się z najgroźniejszą bronią tamtego rejonu, jeszcze ponad 2300 lat później zdającą egzamin jako narzędzie walki i ekonomiczny straszak. Broń masowego rażenia z Samosaty to mieszanina naftalenu i surowej ropy naftowej.

Zdecydowanie nie był to dobry dzień Lukullusa. Dekada zresztą też. Podczas późniejszej kampanii w Armenii musiał walczyć z koczownikami, znającymi różne typy broni chemicznej i biologicznej, między innymi strzały rozpadające się na kawałki w ciele trafionego. Potem nastąpił niechlubny epizod nad Morzem Czarnym, gdzie nieprzyjaciele wpuścili szerszenie i niedźwiedzie do rzymskich podkopów oblężniczych. Ostatcznym upokorzeniem było odwołanie go do Rzymu w roku 67 p.n.e.; został wycofany z frontu jak nienadający się do użytku sprzęt wojenny.

Później rzymskie armie przez całe wieki próbowały zdobyć Mezopotamię, napotykając na jeszcze potężniejsze petrochemiczne środki bojowe, nieraz uzupełniane dodatkami w rodzaju „bomb” z żywymi skorzonami.

LEGIONISTA

więcej walczył czy dźwigał?

W dawniejszych czasach ani Grecy, ani Rzymianie nie mieli trudności z uzupełnianiem stanu swoich armii. Kryterium poboru było oczywiste: posiadacz kawałka ziemi i konia był żołnierzem, powoływany do czyn-

nej służby w razie potrzeby, póki nie skończył sześćdziesięciu lat - o ile dożył tego wieku.

Zmiana nastąpiła, gdy około roku 100 p.n.e. zaczęło brakować ludzi. Zreformowano wówczas wojsko rzymskie, umożliwiając zaciąg bezrolnym i bezrobotnym. Siły lądowe zorganizowano w liczące po 4800 żołnierzy legiony, podzielone na kohorty i centurie. Żołnierze otrzymywali zapłatę w gotówce, podczas gdy wcześniej, jeśli jakąś dostawali, to w soli. Od łacińskiego *sal* (sól) pochodzi *salarium* (wynagrodzenie), stąd niemieckie *Sold*, wreszcie polskie słowo żołd.

Gdy miasto nad Tybrem zaczęło przegradzać się w imperium, ktoś wpadł na doskonały pomysł werbowania mężczyzn z podbitych krajów. Chętnym oferowano przyzwoitą perspektywę: przesłuż dwadzieścia pięć lat w formacji pomocniczej (*auxillarii*) i zdobądź rzymskie obywatelstwo.

Na legionistów z oddziałów regularnych czekała atrakcyjna emerytura. Od 20 do 25 lat w wojsku, potem pieniądze i ziemia. Ale Rzymianie ciężko musieli na to pracować. Nawet w czasach pokoju trudzili się niemało, budując drogi, kopiąc kanały, wciąż poddawani musztrze i ćwiczeniom. Noce spędzali w skórzanych namiotach, na gotowaniu, przy żarnach bądź siorbiąc owsiankę. Ciężko uwierzyć po tych wszystkich filmach z wystawnymi żołnierskimi wyżerkami, ale to była armia ściśle wegetariańska.

Wciąż w ruchu, zazwyczaj przemierzali ponad trzydzieści kilometrów dziennie. Każdy niósł blisko 45 kilogramów sprzętu: broń, długi czerwony płaszcz, pancerz, ponadto na tyczkach dźwigali narzędzia, zapasy wody, jedzenie i namioty. Nazywano ich „mułami Mariusza” od imienia wodza - wynalazcy tego diabło sprytnego sposobu transportowania ekwipunku.

Dyscyplina była naprawdę ostra. Za najcięższe przewinienia, jak zaśnięcie na warcie czy porzucenie broni w bitwie, groziła śmierć przez zatłuczenie tęgimi kijami, a co najgorsze - egzekucji dokonywali koledzy winnego.

Dla podniesienia morale za dzielne zachowanie na polu walki udzielano publicznej pochwały i nagra-

dzano fanfarami oraz uczestnictwem w podziale łupów. Po zwycięstwie legionieści zazwyczaj otrzymywali swój przydział zdobyczy. Część jej (na przykład niewolników) sprzedawano od razu, dzieląc pieniądze między żołnierzy. Najkorzystniej było obłować się bezpośrednio w walce: kto złupił nieprzyjaciela, zyskiwał podwójnie.

Legioniści stosowali taktykę pozwalającą zadawać ciężkie straty nawet znacznie liczniejszemu wrogowi. Walczyli w zwartych szeregach, ich tarcze niemal się stykały, gdy parli naprzód z mieczami i pikami. Co pół minuty oficerowie dawali gwizdkami sygnał do przegrupowania. Pierwszy szereg przesuwiał się wtedy do tyłu, by odetchnąć i ewentualnie uzupełnić uzbrojenie. Pozwalało to na regenerację zdolności bojowej. Jeśli żołnierz poległ, jego oznaka określająca miejsce w szyku przechodziła na następcę.

Zawsze w bitwie widoczne były rzymskie znaki wojenne. Każda centuria miała specjalnego żołnierza *signifera*, w hełmie przybranym futrem, niosącego wysoki, wieloelementowy emblemat. *Vexillarius* dzierżył kolorowy sztandar, *aquilifer* z dumą trzymał srebrnego lub złotego orła, symbol Jowisza i najcenniejszą relikwię armii. Ci trzej legionieści, nocujący w oddzielnym namiocie razem ze znakami, mieli trudną służbę. Znaki niesione przez nich w bitwie były święte, a ich utratę uważano za największą hańbę, jaka mogła spotkać wojsko.

AMANIRENAS; miejcie się na baczności przed wojowniczą królową

Zażegnawszy całkiem realną groźbę utraty Egiptu na rzecz Marka Antoniusza i ambitnej Kleopatry, Oktawian, świeżo upieczony władca całego imperium, stanął przed kolejną próbą. W kraju nad Nilem ponownie pojawiła się wojownicza kobieta.

Była to Amanirenas, monarchini tajemniczego kraju Kusz. Gdy w Egipcie Rzymianie pozostawili tylko słabe siły, bo większość walczyła w Arabii, królowa poprowadziła swą armię na północ, zuchwale atakując miasta Elefantynę, File i Asuan. Momentalnie zmiotła trzy kohorty legionistów wraz ze zbudowanymi przez nich fortyfikacjami. Rzymianie poczuli się upokorzeni. Wojowniczkę, która w boju straciła jedno oko (albo urodziła się jednooka), uznali za groźniejszą odmianę Amazonki. Była to posągowa kobieta o afro-egipskiej urodzie, z wydatnymi pośladkami i niesamowitym talentem do władania

mieczem. Potomkini długiej linii dziedzicznych królowych (w jej języku *kandace*) panowała nad ziemiami między pierwszą a szóstą kataraktą. Rządzone przez nią pustynne państwo z nadrzecznym żyznym, zielonym pasem gruntu zwało się Kusz albo Nubia (dziś Sudan).

Egipcjanie patrzyli z zawiścią na sąsiada z południa, na jego bogactwo wyrosłe na handlu kością słoniową, złotem, miedzią, kamieniami szlachetnymi, skórą i drogimi odmianami drewna. Podobnie Rzymianie. Amanirenas pilnie strzegła przed jednymi i drugimi oraz całą resztą świata największej tajemnicy gospodarczej: sztuki wytopienia żelaza z rudy i wyrobu pancerzy i mieczy.

Na ponaglenia cesarza wódz Petroniusz ruszył opanować sytuację. Dotarł na południu aż do Napaty, religijnej stolicy Kuszytów, i zniszczył miasto, zadając potężny cios królestwu, którego armia z dzielną władczynią na czele podjęła mozolny marsz w głąb Egiptu. Po stoczeniu szeregu bitew przystąpiono do rokowań pokojowych.

Sama królowa na czele swego poselstwa udała się na grecką wyspę Samos, gdzie Oktawian (niebawem powszechnie nazywany Augustem) zamierzał spędzić zimę. W roku 21 p.n.e. zawarli tam traktat.

W myśl układu z Samos Rzymianie wycofali swe siły z Kusz i zrezygnowali z narzucania podatków Amanirenas i jej poddanym. Godne podziwu, że pokój utrzymał się przez całe stulecia; taki wspaniały prezent uczyniła monarchini swojemu ludowi.

Jak jej poprzedniczki na tronie, po śmierci została pochowana pod wąską, ostro zakończoną trójkątną piramidą w kolorze czekoladowym, charakterystyczną dla architektury tamtego kraju. Budowle te, czy raczej ich pozostałości, wciąż można oglądać. Budowano je w sposób bardzo pomysłowy, całkiem odmiennie niż piramidy egipskie, za pomocą prostych żurawi przenosząc kamienne ciężkie bloki. Żurawie wciąż są w Sudanie w użyciu, tyle że służą nie do wznoszenia grobowców dla *kandace*, ale do przenoszenia wody z kanałów na pola.

DOWÓDCA SŁONIA BOJOWEGO sprawca niechęci do gruboskórnych

Zaczynając jako dowódca pojedynczego słonia, ambitny oficer pozbawiony lęku wysokości i mający dobre układy z podległym mu Dumbo mógł z czasem awansować na komendanta falangi i prowadzić do bitwy 64 słonie azjatyckie lub afrykańskie. *Loxodonta africana*, chwytane w Afryce Północnej i Wschodniej, oraz *Elephas maximus* sprowadzane z Indii były największe i najbardziej przydatne.

Wojskowy osiągnąwszy tak wysoką rangę rzadko osobiście dosiadał słonia. Na grzbiecie zwierzęcia siedział poganiacz i trzech łuczników,

skrytych czasem w umocowanej rzemieniami wieży bojowej. Zwierzę chroniły pancerne napierśniki, na kłach miało osadzone metalowe kolce, a na głowie barwną osłonę, mającą płoszyć i przerażać.

Słonie rzeczywiście budziły strach. Szczególnie wielki u tych, którzy mieli stawić im czoło po raz pierwszy, u żołnierzy i ich koni, objawiających nieodpartą skłonność do ucieczki na sam widok i zapach szarych, trąbiących olbrzymów.

Słynne jest trzydzieści siedem słoni Hannibala, lecz wiadomo, że Grecy, Rzymianie i różni ich przeciwnicy od czasu do czasu też używali słoni w walce. Ich zalety wykorzystał Aleksander Macedoński, odkrywając zarazem, że te gigantyczne ssaki potrzebują gigantycznych ilości pokarmu, lecz na szczęście potrafią go unieść wraz z ekwipunkiem.

Mądry dowódca potrafił użyć tych zwierząt na cztery sposoby: jako osłony defensywnej, w ataku okrężnym na piechotę i jazdę, do niszczenia nieprzyjacielskiego obozu i przy oblężeniu”.

Historia przekazuje niezliczone relacje ze zwycięstw odniesionych dzięki tej broni. Rzymski wódz Antioch zarządził kontratak szesnastu słoni, wywołując panikę wśród nacierającej jazdy galijskiej. Macedończyk Seleukos sformował żywy wał z 480 bestii (Macedończycy słynęli z zamiłowania do wielkich widowisk), by nie dopuścić nieprzyjacielskich jeźdźców na plac boju. Kartagińskie słonie nie raz szturmowały obozy Rzymian, deptając ludzi i umocnienia.

Poza polem bitwy olbrzymy również były użyteczne, służąc w charakterze prowizorycznych zapór na bystrych rzekach i umożliwiając wojsku bezpieczną przeprawę.

Słonie wyruszały na wojnę przez cztery wieki. Na różne sposoby starano się z nimi walczyć, choćby przecinając im ścięgna udowe czy rozrzucając na ziemi żelazne kolce. Kiedyś obrońcy oblężonej Megary w akcie desperacji nasmarowali oliwą świnię, stanowiącą ich ostatni zapas żywności, podpalili je i pognali w stronę wrogich słoni, które, bardziej przestraszone potwornym kwikiem dobiegającym z ruchomych ognisk niż odorem przypalonej wieprzowiny, zniszczyły własne pozycje i stratowały zajmujących je żołnierzy.

Po czymś takim dowódca słonia mógł pożegnać się z marzeniami o dalszej karierze. Ale słonie w końcu wyszły z użycia, a wraz z tym

* Nie ma niczego nowego pod słońcem. Wiele strategii opracowanych w starożytności dla formacji słoni wciąż jest wykorzystywanych we współczesnych walkach czołgów, łącznie z wymienionymi czterema zastosowaniami.

zanikły związane z nimi funkcje oficerskie. Rzymianie wyniszczyli te zwierzęta niemal zupełnie, chwytając je do cyrków i tam zabijając w wyrafinowany okrutny sposób.

W roku 363 naszej ery Rzymianie ponownie zetknęli się ze słoniami bojowymi na froncie perskim i zupełnie nie potrafili sprostać niewidzianym od wieków potworom. Nikt już nie pamiętał fortelu ze świniami.

MARIUSZ; rwący się do walki

Imperator! Tak pragnął być nazwany każdy rzymski wódz za czasów republiki. Zaszczytny tytuł oznaczał po prostu zwycięzcę w bitwie i dopiero później został zastrzeżony wyłącznie dla cesarza. By to miano uzyskać, należało osobiście poprowadzić żołnierzy w bój, nie tylko przyglądać się walce z końskiego grzbietu albo po rzezi objechać pobojowisko.

Wodzem nie od parady był na pewno Gajusz Mariusz. Choć siedmiokrotnie wybierany na konsula, prostolinijny Mariusz pozostał wojakiem do szpiku kości, za pan brat z żołnierzami, czy to łamiąc z nimi chleb, czy ściągając głowy barbarzyńcom. Na czele swoich legionów umiejętnie przetrząpał skórę Numidom, a rozgromiwszy niezliczone mrowie Cymbrów i Teu-tonów uchronił Italię przed najazdem trzystu tysięcy groźnych Celtów.

Oczywiście, obwołano go imperatorem i odbył tryumf. A w owych czasach, by na tryumf zasłużyć, trzeba było wykazać się nie lada osiągnięciami. Nie wystarczała byle jaka potyczka, nie liczyło się zwycięstwo w wojnie domowej. W pojedynczym starciu należało położyć trupem przynajmniej pięć tysięcy nieprzyjaciół. Mniejszy rozlew krwi zasługiwał zaledwie na skromną owację, czyli krótki pieszy przemarsz przez Rzym i złożenie w ofierze utuczonej owcy.

Tryumf Mariusza, podobnie jak inne, był trwającym cały dzień pokazem męstwa, wystawności i zwałającej z nóg potęgi militarnej. Po wygłoszeniu mowy do legionistów i rozdaniu bogatych łupów wódz skierował się ku bramie tryumfalnej.

Na czele procesji szli senatorowie, sędziowie i trębacze; dalej ciągnięte przez konie wozy wiozły góry zdobyczy uzyskanej na pokonanych. Z kolei postępowali fleciści i kapłani, prowadzący białe woły przeznaczone na ofiarę oraz różne zamorskie zwierzęta dla upiększenia orszaku. Następnie pokrytą teraz zwierzęcymi odchodami drogą nadeszli skuci kajdanami i złotymi łańcuchami znaczniejsi jeńcy; drewniane tablice informowały widzów o ich tożsamości.

Wreszcie ukazał się konny rydwan z tryumfotorem-imperatorem, otoczony przez doborową gwardię. Mariusz odziany był w ozdobną, lamowaną złotem szatę, w jednej ręce trzymał berło, w drugiej gałązkę wawrzynu. Później wodzowie, w tym młodszy krewniak Mariusza Juliusz Cezar, będą na takie okazje malować twarz czerwonym cynobrem.

W tamtej chwili świat leżał u stóp Mariusza, który sycił się krótkotrwałą chwałą. Ale choć miał jeszcze ponosić klęski, to jego największym tryumfem była dokonana przezeń reforma armii. Nie tylko umożliwił wstępowanie do legionów biednym i nieposiadającym ziemi, ale otworzył przed tysiącami ich szansę kariery wojskowej, zdobycia stopnia centuriona czy nawet wyższego.

Gajusz Mariusz miał rozsądne pomysły i wolę wcielenia ich w życie. Wprowadził jednolite umundurowanie, uzbrojenie i wyposażenie w całym wojsku, początkowo łożąc na to z własnych zasobów! Czy znacie bodaj jednego dzisiejszego generała gotowego z osobistych środków sfinansować wyposażenie batalionu albo i dwóch?

Ponadto reformator umożliwił żołnierzom pobieranie wynagrodzenia w gotówce; czynił także energiczne starania o nadziały ziemi dla żołnierzy przechodzących w stan spoczynku, co zostało urzeczywistnione dopiero za dyktatury Cezara. Potem August założył kolonie weteranów na Korsyce, w Iberii, Małej Azji i Galii, w południowej Italii i w rejonie odbudowanej Kartaginy.

Przedsięwzięcia i projekty Mariusza obecnie wydają się oczywiste, lecz sto lat przed naszą erą były rewolucyjne; generałowie i szeregowcy z późniejszych pokoleń mają za *co* dziękować rzymskiemu wodzowi.

NAJEMNY ŻOŁNIERZ

z własnego wyboru pod cudze rozkazy

Dziś najemnik to dla nas określenie pejoratywne. Gdy myślimy o oddziałach Spartan czy armiach Aleksandra Wielkiego, do głowy nam nie przyjdzie ten rodzaj żołnierzy. A tymczasem wszystkie armie, od najwcześniejszych czasów greckich do schyłku cesarstwa zachodniego, korzystały z najemników. Słynne Dziesięć Tysięcy to wszystko najemnicy, łącznie z dowódcami, z których jeden, żołnierz i pisarz Ksenofont, po

latach opisał koszmarny odwrót spod Babilonu do Grecji w klasycznym utworze *Anabasis* [w Polsce wydanym pod tytułem *Wyprawa Cyrusa*].

W okresach pokoju w ojczyźnie starożytni greccy żeglarze najmowali się wraz z okrętami na służbę wojenną u obcych. Wiele państw, na przykład Egipt, potrzebowało ludzi do obrony przed niespodziewanymi atakami i najazdami bliższych czy dalszych sąsiadów.

Wyszkolonych mężczyzn decydujących się na najemną wojaczkę nie brakowało. Przede wszystkim byli odważni, doświadczeni, zahartowani w boju, umiejący zachować się na polu bitwy, na morzu i na obcym terenie. Stanowili niezależną gromadę, gotową ruszyć wszędzie tam, gdzie szycowała się rzeź. Bili się dla pieniędzy, czasem dla łupów; otrzymywali wyżywienie i wykonywali niewdzięczne zadanie zabijania nieprzyjaciół (choć byli i tacy, dla których rozlew krwi stanowił atrakcję). Często specjalizowali się w jakimś rodzaju walki, co dowódcy nieraz potrafili spożytkować.

Wielu było najemnych łuczników - konnych i pieszych. Stanowili elitę ówczesnych sił ofensywnych, śmiertelnych marines starożytności. Najlepsi pochodzili z Krety, Rodos i Scytii. Inną specjalnością był pro-carz, miotający niewielkie pociski ołowiane bądź kamienne.

Niektórzy z tych wojennych wyrobników miewali wielkie marzenia. Oto sycylijskie Syrakuzy wynajęły żołnierzy z Italii do walki z założonym przez Fenicjan północnoafrykańskim miastem-państwem Kartaginą. Kontrakt przewidywał rzetelną walkę, w miarę możliwości zmiążdżenie nieprzyjaciela - a potem koniec służby. Gdy umowa wygasła, pozbawieni zajęcia żołdacy rozpełzli się po Sycylii, opanowali bogate greckie miasto Messynę, zmienili jego nazwę, a sami przybrali miano „Dzieci Marsa”. Ich akcja doprowadziła do pierwszej wojny punickiej, w której Sycylia wraz z wojowniczymi „Dziećmi” stanowiła zarazem plac boju, jak i nagrodę dla zwycięzcy.

Czasem najemnicy odznaczali się niewątpliwymi zdolnościami politycznymi. Za Tyberiusza numidyjski żołnierz z pomocniczej formacji *axilarii* imieniem Akfarynas zdezerterował i utworzył własną formację złożoną z kolegów po fachu. Przez sześć lat pustoszył Afrykę Północną, został wodzem ludu Musulami, pobił Rzymian w niejednej bitwie, ujęty zbiegł, w roku 22 n.e. zuchwale zagroził cesarzowi „wojną permanentną”. Rzymscy dowódcy wiele czasu potrzebowali, by dopaść i zabić tego człowieka, dla nich kłopotliwego wroga, dla żołnierzy najemnych - bohatera.

PROCARZ

zarabiał na chleb rozżarzoną ołowiem

Dziś obrzucanie się błotem wciąż jest popularnym sposobem walki polityków i dziennikarzy tabloidów, ale tylko błotem. Starożytni Grecy i Rzymianie obrzucali wroga szeregi kamieniami i ołowianymi pociskami, używając proc ze skóry czy lnianych powrozów.

Niektóre rejony szczyciły się swymi procarzami o krzepkich ramionach, wśród nich miasto Patra i wyspa Rodos, lecz najznamienitsi fachowcy pochodzili z Balearów, archipelagu u wybrzeży Półwyspu Pirenejskiego. Tamtejsi chłopcy musieli sami za pomocą procy upolować sobie obiad i przynieść mamie, by włożyła zdobycz do garnka.

Mistrzowie tej broni, po łacinie zwani *funditores*, znajdowali uznanie w oczach historyków. Chętnie zatrudniały ich armie greckie, rzymska, perska i jeszcze inne. Choć proca wydawać się może bronią niezbyt poważną i prymitywną, stanowczo nie była zabawką, lecz przyrządem o wielu zaletach. Zręczny procarz trafiał celniej niż łucznik, a zasięg miał dwukrotnie większy. Z dużej procy można było rozwalić czaszkę nieprzyjaciela oddalonego o 200 metrów. Chmara pocisków powodowała często większe straty niż strzały z łuków.

Antyczne proce były lekkie, łatwe do sporządzenia (zwiąż sznur, zrób uchwyt na pociski - i gotowe), wykonywane z taniego surowca. A co najważniejsze, amunicję do nich stanowiły kamienie, których na ogół nie brakowało na żadnym placu boju.

Niektórzy superprocarze wyrzucali kamienie ważące prawie pół kilograma. Doborowe oddziały nie zadowolaly się najłatwiej dostępnymi skalnymi odłamkami, stosowały amunicję z ołowiu, żelaza czy gliny. Najlepszymi właściwościami aerodynamicznymi odznaczały się pociski przypominające kształtem żołądź czy migdał, odlewane w prostej, dwuczęściowej formie. Zaś w razie potrzeby żołnierz po prostu robił palcem dołek w piasku i wlewał tam roztopiony metal. (Wojsko w tamtej epoce było bardziej samowystarczalne, żołnierz sam produkował sobie ołowiane naboje i sam gotował strawę).

Kule ołowiane miały szczególną wartość bojową; jako małe i ciężkie, natrafiały na minimalny opór powietrza i były trudno dostrzegalne, szczególnie na tle jasnego nieba („Nadlatują!" „Skąd?" Bęc!).

Do naszych czasów dotrwało niewiele antycznych proc, za to masa ołowianych pocisków. Niektóre mają wyryty znak błyskawicy czy skorpiona, imię wodza czy nazwę formacji.

Na jeszcze innych objawia się żołnierskie, niewyszukane poczucie humoru. Napis na niejednym głosi „A niech to!" albo „Ajajaj!", któryś przeznaczony był „Na tyłek Pompejusza", lecz w konkursie na najdowcipniejszy zwycięża ten, na którym widnieje proste „Łap".

ŻEGLARZ

rozpinał żagle na morzu i na lądzie

W niespokojnych wiekach
 przed naszą erą modna wśród
 Greków stawała się tyrania.
 A szanujący się tyran musiał
 mieć dobrą flotę. Najlepszą
 marynarką szczyliły się Korynt i
 wyspa Korfu. Ateń-czykom długo
 udawało się unikać tej formy
 ustrojowej, jak i zaangażowania na
 morzu, musieli za to radzić
 sobie

Z meandrami demokracji. Gdy
 jednak wreszcie postanowili
 wypłynąć na szerokie wody, zbudowali od razu dwieście trirem i powo-
 łali potężny korpus żeglarzy. Przez kilkadziesiąt lat Ateny pozostawały w
 korzystnym sojuszu z mniejszymi miastami-państwami i z wyspami, aż
 w końcu utraciły hegemonię na morzu na rzecz wyspy Rodos, nowej i
 mniej zachłannej potęgi morskiej.

Grecka trirema, szybka jednostka napędzana trzema rzędami wiosł, mia-
 ła mały zespół marynarzy obsługujących żagle. Dziób okrętu zaopatrzony
 był w potężny kolec, czasem kilka, do taranowania nieprzyjaciela. Na rufie
 znajdowało się pomieszczenie dla oficerów, sternika i członków załogi.

Na okręcie osadzone były graniaste maszty, nie więcej niż trzy, oraz
 grotżagiel. Wyszkoleni żeglarze, czyli *velarii*, zajmowali się
 takielun-kiem, na pełnym morzu lub przed spotkaniem z wrogiem
 ustawiali ruchome parapety, utrzymywali porządek na pokładzie. Nie
 musieli gotować ani pucować do połysku poręczy i barierek, bowiem
 ówczesne statki nie miały kuchni ani metalowych instalacji.

Rzymianie bez zapału przystąpili do wojowania na słonych wodach.
 Mimo że na ogół niezrównani w walce na lądzie, na morzu byli słabiutcy.
 Dlatego, choć plakaty rekrutacyjne nawoływały „Poznasz świat i jeszcze
 zarobisz trochę”, odzew był niemal zerowy. Władze nadały więc mary-
 narce wojennej status formacji pomocniczej i z westchnieniem ulgi powi-
 tały szybki napływ chętniej młodzieży z podległych prowincji.

Rzymskie okręty stosowały sposób walki żywcem wzięty z ładu. Zaprojektowane w urzędzenia do abordażu szczepiały się z nieprzyjacielem, a żołnierze wdzierali się na jego pokład.

Przez pierwsze stulecia rzymska marynarka wojenna za główny swój cel uznała oczyszczenie Morza Śródziemnego z piratów. Później ochraniała transporty zboża, zdążające z Egiptu do stolicy imperium. Każdy marynarz starał się dostać na służbę do Mizenum, wielkiej bazy morskiej w Zatoce Neapolitańskiej z dziesięcioletnią załogą; tam bowiem kwitło życie nocne.

Niebawem żeglarzom przybyło poważne zajęcie na suchym lądzie. Walki gladiatorskie przyciągały tłumy, szczególnie w otwartym w roku 80 n.e. amfiteatrze Flawiuszów, później nazwanym Koloseum. Gdy A słońcu prażyło się pięćdziesiąt tysięcy widzów, dzikie zwierzęta i zdernerwowani gladiatorzy, szybko powstawał ogromny smród.

By temu przeciwdziałać, wymyślono ruchome zasłony, częściowo zaciemniające widownię i arenę w teatrach i amfiteatrach. Architekci nadawali tym urządzeniom formę statków z masztami, na których żagle podnoszono i zwijano dzięki systemowi sznurów i bloków. A któż znał się na rym lepiej niż *velarii*? Do samego tylko Koloseum ściągnięto z Mizenum zespół wytrawnych majtków, by płachtami z bawełny czy lnu osłaniali przed słońcem dwie trzecie amfiteatru. Poza obsługą tekstylnego dachu marynarze spełniali rolę meteorologów i synoptyków, bowiem silne wiatry czy burze zakłócały program.

Było też wiele teatrów nie tak ogromnych. Ich umiarkowanych rozmiarów markizy wykonywano z drogiego jedwabiu, błyszczącego i barwnego. W Rzymie zapewne około tysiąca marynarzy zapewniało cień teatromanom i miłośnikom walk gladiatorskich.

Z inspiracji twórców amerykańskiego serialu telewizyjnego *NOVA* naukowcy zbudowali prawdziwe *velarium*. Wysilek, jakiego wymagało zaciemnienie małej hiszpańskiej areny do corridy, nauczył ich szacunku dla osiągnięć tych starożytnych żeglarzy, którzy musieli walczyć z kaprysami wiatru, splątanymi linami i innymi przeciwnościami, lecz przynajmniej nie z chorobą morską.

WIOŚLARZ

niewolnik, ale tylko wiosła

Kto nie pamięta galernika, szlachetnej postaci w stylu Charltona Hestona, udręczonego, przykutego do długiego wiosła? Obraz zaiste chwytający za serce, ale nieprawdziwy. Galernik-niewolnik to mit, stworzony przez egzaltowanych autorów powieści historycznych i powielany przez Hollywood.

A jaka jest rzeczywista historia antycznych wioślarzy? W czasach Homera żołnierze z Troi, Sparty, Aten i każdego innego miasta spełniali podwójny obowiązek: na suchym lądzie brali miecz i tarczę, by walczyć, na morzu chwyтали za wiosło.

W epoce starożytności klasycznej statki handlowe miały baryłkowane kadłuby i nieliczną załogę, a poruszane były wiatrem. Okręty wojenne były długie i smukłe, gdyż taka konstrukcja umożliwiała im uzyskiwanie dużej prędkości dzięki pracy wioślarzy. Tych zaś były setki w całej flocie, a w miarę wzrostu liczby jednostek potrzeba było coraz więcej wyszkolonych osiłeków. Rekrutowano ich spośród wolnej, uboższej ludności.

W V wieku p.n.e. trirema z trzema rzędami wiosł z każdej strony była najświeższą nowinką techniczną. Długa na około 36 metrów, miała na pęd 170 wioślarzy, którzy zsynchronizowanym ruchem poruszali wiosłami, „uderzali wszyscy wraz”, jak określali to Grecy. Najniżej w głębi kadłuba znajdowali się *thalamitai*, po dwudziestu siedmiu z każdej strony; środkowy poziom to *zygitai*; najwyżej zajmowali miejsce *thranitai*.

Wiosłujący siedzieli na skórzanych poduszkach, nasmarowanych łożem, więc śliskich. By zanurzyć wio-

śła wstawali, potem opadali do tyłu na ławkę, ciągnąc wiosło. Najcięższą pracę mieli ci z najdłuższymi wiosłami, więc często zarabiali więcej niż pozostali.

Poza umiejętnościami zawód ten wymagał niewiarygodnej kondycji, gdyż ogromny wysiłek trwał nierzadko 17 godzin dziennie, nieco tylko łagodzony dźwiękami bębna czy fletu. Przez chłupot wiosł i głos instrumentów przebijały się okrzyki czy gwizdek oficera, kierującego ruchem triremy.

Śpiesząc do bitwy podnoszono żagle, by zaoszczędzić siły wioślarzy. W warunkach bojowych i w innych trudnych momentach wioślarze nie opuszczając swoich miejsc żywili się racjami przysługującymi żołnierzom: jęczmiennym chlebem, winem i oliwą. W okresach spokojniejszych schodzili na posiłek na ląd, bowiem na okręcie nie było urządzeń do gotowania.

Przez dziesięciolecia Ateny dysponowały potężną marynarką wojenną, zatrudniając tysiące własnych obywateli i dobrze im płacąc (stanowiło to dla nich jedyne źródło utrzymania). Wciąż trwały wojny pomiędzy różnymi *polis*, więc utrzymywało się wysokie zapotrzebowanie na biegłych wioślarzy. W wojnie morskiej rozmiar strat wśród załóg pływających był straszliwy. Ateńczycy oblegając przez dwa lata Syrakuzy stracili zapewne 200 trirem, obsadzonych łącznie przez 34 000 ludzi.

Z czasem miasta-państwa musiały zatrudniać na okrętach najemników, często barbarzyńców. Dumny wyjątek stanowiła wyspa Rodos, gdzie tylko miejscowi siadali za wiosłami.

Inaczej Rzymianie - nie polubili służby na morzu, a wioślarzy rekrutowali z podbitych narodów. Okrętami dowodzili oficerowie rzymscy. Morscy *auxilarii* nie byli niewolnikami, wstępując do floty na dziesięć lat, dostawali gwarancję honorowej odprawy i uzyskania obywatelstwa rzymskiego - jeśli tylko wioślarz i jego zboląły grzbiet doczekają końca kontraktu.

APELLES; twórca wizerunku

Aleksandra nie bez racji nazwano Wielkim. Niezrównany wojownik, olśniewająca osobowość, nadludzkie dokonania. Z częścią tej charyzmy już przyszedł na świat, ale gros jego legendy stworzył własnymi rękami inny człowiek - utalentowany grecki malarz Apelles z wyspy Kos.

Za młodu Apelles uczył się sztuki u mistrzów w Efezie i Sykionie, potem ruszył na północ, do siedziby Filipa II, króla Macedonii. Tam szybko wybił się na nadwornego artystę.

Syn Filipa Aleksander z łatwością dostrzegł biegłość przybysza w uwznioślającym realizmie i portretowaniu męskiej urody. Gdy więc nie był zajęty walką z własną matką czy innymi wrogami, siadał do pozowania Apellesowi, zakazawszy wszystkim innym malowania swego wizerunku.

Przyszły Wielki był modelem wymarzonym, tyle że uciążliwym, gdyż bez ustanku mądrzył się na temat zasad perspektywy i innych zagadnień artystycznych.

Nadworny portrecista miał wreszcie tego dość.

- Może by tak Wielki zmienił temat? Bo moje chłopaki od farb się podśmiewają.

I patrzcie, Aleksander się zamknął, bo żaden heroiczny półbóg *in statu nascendi* nie lubi, gdy się z niego chichrają.

Apellesa cieszyła pozycja nadwornego „portretografa” rządzącej gwiazdy Śródziemia, lecz bardziej był zainteresowany opiniami zwykłych odbiorców. Gdy jego obrazy wystawiano na widok publiczny, ukrywał się w pobliżu i słuchał szczerych komentarzy prostaczków, a niekiedy stosował się do nich.

Przyjacielsko rywalizował też z kolegami. Usłyszawszy o cudach malowanych ponoć przez Protogenesa z Rodos, popłynął tam, by się z nim spotkać. Nie zastał go w domu, lecz w pracowni znalazł świeżo zagruntowany podkład. Sięgnął po pędzel i nakreślił nieskazitelnie prostą poprzeczną linię.

- Powiedz mu, że to od Apellesa - rzucił posługaczce.

Ujrawszy ślad rywala na swoim jeszcze niezaczętym obrazie, Pro-togenes docenił jego rękę. Tuż powyżej namalował linię doskonalszą i polecił służącej pokazać ją tamtemu, gdyby się jeszcze pojawił. Oczywiście Apelles wrócił i pomiędzy dwiema liniami pociągnął trzecią, jeszcze delikatniejszą. Wreszcie obaj twórcy spotkali się twarzą w twarz. Ich

wspólne dzieło znalazło się potem (jak się przypuszcza) w posiadaniu Juliusza Cezara, lecz niestety spłonęło.

Szanowany i dopieszczany przez los za życia, Apelles nie miał szczęścia w przyszłości. Nic z jego twórczości nie oparło się niszczącemu działaniu czasu, nawet sztandarowy portret Aleksandra miotającego grom. *Wenus wynurzająca się z fal* była wielokrotnie kopiowana przez malarzy mniejszego kalibru. Jej wersja znaleziona w ruinach Pompei jest zaledwie nieśmiałą próbą oddania magii pierwowzoru.

Zasadniczy dorobek Apellesa, zachowany trwale, to - podobnie jak w przypadku Lizypa, „urzędowego” rzeźbiarza Macedończyka - upowszechnienie przeświadczenia o wielkości Aleksandra. Jedyna nadzieja, że starożytni bogowie albo globalne ocieplenie pozwolą jednak kiedyś ujrzeć jakiegoś „oryginalnego Apellesa”.

SCENOGRAF, PROJEKTANT KOSTIUMÓW kto stoi za tą maską?

Ajschylos, Sofokles i Eurypides, twórcy najwspanialszych tragedii świata, żyli długo. Przez dziesięciolecia V wieku p.n.e. kolejno uwielbiani przez zachwyconą publiczność, zdobywali nagrody na dionizyj-skich festiwalach teatralnych w Atenach. A tak naprawdę każdy z nich harował niczym „służąca do wszystkiego”. Tworzenie nieśmiertelnych wersów to był tylko początek.

Pierwotnie w tragediach występował chór i tylko jeden aktor, zarazem autor. Ajschylosowi taka obsada wydała się zbyt szczupła i wprowadził drugiego aktora, ale sam pozostawał protagonistą.

A kto przygotowywał chór liczący od piętnastu do pięćdziesięciu osób, kto pisał pieśni, układał choreografię, kierował próbami i dbał o całość przedstawienia? Oczywiście wszechstronny dramaturg.

I by nie było mu za lekko, przynajmniej do schyłku epoki hellenistycznej musiał wykonywać maski i projektować kostiumy.

Najtrudniejszą sprawą było wyczarowanie na proscenium innego świata. Początkowo osiągnano to malując twarze aktorów, potem ukrywając je za zrobionymi z białego lnu i gipsu maskami o pogodnym wyrazie, z szeroko otwartymi ustami. Każda maska była jedyna, niepowtarzalna, sporządzana z glinianego odcisku twarzy aktora, połączona w jedno z nakryciem głowy, zaopatrzonym w perukę. W takim hełmie z przyłbicą można się było udusić, a na pewno spocić. Maska miała trzy otwory--uchwyty, niczym kula do kręgli.

Ajschylos pokolorował maski Furii, uczynił je przerażającymi, ohydnyymi; czarne, z węzami wplątanymi we włosy i krwią ciekącą z oczu, wywoływały strach na widowni, rzekomo powodowały poronienia u kobiet.

Około roku 400 p.n.e. w użyciu było dwadzieścia pięć typów masek tragicznych, przedstawiających różne typy ludzkie, od bladych brunetów po dystyngowane, władcze damy i zuchwałych młodzieńców (kędzierzawe włosy, wysokie czoła, uniesione brwi). Różnorodność ta umożliwiała trójce aktorów (wyłącznie mężczyzn) odgrywanie wszelkich tragedii, ról męskich i kobiecych, postaci starych i młodych, śmiertelnych i boskich. Na potrzeby komedii służyły czterdzieści cztery maski, zazwyczaj przejawiające niektóre cechy fizjonomii dla osiągnięcia efektu komicznego.

Kostium kolorem i kształtem umożliwiał widzom rozpoznanie charakteru osoby dramatu: aktor z wypchanym brzuchem, w czerwonej peruce grał niewolnika; miotający się w kwiecistych szatach przedstawiał nierządnicę; kapelusz z dużym rondem czy obszerna czapka oznaczała kawalerzystę; sceniczni dostojnicy nosili wystawne suknie z długimi rękawami, barwnie lamowane. Kostiumy tragiczne, szczególnie chórzystów, były bardzo pomysłowe plastycznie; gdy grający poruszali się i śpiewali, ich delikatne szaty opadały w fałdach bądź falowały jak dym.

Całkowitym przeciwieństwem były stroje artystów występujących w krótkich, sprośnych przerywnikach pomiędzy tragediami. Przemieniali się w satyrów, bezwstydną półbestię, a po-

trzebny był do tego jedynie sztuczny ogon, takiż sztywny fallus ze skóry i kosmata przepaska biodrowa.

Aktorzy musieli bardzo prędko przeskakiwać z jednej roli w drugą. Czasem mieli przerwę po pierwszym akcie, gdy chór śpiewał i tańczył; kiedy indziej z oczu publiczności schodzili rzadko albo wcale. Z konieczności odznaczali się więc elastycznością, szybkością, wszechstronnością.

W stuleciach następnych scenografia, początkowo jedno z wielu zajęć dramaturga, stała się samodzielną dziedziną sztuki. Jej adepci, teraz już profesjonalni specjaliści, zrzeszali się w cechach „artystów Dionizosa”.

Zwyciężywszy w konkursie, wdzięczny aktor często składał swą maskę w ofierze na ołtarzu Dionizosa, swego boga opiekuńczego, co było religijnym odpowiednikiem podziękowań laureata Oskara.

AKTOR

nazywali go hipokrytą

Dwadzieścia pięć wieków temu nazwanie kogoś hipokrytą nie było obelgą, ale wskazaniem jego profesji. Słowo to po grecku oznacza „tego, kto odpowiada”. Gdy twórcą tragedii Aj- 5 (, schylos dodał w swoich utworach drugiego hipokrytę, otworzyła się nowa pozycja na rynku pracy (w każdym razie dla mężczyzn). Teatr narodził się z ateńskich uroczystości ku czci Dionizosa, wiosennego radosnego święta boga wina i wzruszeń. Elementem tych obchodów stał się konkurs dra-

matyczny. Siedemnastotysięczna widownia z dreszczem emocji oglądała trwające cały dzień przedstawienia, podczas których aktorzy poruszali ich trylogiami tragicznymi opartymi na mitach, by po zmianie kostiumów odegrać obleśnych satyrów, a ostatniego dnia pokazywali komedie autorów w rodzaju Arystofanesa.

Jeden aktor odtwarzał wiele ról, zmieniając kostiumy przeistaczał się to w podstarzałego niewolnika, to w boginię. Najbardziej liczyła się indywidualna zdolność wywoływania różnych emocji, umiejętność poruszania się i gestykulacji. Kwestie mówione przeplatano śpiewami i tańcami chóru, ustrojonego stosownie do tematyki tragedii, nieraz wprost uczestniczącego w akcji. Antyczni hipokryci musieli odznaczać się nie lada energią i wytrzymałością, zazwyczaj jednego dnia trzysobowy zespół odgrywał do trzydziestu ról.

Budowle teatralne utrzymywało miasto-państwo, zaś na gąże artystów, rekwizyty i pozostałe wydatki dobrowolnie łożyli zamożni obywatele, wręcz współzawodniczący o ten przywilej. Takie świadczenie na rzecz społeczności nazywano wówczas liturgią (służbą ludową, dla ludu). Li-

turgiści stanowili dla całej trupy podstawowe źródło utrzymania.

Poeci dramaturdzy mieli swoje konkursy, podczas dwukrotnie w roku odbywanych festiwali. Z trójki finalistów tylko zwycięzca otrzymywał pokaźną nagrodę. Przez kilkadziesiąt lat Ajschylos, Sofokles i Eurypides przygotowywali na każdy konkurs tragiczne trylogie wraz z występami satyrów. Gdy zmarli, Arystofanes napisał na ich cześć komedię *Żaby*, jako że jego zdaniem w dziedzinie tragedii nikt nie miał im już dorównać. Sam słynny komediopisarz, mimo kunsztu i popularności, nagrody uzyskiwał często, lecz nie zawsze.

I to teatr, a nie demokracja, okazał się najlepszym towarem eksportowym Aten. Nim nastał rok 300 p.n.e., niezliczone miasta greckie od Małej Azji po Sycylię urządzały konkursy dramatyczne, festiwale, z góry opłacały „artystów Dionizosa” zrzeszonych w organizacjach zawodowych. Te profesjo-

nalne stowarzyszenia jednoczyły aktorów, muzyków i personel pomocniczy. Wraz z ich rozwojem rosły wynagrodzenia członków, którym ponadto przysługiwało zwolnienie od służby wojskowej, przywileje podatkowe i państwowa ochrona bezpieczeństwa podróżujących trup.

Rzymianie wzięli od Greków ideę teatru, dialogi, akcję, dodając od siebie krwawy horror, wulgarność, wątki melodramatyczne - zbliżając się w tym do reality show. Dominowała komedia romantyczna w pięciu aktach, szczególnie autorstwa Plauta, na przykład *Bracia* (po którą miał sięgnąć Szekspir pisząc *Komedię omyłek*). Po każdym przedstawieniu na widowni rozlegały się śmiechy i nieustające żądania powtórzenia konkretnych scen, z tym że w bisach produkowali się dublerzy gwiazd spektakli.

Rzymscy aktorzy wywodzili się przeważnie spośród niewolników i wyzwolenców, mieli mały prestiż, rekompensowany wysoką płacą. W I wieku n.e. zarabiali przeciętnie po pięćset sestercji za przedstawienie, za którą to sumę żołnierz musiał służyć sześć miesięcy. Najwybitniejsi osiągnęli roczny dochód ponad dwustu tysięcy sestercji.

Pogardzani czy uwielbiani, aktorzy stanowili przedmiot zainteresowania szerokich rzesz ludności; każdy pragnął się o nich otrzeć, nawet zarozumiali patrycjusze i senatorowie.

GRAWER

umiał robić pieniądze

Gdy dawni Grecy mieli już powyżej uszu handlu wymiennego, rozważając ideę pieniądza metalowego zdecydowali się najpierw na jego wersję wstępną w postaci żelaznych prętów. Łatwe do wykonania, lecz ciężkie i nieporęczne (jakże czymś takim dawać napiwek!) szybko straciły popularność. Kiedy więc w pobliskiej Lidii mądre głowy wymyśliły coś nazwanego monetami, Helleni szybko wynalazek podchwycili.

Natychmiast rytownicy (*celator*) przystąpili do wykonywania rzeźb w utwardzonym brązie, uzyskując okrągłe miniaturowe arcydzieła. Jak mogli to czynić nie znając lupy? Mieli dużą praktykę. Od stuleci w Grecji cyzelowano zawile desenie na klejnotach, używając żelaznych dłut i mocnych wiertel.

W VI-IV wieku p.n.e. rywalizacja pomiędzy greckimi grawerami doprowadziła do powstania genialnych, doskonałych artystycznie monet, stanowiących do dziś przedmiot pożądania i osiągających wartość, o jakiej żaden *celator* przy zdrowych zmysłach nawet nie śmiał marzyć.

Najstynniejszy pieniądz, jaki wyszedł spod ich dłuta, to srebrna drachma ateńska, z patronką *polis* Ateną z jednej strony i sową - symbolem boskiej mądrości z drugiej. Inne miasta, pod wpływem łagodnej perswazji, też zaakceptowały „sowę” jako legalny środek płatniczy.

To tajemnica muz, skąd wzięło się tylu arcyzdolnych grawerów w bogatych greckich koloniach na Sycylii: w Katanii, Syrakuzach czy Kama-rynach. Z pierwszego z wymienionych miast pochodził Herakleides, twórca najpiękniejszego w świecie wizerunku Apolla.

Kimon, Eukleides i Euajnetos z Syrakuz byli tak sławni, że podpisywali własne dzieła. Pierwszy na swej dziesięciodrachmówce uczcił opiekunkę kolonii Aretuzę; przedstawił ją *en face*, co było zaskakującym nowatorstwem, przyniosło mu niezwykle podziw fachowców i zainspirowało do powszechnego naśladownictwa.

Eukleides dorównywał rywalom wyczuciem perspektywy. A że w jego rodzinnym mieście odbywały się popularne wyścigi, na monetach ukazał pędzące czterokonne rydwany, gdzie zwierzęta niemal drżą, pełne życia. W tamtych srebrnych i złotych czasach nawet mniej znany *celator* bywał autorem obrazów o nieprzemijającej wartości, jak choćby ten od monety z Herkulesem z Kymie czy inny, uwieczniający na krążku z Pergamonu wodza Lizymacha.

Po grawerze do dzieła przystępował kowal. Za pomocą sztancy, młotka i kowadła kawałek metalu przemieniał w pieniądz, posiadający awers i rewers. Nawet z najlepszej matrycy można było wykonać około dziesięciu tysięcy monet, nie więcej.

Gdy świat opanowali Rzymianie i produkcję monet zaczęto liczyć w milionach, obniżyła się jakość grawerstwa i metalu. Niemniej przez stulecia monety wartościowe i piękne były raczej regułą niż wyjątkiem.

Skąd wynikała doniosłość pieniądza metalowego? Otóż w świecie, w którym nie znano szybkiej łączności ani środków masowej komunikacji, był to pewny środek wymiany, gromadzenia majątku, po-

nadto potężne narzędzie propagandy. Mobilny, wyrazisty, powszechnie akceptowany. Uwieczniał dokonania i symbole kulturalne, np. zwycięzców z Olimpii, czy emblematy *polis* (skrzydlate konie Koryntu); bywał też narzędziem propagandy, podkreślając więź władców ziemskich z bogami.

Moneta była (i jest nadal) nieocenionym narzędziem pomnażającym chwałę możnych; przypominała wszystkim, kto zwyciężył, a kto uległ, kto żyje w pomyślności. Nic dziwnego, że grawerzy tej klasy co Kimon mieli zapewniony zarobek i sławę.

MUZYK

płatny grajek

Grecy nie tylko uprawiali muzykę, ale wierzyli, że leczy rany i łagodzi cierpienia umysłu - pogląd szczególnie polecany społeczeństwu, które jeszcze nie nauczyło się harmonii.

Ulice i place Grecji i Rzymu rozbrzmiewały miłymi, prostymi melodiami. Robotnicy śpiewali przy pracy do wtóru fletu, tamburyna lub akordów kita-ry; czy to malowali, czy wyrabiali gliniane garnki, czy męczyli się z brudami w pralni. Żołnierze szli w bój zachęceni przez dziarskie rogi; wiosłarze poruszali wiosłami w takt bębna czy *aulosa*.

Sportowcy, szczególnie zapaśnicy i bokserzy, trenowali w rytm żywej muzyki; dyskobole i skoczki wie nieomal dosłownie tańczyli, walcząc w Olimpii.

Specjalne żałobne dźwięki towarzyszyły pogrzebom, niskie tony jak z oboja, wygrywane na długich zakrzywionych rogach. Uroczystości dożynkowe, wróżenie z wnętrzości zwierząt, zaślubiny, korowody taneczne podczas misteriów - wszystko miało swoje specjalne melodie. Także walki gladiatorów i krwawe widowiska z udziałem zwierząt toczyły się przy akompaniamencie rogów czy organów.

Muzyka stanowiła tło tragedii i komedii. Dialogi przeplatano pieśniami w wykonaniu chóru czy aktorów. Przy różnych świątecznych okazjach wielkie chóry współzawodniczyły między sobą. Komédie

Arystofanesa odznaczały się nie tylko humorem, wywołującymi śmiech aż do bólu brzucha, lecz i zachwycającymi partyturami. *Ptaki* zawierają arie - naśladownictwa dudków i słowików. Tańczącej Lizystracie przygrywają spartańskie dudy!

Za czasów rzymskich komedie Plauta i innych autorów odznaczały się podkładem muzycznym tak głośnym i żywym, że aktorzy wprost skarżyli się na zawrotne tempo.

Młodzi muzycy uczyli się sztuki w stojących na wysokim poziomie szkołach greckich i italskich. Poznawali tam lirę czyjej większego kalibru krewniaków: barbiton i gitarę. Tych poprzedników harfy i gitary podczas gry, polegającej na szarpaniu siedmiu strun, ustawiano pionowo. Słynna poetka i kompozytorka Safona była w podwójnym sensie liryczką. To ona też wprowadziła mniejszą odmianę liry, dostosowaną do jej drobnych dłoni.

Instrumenty dęte z blachy to rogi wygięte w kształcie litery „G” i długie trąby. Spośród drewnianych Rzymianie preferowali dającą podobne do fletu dźwięki *tibię*, Grecy zaś *aulos*, podwójną fujarkę z podwójnym stroikiem i trzema czy nawet szesnastoma otworami, dającą szeroki, donośny ton. *Aulos* wyglądem i dźwiękiem najbardziej przypomina współczesny klarnet, choć często błędnie nazywany jest fletem.

Do popisowywania się swoimi umiejętnościami i brania za to pieniędzy grajkom nie brakowało okazji, czasem mało chwalebnych. Na spotkania wesołych mężczyzn sprowadzano żeńskie muzykantki, by zabawiały uczujących nie tylko melodiami. *Aulos* towarzyszył często składaniu ofiar, zawodom sportowym i wielu innym wydarzeniom.

Wytrawni trębacze-wirtuozi, a zarazem rywale - Dionizodoros i Isme-niasz - z pogardą prychali na takie angaże. Swą sztukę rezerwowali dla

greckiej poezji czy dramatu; od szarego tłumu odróżniali się ubiorem, bogato zdobionymi żółtymi szatami i wspaniałymi nakryciami głowy.

W czwartym wieku przed naszą erą muzycy na ogół należeli do gildii zawodowych, ich zarobki rosły. W roku 290 p.n.e. pewien solista grający na *aulosie* zarobił 2400 drachm za dwa występy na festiwalach - ku czci Dionizosa i Demeter. Za cesarstwa było jeszcze lepiej, niektórzy utalen-

towani uzyskiwali sumy naprawdę gigantyczne, także od zachwyconych wielbicieli.

AUTOR, DRAMATURG, POETA tylko bez plagiatów!

Chcecie niespodzianki? Żaden wydawca, księgarz ani czytelnik nie płacił dawnym autorom za ich utwory. A poeci, dramaturdzy i inni twórcy, bezsilni wówczas, jak często i teraz, chętnie godzili się z tym stanem rzeczy, często własnym sumptem publikując utwory.

Niektórzy byli ludźmi zamożnymi i tylko dlatego zdobywali się na nie-dochodowe pisanie. Zrozumiało więc, że piśmiennictwo grecko-rzymskie reprezentuje w dużym stopniu punkt widzenia klas wyższych, z takimi chlubnymi wyjątkami jak badacz kondycji ludzkiej, grecki komediopisarz Arystofanes czy historycy Herodot i Pliniusz.

Ówczesni piszący też miewali kaprysy i dziwactwa. Eurypides nie mógł się skupić w gwarnych Atenach i uciekał do jaskini na Salaminie (archeolodzy odkopali tam kubek z jego imieniem). Pliniusz Starszy, u którego dzisiaj zapewne zdiagnozowano by chroniczną nadaktywność i poddano leczeniu, dyktował skrybom trzydzieści siedem tomów swojej *Historii naturalnej* w łaźni, podczas posiłków i uciążliwych podróży lektyką (aż żał tych biedaków, którzy musieli słowa mistrza spisywać).

Pierwszą formą „publikacji” poezji, dramatu i książek było głośne ich odczytywanie. Najchętniej wykorzystywano w tym celu wielkie święta publiczne, od igrzysk w Olimpii, Nemei, Istmie czy w Delfach po liczne rzymskie celebracje.

Czytanie dla publiczności stało się modne, wręcz bardzo, słuchanie również, od wiedziano więc tłumnie audytoria, czyli różnego rodzaju sale, gdzie mogli gromadzić się słuchacze. Toteż w II wieku n.e.

dał się odczuć w Rzymie powszechny

przesyt literacki, jako że niemal każdy potrafiący dyktować przelewał swe wypociny

na papirus. Jedynymi, którzy jeszcze dawali się słuchać, pozostali satyrycy w rodzaju Horacego czy Juwenalisa, których sarkazm - dosłownie z greckiego „rozrywanie mięsa” - pozostawał ostry i intensywny niczym nierozcieńczone wino.

By powielić dzieło w większej liczbie egzemplarzy, autor lub specjalnie przezeń zatrudniony lektor czytał je na głos grupie niewolników., którzy zapisywali słowa na zwojach papirusa szerokości 30 cm. Zapelniony zwój miał wymiary i kształt tekturowej tuby. Chcąc wyłapać ewentualne błędy popełniane przez lektora i skrybów, autor musiał żmudnie sprawdzać każdą kopię z osobna.

Nie istniało pojęcie praw autorskich, kwitł więc plagiat, i to jak najdosłowniejszy, bo bez wskazywania pierwowzoru. Istniała natomiast cenzura i „ręczne sterowanie”. Liczni poeci i pisarze byli klientami zależnymi od patronów, którzy zaglądali im przez ramię, podpowiadali tematy i formułkę dedykacji. Inni literaci zarabiali na chleb jako urzędnicy sądowi czy sekretarze. Jeśli w utworze popełnili niedyskrecję, mogli pożegnać się z intratnym stanowiskiem. Taka przygoda przytrafiła się Swetoniu-szowi, autorowi *Żywotów cesarów*; gorsza spotkała Owidiusza, który za *Sztukę kochania* został dożywotnio zesłany przez urażonego imperatora do (o matko!) Dacji.

Plagiatowany, dręczony, nieopłacany, deportowany - co jeszcze złego mogło pisarza spotkać? To, że będzie wciąż czytany. Taki na przykład Arystoteles... Spędzając miesiąc miodowy z pierwszą żoną na Lesbos, go dzinami włóczył się nad morzem, robiąc notatki do planowanej książki. Potem był bardzo zajęty kształceniem Aleksandra Macedońskiego, zakła-

daniem szkoły filozoficznej i pomniejszych sprawami, aż wreszcie zmarł w wieku sześćdziesięciu dwóch lat.

Tak, on zmarł, ale jego

chaotyczne zapiski nie. Najpierw pieczołowicie przechowywane, potem zakopa-

ne w ciemnej piwnicy na 150 lat, wydobyte, a raczej to, co

z nich zostało i „zredagowane w postaci książki. Przy-

najmniej sądzi się, że zreda-

gowane. Dzieło, przez które z mozołem przebijają się dzisiejsi studenci, przeraziłoby zapewne autora, a jego cień może wciąż powtarza w Hadesie: „gdybym tylko mógł to przejrzeć i poprawić...”.

GARNCARZ, ZDOBICIEL WAZ naczynia dla każdego, choć niektóre tylko dla dorosłych

Pojęcie „produkcji masowej” nawet nie powstało w głowach przedindustrialnych społeczności, takich jak Grecy. Co nie zmienia faktu, że masowo produkowali ogromne ilości wspaniałych przedmiotów, od monet po ceramikę.

W potocznym rozumieniu greckie wazy to wszelkie starożytne naczynia gliniane, często zupełnie odmienne od waz. Większość z nich służyła do przechowywania cieczy: wody, wina i oliwy. Zaskakuje olbrzymia różnorodność tej ceramiki. *Lekytoi* (1. poj. *lekytos*) przeznaczone były na oliwę, a szerokie nocniki na innego rodzaju płyn; w małych ampułkach wlewano pachnidła; ekstrawagancki filozof Diogenes mieszkał w przestronnym *pithosie*. Na kole garncarskim powstawały niskie kubki, czyli *skyfoi*, i butelkowate dzbany *kratery*, w których mieszano wino z wodą. Samych amfor było ponad czterdzieści rodzajów.

Forma naczynia zależała od jego przeznaczenia.

W pojemniku przypominającym grzyb trzymano śnieg do schładzania wina. Smukłe białe *loutroforos* zawierały specjalną wodę do weselnych ablucji, jak i nie mniej specjalną do obmywania zwłok (miejmy nadzieję, że nie tej samej osoby i nie w tym samym dniu). Jeszcze szczególniejszym naczyniem była fallicznego kształtu alabastrowa fiołka na oliwę, stosowaną przez troskliwe żony do smarowania organu męża na rozpoczęcie i zakończenie łóżkowych figli

(medyk Galen zauważa, że służyło to zdrowiu i wy-

...

godzie jego, nie jej).

W VI wieku p.n.e. w Grecji i koloniach prosperowało ponad sto warsztatów garncarskich. Firma

przeciętnej wielkości składała się z właściciela-mistrza i czterech innych garncarzy oraz z malarza i wypalacza.

Później w epoce rzymskiej wzory helleńskie kopiowano i upraszczano. Rzemieślnicy często podpisywali lub pieczętowali swe wyroby, stąd wiemy, że w większości byli greckimi niewolnikami albo wyzwolencami. Nad tradycyjną czarną barwę rysunku Rzymianie przedkładali połyskliwą czerwień, uzyskiwaną dzięki użyciu tlenku żelaza. Na tego typu wyroby, licznie produkowane, dobrze znoszące transport i tanie, mogło sobie pozwolić każde gospodarstwo domowe.

Najsłynniejsi garncarze działali w okolicach dzisiejszego Arezzo, produkując *terra sigillata*, modną przez kilkadziesiąt lat jasną, czerwono zdobioną ceramikę o błyszczącej, gładkiej powierzchni. Tamtejsze wielkie wytwórnie miały oddziały w Galii i innych prowincjach. Powstawały garncarskie fortuny, warsztaty urastały do gigantycznych na ówczesne warunki rozmiarów, zatrudniając po sześćdziesiąt i więcej osób, nie tylko niewolnych. Ci robotnicy wytwarzali w wielkich ilościach proste talerze, butelki i garnki; dla załogi przygotowywano po sto porcji gliny uformowanej w kule.

Rzymska ceramika rzadko była ręcznie malowana. Grecy natomiast zwyczajowo dekorowali swe gliniane wyroby scenami z mitologii, wizerunkami szalonych bogów czy obrazkami z życia codziennego. Podsuszone naczynia przed włożeniem do pieca przekazywano malarzowi, który odręcznie wykonywał węglem szkic, znikający po wypaleniu. Gama barw nie była wielka: biel kobiecego ciała, czerwień krwi i liter, brązowe cieniowanie. Ostatnie muśnięcia wykonywano nie pędzlem, ale szprycą ze szpiczastą końcówką, którą nakładano wypukłe linie. Na określone miejsca nakładano ochrę, wreszcie polerowano powierzchnię pyłem kostnym i agatowym.

Niektórzy Grecy, na przykład Sofilos, Nearchos, Amasis, Eksekias, byli zarówno garncarzami, jak i malarzami ceramiki. Podpisywali swe dzieła. Malowidła Amasisa i Eksekiasa odznaczają się niedościgłą wspaniałością. Tylko artyści tej rangi mogli zdobić malunkami zapierające dech amfory, które w charakterze dzisiejszych pucharów wręczano

na święcie Panatenajów [największe święto w Atenach ku czci bogini - patronki miasta. Wielkie Panatenaje obchodzono co cztery lata, Małe Panatenaje corocznie. Elementem uroczystości były rozmaite konkursy, zwłaszcza dramaturgiczne, podczas których wręczano wzmiankowane trofea - przyp. red.].

Co nie znaczy, że swymi dokonaniem nie chępnili się i mniej znani twórcy. Napis na jednej z czerwono zdobionych amfor zuchwale głosi: „Eufroniusz nigdy nie uczynił czegoś podobnego”. Zaś wśród wotów odnalezionych w małoazjatyckim Efezie jest i to złożone przez zwycięskiego garncarza Bakchiusa, świadczące, iż miasta ówczesne organizowały konkursy sztuki garncarskiej i nagradzały tryumfatorów.

RZEŹBIARZ I SPÓŁKA zespół artystyczny

Etruskowie osiągnęli doskonałość w obróbce brązu. Jeden z nich, znany jako Wulka z Wejów, tworzył poruszające arcydzieła przedstawiające bogów i ludzi. Największe z nich to Wilczyca Kapitolińska, święty symbol Wiecznego Miasta po dziś dzień.

Grecy i Rzymianie też sięgnęli po ten materiał, poznawszy jego artystyczny potencjał. Tworzyli w brązie wielce uzdolnieni adepci tej sztuki, ale dla uzyskania dzieła wysokiej klasy konieczna była ciężka praca zespołowa.

Małe wyroby z brązu mógł wytworzyć jeden człowiek. Inaczej posągi rozmiarów naturalnych i nadnaturalnych, jakie ustawiano w świątyniach. Odlewano je metodą wosku traconego, w częściach możliwych do udźwignięcia przez dwóch mężczyzn; oddzielnie ramiona, nogi, torsy i głowy. Linie połączeń pozostawiano matowe, często szorstkie, a po złączeniu ich nitami czy ukrytymi spojeniami miejsca te wygładzano pilnikami i pastą polerską. Potem pod okiem rzeźbiarza robotnicy dłutami wykańczali szczegóły, także bogate fałdy i draperie do dziś cieszące nasze oczy.

Równolegle trudzili się inni artyści - podwykonawcy. Specjalista zwany *oculararius* wyrabiał gałki oczne z kości słoniowej, szkła albo kamienia, by posąg wyglądał jak żywy.

Inny precyzyjnie modelował fryzurę rzeźby, zwykle wykonywaną w formie nakładanej peruki. W tej specjalności rzeźbiarze rzymscy wnieśli się na wyżyny sztuki. Często dostawali zamówienie na po-

dobizny cesarzy i cesarzowych, zmarłych i żyjących, a że ci nawet na pomnikach musieli nadążać za modą, więc okresowo zmieniano im brązowe koafiury.

Jeszcze inni przygotowywali majstersztyki w skali mikro: zęby, paznokcie i rzęsy ze srebra; sutki i wargi z miedzi; złotą lub srebrną biżuterię; dla niektórych dodatkowe loki z brązu lub żelaza.

Specjalizacja zawężała się wraz ze wzrostem zapotrzebowania na rzeźby najwyższej jakości. Biegły wykonawca głów skupiał się na portretowaniu twarzy, spec od stóp koncentrował się na tej części ciała, inni specjalizowali się wyłącznie w genitaliach (co wyjaśnia, dlaczego całkiem różne męskie posągi z brązu mają tak podobne „klejnoty rodzinne”).

Choć określenie „starożytna rzeźba” automatycznie kojarzy się nam z marmurem, to słynni rzeźbiarze nad to tworzywo przedkładali właśnie brąz. W nim wykonali najważniejsze swe prace Lizyp, Poliklet, Praksy-teles i Myron (ten od sławnego Dyskobola).

Podobnie rzecz się miała z samymi dziełami - najbardziej prestiżowe i największe rzeźby powstały w brązie. Dziewięciometrowa Atena Fidiasza na ateńskim Akropolu przez wieki była czczona przez Greków, aż w roku 1203 ottomańscy Turcy z Konstatynopola uznali ją za obiekt odrażający.

Stworzone przez zespoły rzeźbiarzy wzorce męstwa czy piękna okazały się trwalsze niż imperia, których chwałę miały głosić. Rzymianie posługiwali się pewną kliszą pojęciową na określenie czegoś wiecznego, np. przyjaźni. Mówili oni *aere perennhis*: trwalsza niż brąz. I to samo rzec można o tych zamierzchłych twórcach - znanych i nieznanym.

MALARZ FRESKÓW więcej niż zwykły kopista

Aczkolwiek w sztuce rzymskiej największą popularnością cieszyły się motywy mitologiczne i spora doza okrucieństwa, to jednak garść odważniejszych artystów zwróciła się ku codzienności. W rezultacie taki śmiały i przedsiębiorczy malarz biegły w malowaniu osłów, bezdomnych i innych mało wytwornych motywów mógł uzyskiwać ze swej twórczości wspaniałe dochody.

Ale nie byli jedynymi pionierami. Spuriusz Tadiusz wpadł na rewolucyjną myśl upiększania domów malunkami na ścianach. Pokrywał mury eleganckimi pejzażami, pełnymi willi i rzek, ale też zaludnionymi przez wieśniaków pracujących w winnicach czy wytwornymi parami w pozłaczanych łódkach.

Nowość zainicjowana przez Tadiusza weszła w modę. Wydawało się, że każdy Rzymianin mający własną willę pragnie ozdobić ją dziełem twórców murali. Zamiłowanie do wielkoformatowych obrazów spotkało się w tym wypadku z solidnym budowlanym rzemiosłem; freski, czyli malunki na świeżym tynku, cechował rozmach i trwałość.

Napływało coraz więcej zamówień. Muraliści tworzyli korzystając wiele z dziedzictwa greckiego, lecz nadali mu całkiem nową skalę. Na ścianie willi z 1 wieku n.e. nieznanemu malarzowi złożył hołd motywom ze zdobionych malowidłami greckich waz sprzed sześciuset lat. Przedstawił kobietę zajęętą pracą nad wełną. Postać narysowana jest swobodnie, z wielkim liryzmem, zarazem mocna i pełna wdzięku. Co więcej, stanowi obraz w obrazie, jakby jeden świat zawarty był w kolejnym.

Malowano też na ścianach świątyń, choćby rzymskiego sanktuarium bogini Ceres. Z czasem zyskały na popularności kolory żywe, intensywne i śmiałe, a freski tak wewnątrz, jak i na zewnątrz budynków stały się nieodłącznym elementem architektury.

Powodzenie materialne muralistów prowokowało krytykę malkontentów, takich jak Pliniusz Starszy, według którego sztuka publiczna, czyli malarstwa na murach świątyń, winna być ważniejsza od prywatnej, w domach mieszkalnych. Ironią losu jest, że przeważnie ocalały te przykłady tej twórczości, które powstały na prywatne zamówienie.

Jak powstawały? Muralista wykonywał wstępny szkic zwany *synopia*, od użytego brązowo-czerwonego barwnika. Następnie ściany pokrywano świeżym tynkiem, na który nanoszono farby mineralne. Wraz z jego wysychaniem utrwały się kolory, stając się integralną częścią ściany.

Bardziej fantazyjnie dekorowane wille miały w każdym pomieszczeniu freski o odmiennej kolorystyce i tematyce - ptaki, faunę morską, maki, pejzaże oraz dyżurne tematy: Wenus i Marsa.

W słynnej Willi Misteriów pozwolono sobie na dodatkową ekstrawagancję. Ściany wewnętrznych pomieszczeń pomalowano wspaniałą czerwienią pompejańską. Gdy wyschła, artysta wypolerował powierzchnie, uzyskując efekt, jakby się jarzyły. Wówczas namalował na nich natural-

nej wielkości postaci oddające się enigmatycznym czynnościom, może uczestniczące w bachanaliach.

Nie przetrwał żaden z fresków wykonanych przez Greków, więc nie ma dowodów pozwalających po raz kolejny nazwać Rzymian imitatorami. I bez tego rzymscy twórcy mają na ogół złą opinię, jeśli chodzi o oryginalność, i często ich dokonania nazywa się „rzymską kopią greckiego pierwowzoru”.

Oczywiście Rzymianie mają wobec Greków dług wdzięczności - taki, jaki współczesna sztuka ma wobec obu tych narodów. W XXI wieku n.e. właściciele willi znów zamawiają murale, dając dzisiejszym artystom okazję do złożenia hołdu mistrzom fresku sprzed dwóch tysięcy lat.

UKŁADACZ MOZAIK mistrzowskie kawałki

Najtrwalsze grecko-rzymskie dzieła sztuki często były deptane. To mozaiki. Niektóre przetrwały dwadzieścia wieków ruchu pieszych i wciąż błyszczą zachwycająco z podłóg willi, pałaców i łaźni.

Choć wielu artystów pracowało nad mozaikami, nie żałując pleców i kolan, w większości pozostali bezimienni, gdyż tylko wyjątkowo podpisywali się na dziełach.

W macedońskiej stolicy Pelli wnieśli się na szczyty sztuki w epoce króla Filipa i jego syna Aleksandra. Arcydzieło o wymiarach trzy metry na trzy znane jako *Polowanie na jelenie* opatrzone inskrypcją „wykonał Gnosis”; to najstarsza na świecie mozaika z podpisem autora [niekończąc. Greckie słowo „gnosis” oznacza tyle, co wiedzący, zwłaszcza „mający wiedzę niedostępną innym” (stąd gnoza). Toteż ów podpis nie musi zawierać imienia własnego twórcy, a oznaczać właśnie, że dzieło wykonał mistrz znający swój fach - przyp. red.], złożona z ciasno przylegających do siebie, zwykłych kamyków, dobranych według barwy i rozmiarów.

Inspirację Gnosis i jego koledzy czerpali z innych dziedzin sztuki, choćby wielkoformatowego malarstwa, jakim zdobiono ściany luksusowych willi w całej Macedonii. Podpatrzono tam triki pozwalające posługiwać się perspektywą i skrótami. Niektórzy stosowali wyszukane materiały, jak odstępniki z terakoty czy ołów, do podkreślania konturów, nawet kamie-

nie szlachetne na oczy postaci - wszystko dla lepszego efektu. Gnosis cel ten osiągał wyłącznie używając drobniejszych kamyków. Nikt już nie dorównał mu w artyzmie i pracowitości. Przez kilka stuleci powstawały Kamienne mozaiki od Rodos po Półwysep Iberyjski, ale znacznie prymitywniejsze.

Eksperymentowano, uzupełniając kamyki odłamkami marmuru, lecz prawdziwy przełom przyniosło zastosowanie sztucznie przycinanych, zgrabnych płytek kamiennych (*tessera*), umożliwiających artystom zastosowanie szerokiej palety barw i form. Pierwszy portret tą techniką wykonał Aleksandryczyk Sofilos około roku 150 p.n.e. i szybko znalazł licznych naśladowców.

W konkurującym ze stolicą Ptolemeuszów małoazjatyckim Pergamonie rozwijał się talent Sorosa. Nie przetrwało żadne z jego dzieł, ale znamy przynajmniej kopie, wykonane przez wielu zdolnych układaczy. Jakies dziesięć lat po inauguracji nowego stylu przez Soflosa Soros stworzył dzieło zatytułowane *Gołębice u wodopoju*. Za pomocą drobnych płytek, także szklanych, „namalował” odbłask światła, falowanie wody, nawet cienie rzucane przez cztery niemal żywe ptaki. Po tym sukcesie nastąpił kolejny, w postaci dającej złudzenie optyczne mozaiki *Niesprzątnięta izba*, gdzie na podłodze jadalni wały się kości kurczaków, szkielety rybie, łupiny orzechów, a mysz obwąchiwała resztki posiłku.

Z czasem upowszechniły się *emblemata*, mozaiki mniejszego formatu, rozmiarów 50 do 100 cm, umieszczone na kamiennej płycie i wmurowywane w ścianę bądź w podłogę.

Wyjątkowe w porównaniu z nimi, bo gigantyczne, było niezwykle ekspresyjne, liczące 16 metrów kwadratowych arcydzieło przedstawiające Aleksandra Wielkiego. Dotrwało do naszych czasów, choć uszkodzone. Sądzi się, że wzorowane było na malarstwie Filoksenosa, który uwiecznił jedną z dwóch wielkich bitew pomiędzy armiami królów Macedonii i Persji.

Sporo zawdzięczamy autorom mozaik z dawnych wieków. Przetrwale mimo upływu czasu, stanowią dla nas najbogatszą „książkę z obrazkami” opowiadającą o życiu, ubiorach, pracy i rozrywce Greków i Rzymian. Na najwyższe uznanie zasługuje natomiast międzynarodowa grupa współczesnych artystów, którzy poświęcili dwa lata (i ponad milion drobnych płytek *tessera*), by odrestaurować wspomnianego Aleksandra i umieścić na właściwym miejscu w Domu Fauna w Pompejach.

MALARZ SZYLDÓW I OGŁOSZEŃ graffiti - znak czasów

Ludzkość od dawna zna plagę maniaków bazgrzących na ścianach różne gryzmoły, mniej lub bardziej dopracowane. W czasach rzymskich niektórzy z nich nawet całkiem przyzwoicie z tego żyli.

Przykładami takiej twórczości są miasta na południu Italii, głównie Pompeje, Neapol i Herculanium. Zewnętrzne ściany domów i bramy do dziś pełne są napisów: politycznych haseł, ogłoszeń o dzierżawie, ostrzeżeń, maksym, bezwstydnym przechwałek, sztubackich żartów, satyrycznych paszkwili, obwieszczeń o walkach gladiatorów. Wiele jest ich także na ścianach wewnętrznych i na cmentarzach. W tawernach są to zapiski lichwiarzy i bieżące notowania gier hazardowych, w łaźniach i na nagrobkach widnieją ogłoszenia erotyczne.

W I wieku n.e. corocznie w marcu obywatele Pompejów i okolic ubiegający się o urząd publiczny deklarowali to na froncie swoich rezydencji. Przydawało to dynamizmu kampanii wyborczej i stwarzało zapotrzebowanie na wykonawców napisów, zatrudnianych przez kandydatów i ich stronników.

Inaczej niż amatorskie graffiti czy zwykłe komunikaty typu „Zły pies” albo „Pokoje do wynajęcia”, fachowo wykonane obwieszczenia wyróżniały się pięknem i starannością, sporządzano je z użyciem czarnej i czerwonej farby, wysokiej jakości pędzlami. W zawodzie malarza ogłoszeń specjalizowali się uzdolnieni młodzi ludzie. Pracowali często przy świetle pochodni, nawet księżycą, bądź wcześniej rano, gdy ulice nie były jeszcze zatłoczone.

Niektórzy osiągnęli wysoki poziom artystyczny i popularność, nawet podpisywali swą twórczość i opatrywali własnymi komentarzami, jak ten dziękujący karczmarzowi za użyczenie krzesła, na którym malarz stanął, by móc sięgnąć wyżej. Wciąż, po dwóch tysiącach lat, czytelne są anonse wykaligrafowane lekką dłonią przez Papilioną i Astylusa na ścianach warsztatu przy ulicy Obfitości w Pompejach i obok świątyni Izis.

Pracowity Emiliusz Celer sam pokrył podpisami swój dom, by klienci mogli doń łatwiej trafić. Mieszkał tuż obok jednego z kandydatów i nakreślił hasło go popierające wraz z ostrzeżeniem dla konkurencji: „Sąsiedzi wzywają cię do wyboru Lucjusza Stacjusza Receptusa na *duovira* z władzą sądenia. On zasługuje na to stanowisko. Napisał A. Celer, jego

sąsiad. Jeśli złośliwie zniszczysz ten napis, możesz poczuć się bardzo źle".

Kandydaci nie dbali o spójność elektoratu. Liczyła się liczba i różnorodność. W samych Pompejach znaleziono ponad 1600 ogłoszeń wyborczych, autorstwa sprzedawców czosnku, parobków, jubilerów, pracowników pralni i innych. Zazwyczaj są to komunikaty „Głosuj na ta-kiego-a-takiego, to dobry człowiek". Autorzy nagminnie posługiwali się skrótami: VB oznaczało na przykład „dobry człowiek", a OFM „proszę na niego głosować".

Ogłoszenia zamawiały też kobiety, niewolnicy i biedacy. Polityczne docinki grupy rozrywkowych kelnerek-prostytutek pokryły ściany oberży Asseliny. Inny slogan głosi: „Drobni złodziejaskowie popierają takie-go-a-takiego" („złodziejaskowie" to równie dobrze mogła być potoczna nazwa całkiem poważnego stronnictwa).

Po wyborach wykonawcy napisów wracali do zwykłych tematów, od pożegnań zmarłych bliskich po rozrywkę. Z czasem udoskonaliли swój słownik akronimów i skrótów. Oto tekst dowodzący, że skondensowana i lapidarna łacina wciąż była zrozumiała:

VEN.ET.GLAD.PAR.XX.M.TULLI

PUGN.POM.PR.NON.NOVEMBRES.VII.IDUS.NOV

Ten lakoniczny tekst głosi, że niejaki Marcus Tullius planuje pokazać w dniach 4-7 listopada w Pompejach polowanie na dzikie bestie i dwadzieścia par swych gladiatorów.

Gdyby owi starożytni skrypcy ożyli, pewnie zostaliby powitani z otwartymi ramionami przez dzisiejszych graffitiarzy, wyzywających się w tunelach i na wagonach metra, i też z pewnością by się nie nudzili.

SENCJA SEKUNDA; ze szklanego domu

Nawet najbardziej utalentowani rzemieślnicy wyrabiający szkło rzadko są dziś rozpoznawani. Nie sławili ich krytycy, nie urządzano im wernisaży z małutkimi kanapeczkami i winem. Artysta kładący podpis na swych wyrobach należał do rzadkich wyjątków.

Takich jak Sencja Sekunda, działająca jako *vitarius* w rzymskiej Akwilei nad Adriatykiem, gdzie wchodziła w skład zakorzenionej tam wspólnoty żydowskich twórców. Mogła być niewolnicą, co czyniłoby jej osiągnięcia tym godniejszymi podziwu. Jest jedną z garstki twórców szkła, których znamy z imienia.

Na Bliskim Wschodzie obróbkę szkła udoskonalano przez stulecia, natomiast dla Rzymian jeszcze w I wieku n.e. była to tajemnicza nowość. Większość obiektów szklanych wytwarzali doświadczeni rzemieślnicy będącymi uchodźcami z Palestyny, osiedlający się w gminach żydowskich rozsianskich w Italii, południowej Galii i Germanii.

W warsztacie Sencja stosowała uświęcone tradycją materiały: piasek, sodę i wapno, jako paliwo na palenisku służyło drewno. Narzędzia nie zmieniły się wiele przez dwa tysiące lat: piszczel, czyli metalowa rurka do wydmuchiwania form, pinceta i szczypce, którymi ścisłała roztopione szkło i nadawała mu kształt na kamiennym blacie. Ówczasem osiągnęto pożądany kształt głównie przez wydmuchiwanie bądź odlewanie. Formy z kamienia, gliny lub brązu opatrzone były nacięciami tworzącymi deseń. Bardziej skomplikowane wyroby uzyskiwano formując na przykład krążek z kolorowego, płynnego szkła i wtapiając go w odlew.

Butelki, na których umieszczała swe imię, wykonywała Sencja nadmuchiując stopione szkło na czworokątną formę. Gotowy produkt miał zazwyczaj barwę niebieskawozieloną, od żelaza, którego domieszkę zawiera zwykle piasek. Inne kolory uzyskiwano stosując miedź (rubinowy), kobalt (intensywnie niebieski) czy mangan (odcień żółty bądź purpurowy).

Kończąc swą zmysłowo piękną butelkę o kwadratowym dnie, dodawała uchwyt i szyjkę, wykonywane drogą swobodnego dmuchania (bez formy). Niewątpliwie produkowała również inne obiekty ze szkła, lecz do dziś dotrwały tylko jej flaszki. Odnalezione w austriackim Linzu nad Dunajem, noszą napis głoszący: *Sentia Secunda facit Aquieiae vitra* (Sencja Sekunda wykonała w Akwilei ten przedmiot ze szkła).

W świecie grecko-rzymskim używano masy małych, zgrabnych pojemników szklanych na perfumy, maści, na pogrzebowe libacje (czyli ofiary dla bóstw). Najstarszą techniką było wylepianie na żelaznym pręcie formy z gliny lub nawozu w kształcie planowanego naczynia. Gdy wyschła, zanurzano ją w kąpielu szklanej. Czasem dodawano ozdoby w postaci pasków czy esów-floresów o kontrastowej barwie.

W miarę jak wzrastała liczba zamówień, upowszechniała się technika swobodnego wydmuchu, dzięki której Sencja ze współpracownikami mogła wytwarzać więcej naczyń najwyższej jakości, bez zwiększania nakładu pracy.

W przeciwieństwie do wielu kolegów po fachu, Sencja zapewne stale mieszkała i pracowała w Akwilei. Twórcy szkła często bywali wędrownymi rzemieślnikami, przenoszącymi się tam, gdzie byli potrzebni. Biorąc

pod uwagę wymagania sprzętowe, łatwiej było przenieść robotników do warsztatów niż odwrotnie.

APOLLODOROS; urodzony piniacz

Apollodoros już od urodzenia miał dobre perspektywy, jako potomek bogatego bankiera i przemysłowca, który własną inwencją i wysiłkiem wdarował się na szczyty społeczne. Ów Pasjon może i był groszorem do szpiku kości, lecz prawdziwą jego pasją był starszy syn. Apollodoros ("dar Apolla"), odebrał najstaranniejsze wykształcenie, ćwicząc zarówno sztukę oratorską, jak i attycką grekę w piśmie.

Ale mały dar boga na tym nie poprzestał. Zdobył teoretyczną wiedzę o bankowości obserwując operacje tatusia; został mówcą równie zna-komitym, co jego rywal Demostenes. A dzięki upodobaniu do utarczek słownych przeistoczył się w błyskotliwego prawnika.

Odejście ojca z tego świata było wstrząsem; lecz jeszcze większym okazał się testament. Rodzinny bank odziedziczył Formio, były niewol-nik i prawa ręką Pasjona w interesach. Wdowa Archippa została zobowiązana do poślubienia wyzwolenca, by wszystko pozostało w rodzinie.

Apollodoros niewiele przejął się matką, lecz postanowił za wszelką cenę puścić starego Formio bez sandałów. Wraz z bratem Pasiklesem

otrzymał wprawdzie w spadku okazały majątek, w tym ojcowską wytwórną tarcz wojennych, lecz to go nie satysfakcjonowało, zaangażował się więc w dziewiętnastoletnią walkę sądową z testamentowym ojczymem. Z tej jednej sprawy wzięły początek inne. Apollodoros żałł się z każdym, od miejscowych polityków po samego Demostenesa.

W końcu jego edukacja przyniosła efekty godne poniesionych na nią kosztów, kiedy Apollodoros wygrał obie własne sprawy i szereg innych, pozostałych po ojcu. (Wystąpienia w siedmiu procesach, których dokumentacja się zachowała, przez długi czas przypisywane supermówcy Demostenesowi, okazały się być napisane i wygłoszone przez niego).

Wreszcie w roku 368 przeżył swój wielki dzień, gdy powołano go na jednego z benefaktorów swego miasta. Przyjął *liturgię* - czyli stanowisko oficjalnego dobroczyńcy, najważniejsze, jakie w Atenach mógł osiągnąć człowiek bogaty.

Jako gwarant przedsięwzięć obywatelskich, sfinansował budowę okrętu wojennego i - ku powszechnemu zaskoczeniu - objął na nim dowództwo. Zdecydowany zaćmić wszystkich rozmachem wydatków, pompował pieniądze we wspaniałe wyposażenie długiej na 50 metrów jednostki. Nic dziwnego, że po ukończeniu okazała się najpiękniejszą triemą w Grecji, wprawdzie nieco droższą niż przewidywano, ale w końcu ojciec nie zaglądał mu przez ramię, a było z czego dokładać.

Następnie radosny fundator zajął się osobiście kompletowaniem załogi. Zwyczajowo żeglarz otrzymywał drachmę za dzień służby, przy czym połowę należności wypłacano po zakończeniu rejsu. Apollodoros uznał, że to śmiesznie mało, i by dobrze się upamiętnić, zwerbował doświadczoną załogę, obiecując każdemu znaczącą premię płatną z góry. Otrzymało ją w sumie sześciu majtków, czterech łuczników, trzech oficerów, dziesięciu hoplitów i stu siedemdziesięciu wiosłarzy, na których stwardniałe dłonie odliczył srebrne monety.

Zignorował narzekania żony na swą ekstrawagancję. Zaraz przecież wyruszy w drogę jako dowódca własnego okrętu i uwolni się od babskich krzyków. Misja przebiegała spokojnie; przez rok eskortował transporty zboża z Morza Czarnego do ateńskiego portu w Pireusie.

Wszyscy byli pod wielkim wrażeniem, nawet klienci u golibrody. Jedynym zgrzytem było to, że po zejściu na suchy ląd Apollodoros stwierdził, iż dzięki swej lekkomyślności został w wieku czterdziestu pięciu lat bankrutem na własne życzenie. Sprawę z wokandy realnego życia syn bankiera przegrał.

NAUCZYCIEL

wymarzony zawód dla kryptosadystów

Warunki zawodowe współczesnego pracownika oświaty bez wątpienia nie są imponujące, ale i tak powinien być wdzięczny losowi, że nie urodził się przed naszą erą.

W każde idy, czyli trzynastego albo piętnastego dnia każdego miesiąca, rzymscy nauczyciele dostawali od rodziców nędzną zapłatę, o którą zresztą czasem musieli się wręcz uniżenie dopominać. By zarobić tyle, co poganicz mułów, nauczyciel musiał mieć przynajmniej piętnastu uczniów.

Ówczesni pedagodzy nie mieli motywacji do dodatkowego wysiłku. Nieliczni szczęśliwcy zostali nagrodzeni za to, że na taki wysiłek się zdobyli. Wyzwoleniec Weriusz Flakkus wprowadził w swej klasie współzawodnictwo, by pobudzić umysły podopiecznych, i powołano go na nauczyciela wnuków cesarza Augusta, z olbrzymią pensją roczną stu tysięcy sestercji. Należał do uprzywilejowanej mniejszości; większość musiała dorabiać na boku, by przeżyć.

Edukacja była dziedziną żałośnie niedoinwestowaną. Nie było specjalnych budynków, pomieszczeń, ławek, pomocy naukowych, nawet nędznej kserokopiarki.

Nauka zaczynała się każdego dnia jeszcze przed świtem. Dzieci przychodziły z woskowymi tabliczkami, by na nich pisać, i oliwnymi lampkami, by widzieć, co piszą. Od ich płomieni sadzą pokrywały się nieliczne zwoje (książki), jakimi dysponowały. Niektórzy nauczyciele wynajmowali pomieszczenia, inni uczyli na świeżym powietrzu, przy ładnej pogodzie na poboczach dróg i placach, w czasie deszczu pod zadaszonymi kolumnadami.

Jasną stroną życia ówczesnego pedagoga była nieobecność administracji, rad szkolnych, testów, doskonalenia zawodowego, grantów, zadręczających rodziców. Do uprawiania zawodu nie były potrzebne referencje, raczej zamiłowanie do dyscypliny. Zwykle nauczyciel nosił bat, a rodzice oczekiwali, że będzie go swobodnie używał.

Antyczni Grecy i Rzymianie nie znali przedszkoli, gdzie zabawki byłyby zarazem pomocami dydaktycznymi, a zabawa czynnikiem rozwoju. Rodzice powierzali wstępną edukację potomstwa niewolnikowi zwanemu pedagogiem. Rolę tę pełnili często wykształceni ludzie wysokiego

rodu, którzy wskutek wojny czy napadu piratów popadli w niewolę, zazwyczaj umiejący więcej niż rodzice-zleceniodawcy.

Niektórzy z nich uczyli podstaw czytania, pisania i rachunków, lecz przede wszystkim ich zadaniem było wdrożenie do właściwego zachowania i ogólny dozór. Rodzice byli, jak i dzisiaj, wyczuleni na kwestię wykorzystywania seksualnego małoletnich czy wpływ złego towarzystwa, więc pedagog musiał jak cień towarzyszyć swemu małemu podopiecznemu.

Greckie dzieci podstaw czytania i pisania uczył *grammatikos*, czyli grammatyk, śpiewu i gry na lirze muzyk, o tężyznę fizyczną dbał trener. Wśród Rzymian ci, których nie stać było na prywatnych nauczycieli, posyłali pociechy na naukę do *magistra*, czyli nauczyciela najniższego szczebla, który wpajał im znajomość rachunków i umiejętność wkuwania różnych rzeczy na pamięć. Dziesięcioletni Rzymianie (rzadziej Rzymianki) u grammatyka pobierali lekcje greki, poetyki, pisowni, filozofii i krasomówstwa. Zamożne rodziny zatrudniały specjalnych nauczycieli dla córek.

Czternastolatków uznawano za wystarczająco wykształconych. Większość chłopców rozpoczynała wówczas pracę, dziewczęta zazwyczaj wychodziły za mąż, do czego miały prawo już od ukończenia dwunastu lat.

Nieliczni wybrańcy, prawdziwa elita pokolenia, przystępowali do studiowania retoryki, czyli sztuki przemawiania, pod kierunkiem profesora. Była to jedyna droga do kariery oratora czy urzędu publicznego. Poza słuchaniem pouczeń mistrza towarzyszyli mu przy jego zajęciach i brali zeń przykład, obserwowali reakcje słuchaczy i sądów, ucząc się zręcznej argumentacji i szybkiego reagowania na nieoczekiwane sytuacje.

Choć nie ma żadnej pewności, można bezpiecznie zaryzykować twierdzenie, że niewielu z tych studentów decydowało się na zawód wychowawcy.

PRZEWODNIK

starożytnie wciskanie kitu

Gdyby przyszło nam uprawiać turystykę zgodnie z modą sprzed dwóch tysięcy lat, czulibyśmy się jak w domu, gapiąc się bezmyślnie na piramidy czy mozolnie brnąc przez Troję. I tak jak dziś, również wtedy główne atrakcje łatwo było rozpoznać, gdyż to wokół nich kłębił się najwięk-

szy tłum przewodników, uczynnych małych żebraków, pseudotłumaczy, wskazywaczy atrakcji i tym podobnych ekspertów.

Dawni przewodnicy starali się ze wszech sił sprostać szlachetnemu wyzwaniu zapewnienia zwiedzającym cudownych wrażeń, byli więc drobiazgowo przygotowani, świetnie znali miejscowe obiekty i dawali z siebie wszystko. Szkopuł w tym, że takie wzory doskonałości zawsze trafiały się wyłącznie innym.

Wytrawni podróżnicy jak Herodot, Pauzaniasz, Plutarch, którzy później napisali szczegółowe przewodniki po zwiedzanych regionach, często złorzeczyli owym *mystagogi* („nauczycielom sekretów” po grecku, choć może określenie „twórcy sekretów” byłoby bardziej na miejscu). Opisując zwiedzanie sanktuarium delfickiego, członek grupy Plutarcha warknął: „Nasz przewodnik odmówił skrócenia swej mowy i dręczył nas standardowym gładzeniem”.

Dotrwały do naszych czasów antyczne napisy na obiektach już w starożytności uważanych za zabytki. Poza nieśmiertelnymi „Tu byłem” czy „Zachwycające” (najczęściej spotykane słowo ryte na antycznych kamieniach), są wśród nich modlitwy turystów, jak to żarliwe wezwanie pewnego rzymskiego historyka: „Chroń mnie, Zeusie, od przewodników w twojej Olimpii; i ty, bogini Ateno, od twoich w Atenach”.

Starożytni podróżnicy mieli pod pewnymi względami gorzej od współczesnych włóczykijów. Mapy były rzadsze niż mityczne gryfy. Nieliczne istniejące przewodniki studiowano przed podróżą; gdyż były zbyt drogie, by brać je ze sobą, i zbyt niewygodne do czytania na wietrze.

Z drugiej strony ówczesni turyści dysponowali tragarzami do noszenia prowiantu, sprzętu czy dodatkowej odzieży; nawet zubożały wędrowiec miał ze sobą co najmniej jednego. Ponadto elita podróżników miała własne „Rozmówki” w ludzkiej postaci - niewolników znających grecki, a zapewne i inne języki, lepiej od swego pana.

Przewodnicy, mimo swoich wad, znajdowali zatrudnienie. W słynnych ośrodkach jak Delfy wynajmowali ich niemal wszyscy zwiedzający, by nie stracić orientacji wśród mnóstwa zabytków i arcydzieł. To samo dotyczyło świątyń, spełniających wtedy rolę galerii i muzeów. Na wynalazek fotografii trzeba było czekać jeszcze dwa milenia, więc zwiedzający mogli wynająć szkicowników czy miniaturzystów o szybkich dłoniach, by uwiecznili godne tego momenty ich pobytu.

Starożytni przewodnicy mieli też uboczne zajęcie, naśladowane przez ich kolegów z XXI wieku, a mianowicie naganianie klientek do leżących tuż obok stoisk z pamiątkami, prowadzonych przez ich podstarzałych kuzynów, a zawałonych wszelką tandetą, od przynoszących szczęście posążków po toporne modele piramid, przy czym wszystko to oczywiście „po okazyjnej cenie”.

Gdy chrześcijanie zaczęli być dobrze widziani przez władze, dla wędrowców tego wyznania powstała sieć schronisk zwanych hospicjami, zlokalizowanych zazwyczaj w pobliżu sanktuariów i klasztorów. Każde oferowało dach nad głową i wyżywienie, także przewodników oprowadzających po okolicy - a wszystko za „co łaska” i na lepszym poziomie.

HURTOWNIK OLIWY

kto oliwi, ten jedzie

Drzewo oliwki, owoc i wyciśnięty z niego tłuszcz miały dla Greków znaczenie sakralne. Zostały podarowane Ateńczykom przez ich opiekun-czą boginię Atenę i dlatego były otaczane szczególną czcią. W VI wieku p.n.e. Solon uznał ścięcie drzewa oliwnego za zbrodnię główną. Na dorocznym święcie Małych Panatenajów zwycięzcy wyścigu rydwanów wręczano lśniącą, zdobioną amforę napelnioną attycką oliwą. W innej części Hellady, w Olimpi, organizatorzy igrzysk oliwkę cenili tak wyso-ko, że upleciony z jej gałązek wieniec był jedyną nagrodą dla zdobywcy pierwszego miejsca w poszczególnych konkurencjach.

Oliwa, wszechstronny płyn stosowany jako pożywienie, olej do sma-żenia, lek, filtr przeciwsłoneczny, paliwo do lampek, środek przeczyszczający i antykoncepcyjny, choć nie całkiem skuteczny, oraz kosmetyk - stał się głównym przedmiotem ateńskiego eksportu. Grecy koloniści szybko też przenieśli sadzonki do Italii, a niebawem srebrzystolistne gaje pojawiły się na urodzajnych gruntach w dalszych stronach, na Półwyspie Iberyjskim i w Afryce Północnej.

Z oliwy żyły tysiące plantatorów, zbieraczy, przetwórców, przewoźni-ków i hurtowników.

Rolnicy od dawna wiedzieli, że mocne, odporne drzewka nie potrze-bują wiele wilgoci, świetnie rosną na gliniastej glebie w pofałdowanym terenie, najlepiej czują się w nadmorskim pasie szerokości 80 kilome-trów. Zbiory odbywały się w grudniu, owoce zrywano bądź strząsano, uderzając w gałęzie długimi kijami.

Zerwane oliwki najpierw przerabiano w tłoczni, pozbawiając je skórek. Pierwsze tłoczenie odbywało się w prasie dźwigniowej, czasem w śrubowej, używanej przy mniejszych ilościach. Czteruosobowa brygada wykonywała ponad dwadzieścia tłoczeń dziennie, uzyskując około 270 kg oliwy.

Początkowo wzorcem jakości była oliwa attycka, do której przyrównywano wszystkie inne. Na rynku w Atenach do-konywano na potrzeby klientów urzędo-

wych testów jakości towarów szczególnie cennych, jak wino czy oliwa. Fortuny zdobywali kupcy, którzy odważyli się wysłać charakterystyczne brzuchate amfory wypełnione oliwą w morską podróż do Egiptu czy portów czarnomorskich. Później Ateny utraciły pierwszeństwo na tym rynku na rzecz Rodos, Krety, Sycylii i Azji Mniejszej, gdzie produkcję oliwy niemal zmonopolizowano.

W czasach rzymskich olbrzymie ilości tego płynu ekspediowano z portów w Cosa i Brundyzjum. Z północnej Italii oliwa trafiała na Delos i nawet do Aten, bowiem w ciągu wieków liczba ludności tam wzrosła, a produkcja zmalała.

Na szczycie „oliwnej” drabiny zawodowej stali hurtownicy, tacy jak ci z południowoiberyjskiej prowincji Betyka, w roku 75 n.e. zjednoczeni we wpływową gildii zwanej *corpus oleariorum*. Kontrolowali oni wysyłkę towaru z rejonów między Kadyksem a Kordobą, gdzie zasobne plantacje oliwek dostarczały owoców najwyższej jakości. Stosowali też tak ulubioną przez dzisiejsze korporacje koncentrację pionową, mając własne wytwórnie amfor i statki do ich transportowania.

Tacy hurtownicy jak na przykład Eliusz Optatus mogli kupować i sprzedawać senatorów. Kopiając na Monte Testaccio, rzymskim pagórku utworzonym z rozbitych naczyń glinianych, archeolodzy znaleźli mnóstwo skorup opatrzonych jego imieniem, podobnie jak imieniem Fadiu-sza Musy, regionalnego patrona gildii, łożącego na coroczne uroczystości organizacji i premie dla członków.

Optatus, Musa i ich koledzy byli potentatami oliwy, tym zasobniejszymi, że, inaczej niż dziś, nie uznawali praktyki zwrotu towaru. Dzięki nim hurtownicy oliwy uzyskali takie same przywileje podatkowe jak dostawcy zboża. Rozsądni cesarze nie zapominali, że codzienna oliwa i chleb utrzymuje Rzym przy życiu.

PASJON; świetnie liczył - na siebie

W złotych wiekach Aten, gdy rządzili, tworzyli, działali i szokowali wielcy ludzie, poniżany cudzoziemiec z Fenicji osiągnął rzecz nieprawdopodobną.

Pasjon trafił do Aten podobnie jak wielu innych - został wzięty podczas wojny do niewoli i sprzedany. Nowi panowie, dwaj bankierzy z Pireusu, szybko zauważyli, że Fenicjanin ma nadzwyczaj bystry umysł. Gdy nauczył się obsługiwać tablicę na placu targowym, na której codziennie

podawano bieżący kurs wymiany, wyznaczili go do pobierania pieniędzy od dłużników z początkiem każdego miesiąca, udzielania pożyczek na standardowe 10% i uczestnictwa w przetargach na udzielanie kredytu i inne usługi bankowe.

Mimo niskiego statusu społecznego i swej kulejącej greki zyskał u miejscowych opinię człowieka najwyższego zaufania. Urzeczeni jego uczciwością i odpowiedzialnością właściciele wyzwolili go.

Będąc dusigroszem, nowy wyzwoleniec działał zdecydowanie. Wykupił firmę patronów, gdy przeszli w stan spoczynku; nabył wytwórnictwo tarczy wojennych, z której osiągał potem roczny dochód, licząc z grubsza, 32 000 dzisiejszych dolarów. To był dobry interes, jako że rywalizujące ze sobą Ateny i Sparta znów toczyły niekończącą się wojnę i oręża potrzebowały jak powietrza.

Po trwających dziesiątki lat walkach Ateny były skrajnie wyczerpane, duchowo i finansowo. Widząc przybraną ojczyznę w opałach, Pasjon nie pozostał bierny, wspaniałomyślnie podzielił się z nią zyskami osiągniętymi w bankowości i produkcji zbrojeniowej, dorzucając wielkodusznie także tysiąc tarcz i bojową triemę.

W zamian zgromadzenie ludowe podjęło uchwałę niebywałą jak na przełom V i IV wieku p.n.e., nadając Pasjonowi pełne obywatelstwo. (Ateńczycy, nowojorczyki tamtego czasu, rzadko przyjmowali do swej sfery kogoś z zewnątrz, a jeszcze rzadziej nadawali mu pełnię praw).

Świeżo upieczony Ateńczyk ożenił się, wszedł w rynek nieruchomości, pożyczał na wysoki procent po pięćdziesiąt talentów (środków na to mu nie brakowało), płodził dzieci. Był niezmiernie pobłażliwym ojcem, jego stosunki ze starszym, kłótliwym i przyjmującym roszczeniową postawę synem Apollodorosem wyglądają bardzo współcześnie.

Zmarł w roku 370 p.n.e., pozostawiając wdowę i sieroty w osłupieniu, gdyż bank i kochającą małżonkę zapisał testamentem Formionowi, swemu byłemu niewolnikowi i długoletniemu zarządcy interesu. Pragmatyczni Grecy widzieli w tym rozsądną troskę o majątek, wysoce zawiedzeni potencjalni spadkobiercy zaś - kłodę rzuconą im pod nogi. (Więcej szczegółów z życia tej niezwyklej dynastii i burzliwej kariery Apollodo-rosa w rozdziale V).

WYTWÓRCA PERFUM zamknąć zapach we flakonie

Zapach odgrywał znaczną rolę w codziennym życiu Greków i Rzymian, którzy nie tylko skrapiali się wonnościami, ale też kąpali się w nich, spalali je, a nawet pili.

W Helladzie wierzono, że przyjemne wonie są miłe nozdrzom bogów. Na ołtarzach pod gołym niebem spalano kadzidło i mirrę, stąd słowo „perfuma”, wywodzące się z łacińskiego wyrażenia oznaczającego „przez dym”. Kadzidło było najznamienitszą ofiarą całopalną dla bóstw i na obrzędy pogrzebowe, także doskonałym prezentem.

Zwykli śmiertelnicy również chcieli ładnie pachnieć. Perfumerie, czyli *myropolides*, znajdowały się na każdym rogu. Można tam było nabyć gumę do żucia o zapachu na przykład imbirowym czy skomponować pachnidło na poczekaniu, przy małym barze wypić wino lub napój bezalkoholowy przyprawiony fiołkami, cynamonem itp.: mieszały się ze sobą zapachy i klienci.

Kosmetyka zapachowa stała się sztuką doniosłą i skomplikowaną. Eksperci zalecali na stopy preparat z róży i korzenia kosaćca, na włosy słodki majeranek, na ramiona miętę, na szyję tymianek, na sutki olej palmowy.

Perfumy uwielbiał nawet zagorzały głosiciel prostoty Sokrates. Zanurzał w nich rąbek szaty, wyjaśniając, że piękny zapach unosi w górę.

Rzymianie mieli dobrego nosa, jeśli chodzi o pachnidła (także w dosłownym rozumieniu). Mówca i pisarz Cyncero, zawsze w pogardzie mający sprawy przyziemne, zaliczał sprzedawców zapachów do „uprawiających haniebną sztukę, obliczony na schlebienie naszym zmysłom”, a co najdziwniejsze, w tej samej kategorii umieścił przekupki z targu rybnego.

Ale Rzymianie zignorowali opinię Cyncerona i stosowali pachnące mikstury z zapalem tym większym, im składniki były rzadsze i bardziej egzotyczne. Cesarzowe i senatorowe gotowe były zaryzykować połamanie nóg w wyścigu po wyszukane kombinacje zapachów, które miały rozchodzić się od nich oraz od ich piesków faworytów. Pewien nieprzyzwoicie drogi środek zawierał m.in. lotos, szafran, irys, cynamon syryjski, tymianek (*Teucrium marum*), bożodajnię (*Athage maurorum*), dzikie wino, kardamon, walerianę i gladiolę.

Na wytwornych ucztach goście spoczywali na pachnących poduszkach, obsługiwani przez niewolników woniejących piżmem i spikenar-

dem, zabawiani, a czasami raczeni czymś pachnącym inaczej, przez ptaki z uperfumowanymi skrzydłami.

W tych pełnych przepychu i sybarytyzmu wiekach władza publiczna dotowała nieraz zakup perfum i maści dla łaźni publicznych. Łaźnie komercyjne sprzedawały śliczne maleńkie pojemniki z zapachami, a skala osiąganego przez nie obrotów przekraczała nawet wyobrażenia dyrektorów marketingu firmy Chanel.

Sprzedawcy nie musieli kłopotać się trendami rynkowymi. Ponieważ ich towar nie zawierał spirytusu, więc był krótkotrwały, dzięki czemu zapotrzebowanie zwykle przekraczało podaż. Zazwyczaj pachnidła produkowano wyciskając sok z kwiatów czy innych części roślin do świeżej zielonej oliwy czy gorzkiego oleju migdałowego, dodając żywicę w charakterze utrwalacza. Następnie preparat zamykano w alabastrowym pojemniku, izolującym od ciepła i światła. Niewielkie warsztaty istniały w Pompejach czy innych miejscach, ale prawdziwym zagłębiem perfumiarstwa była Kapua, jego centrum zaś wonne, kwitnące różami miasto Seplasia ze swymi przechodzącymi z ojca na syna wytwórniami.

W ocalałym starożytnym przepisie czytamy, że do sporządzenia 30 litrów preparatu różanego potrzebne są płatki róży w wielkiej masie, palczatka imbirowa, tatarak oraz 130 litrów soli!

Także walki gladiatorskie potrzebowały sprzedawców wonności, a ten, który zdobył kontrakt na obsługę igrzysk, stawał się obiektem zawiści wszystkich konkurentów. Taki szczęściarz (lub jego podwładny) co jakiś czas skrapiał pachnidłami rzędy widzów, używając przy tym skrajnie rzucającej się w oczy gestykulacji. Była to nie tyle dodatkowa atrakcja dla publiczności, co maskowanie przykrych zapachów rozchodzących się z areny: okropnego odoru drapieżników walczących do śmierci i słodkawej, przyprowadzającej o mdłości woni świeżej ludzkiej krwi tryskającej z ran.

POSZUKIWACZ BURSZTYNU kompas w głowie

Bursztyń od dawna był dla Greków głównym obiektem pożądania. Gdy krezus chciał oczarować kobietę, kupował jej bryłkę elektronu. Płeć piękna uwielbiała sosnowy zapach tajemniczej substancji i jej właściwość przyciągania różnych rzeczy po potarciu. Toczyły się zażarte spory o jej

pochodzenie. Niektórzy sądzili, że to zestalony mocz rysia; inni znajdowali przyjemniejsze wyjaśnienie, iż to łzy mitycznych sióstr. Wszyscy za to zgadzali się co do jednego - poszukiwanie tego towaru było zajęciem ryzykownym i trudnym.

W miarę jak rzymskie legiony podbijały dla imperium coraz dalsze Terytoria, żołnierze zorientowali się, z jakich krain pochodzi najlepszy bursztyń. Lecz pechowo ci przekłęci barbarzyńcy znad Bałtyku, czy innej grożącej odmrożeniami dziczy, pilnie strzegli sekretu występowania tego skarbu.

Mającą żyłkę do targowania się legionieści z pogranicznych placówek nandlowali z barbarzyńcami spoza *limes* i zaczęli nosić kawałki bursztyńnu jako amulety na szczęście. Gdy tego samego zapragnęli cywile, powstała nowa dziedzina drobnej działalności gospodarczej - wyprawy po bursztyń. Trzeba było jedynie umieć się porozumieć w barbarzyńskich językach, wykazywać się zdolnościami dyplomatycznymi i nie zwracać uwagi na własne bezpieczeństwo i wygodę.

W roku 57 cesarz Neron ogłosił pilny nabór poszukiwaczy bursztyńnu, stanął bowiem wobec naglącej konieczności przyćmienia sławy swoich julijsko-klaudyjskich poprzedników, a nie było to łatwe. On, pra-pra-na-stępca wielkich, sam niewielki, chciał olśnić poddanych. Nie osiągnie tego kolejnymi pokazami walk gladiatorów czy ciskaniem garściami monet w tłum. Potrzeba czegoś niezwykłego, nadzwyczajnego, niepowszedniego, bezużytecznego i trudno dostępnego. Czegoś takiego jak bursztyń. Ju-lianusowi, nadwornemu organizatorowi rozrywkowych rzezi, oznajmił druzgoczącą nowinę, że ten musi zdobyć znaczne ilości bursztyńnu i ma na to czas do wczoraj.

Julianus przeklął swój los, lecz nie spoczął, póki nie trafił na odpo-wiedniego wykonawcę: powściągliwego faceta z klasy ekwitów. Prawdę mówiąc, gość wyglądał, jakby miał zero kwalifikacji do tej misji, lecz dzięki Julianusowi okazał się kimś.

Instrukcje otrzymał powściągliwe: „Pójdziesz północnym skrajem imperium, przekroczysz Dunaj - trafisz na Górny Śląsk, ale tam się nie za-trzymuj. To jakieś tysiąc, góra tysiąc trzysta kilometrów, nie więcej”.

Minęły miesiące. Igrzyska były za pasem i Julianus gotów był już nadzieć się na własny miecz, gdy dzielny wędrownik pojawił się z powro-tem, z ciężkim ładunkiem *electrum*, w tym odłamkiem ważącym ponad 6 kg! W swej wędrowce ekwita dobrnął z Panonii przez dzisiejszy Poznań nad Bałtyk, pokonując drogę z Italii przez dzisiejsze Węgry i Polskę,

walcząc z zaspami śnieżnymi, rzekami i specjalnościami miejscowych kuchni. Znalazł punkty skupu bursztynu i w warownych faktoriach wiódł niebezpieczne rozmowy handlowe z groźnymi, zawzięcie targującymi się wojownikami.

Dzięki niemu na igrzyskach Neron zabłysnął bursztynowym przepychem. Złociste bryłki znalazły się na zbrojach gladiatorów, broni, na kratkach odgradzających bestie od widowni. Udekorowano nawet nary, na których wynoszono martwych gladiatorów.

Następni poszukiwacze ruszyli przetartym przez ekwite szlakiem nad Bałtyk po bursztyn, który zyskiwał na popularności i cenie. Niebawem mały posążek z tego materiału kosztował więcej niż roslły, zdrowy niewolnik.

A sam pionier? Nieustraszony ów osobnik przeżył Nerona i jeszcze następnych cesarzy. Pliniusz Starszy wyraził mu w swym dziele uznanie, jakkolwiek nie wymienił jego imienia.

WYDAWCA-KSIĘGARZ

przyzwoity plan marketingowy

Profesja wydawcy i zarazem sprzedawcy książek narodziła się bardzo dawno temu w Atenach, już w VI wieku p.n.e. Do rozwoju produkcji i sprzedaży ogromnie przyczyniła się popularność greckiej komedii i tragedii. Pierwszymi opublikowanymi i powielanymi w większej liczbie dziełami były arcydzieła Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa.

W tamtych dniach „publikowanie” polegało na ręcznym przepisywaniu. Nieco przypominało dzisiejszy „druk na zamówienie”. Wszyscy skrybowie z grupy przenosili na zwoje papirusu ten sam tekst, głośno odczytywany.

Greccy tyrani od Polikratesa po Pizystratosą lubili czytać (może słuchać) dla rozrywki i prześcigali się w kolekcjonowaniu książek, nabywając ulubione tytuły od sprzedawców na ateńskim rynku.

Przez pięć wieków Rzym był pod względem literackim *tabula rasa*. Jedną z pierwszych tamtejszych księgarń należała do nadzwyczaj bogatego Attykusa, wydawcy, księgarza i przyjaciela literatów. Jego liczny personel kopiował rękopisy łacińskie i greckie, wprowadzając je na szeroki rynek, co było najlepszym losem, jakiego autor mógł oczekiwać dla

swego utworu. O tantiemach nie było mowy. Nie istniało coś takiego jak prawa autorskie, więc wydawcy zawłaszczali każdy manuskrypt, który przypadł im do gustu.

Za Augusta w Rzymie istniało już środowisko wydawców-księgarzy, głównie wyzwoleńców, jak Atrektus prowadzący interes na ulicy Agile-tum czy Sekundus na Sigillaris obok Forum. Większość z nich specjalizowała się w jakichś rodzajach literackich - poezji, historii, opowiastkami dla dorosłych etc. Albo koncentrowali się na wydawaniu kilku autorów o znanych nazwiskach, twórców ówczesnych bestsellerów.

Na zewnątrz księgarni reklamy kusiły nowościami, wewnątrz w koszach leżały zwoje po obniżonej cenie, które można było przeglądać. Dominowała forma zwoju. „Książki” umieszczane w tekturowych okrągłych futerałach nie miały akapitów ani rozdziałów i wymagały od czytelnika użycia obu rąk. Były nawet trudniejsze w obsłudze niż dzisiejsze dokumenty elektroniczne, wymagające przewijania.

W księgarni wyczuwało się przyjemny zapach, niczym w perfumerii, gdyż dla ochrony przed molami skrapiano papirus olejkiem cedrowym, a wydania luksusowe często specjalnie perfumowano.

Surowiec na książki pochodził z Egiptu. Ci, którzy go sprzedawali w Rzymie, zwali się *chartarii*. W miarę rozwoju życia literackiego powielano coraz więcej tekstów. Czynili to niewolnicy, których stuosobowy zespół potrafił w ciągu dziesięciogodzinnej dniówki sporządzić tysiąc kopii. Pisali trzciniowymi „piórami” i atramentem uzyskanym z mątw.

Przeciętna książka miała objętość mniejszą niż współczesna nowela. Zamiast spisu treści każda była zaopatrzona w przywieszkę z podaną liczbą wersów, według której obliczano rozmiar i cenę.

Standardowa pozycja kosztowała równowartość od dwudziestu pięciu centów do jednego dolara, częściej jednak cena leżała bliżej dolnej granicy. Były też wydania bibliofilskie, albumowe - kaligrafowane złotem, srebrem i czerwonym atramentem, czasem ilustrowane. Stanowiły elitę rynku. Czy były jakieś gwarantowane przeboje wydawnicze? Oczywiście, na przykład bogato zdobiony obrazkami poradnik erotyczny autorstwa odważnej Greczynki imieniem Filenis.

Usiłowano też wytworzyć coś na kształt książki w naszym rozumieniu, umieszczając arkusze papirusu czy cieniutkie deseczki (to specjalność miasta Kellis) w oprawie ze skóry. Jednak prawdziwy przełom i ulepszenie formatu zawdzięczamy Pergamonowi. Wyprodukowano tam ze skóry zwierzęcej materiał, na którym można było pisać po obu stronach. Dzięki temu narodziła się i szybko upowszechniła forma kodeksu, czyli współczesnej książki. W taki sposób wydawano dzieła autorów chrześcijańskich.

Lecz dopóki istniało cesarstwo zachodnie i jego kultura literacka, utwory publikowano nadal w postaci zwojów papirusowych, uważanych za stosowniejsze dla literatury pogańskiej i wszelkiej niebeletrystycznej.

KEFALOS; pożyteczny element napływowy

Podobnie jak niejedna współczesna nacja, starożytne miasta-państwa greckie musiały uporać się z problemem imigracji i stałych mieszkańców obcego pochodzenia. W Atenach i Pireusie takich osiedleńców, zwanych metojkami, było około 25 000. Przyciągał ich tam głównie dobrobyt panujący w *polis*, a nie demokracja, w której nie mogli uczestniczyć.

Wśród nich był przedsiębiorczy Kefalos rodem z sycylijskich Syra-kuz, który około roku 430 p.n.e. przeniósł się do portowego Pireusu. Jako przybysz podlegał różnym drobiazgowym regulacjom: musiał zarejestrować się u władz, znaleźć sobie opiekuna-protektora spośród obywateli, stawać na wezwanie jako żołnierz i co miesiąc płacić specjalną daninę za przywilej pobytu w Atenach czy okolicy.

Liczni metojkowie zajmowali się handlem lub rzemiosłem, czyli uprawiali profesje, do których wolno urodzeni Ateńczycy czuli żywą awersję.

Nasz imigrant, widząc, w jak wiele sporów militarnych uwikłani są wojowniczy gospodarze, zaangażował kapitał w produkcję tarcz.

W ciągu niewielu lat warsztat rozrósł się do rozmiarów koncernu, a synowie Kefalosa stali się nastolatkami. Firma, chyba największa w Atenach, zatrudniała 120 ludzi, choć to może nienajwłaściwsze słowo, zważywszy, że większość robotników - albo wszyscy - byli niewolnikami.

W wytwórni panowały upał, smród i hałas, młoty waliły w brąz. Półnaczy pracownicy czapkami ocierali pot. Ich czternastogodzinna dniówka zaczynała się przed świtem. Wykuwali z metalu okrągłe tarcze o średnicy blisko 90 cm, wprawiając do każdej drewniany rdzeń, gruby na 2,5 cm. Kompletna tarcza ważyła zwykle 9 kg; zaopatrzona była w zaczep pozwalający wojownikowi nieść ją na plecach, gdy nie musiał osłaniać się w boju.

Przetrwali do dziś pokwitowania opłacanego przez Kefalosa podatku od majątku. Wskazują, że był właścicielem domu mieszkalnego i zapewne zabudowań manufaktury. Prawo zabraniało metojkom posiadania nieruchomości, więc mamy do czynienia z niezwykle wyjątkiem. Najprawdopodobniej zawdzięczał to swej zawodowej przydatności i dobrej opinii rodowitych Ateńczyków; jednak wątpliwe, by miał prawo głosu na zgromadzeniach. Łożył niemało na edukację synów, zresztą jak wszyscy w *polis*. Przez lata szereg razy powoływano go do *liturgii*, czyli honorowych świadczeń pieniężnych na rzecz społeczności - finansowania publicznych przedsięwzięć, od organizacji uroczystości po budownictwo.

Człowiek uczciwy, który spłacał swoje długi i dotrzymywał słowa, musiał na filozofii znać się nie gorzej niż na produkcji dziewięciokilo-gramowych tarcz. Długi czas przyjaźnił się i pozostawał na równej stopie towarzyskiej z Sokratesem i innymi myślicielami, a już jako starzec został uwieczniony w *Państwie* Platona; akcja pierwszego rozdziału dzieła rozgrywa się nawet w jego domu w Pireusie.

Kefalos nigdy nie uzyskał ateńskiego obywatelstwa, udało się to jednemu z jego synów. Los imigranta nie musiał być przeklęty ani nawet zasadniczo gorszy od losu obywatela z dziada pradziada. Niektórzy metojkowie zyskali zasłużoną sławę, trwającą po dziś dzień: twórca naukowej historii Herodot, ojciec medycyny Hipokrates czy wreszcie Arystoteles, często uchodzący za typowego Ateńczyka.

GOLIBRODA

całkiem gładko, pomijając skaleczenia

Grecja wydała niejednego kudłatego, brodatego filozofa. Jej mieszkańcy mieli dość liberalne podejście do kwestii owłosienia, zarostu i uczesania. Mieszkańcy, lecz nie mieszkanki, które w czasach starożytnych zmagaly się z meszkiem nad górną wargą, była to zaiste tragedia grecka, która trwa dla niektórych pań i obecnie.

Aż do panowania Aleksandra Wielkiego Grecy preferowali obfity zarost i takąż czuprynę. Golenie było dla zniewieściałych. Toteż młody Aleksander szybko wyjaśnił, że zaczął się gładko golić tylko dlatego, by nieprzyjaciel w bitwie nie zdołał chwycić go za brodę.

Nawet po Aleksandrze Grecy często nosili dłuższe włosy i brody, krótko strzyżono tylko niewolników. W Atenach kilku balwierzy działających na agorze całkiem nieźle jednak wiązało koniec z końcem; ich pracownie spełniały dla mężczyzn funkcję magła (czy raczej miejskiej studni) jako punkty wymiany najświeższych informacji.

Tymczasem zmiany dokonywały się na zachodzie. Z Sycylii do Rzymu przeprowadził się pewien świetnie władający brzytwą młodzian, biegły w kosmetyce i rozmiłowany w plotkach, i został pierwszym fryzjerem w tym mieście. A gdy zdołał namówić słynnego wodza dostojnego Scypiona Afrykańskiego na codzienne golenie, inni szybko poszli w ślady no-bila. Zarośniętą twarz uznano za nie do przyjęcia. Golibroda i jego sztuka znaleźli się na topie, poranna wizyta w jego pracowni weszła w zwyczaj wszystkim, których było na to stać. Tylko żałoba lub niezrozumiała chęć upodobnienia się do Greków czy barbarzyńców skłaniała Rzymian do zapuszczania wąsów i brody.

Rytuał przejścia z wieku młodzieńczego w dojrzały obejmował pierwszą wyprawę do fryzjera w celu usunięcia bokobrodów. W przypadku cesarza przybierało to postać wielkiej ceremonii. Neron np. zebrał swe mizerne kłaki z brody do wysadzanego perłami złotego pudierka i ofiarował Jowiszowi.

Starożytny fryzjer posługiwał się żelazną zaokrągloną brzytwą (*novacu-la*), której sam widok przeraziłby dzisiejszych klientów. Nie znano wtedy mydła, musiał więc naoliwić twarz klienta, a potem długo golić, co nie było dla obsługiwanego przyjemne. Narzędzie szybko się tępiło i wymagało częstego ostrzenia, co wyjaśnia, dlaczego tak rzadko golono się w domu.

Z czasem *tonstrina* (zakład fryzjerski) rozbudowała zakres usług i wydłużyła godziny przyjęć do (według rzymskiej rachuby) ósmej, co w przybliżeniu odpowiadało latem pierwszej po południu. Poza goleniem obcinano tam paznokcie, skubano brwi, czyszczono uszy, w razie potrzeby wyrywano zęby. Archeolodzy, kopiąc na Forum Romanum, znaleźli pozostałości pracowni balwierskiej czy raczej doraźnie dentystycznej, gdyż odkryto tam ponad sto zepsutych zębów. Wszyscy cyrulicy trzymali pod ręką ocet i pajęczyny do opatrywania skaleczeń.

Niektórzy klienci życzyli sobie depilacji, więc golibroda sięgał po krew nietoperza czy sproszkowaną żmiję, które to specyfiki jakoby usuwały bokobrody.

Na zakończenie strzygł włosy nożycami i nożami, aplikował klientowi ówczesną wersję odżywki dla ochrony przed łupieżem, łysieniem czy inną przypadłością.

Moda naśladowała fryzury bogatych i sławnych; zarost dokładnie wzorowano na dostojnikach. Po 148 latach władzy ogolonych cesarzy cały Rzym zaczął nosić brody, gdy purpurę przywdział Hadrian. Jego bujne loki miały rzekomo ukryć blizny i pryszcze na twarzy - albo wskazywały na progreckie sympatie.

Znalazły się też kobiety, zręczne w palcach i języku, gotowe konkurować z mężczyznami w tym jakże męskim zawodzie. Wiemy o tym, bo za dbały, by na ich nagrobkach umieszczono informację o profesjonalnych sukcesach.

WYTWÓRCZYM GIRLAND

wiła wianki na zaproszone głowy

Greccy i rzymscy cywile rzadko nosili nakrycia głowy. Przy różnych radosnych okazjach nie mieli zwyczaju wdziawać śmiesznych kapeluszy, lecz przystrajali się w wonne wieńce, girlandy, diademy, korony z kwiatów.

Tradycja ta sięga VIII wieku p.n.e., odkąd zwycięzcom na igrzyskach w Olimpii wręczano skromne wieńce z gałązek świętego drzewa oliwnego. Organizatorom innych igrzysk i uroczystości bardzo się to spodobało.

Później ktoś w wieńcu z liści i kwiatów wystąpił na pogrzebie, dając początek nowemu zwyczajowi przystrajania głów przez żałobników. Wkrótce narodziny dziecka oznajmiano umieszczając na drzwiach wieńiec oliwny (syn!) albo z wełny (do licha, znowu córka!). Dla wytwórczym girland wesele oznaczało prawdziwe żniwa. Tylko przesądne panny młode w obawie, że kupny wianek ślubny przynosi pecha, uparcie splotały werbenę i wszelkie kwiecie samodzielnie.

Profesjonalistki nie przejmowały się tym, skupiając uwagę na innych okazjach. Pomocne wskazówki uzyskiwały od wybitnych poetów i poetek jak Safona, która opisała, jak to dziewięciu na dziesięciu bogów łaskawiej spogląda na ludzi noszących kwietne korony.

Gdy pogląd ten się upowszechnił, prawdziwą kopalnią pieniędzy okazały się przeciwalkoholowe nakrycia głowy. Powszechnie wiadano, że ametyst, liście bluszczu i róże to niezawodny zestaw opóźniający upicie się. Profilaktyczne girlandy stały się obowiązkowe na sympozyjach, orgiach i innych zakrapianych spotkaniach.

Swe kreacje twórczyni girland sporządzała z róż, liści wawrzynu, fiołków, bluszczu, mirtu, pietruszki i wielu innych kwiatów i ziół, a sprzedawała je na targu lub w handlu domokrażnym. Były niedrogie, wielokrotnego (przynajmniej dwukrotnego) użytku, po uczcie zaś można je było ofiarować bóstwom domowym.

Długi czas branża girlandowa, połączona w stowarzyszeniach prowadzących kasy zapomogowo-pogrzebowe. poprzestawała na naturalnych surowcach. Nadchodziło jednak nowe, a wraz z nim miały pojawić się mocne, solidne nakrycia głowy i równie mocna konkurencja.

Być może zaczęło się to w Atenach, gdy kręgi rządowe jako oznakę najwyższego zaszczytu uchwały lśniącą złotą koronę dla najlepszego w

danym roku kapitana statku. To otwarło śluzy zachłanności. Wkrótce takie metalowe oznaki chwały przyznawano na prawo i lewo.

Jak można się domyślać, przykład ten podziałał na rzymskich cesarów. Zaczęli nagradzać złotymi koronami wyciętymi na kształt blanków tych, którzy jako pierwsi wdarli się na mury obleganego miasta. Dla zwycięskich wodzów ustalono trzy klasy tryumfalnych koron, największa była nie do udźwignięcia. Najdziwaczniejsza była *corona radiata*, ze sterczącymi na zewnątrz jakby promieniami, w rodzaju tej, którą nosi amerykańska Statua Wolności, przez wieki przysługująca tylko bogom i deifikowanym herosom jak Herkules. Kaligula, wczesną łysinę ukrywający pod noszonym stale wieńcem, zawłaszczył tę promienistą koronę jako element codziennego stroju. Nie na długo wprawdzie, bo zakończył życie młodo pod ciosami zamachowców, ale do końca pozostał wspaniale ozdobiony.

A co z wytwórczyniami girland? Nie działało się im źle, diademy z kruszcu zajęły tylko margines rynku. Nawet ci, co ostentacyjnie stroili się w złoto, wciąż woleli na głowie prawdziwy wianek - pachnący, przynoszący szczęście, a co najważniejsze, lekki.

JUBILER

nie przymierał głodem wśród bogatych

W epoce Aleksandra Wielkiego jubilerstwo rozwijało się z podziwu godną dynamiką. Najlepsi fachowcy tej branży inspirowani wiekową tradycją grecką i etruską odznaczyli się pewną ręką i dobrym okiem. Nie chodzi o bystrość; krótkowzroczni jubilerzy byli lepsi w pracy nad skomplikowanymi wzorami.

Podstawą każdego pięknego cacka było kowalne złoto, czyste lub przynajmniej stop 75-procentowy. Pożądane były drogie kamienie, na przykład szmaragdy, nawet ze skazą czy mętne. Rzadko występowały i nieczęsto pojawiały się w warsztatach rubiny i diamenty, zresztą zbyt twarde do obróbki. Diament służył raczej jako ścierniwo w urządzeniu przypominającym tokarkę, poruszonym za pomocą furkadła smyczkowego.

Poza złotem konieczne były perły. Niektóre strojnisi mogłyby paść pod ciężarem obszytych nimi szat, gdyby nie były podtrzymywane przez silnych niewolników.

Dla posiadaczy mniej zasobnych kies jubilerzy mieli w ofercie kolczyki, bransolety, pierścionki z perydotem, szafirem, niebieskim berylem i, najpopularniejsze, z czerwonym granatem. Stosowano też sporo bursztynu.

Artysta zaczynał od wyklepania z kawałka złota cienkiej blaszki. Następnie ciął jąna paski, które zwijał ręcznie, otrzymując błyszczącą spiralę albo pofałdowaną wstęgę. Prawdziwymi mistrzami techniki precyzyjnej byli Etruskowie, potrafiący zgrzewać najdrobniejsze kulki drogiego metalu. Złote pierścienie zwijano z blaszek na rdzeniu wykonanym pierwotnie z wosku zmieszanego z pyłem marmurowym, a w późniejszych czasach z płynnej siarki, która stygnąc zestalała się.

Posługując się narzędziami drewnianymi, kościanymi i metalowymi, jubilerzy rzeźbili wzory wypukłe (kamea) albo wklęsłe (intaglio). Najulubieńszym przyrządem było małe dłutko, służące raczej do rycia i przemieszczania partii metalu, niż do wycinania i usuwania zbędnych fragmentów i warstw. Rzemieślnik musiał mieć surowiec. Zazwyczaj otrzymywał go od klienta w postaci monet i biżuterii do przerobu. Płaca jubilera zależała od stopnia skomplikowania wyrobu i czasochłonności wykonania; na bardziej wyszukane precjoza trzeba było czekać nawet tydzień.

Rzeźbiarze kamei ryli inicjały czy pieczęcie w kamieniach (sardzie i karneolu) przy użyciu rylca. Takie kamienie wprawiano potem w pierścienie, pełniące rolę identyfikatorów noszonych przez niemal wszystkich wolnych ludzi. Pieczętowano nimi dokumenty bądź gliniane pokrywki pojemników z winem albo inną cenną zawartością.

Choć w kopalniach iberyjskich i greckich wydobywano dużo srebra, popytu na biżuterię z tego kruszcu niemal się nie zauważało. Jubiler najchętniej nabywał kamienie szlachetne, półszlachetne, perły, bo były roz-

chwytywane przez klientów, a on będąc członkiem cechu miał dostęp do wszelkich materiałów.

Jubilerstwem zajmowali się nie tylko mężczyźni. Żeńskie imiona spotyka się wśród specjalistów od rytownictwa w klejnotach, kamei, pereł i złota płatkowego.

Upodobanie bogatych dam do ostentacji gwarantowało jubilerom obu płci zbyt i duże zyski. Przyjrzyjmy się Lollii Paulinie, jednej z byłych żon Kaliguli, pociągającej i rezolutnej. Na pewnym improwizowanym przyjęciu zaręczynowym zjawiała się okryta czterdziestoma milionami sestercji w postaci pereł i szmaragdów. „Na bogów”, wyszeptał z zazdrością obserwujący to Pliniusz, którego widok niemal oślepił. Cóż, w owych pełnych blichtru stuleciach Rzymu więcej znaczyła przesadna ostentacja niż dobry gust.

TRAGARZ LEKTYKI

wygodna podróż, lecz nie dla każdego

Wśród wielu greckich wynalazków jest i ten - przypominająca łożo platforma, dźwigana na żerdziach przez czterech rosłych mężczyzn, na której osoba pragnąca uchodzić za elegancką przemieszczała się z miejsca na miejsce. Urządzenie Rzymianie w swoim języku nazwali *lectica*.

Nad Tybrem mieszkali niechętni nowinkom tradycjoniści, którzy wzbraniali się przed stałym używaniem lektyki. Według nich stosowna była jedynie do długich podróży, transportu rannych i chorych, a jak ułał pasowała do orszaku pogrzebowego - to na niej zmarły w swej ostatniej drodze na stos prezentować miał się najkorzystniej, prowokując komentarze: „Wuj Rufus wygląda, jakby spokojnie spał”.

Ale stopniowo z wynalazku zaczęły coraz powszechniej korzystać kobiety, w okolicznościach także niechorobowych i niepogrzebowych, niemniej przykładając wielką wagę do estetyki sprzętu. Władze Rzymu w roku 195 p.n.e. poczuły się zmuszone zabronić damom korzystania z tego środka transportu. Sto pięćdziesiąt lat później Juliusz Cezar usiło-

wał kolejnymi dekretemi wymusić wreszcie przestrzeganie tego zakazu, również bez powodzenia.

Za panowania chromego miłośnika wina Klaudiusza, mającego więc dwa powody, by docenić zalety przenośnego łóżka, lektyka stała się immanentnym elementem mchu ulicznego w stolicy i w innych wielkich miastach. Najpierw najbogatsi sprawili sobie okazałe pojazdy, noszone przez cztery pary silnych niewolników w szykownych, jasnoczerwonych strojach, długo utrzymujących się w modzie. Jak zapewne zachwalał sprzedawca, wehikuły miały najwyższy standard: wymalowane jak należy, ze skórzanym dachem, posłaniem z pierza i niezwykłym udogodnieniem: szklanymi oknami zamiast zasłon!

Szybko za tym sposobem podróżowania zatęsknili mniej zamożni. Przedsiębiorcze jednostki uruchomiły więc firmy z lektykami do wynajęcia. Postoje mieściły się nad Tybrem, dokąd przybywali zamiejscowi, oraz w strategicznych punktach miasta. Lektyka czekała na pasażera, stojąc na czterech drewnianych nogach.

Tragarzami owych „taksówek” byli często wyzwolenicy czy wręcz wolni z urodzenia, biedni, lecz krzepcy, o mocnych, zdrowych kręgosłupach, stawach i mięśniach — przynajmniej na początku kariery zawodowej.

Choć maksymalna ładowność łoża na żerdziach wynosiła dwóch podróżnych, a olbrzymią większość kursów odbywały pojedyncze osoby, warto zastanowić się nad warunkami pracy *lecti-carii*. Przypuszczalnie pod żerdzie podkładali na ramiona grube derki. Umieli podnieść platformę wraz z pasażerem równo i opuścić miękko, kroczyć w zgranym rytmie, powodując minimalne tylko kołysanie i wstrząsy. (Zupełnie jak dzisiejsi uczestnicy procesji z feretronami na ramionach - ich praca nóg zasługuje na podziw).

Mimo starań i kwalifikacji noszących niesiony musiał sam zadbać o wygodę. Słynny lekarz Korneliusz Celsus ostrzegał, że kołysanie jest tu gorsze niż podczas morskiej podróży. Lektyka dała się też we znaki Katonowi Starszemu, który musiał spędzić w niej wiele niemiłych godzin.

Nauczony doświadczeniem doradzał: „by zapobiec otarciom, podróżując podłóż pod pośladki mały pęd pontyjskiego piołunu”.

HANDLARZ PURPURA kosztowny kolor władzy

Międzynarodowi kupcy z żyłką do ryzyka wiedzieli, że aby zbić fortunę, trzeba importować właściwy towar. Wino było jednym z nich. Purpurowy barwnik uzyskiwany z rozkolca - drugim.

Ten mięsożerny mięczak, uśmiercający inne bezkręgowce przez wstrzykiwanie im neurotoksyn, zamieszkuje przybrzeżne wody wschodniej części Morza Śródziemnego. Pod działaniem promieni słonecznych jego jad przybiera intensywny kolor, w zależności od gatunku - od różu do głębokiego fioletu. Dwa tysiące lat temu z tej trucizny wytwarzano cenny towar.

Kolor purpury kochali wszyscy, łącznie z mającą głowę do interesów królową Kleopatram VII. Jednym z jej najzręczniejszych posunięć było nakłonienie Marka Antoniusza do przyznania monopolu na eksploatację rozkolca właśnie jej, a nie miastu Tyr, dziś leżącemu w Libanie.

Jak wielki dochód osiągało się z barwnika? Z jednego osobnika wyciskano tylko kroplę, za którą uzyskiwano dwadzieścia razy więcej złota, niż ona sama ważyła. Na zabarwienie szlaków na parze senatorskich tóg potrzebowano wyciągu z dwudziestu tysięcy skorup. Kleopatra sama zużywała masę purpury, choćby na ufarbowanie żagli swych okrętów wojennych.

Interes był ryzykowny. *Purpuraria*, czyli handlarze purpurą, płynęli z Rzymu do Aleksandrii, następnie do Tyru, gdzie Fenicjanie już od dwóch tysięcy lat znali drogocenną tajemnicę małego skorupiaka. Podróż morską trwała 50-100 dni; lądem jeszcze dłużej, lecz pozostawała jedyną możliwością w zimie, gdy morze było zbyt wzburzone, by żeglować.

Ale jeśli ładunek udało się bezpiecznie dowieźć do miejsca przeznaczenia, profity były olbrzymie. Niejeden magnat rozkolcowy kazał sobie na nagrobku wyryć informację o swej przynależności do *Augustales*, ekskluzywnego kolegium sakralnego, umożliwiającego wyzwolencom osiągnięcie za pieniądze statusu obywatela. Nawet wolno urodzeni ubiegali się o członkostwo w tej grupie, która przywilejami i rangą dorównywała niemal najwyższym kapłanom.

Osiągnąwszy taką pozycję handlarz mógł cieszyć się wielkoświatowym życiem. Czego nie mogli o sobie powiedzieć robotnicy pracujący przy oddzielaniu jadu, przeróbce i barwieniu tkanin. Surowiec, z jakim mieli do czynienia, był odrażający. Tyr opisywano jako „niemiły do zamieszkania”, robotnicy mozolili się pośród gnijących mięczaków, w nie-dającym się z niczym porównać smrodzie.

Masy skorupiaków wydobywano z morza za pomocą zanurzanych w wodzie koszy, do których wkładano małże lub żaby na przynętę. Po skruszeniu skorup mniejszych rozkolców i usunięciu gruczołów jadowych większych, umieszczano je na kilka dni w słonej wodzie. Następnie badano jakość barwnego roztworu, zanurzając w nim owcze runo. Z ośmiu ton skorupiaków uzyskiwano pół tony pierwszorzędnej purpury.

Z kolei barwnik podgrzewano, przez co uzyskiwał najwspanialszy odcień głębokiej, soczystej, aksamitnej purpury, godnej królów i cesarzy. Dla utrzymania połysku zaprawiano go tajemniczym ługiem, możliwe, że uzyskiwanym z wodorostów. Czasem sprzedawano sam barwnik, nieraz jedwab i bawełnę farbowano na miejscu.

W późniejszych wiekach cesarzowe Bizancjum rodziły potomków zawsze w Sali Purpurowej, obitej tkaninami farbowanymi wyciągiem z roz-kolca. Dzieci stawały się przez to *porphyrogenitus*, czyli „zrodzone dla purpury”, były więc prawymi następcami tronu, w przeciwieństwie do ambitnych generałów i innych uzurpatorów spoza dynastii.

WYSKUBYWACZ

skubał, lecz nie oskubywał

Rzymscy depilatorzy wyskubujący owłosienie pachowe należeli zwykle do cechu łaźiebników. W II wieku n.e. niemal wszystkie miasta imperium rzymskiego, duże i małe, dorobiły się solidnych, rozbudowanych łaźni publicznych. W tych zakładach rutynowo usuwano kobietom i mężczyznom włosy z ciała.

Już stulecie wcześniej weszło w modę wśród arystokratów, masochistów i nuworyszy poddawanie się kompletnej depilacji (poza włosami na głowie). Po zabiegu specjalnie wykwalifikowani pracownicy polerowali skórę klienta, by wyglądała jak biały marmur.

Rzymianie zawsze starali się dotrzymać kroku modzie. Musieli się też odznaczać niesamowitą odpornością na ból. Na wezwanie ofiary wysku-bywacz przystępował do niej ze szczypczykami i groźnym sierpowatym ostrzem. I tu kończyły się żarty.

Zamiast brzytwy mógł na życzenie użyć smoły albo wosku pszczelego. Mógł też wezwać innego oprawcę, zwanego *dropacista*. Ten eksperymentował z mnóstwem środków, z których każdy był cudowny i niezawodny: łój z osła, sproszkowana żmija, kozia żółć czy krew nietoperza i jeszcze wiele innych, aż wreszcie któryś zadziałał. Jednak często jedynym sposobem pozostawały mocne szczypce.

Zawód ten wymagał ludzi specjalnego pokroju, o twardych sercach, by torturować klienta, i mocnych ramionach, by przytrzymać wierzgającego z bólu. Stanowili bezczelną i twardą paczkę, reklamującą swe usługi ustnie. I często. I głośno.

Seneka, nauczyciel, a potem doradca młodego Nerona, często pracował w pobliżu publicznej łaźni. Oto jego wrażenia: „a wyskubywacz głosem piskliwym i w najwyższym stopniu irytującym wciąż wykrzykuje, by go zauważono; nigdy nie jest cicho, chyba tylko gdy szarpie klienta pod pachą i zmusza go, by ten wrzeszczał zamiast niego”.

Nie wszyscy wyskubywacze zapisywali się do cechu, z pewnością nie niewolnicy obojga płci, trzymani w pogotowiu przez ogarniętych zaro-stofobią bogaczy.

Wyzwoleńcy i w ogóle ludzie niskiego stanu pracowali na własny rachunek, świadcząc usługi na zielonych trawnikach i w dostojnych portykach łaźni, gdzie pełno było sklepów i sprzedawców ulicznych. Wypożyczenie stanowiska pracy nie kosztowało wiele, tyle co para szczypiec - zaiste śmiesznie niski kapitał zakładowy.

IMPORTER SILPHIUM

wszystko, co dobre, kiedyś się kończy

Z niepozornej roślinki zadomowionej na kamienistym płaskowyżu wokół północnoafrykańskiej Cyreny świat śródziemnomorski uzyskiwał dwie szczególne substancje: cieszący się dużym popytem środek antykoncepcyjny i ostrą przyprawę, podnoszącą naturalny smak potraw.

Cóż to za cud natury? Daleki krewny selera, przez starożytnych zwany *silphium*, z mocnymi łodygami, skórzastymi liśćmi i żółtymi kwiatami. Zwrócili nań uwagę Grecy, gdy w VII wieku p.n.e. osiedlili się na wybrzeżu Afryki, i uczynili zeń główny towar eksportowy kolonii. Ponieważ Cyrenajczycy głównie tej roślinie zawdzięczali dobrobyt, umieścili jej wizerunek na swojej monecie.

Wszyscy pożąдали *silphium*. W postaci naparu i czopków stosowano je jako środek antykoncepcyjny, w połączeniu z winem -jako aborcyjny. Uznawano go za lek na szereg chorób, m.in. na świerzb, tężec, podagrę, nawet na ukąszenia psów.

W kuchni miało dziesiątki zastosowań, głównie jako składnik sosów, znakomicie nadających się do drobiu i ryb. Z czasem zamożni Rzymianie, na co dzień wytrwale trujący się ołowiem z rur wodociągowych, makijażu i grzanego słodkiego wina, zaczęli dodawać *silphium* do wszystkiego.

Nic dziwnego, bowiem jednym z objawów ołowicy jest stopniowa utrata smaku.

W sprzyjających okolicznościach obrotny handlowiec mógł zbić fortunę na jednym transporcie rośliny do Rzymu czy Aten. Wadą *silphium* (jedyną) była zdecydowana niechęć do rośnięcia w jakimkolwiek miejscu poza sąsiedztwem Cyreny, nawet na sztucznych plantacjach. Faktycznie nawet obywatele tej kolonii nie znali dokładnie lokalizacji każdorocznych samosiejek, wiedzieli to tylko okoliczni koczownicy, zbierający dzikie pędy i dostarczający je do miasta.

Choć eksport był ściśle kontrolowany, oczywiście znaleźli się przedsiębiorczy przemysłowcy, którzy zdołali wywieźć nieco sadzonek i nasion. Wykorzystując je, Grecy usiłowali za wszelką cenę założyć uprawy na Wyspach Jońskich, potem na Peloponezie. Nigdy nie udało się uzyskać tam zbiorów. Nie powiodły się też próby zastąpienia oryginału jego krewniakami, takimi jak asafetyda.

Władcy Cyreny byli, rzecz jasna, zachwyceni, jak każdy monopolista. Kupujący płacili krocie za rośliny i biały sok, a w dodatku sami musieli troszczyć się o transport. Morski do Italii i Grecji związany był z niebezpieczeństwem katastrofy bądź napadu piratów. (Ci mieli swój rozum i *sil-phium* rozpoznawali po troskliwym opakowaniu). Z drugiej strony ograniczona dostępność towaru i wciąż rosnący popyt zachęcałby do ryzyka.

Około roku 55 n.e. nastąpiło załamanie pogody w rejonie Cyreny. Wtedy też wybuchł konflikt między miastem a nomadami, którzy rozmyślnie zniszczyli wszystkie egzemplarze *silphhim*, jakie tylko zdołali znaleźć. Reszty dokonały wypasane na wyżynie owce. Przybywający kupcy przekonali się, że pożądane dobra już nie nabędą.

Jednak jednemu udało się znaleźć najostatniejszą próbkę dzikiej rośliny. Postanowił dostarczyć swe samotne *silphhim*, teraz ostatnie na świecie, koneserowi, który potrafi docenić zdobycz. Niestety nabywcą był żarłoczny młody cesarz Neron. Zapłacił za dostawę i bezceremonialnie zeżarł roślinkę. Tak dokonało się pierwsze udokumentowane zniszczenie gatunku przez człowieka.

SZEWC

przydeptane? to niedopuszczalne!

Pewne rzeczy nie zmieniają się nigdy. Dwa tysiące lat temu Rzymianie też mieli kręcka na punkcie obuwia. Cech szewski uważali nawet za jeden z ośmiu „niezbędnych” dla życia stolicy.

Skórę na buty farbowano lub malowano powierzchniowo, wytłaczano albo wycinano w desenie. Obuwia nadawano fantastyczne kształty. Luksusowe etruskie pantofle bywały nawet haftowane. Surowiec stanowiła skóra bydłęca (najdroższa), w drugiej kolejności jagnięca i kozia. Buty wykonywano na miarę, lecz naszym stopom wydałyby się dziwne: nie miały obcasów ani podbicia.

Szewcy mieli swe warsztaty przy ulicy Sandalarius, gdzie wznosił się dostojny posąg Apolla, подарowany gildii przez Augusta.

Forma rzymskiego obuwia zależała na ogół od płci obutej osoby i okoliczności. Rzymianin przyodziany w togę nie mógł się pojawić w mieście w niczym innym jak w mocnych *calcei*, złożonych z warstw skóry, raczej zbitych gwoździami niż zszywanych.

Pantofle domowe kobiet i dzieci, czyli *socci* albo *soleae*, były kolorowe, szyte z miękkiej skóry bądź tkaniny. Mężczyzna noszący *socci* narażał się na kpiny, chyba że był aktorem komicznym, przesadnie eleganckim Grekiem bądź ekscentrykiem jak Kaligula, któremu w nawyk weszło publiczne występowanie w niestosownych strojach.

Tak się złożyło, że cesarz ten swe miano wziął od obuwia. *Caliga* (zdrobniale *caligula*) to podkuty ówiekami skórzany but legionisty, przewiewny, dobry na długie marsze. Jako dziecko Kaligula był ulubieńcem legionistów, którzy sporządzili mu kompletny strój żołnierski, a także nadali miano, pod którym został później znienawidzony.

Korzystający z publicznych łaźni wkładali drewniane chodaki na grubej podeszwie, by izolować stopy od rozgrzanej podłogi. Drewniaki były też używane w innych okolicznościach - stanowiły synonim kajdan; tradycyjnie ubierano w nie matkobójcę prowadzonego do więzienia, a głowę obwiązywano mu wilczą skórą. Musiało w takich trepach być coś symbolicznego.

Również w Grecji poświęcano osłonie nóg należyłą uwagę. Tamtejsi szewcy specjalizowali się, na przykład, w łataniu męskich butów albo wyłącznie w mocowaniu przyszwę.

Niewolnicy chodzili głównie boso, podobnie dzieci, także dorośli w ciepłe dni, choć ci mieli zazwyczaj oddzielne obuwie wyjściowe i kapcie domowe.

W Atenach istniało kilka manufaktur obuwniczych, płacących robotnikom jedną drachmę za dniówkę - zarobek porównywalny z wynagrodzeniem fachowców w innych branżach. W większości jednak szewcy działali indywidualnie.

Jeden z nich imieniem Szymon stykał się na co dzień ze sławnymi i wielkimi. W jego warsztacie niedaleko agory bywał Perykles, Sokrates, Kseno-font... Sam majster był filozofem i w przerwach między jednym sandałem a drugim napisał zaginione niestety, złożone z 33 rozpraw dzieło, znane jako *Skórzane dialogi*. W miejscu, gdzie była jego pracownia, znaleziono przedmioty czekające na odkrycie od V wieku p.n.e.: ćwieki do butów, okucia dziurek na sznurówki i prosty kubek podpisany imieniem Szymona.

CHIRURG

lepiej być zdrowym

Pierwszy chirurg Rzymian równie dobrze mógłby być ich ostatnim. Kiedy w roku 219 p.n.e. Archagatos przeniósł się z Grecji do Italii, początkowo wszystko szło gładko. Nadano mu obywatelstwo i ze środków publicznych sfinansowano gabinet. Zachwycony był, gdy zwracano się doń z użyciem zaszczytnego tytułu *vulnerarius* (specjalista od opatrywania ran).

Zabrał się do pracy, wymachując straszliwymi narzędziami. Skalpele i noże nie leżały u niego bezczynnie, podobnie jak szpikulce i żelazo do przyżegania ran. Zabieg stosowany wobec zapaśników ze zwichniętymi stawami barkowymi polegał na uchwyceniu fałdu skóry pod pachą, wprowadzeniu tam rozgrzanego do białości pręta, niezbyt głęboko, pokryciu powstałej zgorzeliny natłuszczoną szmatą wełnianą i pozostawieniu całej tej okropności, by się sama zagoiła. Ówczesni medycy sądzili, że powstała blizna lepiej utrzyma ramię na swoim miejscu.

Archagatos za pomocą świdra i skrobaka operował czaszki kopniętych przez konia lub trafionych kamieniem z procy. By znaleźć pęknięcie, golił głowę pacjenta, poszerzał ranę, zdejmował skalp i zapełniał otwór mieszaniną mąki jęczmiennej z wrzącym octem. Na tym kończyła się terapia pierwszego dnia. Dalsza polegała na obfitym stosowaniu jakiejś czarnej, śmierdzącej mazi, następnie zeskrobywaniu jej, czasem wierceniu w czaszce celem odprowadzenia krwi i innych płynów.

Przerażające, że cała ta chirurgia odbywała się z konieczności bez znieczulenia. Pewien ówczesny autor, zajmujący się tematyką leczenia, napisał: „Chirurg musi mieć silną i pewną rękę, która nigdy nie zadrży; wejrzenie przenikliwe i jasne, nieugiętego ducha; ma współczuć pacjentowi, ale nigdy nie ulegać jego krzykom”.

Drastyczne metody operowania i wysoka śmiertelność pacjentów nie uszły uwadze Rzymian. Szybko i zasłużenie zaczęli zwać Archagatosa oprawcą.

Wprawdzie rzymscy chirurdzy wojskowi osiągnęli wielką zręczność w składaniu kości i usuwaniu strzał z ciał rannych, lecz cywilami powszechnie zajmowali się Grecy-wyzwoleńcy, stosujący rutynowe metody, po trupach pacjentów idący do kariery w miastach całego imperium. Poziom medycyny był taki, że nieleczony miał takie same szanse przeżycia bądź zejścia jak leczony.

Bywali chirurdzy sprawni i mądrzy, jak Galen, który terminował łąając podziurawionych gladiatorów. On pierwszy przeprowadzał sekcje zwierząt, by poznać anatomię. W tajemnicy badał podobnie ludzkie zwłoki, co w tamtej kulturze uchodziło za rzecz niedopuszczalną.

Galenowi nawet się nie śniło o opasce zaciskającej, a rany pooperacyjne najchętniej traktował mąką pszenną gotowaną w oleju lub gołębim nawozem i atramentem. Mimo to udało mu się nie uśmiercić zbyt wielkiej liczby chorych; był lekarzem trzech cesarzy.

W II wieku n.e. umiano leczyć chirurgicznie wole, choć były to zabiegi bolesne. Operacje ułatwiało nieco stosowanie mandragory, atropiny i innych środków uśmierzających. Chirurgów uznano - choć z ociąganiem - za lekarzy, następców Hi-pokratesa, niemniej tej specjalności nie wybrałby żaden szanujący się Rzymianin.

HERODOROS; dął jak wiatr

Grecy lubili rogi; to znaczy dźwięk rogu i grę na nim. Na dziewięćdziesiątych szóstych igrzyskach w Olimpii zorganizowali nawet *salpink-tes*, czyli zawody trębaczy. Potem poszli za ciosem i urządzili konkurs heroldów, na którym startowali często ci sami ludzie o płucach ze stali.

Louisem Armstrongiem tamtej epoki musiał być nikłej postury (niepełna 1,60 m) Herodoros z Megary. Jego trąba, długa rura bez klawiszy, lejkowato rozszerzona na końcu, niemal dorównywała mu wzrostem. Lecz zadęcie miał jak donośnie i długo piejący kogut.

Zazdrośni konkurenci usiłowali skłonić go do wyjawienia tajemnicy tej rozrywającej bębenki głośności. Wreszcie uległ i zwierzył się: odpowiednia dieta, czyli pochłanianie pokarmów i napoi w olbrzymich ilościach. Obserwowano, jak zjadał siedem kilogramów chleba z mięsem podczas jednego posiłku, popijając sześcioma litrami wina. Miał też innego bzika: naśladować swego idola Heraklesa, sypiał owinięty lwią skórą.

Pierwszy start w Olimpii przyniósł mu zwycięstwo w obu konkurencjach. Następnie dziewięć razy zdobył pierwsze miejsca na czterech Wielkich Igrzyskach (olimpijskich, delfijskich, nemejskich i istmijskich). Trąbił tak przez czterdzieści lat. Louis „Satchmo” Armstrong z pewnością wyraziłby mu uznanie.

Zawody trębaczy i heroldów odbywały się - jak podają niektóre źródła - w pierwszym dniu igrzysk, w portyku o doskonałych walorach akustycznych. Zwycięzcy trąbili potem podczas konkurencji sportowych i ogłaszali wyniki.

Inni autorzy twierdzą, że konkurencje akustyczne rozgrywano jednocześnie z innymi przez pięć dni igrzysk olimpijskich, a pełni nadziei zawodnicy (nie tylko zdobywcy pierwszego miejsca) wykrzykiwali imiona najlepszych sportowców, trąbieniem dawali znak startu rydwanom czy inne sygnały; w ten sposób uprzyjemniali spektakl sędziom i publiczności.

Jakkolwiek było, Herodorosa czterdzieści razy ogłaszano tryumfatorem wśród trębaczy i heroldów na największych światowych zawodach.

Mógłby spocząć na laurach i innych gałązkach, z jakich pleciono będące pierwszą nagrodą wieńce. Uboczne korzyści ze zwycięstw były olbrzymie, począwszy od darmowego poczęstunków po gotówkę ofiarowywaną przez kibiców i rodzinne *polis*.

Lecz trąbienie pozostawało niezmiennie jego pasją. Wiele czynności Grecy wykonywali do wtóru muzyki, także walczyli. Do prowadzenia

wojny potrzebowali trębaczy wojskowych. Człowiek tak energiczny i z takimi predyspozycjami jak Herodoros oczywiście do tej roli się nadawał.

W roku 303 p.n.e. macedoński wódz Demetrios zwrócił się doń o pomoc, bowiem jego wojownicy oblegający Argos nie mogli uchronić się od gradu ołowiu i przesunąć na zaplanowane miejsce wieży oblężniczej. Akurat to dzielnie broniące się miasto było odwiecznym wrogiem ojczyzny Herodorosa.

Przyrzekł więc swój udział w walce i dotrzymał obietnicy, spektakularnie dmąc w dwie trąby jednocześnie. Niezwykły widok i dźwięk zmobilizowały Macedończyków. Niebawem mury obronne i całe Argos legło w gruzach. Dokonawszy tego iście herkulesowego czynu, trębacz wziął zapłatę i dumnie się oddalił.

KOMIK

asbestos gelos to zdrowie

Profesja komików, czyli *gelotopoiros*, „wytwórców śmiechu”, powstała w Grecji na potrzeby prywatnych przyjęć w męskim gronie zwanych sympozjonami, na których arystokraci tego popijali alkohol i zachowywali się nad wyraz swobodnie. Ukoronowaniem rozrywki miał być *asbestos gelos*, czyli niepohamowany śmiech (to było dawno, więc *asbestos* nie kojarzył się źle).

W czasach Platona czołowym komikiem był Filip, specjalista od parodiowania. Równie udatnie naśladował polityka, jak tancerza. Inni udawali znanych bokserów czy muzyków.

Zawodu rozśmieszacza nie uprawiało się na co dzień. Nawet hałaśliwe komedie Arystofanesa, nie mówiąc o utworach innych, mniej znanych pisarzy, wystawiano tylko na specjalnych festiwalach ateńskich.

Nie zawsze taki komediant łatwo zarabiał krocie. W IV wieku p.n.e. pojawiło się w Atenach wielu amatorów, utalentowanych w rozśmieszaniu publiczności. Byli to arystokraci i politycy. Założyli klub o nazwie „Sześćdziesiątka”, który regularnie odbywał zebrania w świątyni Heraklesa. Sława ich dotarła aż do Macedonii; król Filip (ojciec Aleksandra, sztukmistrz-prestidigitator, ale daleki do klasy swego imiennika komika) zamówił u nich wybór dowcipów na piśmie, za który z góry zapłacił złotem.

Mając taką zbójecką konkurencję, profesjonaliści z trudem radzili sobie na rynku. W społeczeństwie nieznającym telewizji, radia, night-clu-bów, gdzież mieli się produkować? Najbardziej zdesperowani podejmowali się występów na weselach i pisali humorystyczne książki, by zarobić bodaj drachmę.

Jedno z takich dzieł dotrwało do naszych czasów - zbiór 256 przednich żartów, jak i niewypałów z roku 250 p.n.e. Ponad 60 dotyczy miejscowości słynących z głupoty mieszkańców, 30 jest o lekarzach, a sto to prześmiewki z filozofów i w ogóle „wykształciuchów”. Oto przykłady dwóch udanych dowcipów, opowiadanych przez artystów estradowych dawnych wieków:

Rozpaczliwie potrzebując gotówki student sprzedaje swe podręczniki, następnie pisze do ojca: „Tato, możesz mi pogratulować. Dzięki moim studiom już uzyskałem dochód!”.

Sądząc po następnej opowieści, dowcip purnonsensowy ma dalekich przodków greckich:

Pacjent zgłasza się do lekarza z Kyme (miasta uchodzącego za siedlisko idiotów).

- Doktorze, gdy tylko się obudzę, miewam zawroty głowy. Ustępują dopiero po jakichś trzydziestu minutach.

- A więc budź się pół godziny później.

Rzymscy komicy i komediopisarze bez żenady korzystali z dorobku Greków, posuwając się do jawnych plagiatów, jak czynił to na przykład Plaut. Rzymianie przepadali za komediami rubasznymi, ślap-stickowymi, z czeredą aktorów i mimów. Komików nazywali *scurra*, stąd angielskie *scurrilous* (błazeń-ski, ale także ordynarny, nieprzyzwoity).

Wywodzący się z klas wyższych wyszczekani adwokaci często posługiwali się w sądzie żartem i śmiechem, by wzmocnić siłę argumentów, dlatego pilnie

przypatrywali się komedii i jej artystom. Kiedyś Cycero po konsultacjach z najślynniejszym aktorem swej doby napisał pedantyczną rozprawę na temat „jak dowcipna mowa - oczywiście wygłoszona w sposób dystyngowany, kulturalny, właściwy ludziom z dobrego towarzystwa - powinna rozweselać”. Jego przeciwnicy natychmiast to wykorzystali. Wiedzieli, jak zranić kogoś, kto musiał mozolnie dochrapywać się swego statusu, bo pechowo nie urodził się w stanie senatorskim. Toteż nazwali go *scurra*.

TEOGENES; uczynił Tasos ważną wyspą

Krzepki dziewięciolatek z Tasos nie był typowym dzieckiem w wieku szkolnym. Raz spodobała mu się brązowa figura boga na rynku, więc za-taszczył ją do domu, ku zaskoczeniu i przerażeniu wszystkich dokoła.

Niektórzy szemrali, że „trzeba zabić bezbożnego smarkacza”, ci o mocniejszych nerwach doradzali tylko odniesienie rzeźby na jej miejsce. Niemniej po tym wyczynie chłopaka poczęto mówić o nim jako o przyszłym Heraklesie.

Na igrzyskach 75 olimpiady Teogenes zaplanował występ w zawodach bokserskich, potem w pankrationie - walce, w której prawie wszystko jest dozwolone, bardzo przypominającej uliczną bójkę. Zawodnicy zadawali ciosy jak bokserzy, ale też chwyтали za głowę, dusili jeden drugiego, przewracali i przyciskali do ziemi, kopali w brzuch, łamali ręce i nogi.

Teogenes, wyczerpany zwycięstwem w boksie, zrezygnował z drugiej konkurencji, za co otrzymał od sędziów surową karę. Grecy mieli ciekawy sposób podziału grzywien: połowę należności należało wypłacić niedoszłemu przeciwnikowi, drugą połowę ofiarować Zeusowi Olimpijskiemu.

Mimo tak niefortunnego startu młody siłacz pobił potem niesłychany rekord, zwyciężając tysiąc czterysta razy w pankrationie, boksie i biegach na pięciu kolejnych igrzyskach w każdym z ośrodków „wielkiej czwórki” greckiej [w Olimpii, Delfach, Nemei i na Istmie Korynckim - przyp. red.].

Czy był sławny? Jeszcze jak! Poeta Pindar, znany ze swych ód na cześć zwycięzców olimpijskich, osiem z nich poświęcił właśnie Teogenesowi. W Olimpii przez wieki stał na honorowym miejscu posąg tego mocarza.

W tamtych czasach, czyli w V wieku p.n.e., bokserzy i pankrationiści byli na ogół amatorami, a nagrodę za pierwsze miejsce stanowił symboliczny wieniec oliwny. Drogie prezenty i gotówkę też otrzymywali, nie-

raz w wielkich ilościach, ale pozaregulaminowo, od kibiców i rodzinnych miast-państw. Lecz z czasem, do roku 300 p.n.e., te dyscypliny sportu przeszły na zawodowstwo, a zawodnicy walczyli o ciężkie pieniądze na spotkaniach w całym basenie Morza Śródziemnego.

Po śmierci Teogenesa rodacy z Tasos wzniesli mu pomnik. Ale inny miejscowy sportowiec, sfrustrowany przegranymi walkami z bohaterem, nocą podchodził do posągu i zadawał mu ciosy. Rozładowywał swoje złe emocje, lecz od uderzeń statua zaczęła się chwiać na cokole i pewnego wieczoru przewróciła się na sprawcę, zabijając go.

Żaden Grek nie mógł pozwolić, by morderstwo uszło pomnikowi płazem. Osądzono go zgodnie z miejscowym prawem karnym i wrzucono do wody. (Każdy zabójca musiał ponieść karę, czy był człowiekiem, czy choćby kamieniem w lawinie).

Zgodnie z wyrokiem rzeźba z brązu spoczęła na dnie morza, a pozostali przy życiu wyspiarze zajęli się swoimi sprawami. Jakoś nie niepokoiło ich, że utopili wizerunek swojego prawdziwego herosa. Po latach, gdy głód i epidemie pustoszyły Tasos, zwrócili się o poradę do najbliższej wyroczni. Usłyszeli: „Sprowadźcie z powrotem waszych wygnańców”.

Wciąż usiłowali rozszyfrować to polecenie, kiedy w sieci pewnego rybaka zaplątał się brązowy „wyrzutek”. Przeniesiono posąg na ląd, ustawiono ponownie na agorze i cały świat ujrzał, jak wyspa czci swego syna o międzynarodowej sławie. I poskutkowało: zbiory znów były obfite, głód już nie groził, prawdziwy happy end.

KIEROWNIK DRUŻYNY (WOŹNICÓW)

panowie i słudzy w największym widowisku świata

Tor wyścigowy (po łacinie *circits*) był ulubionym miejscem rozrywki Rzymian. Nic dziwnego, wstęp na widownię był bezpłatny, kobiety i mężczyźni mogli siedzieć razem, inaczej niż w teatrze czy wokół areny, a widowiska dawały okazję do hazardu. Ponadto walki gladiatorские odbywały się rzadko, natomiast gonitwy rydwanów przez sześćdziesiąt czy, za późniejszych cesarzy, osiemdziesiąt dni w roku. Cyrk stał się wielkim przedsięwzięciem ekonomicznym, a woźnice wyścigowi najbardziej rzucającymi się w oczy pszczołami w pracowitym roju.

Całym interesem zarządzali szefowie czterech drużyn, zwanych *facti*: Czerwonej, Białej, Niebieskiej i Zielonej. Każdy miał pod sobą zawodowy personel. Do swej godności *dominus factionis* dochodził nie drogą mozolnego awansu od najniższego szczebla, lecz dzięki koneksjom i majątkowi rodziny. Taki był porządek rzeczy przynajmniej do schyłku III wieku n.e., gdy Zieloni i Niebiescy wchłonęli dwie pozostałe, słabsze drużyny.

Jeśli któremuś z tych wpływowych mężów nie spodobały się warunki oferowane drużynie, mógł się sprzeciwić - nawet samemu imperatorowi. Nie trzeba wspominać, że rozpieszczano ich przez całe wieki, bowiem cesarze nie mogli pozwolić sobie na likwidację wyścigów.

Widowisko powstawało wysiłkiem liczego personelu pomocniczego. Trzeba było utrzymać tor wyścigowy i zachować kontrolę nad 250 000 widzów. Circus Maximus miał kształt wydłużonego owalu z ostrymi wirażami na obu końcach. W środku znajdowała się spina, czyli niski, długi mur, na którym poza ołtarzami rzymskich bóstw umieszczano siedem jaj z brązu i siedem również brązowych delfinów, oznaczających kolejne okrążenia. Wskaźniki te pojawiały się na tyle wysoko, by tłum kibiców mógł je dostrzec. Boksy startowe umiejscowiono na jednym z krótszych boków. Przy dłuższych bokach stały trzypiętrowe portyki z kamiennymi siedzeniami, oddzielone od bieżni szerokim na trzy metry kanałem.

Każdy woźnica miał do dyspozycji pięcio- lub nawet dziesięcioosobową ekipę techniczną. W boksie startowym czuwał *morator*, trzymający konie przed startem. Istotne było uzyskanie dobrej pozycji już na samym początku, bowiem prowadzący na trasie często wygrywał na mecie. Obok

moratora stał *tentor*, zwalniający urządzenie startowe w momencie, gdy „honorowy starter” - najczęściej cesarz we własnej osobie - wstanie i na oczach wszystkich upuści białą chustę.

Sparsos czekali na wirażach z wiadrami, by chłodzić konie i powożącego, a co najważniejsze, chlusnąć wodą na koła i zapobiec zapaleniu się drewnianych osi.

Praca wymienionych pomocników była błahostką w porównaniu z zadaniem, jakie musiał wykonać *hortator* (dopingujący). Jak szalony pędził na wierzchołku to z jednej, to z drugiej strony rydwanu, unikając kolizji z innymi pojazdami, podtrzymując woźnicę na duchu i informując go co chwila o poczynaniach współzawodników.

W jednym wyścigu uczestniczyło do dwunastu rydwanów i tyle samo konnych pomocników. Tłok na bieżni powodował częste i krwawe zderzenia. Woźnice owijali lejce ciasno wokół siebie, więc w razie wypadku musieli szybko nożem odciąć rzemienie, inaczej ginęli tratowani albo uduszeni. *Hortator* ponosił nie mniejsze ryzyko kalectwa bądź śmierci.

Rzymscy kibice uwielbiali, czcili i poważali swych woźniców i rozkoszowali się atmosferą cyrku; coraz trudniej było skłonić rozentuzjuszowany tłum, by rozszedł się do domów. Szefowie drużyn próbowali różnych sposobów, aż wreszcie znaleźli skuteczny: po ostatniej gonitwie wydawali darmowe jedzenie, jakby poczęstunek-prezent na drogę.

WOŹNICA RYDWANU życie pełne wstrząsów

W szalonych pierwszych wiekach naszej ery wyścigami rydwanów pasjonowali się wszyscy, jak dziś piłką nożną; kibicowanie stało się ogólnoświatowym nałogiem. Wcześniej Grecy z rzadka przyglądali się takim zawodom i traktowali ten sport jako jeden z wielu, pozwalający ludziom zamożnym pokazać się w Olimpii i w kilku innych znaczących miejscach. Natomiast w Rzymie była to rozrywka plebejuszy, bo takimi byli zawodnicy i widzowie; spektakl dla mas, przyciągający także bogatych.

Rzym szczylił się swymi twardymi, brutalnymi młodymi woźnicami. *Agitator* był często niewolnikiem bądź wyzwolencem, niemającym nic do stracenia. Nieliczni dostawali się do elitarnego klubu *milliarii*, grupującego tych, którzy tysiąc razy zwyciężyli w Circus Maximus czy gdzie indziej.

Mistrz szybkości Pompejusz Musklos („Muskularny”) zaliczył 3559 wygranych; inny znany jako „Złoty Nos” miał ich na koncie 2048 i zakończył życie młodo i gwałtownie. Niektórzy uzyskali wolność i przenosili się z drużyny do drużyny; pochodzący z Rzymu Polinik walczył w barwach Czerwonych, Zielonych, Niebieskich, a zakończył karierę (ponosząc śmierć w wieku 29 lat) jako jeden z Białych. Piękny Skor-pas zwyciężył w dramatycznej gonitwie i w ciągu jednej godziny zdobył piętnaście sakiewek ze złotem, pochwałę poetów i owacje mdlejących z wrażenia wielbicielk, potem, jako dwudziestosześcioletek, pewnego pechowego dnia odszedł ze świata.

Gdy ogłaszano zawody, setki tysięcy widzów wypełniały olbrzymi Circus Maximus przez cały dzień, obserwując czasem po dwadzieścia cztery wyścigi. W obiekcie urządzano nieraz także uroczystości religijne, pokazowe polowanie na dzikie zwierzęta czy walki gladiatorów.

Tłum hucznie dopingował swoich faworytów zarazem rozkoszując się widokiem ofiar kolizji, zderzeń, wypadków - częstych, gdy zawodnicy pędząc na łeb na szyję z piekielną prędkością pokonywali siedem okrążeń. Inaczej niż występujące w klasycznym filmie *Ben Hur* godne Scytów i zarazem Jamesa Bonda rydwany, w wyścigach uczestniczyły pojazdy lekkie, zwykle ciągnięte przez cztery konie.

Faule, nieczyste zagrania i przekleństwa towarzyszyły agonii i ekstazie. Powożący bili batami przeciwników po twarzach, chłostali ich konie. Sterowali własnymi rumakami, balansując ciałem. Nieraz celowo taranowali inne rydwany. Sportowcy i widzowie uprawiający hazard byli chorobliwie zabobonni. Rozwinął się rynek tabliczek z klątwami i złowrogimi życzeniami, które miały wpłynąć na przebieg wypadków. Typowy tekst brzmiał na przykład: „Demonie, kimkolwiek jesteś, żądam od ciebie w tej godzinie, w tym momencie, byś zadręczył i zabił konie Zielonych i Białych, byś zabił w katastrofie tych woźniców, nie pozostawiając nawet tchu w ich ciałach”.

Odwaga tych nieznających barier zawodników pobudzała wyobraźnię starożytnych historyków i pisarzy. Liczniejsze jeszcze dowody chwały uczestników gonitw znaleźć można na płaskorzeźbach, mozaikach i pomnikach. Najistotniejsze i najciekawsze szczegóły na temat ich życia zawarte są w dokumentach pozostawionych przez fanów i na nagrobkach gwiazd sportu, gdzie wyliczone są ich zwycięstwa i porażki.

DIOKLES; wędrująca supergwiazda

Jedna czwarta milionowej populacji Rzymu regularnie gromadziła się w Circus Maximus, by zaznać maksimum emocji. W odświętnej atmosferze, przypominającej tę z ważnych meczów współczesnej doby, spędzali tam cały dzień, przyglądając się wyścigom dwukonnych i czterokonnych rydwanów, kierowanych przez przebiegłych i nieustraszonych woźniców. Każdy zaprzęg należał do jednej z czterech drużyn albo stajni: Białych, Czerwonych, Niebieskich lub Zielonych. Każdy człowiek, od niewolnika do senatora, kibicował którejś z nich.

W pełnym chwały pięćdziesięcioleciu 100-150 n.e. bywalcy cyrku dopingowali nowo rozbłysłą gwiazdę - Gajusza Apulejusza Dioklesa, którym zachwycali się jako najzdolniejszym *agitatore*m na świecie. Początki miał nie najlepsze. Urodzony w Luzytanii (dziś Portugalia), jako nastolatek trafił do Rzymu i zadebiutował powożąc w zespole Białych. Przegrał i przegrywał jeszcze przez następne dwa lata. Mimo to kierownictwo stajni zatrzymało go; było coś w tym chłopcu, może niepoohamowana odwaga, może inteligencja, z jaką analizował każdą gonitwę i uczył się od innych. Mając lat dwadzieścia zwyciężył po raz pierwszy. Ostatecznie nie zawiodł zaufania Białych. Cztery lata później, już jako sławny wielokrotny zwycięzca, przeniósł się do Zielonych. W wieku lat dwudziestu siedmiu porzucił Zielonych dla Czerwonych, którym pozostał wierny przez piętnaście lat. Jest chyba pierwszym znanym w historii sportowcem rotacyjnym. Bez wątpienia był jednym z najsprytniejszych na torze i poza cyrkiem.

Liczba wyścigów, w których uczestniczył, przyprawia o zawrót głowy: 4237. Pierwsze miejsce zdobywał 1462 razy, z czego 60 razy współzawodnicząc z czołówką woźniców imperium. W Circus Maximus wydarzeniem dnia była pierwsza gonitwa, odbywająca się zaraz po honorowej rundzie zawodników i posągów głównych bogów.

Prawdziwy profesjonalista, Diokles pozostawił dokładną statystykę, z podziałem swoich wygranych i przegranych na kategorie. Z jego zapisków wiele dowiadujemy się o funkcjonowaniu cyrku. Na przykład 1064 zwycięstw odniósł w wyścigach czterech rydwanów, po jednym z każdej stajni. Gdy na trasie robiło się ciasniej (przepisy dopuszczały bowiem maksymalnie dwanaście pojazdów), zwyciężał rzadziej, miał bowiem mniej przestrzeni do manewrowania i wzrastała częstotliwość kolizji.

Odmienne niż w filmach, w których bohater pozytywny zwycięża atakując z dalszej pozycji, Diokles prowadził w ponad połowie zwycięskich biegów, co jasno wynika z jego rejestru. Wiedział, jak ważne jest wysunięcie się na czoło już w momencie wyjścia z boksu startowego. Biała linia startu znajdowała się na środku toru, na końcu spiny, niskiego muru rozdzielającego bieżnię, meta zaś na prostym odcinku trasy.

Diokles ścigał się też na rydwanach zaprzężonych w siedem koni, był pierwszym tryumfatorem w tej konkurencji. Zawody z udziałem większej liczby koni u rydwanu czy nawet innych zwierząt rozgrywano na terenach treningowych, przypuszczalnie były to zamknięte pokazy, tylko dla cesarza i jego gości.

Ten *agitator* rozumiał konie. Wiedział też, kiedy odejść z branży. Zgromadził ponad trzydzieści pięć milionów sestercji, był więc bogatszy niż większość senatorów. W przeciwieństwie do licznych przeciwników z toru zdołał się majątkiem nacieszyć, gdyż cały i zdrowy wycofał się z branży w wieku 42 lat.

HODOWCA KONI

nie miał w stadzie czarnych koni

Co sprawiało, że przez całe wieki prosperował Circus Maximus i jego kopie od krańca do krańca imperium?

To zwierzęta były tym potężnym magnesem dla publiczności, a ściślej konie, jakich nie widziano od pamiętnej klęski Greków na południu Italii, kiedy żołnierze z Krotony grając skoczne melodie na fletach spowodowali chaos wśród kawalerii miasta Sybaris, gdyż tamtejsze ogiery nauczone były tańczyć przy muzyce. Wierzgając i stając dęba, zrzucały jeźdźców prosto pod nogi nieprzyjaciela.

Rzymscy hodowcy koni traktowali swe zajęcie poważnie. Posiadali stadniny w Afryce Północnej, Tracji, Tesalii, na Sycylii, w Kapadocji i Iberii. Z tej ostatniej krainy pochodziły najlepsze odmiany wyścigowe, jak asturyjska czy luzytańska. Niektórzy dostarczali też konie dla wojska, wierzchowe lub juczne. Ze strony armii było zapotrzebowanie na klacze i wałachy, ze strony cyrków na ogiery; oba rynki dopełniały się wzajemnie. Konie kawaleryjskie i wyścigowe wymagały intensywnego szkolenia, więc duże pole do popisu mieli trenerzy.

Stadniny doglądał *mulomedicus*, weterynarz chirurg, studiujący literaturę na temat końskich dolegliwości. Dokładnie opisywano rodowody i anatomię zwierząt. Dwulatka można już było okiełznać i ujeździć, czyniąc zeń wierzchowca. Do wyścigów rydwanów nadawały się pięciolatki. Gdy ogier się zakwalifikował, biegał w zaprzęgu po piasku czy błocie przez piętnaście lat bądź dłużej.

Niektórzy woźnice pozostawili notatki, w których wymieniają imiona koni; wnioskować można z tych zapisków o wielkiej wytrzymałości zwierząt. Ogier słusznie zwany Victor odniósł 429 zwycięstw, Germinator z tym samym woźnicą wygrał 92 razy.

Były stada większe i mniejsze, te drugie też odgrywały znaczącą rolę na rynku. Niemniej pewien urzędnik wysłany na inspekcję tak wyraził się o hodowli, którą pominął: „Właściciel ma tylko czterysta koni, więc uznałem, że nie warto zwracać sobie głowy”.

Więksi hodowcy pracowali dla jednej z czterech drużyn: Czerwonych, Białych, Zielonych albo Niebieskich. Drużyny same również posiadały liczne stadniny i flotę statków przystosowanych do transportu zwierząt po całym cesarstwie.

Odnoszące sukcesy konie stawały się popularniejsze od godnych szacunku ludzi. Nadambitny poeta Marcjalis lamentował, że w przeciwieństwie do niego słynne konie bywają często rozpoznawane. Wizerunki ulubionych zaprzęgów umieszczano na zabawkach dziecięcych i rękojeściach noży. Woźnica Polidos i jego główny koń Compressor zostali uwiecznieni na mozaice, inni w brązie i marmurze, razem ze swymi

słynnymi rumakami; także na freskach ozdabiających domy miłośników końskiego sportu.

Pod wpływem wyścigomanii, a może już obłędu, cesarz Kaligula zbudował dla ogiera

ze stadniny Zielonych, imieniem Incitatus, marmurową stajnię ze żłobem z kości słoniowej, potem zwycięskiemu koniowi nadał status równy senatorskiemu. Senatorowie należący do rzędu naczelnych poczuli się znieważeni i mocno zagrożeni konkurencją czworonoga.

W roku 47 rumaki Białych odznaczyły się w szczególny sposób. Sławny woźnica Rawen spadł z rydwanu na starcie, lecz doskonale wytresowana czwórka koni samodzielnie kontynuowała wyścig, zdobyła prowadzenie, rozpychając się i manewrując przechytrzyła rywali, zupełnie jakby kierowana sprawną ręką. Ku powszechnemu zdumieniu zwyciężyła, a nawet była dość mądra, by zatrzymać się na kredowej linii mety przed wyruszeniem na tryumfalną rundę.

Widząc wygraną Białych, tłum oszalał z radości. Dostawca koni i trener byli w siódmym niebie. Wszyscy woźnice natomiast zadrżeli na myśl o możliwym wyhodowaniu koni obywatelskich bez ludzkiego kierownictwa. To byłby dobry zarobek, ale nie dla nich.

KONIK BILETOWY

specjalność: najlepsze miejsca

Niektóre zawody - nie tylko ten nazywany najstarszym na świecie - są wieczne. Choćby *locarius*, czyli konik, spekulant biletowy.

Na ulicach Rzymu i innych miast ludziom takim zarobek dawały festiwale muzyczne czy przedstawienia teatralne. Zarobek lukratywny. Wykupowali całe szeregi miejsc i odsprzedawali z maksymalnym zyskiem, lecz mimo entuzjastycznego podejścia publiczności do wydarzeń kulturalnych, większości koników trudno było się utrzymać z tej działalności przez cały rok.

Nową erę w sporcie widowiskowym zapoczątkowały wyścigi rydwanów w Circus Maximus i na innych torach, przyciągające większe tłumy niż wszystkie teatry razem wzięte. Jedyłą ich wadą był bezpłatny wstęp i możliwość zmiany miejsc przez widzów w trakcie spektaklu.

Światelkiem w tunelu okazał się *munus* (w liczbie mnogiej *munera*),

pochodzący z zamierzchłej przeszłości ponury obyczaj okazywania czci zmarłym przez rozlew krwi w pojedynku. Rzymianie wzięli ten sposób uświetniania obrzędu pogrzebowego od Etrusków i nie mieli oporów przed jego modyfikacją. Stopniowo *munus* przerodził się w krwawy występ gladiatorów, za oglądanie którego trzeba było płacić.

Gdy spektakl upowszechnił się na rynku rozrywki, rozgrywano go w drewnianych lub kamiennych obiektach, gdzie wstęp był płatny i można było kontrolować wchodzących. W ociekające krwią dni grudniowych Saturnaliów *locarius* zbierał żniwo na zewnątrz, a śmierć na arenie.

Juliusz Cezar podwyższył poparcie społeczne dla siebie, organizując widowisko z udziałem 320 par walczących, August zaś niewątpliwie przesadził, finansując osiem pokazów rzezi, w których łącznie wzięło udział 10 000 wojowników. Społeczność koników była wniebowzięta.

Potem wmieszał się w sprawę senat, ograniczając ludowi rozrywkę do dwóch wielkich pokazów walki i zabijania w roku, z nie więcej niż sześćdziesięcioma gladiatorami. W rezultacie senatorowie omal nie ogłuchli od pomruków dezaprobaty dochodzących ze wszystkich stron, pałacu władcy nie wyłączając. Pośpieszyli więc z poprawką legislacyjną, w myśl której igrzyska cesarskie nie podlegały ograniczeniom. Kolejną furtką było zezwolenie na widowiska sponsorowane przez edylów*.

Imperium rosło, a wraz z nim rosły kolejne amfiteatry. Ostatecznie liczba ich sięgnęła niemal stu, stwarzając konikom wspianą bazę zarobkową.

Organizacja widowni była tam wzorowa. Różne kategorie widzów docierały do swych numerowanych miejsc oddzielnymi bramami i schodami. Wewnątrz nad porządkiem czuwali specjalnie opłacani bileterzy.

Byli rzecz jasna równi i równiejsi; niektórzy mieli miejsca wykupione na stałe, a nieliczni prominenci mieli wstęp darmowy. Niemniej większość publiczności uiszczała opłatę za wstęp, jak wynika z wykopalisk. Według starożytnych autorów cesarze tylko dwa razy urządzili bezpłatny dzień walk.

Przy nadzwyczajnych okazjach, jak pamiętny, trwający 117 dni morderczy festiwal Trajana dla uczczenia zwycięstwa nad Dakami, drobni spekulanci zarabiali masę pieniędzy; tak samo, gdy pojawiali się znani, uchodzący za niepokonanych gladiatorzy. W połowie lat sześćdziesią-

* Rzymianie mający ambicje polityczne zaczynali karierę od stanowiska edyla, którego obowiązkiem było m.in. łożenie na organizację walk gladiatorских. Im bardziej były okrutne i krwawe, tym większe szanse awansu na wyższy urząd miał organizator.

tych 1 wieku n.e. udział w walkach niejakiego Hermesa, „ukochanego gladiatora koników”, pozwalała żądać za bilet dwukrotność czy nawet trzykrotność pierwotnej ceny.

Obrotny *locarins* potrafił zyskać krocie na rozrywce, na którą inni wydawali pieniądze.

DOCTOR

nie dla chorych

Ciekawi jesteście, jak gladiatorzy uczyli się walczyć, zabijać i nie dać się zabić? Przede wszystkim gladiatorem zostawało się dzięki pracy, nie z urodzenia. Gladiatorzy nie stanowili formacji specjalnej legionów rzymskich, choć niektórzy z nich byli wcześniej wojownikami armii pokonanych przez Rzymian.

W większości więc trafiali do zawodu nie z własnej woli, lecz jako niewolnicy lub jeńcy wojenni. Stanowili czyjąś własność. Umieszczano ich w koszarach jednej ze szkół gladiatorских, w stolicy albo na prowincji. Czasami, wyjątkowo, dołączali do nich wolno urodzeni ekscentrycy.

Doctor to trener gladiatorów. Łacińskie słowo oznaczające lekarza to *medicus*; gladiatorzy mieli sporo okazji, by korzystać i z jego usług.

Doctor musiał mieć osobowość kaprała bez końca musztrującego podkomendnych. Większość treningów odbywała się z użyciem drewnianych mieczy, co może wydać się dziwne, biorąc pod uwagę różnicę w ciężarze i skuteczności w porównaniu z ostrym jak brzytwa mieczem (*gladius*) stosowanym na arenie. Niejeden instruktor sam był kiedyś gladiatorem, który wyszedł żywy ze wszystkich walk i w dowód uznania otrzymał *ru-dis*, czyli drewniany miecz z wypisanym swoim imieniem; spotykało to tylko walczących odpowiednio długo i mężnie oraz tych, co zasługiwali na przejście w stan spoczynku.

Na przełomie II i I wieku p.n.e. niektórzy dowódcy wojskowi uznali, że *doctor* nadałby się też do szkolenia rekrutów. Od tamtej pory armia stała się alternatywnym pracodawcą dla nauczycieli technik walki na śmierć i życie.

EDITOR

nie tak krwawo miało być

W ciągu dwóch tysięcy lat sporo może się wydarzyć. Weźmy słowo *editor*. Jego pochodne, często używane we współczesnych językach, oznaczają zawód lub działalność.

Dawno temu mianem tym określano obywatela rzymskiego, który postanowił zrobić karierę polityczną, wspinając się po szczeblach hierarchii wiodących do urzędu konsula. Aby osiągnąć cel, urządzał pokazowe polowanie na dzikie bestie czy walki gladiatorów ku czci jakiegoś ważnego nieboszczyka. Początkowo były to spektakle raczej na małą skalę, dawały tylko przedsmak krwawej łaźni. Nie robiły takiego wrażenia jak bom-bastyczne napisy, umieszczane później przez organizatora na możliwie trwałej i widocznej powierzchni, oznajmiające dumnie, jaki był wspaniałomyślny i hojny, „sprowadził pięć żywych żyraf, po raz pierwszy i na własny koszt”, czy coś w tym rodzaju.

Lecz gdy nastał Juliusz Cezar i jego ambitni następcy, każdy z nich chciał urządzić igrzyska najlepsze, najbardziej krwawe, jakie kiedykolwiek widziano.

Co więc musiał zrobić *editor*? Obniżyć standardy rodzinie, sprzeniewierzyć posag żony i zwołać publiczność na oglądanie jeszcze większej jatki. Rzymianie mieli nie-nasycony głód nowości, więc pomysły początkujący polityk mógł zaplanować walkę między karłem a *gladiatrix* (kobietą gladiatorem) czy atak lampartów na żyrafy. Gusta widzów zmieniały się. W pogoni za oryginalnością przystrajano zbroje pawimi piórami. By jeszcze wzmóc przepych, zamawiano srebrne tarcze i pozłacane hełmy, tak że gladiatorzy zarazem walczyli i oślepiali. W czy-

jejś głowie narodził się nawet pomysł nocnych igrzysk przy świetle pochodni i lamp oliwnych - ciekawy, lecz się nie przyjął.

Pamiętajmy, pojedynki odbywały się jakoby ku czci zmarłego - lecz nie gladiatorów mających wkrótce do niego dołączyć. Najokrutniejszym wariantem walki był *munuis sine missione* - szatańska rzeź, w której wszyscy musieli polec, wzajemnie się wybić (za taki występ gladiatorzy i ich właściciele oczywiście żądali góry pieniędzy).

Wyróżnienie dla *editora* z największą inwencją sprawiedliwie należy się Gajuszowi Terencjuszowi Lukanowi. Ku czci swego zmarłego dziadka urządził trzydniowe jatki z trzydziestoma parami gladiatorów. W trakcie pojedynków wynajęci przez niego artyści, usytuowani w punktach najlepszej widoczności, szkicowali ciekawe sytuacje. Dzięki temu niebawem dysponował wielkimi malowidłami z igrzysk, które umieścił w bardzo ruchliwym miejscu, obok świątyni Diany. Takie „migawki” i portrety gladiatorów stały się kolejnym elementem rzymskiej ekstrawagancji.

Nie porzestając na ekscytowaniu opinii publicznej obrazami przedstawiającymi „najlepsze z najbardziej przerażających” scen z igrzysk, editor mógł zamówić realistyczną mozaikę na podłogę swego domu, by trwale przypominała jego sukces jako sponsora widowiska. Nawet upowszechniła się moda umieszczania takich wizerunków na grobowcach.

AUCTORATUS

gladiator ochotnik, bez zahamowań

Najdziwniejszymi przypadkami wśród gladiatorów byli *auctorati*, czyli ochotnicy. Niektórzy rekrutowali się z najbiedniejszych warstw ludności i gwałtownie potrzebowali gotówki, byli też patrycjusze ciekawi życia na dnie; także wyzwolenicy, między innymi byli gladiatorzy, którzy zyskali wolność, lecz wciąż nie mieli dość areny.

Przyjęcie statusu gladiatora było dozwolone, ale równało się rezygnacji z praw obywatelskich, zejściu do pozycji zajmowanej przez stręczycieli i utracie szansy na pochówek na zwykłym cmentarzu.

Formalnie należało zadeklarować wobec sędziego chęć walki na arenie, następnie zawrzeć umowę z managerem, targując się o zapłatę; z kolei złożyć mrożącą krew w żyłach przysięgę, oznaczającą zgodę na pięć-

nowanie trzeciej kategorii i tak dalej. Ochotnicy otrzymywali znaczącą premię; taka była motywacja biedaków i zrozpaczonych dłużników.

Po nabyciu ekwipunku, wyćwiczeniu pod okiem instruktora widowiskowych śmiertelnych pchnięć, ciosów i parowań, po uregulowaniu - na wszelki wypadek - wszelkich spraw osobistych, wolny gladiator debiutował na arenie.

W przeddzień walki był ozdobą publicznej uczty, gdzie miłośnicy krwawego sportu wypytywali, co się czuje patrosząc mieczem przeciwnika, a uroczne starsze panie ustawiały się w kolejce po kosmyk włosów, który przyniesie im szczęście w miłości. Bratał się ze żłopiącymi wino ponurymi skazańcami, którym przeznaczono być w najbliższe południe przekąskami dla dzikich drapieżników.

Nazajutrz dzielnie wkraczał na arenę w ozdobnym hełmie i w przetykanym złotem płaszczu. Walki rozpoczynały się po południu. Nowicjusz występował może dopiero w dwudziestej z kolei lub jeszcze późniejszej. Po zapowiedzi i kontroli ostrości mieczy wychodził na środek areny. Tam czekało już dwóch sędziów i orkiestra dęta, mająca akompaniować stęk-nięciom i jękom walczących. Przeciwnikom starcie mogło wydawać się nieskończenie długie, lecz naprawdę trwało dziesięć do piętnastu minut, w trakcie których obaj spocili się jak myszy, jednocześnie tracąc być może wszystkie inne płyny ustrojowe.

Jeden z nich miał z reguły więcej zręczności i wytrzymałości. Najczęściej pojedynek był skończony, gdy słabszy z uczestników tracił zdolność bojową w wyniku zranienia bądź opadnięcia z sił. Wtedy podnosił w górę palec wskazujący lub rzucał tarczę. Atakowanie zawodnika zgłaszającego chęć kapitulacji było poważnym wykroczeniem (winowajców karano chłostą lub piętnowano rozżarzonym żelazem).

Zwycięzca dostawał owację publiczności, gałązkę palmową może i wieniec; potem odbywał tryumfalną rundę wokół areny. Jeśli w przypadku nowicjusza po pierwszym sukcesie przyszły następne, zyskiwał krąg wiernych kibiców i doświad-

czał ich wzrastającej hojności. Z czasem mógł spodziewać się upominków w postaci pełnych sakiewek i misternych złotych naszyjników, na widok których zzieleniałby z zazdrości niejeden mafioso. To wszystko było tylko dodatkiem do zarobku zasadniczego.

Rany podnosiły wartość gladiatora; więcej dostawał za każde spotkanie, rósł jego prestiż, szczególnie u kobiet. Zaskakująco wiele Rzymianek pragnęło bezpiecznie otrzeć się o śmierć, a tylko gladiator mógł takiej emocji dostarczyć.

GLADIATRIX flirtowała ze śmiercią

Trudno poskromić fantazję i kaprysy zmiennych kobiet, szczególnie tych ze skłonnością do pracy w zawodzie gladiatora, profesji wysokiego ryzyka i niskiego prestiżu. Kobieta gladiator zwała się w starożytnej łacinie *gladiatrix*.

Senat wciąż uchwalał przepisy zabraniające takim ochotniczkom występów na arenie; te z kolei zainteresowanie władzy poczytywały sobie za zaszczyt. W roku 19 n.e., gdy rodzice agresywnych dziewcząt byli u kresu wytrzymałości, senatorowie przyjęli prawo zwane *Tabula Lari-nas*, zaostrożące zakaz: „niedozwolone jest werbowanie do walki na arenie córek, wnuczek i prawnuczek senatorów oraz ekwitów”.

Jak można się było spodziewać, sprawy przybrały gorszy obrót za czasów Nerona, organizatora igrzysk z udziałem żeńskich gladiatorów w latach 55 i 63. Na pewnym pokazie w Puteoli cesarz zapoczątkował modę na pojedynki pomiędzy odważnymi i mającymi gdzieś opinię Etiopkami.

Domicjan poszedł o krok dalej, wprowadzając tradycję nocnych spotkań, gdy *gladiatrices* ścierały się w świetle pochodni. W tych widowiskach występowały wyłącznie gwiazdy areny.

Sto lat później cesarz Sewer znów ubolewał nad praktyką angażowania kobiet do pokazowych walk i zakazał jej, szczególnie piętnując „nagły napływ [do tego zawodu] niewiast z klas wyższych”. Oczywiście, mimo głosu dezaprobaty z samej góry, pozostała pewna liczba upartych pań, zdecydowanych na kontynuację obranej drogi życiowej.

Uprawianie gladiatorstwa nie dawało tytułu do chwały. Do zawodu przeznaczano normalnie niewolników i jeńców wojennych. Drobnym procent stanowili ochotnicy, którzy rezygnowali ze swoich praw cywilnych i godzili się na infamię. A kobiety miały wszak mniej praw do stracenia. Może niesława miała nawet jakiś urok; gladiatorami pogardzano i zarazem żarliwie ich uwielbiano, mieli licznych zaprzysięgłych miłośników obojga płci.

Tak więc gladiatorkami zostawały najczęściej kobiety wolno urodzone, wybierające tę pracę z własnej chęci. Niektóre przyciągał powab zakazanego owocu, igranie z niebezpieczeństwem. Inne bardziej niż śmierci obawiały się nudy. Jeszcze inne chciały sprawdzić się w męskim rzemiośle, przetestować swą zdolność do walki, zademonstrować odwagę w obliczu wielce prawdopodobnego zranienia, kalectwa czy śmierci.

Niebezpieczeństwo to rzecz względna. Sprawnej *gladiatrix* nie brakowało fanów i nie uskarżała się na zarobki. Jako walcząca dobrowolnie miała zagwarantowaną płacę minimalną za każdy występ. Jej długie życie i zdrowie leżało zdecydowanie w interesie organizatorów igrzysk. Spektakle trwały nieraz całymi dniami, lecz nie były częste. Wytrawnych gladiatorów widywano na arenie łącznie przez kilka czy kilkanaście dni w roku, *gladiatrices* zapewne jeszcze rzadziej. W filmie *Gladiator* oglądamy, jak stara jędza pędzi na rydwanie wokół areny, co jest zupełnie niezgodne z rzeczywistością: *gladiatrices* biły się w pojedynkach, na piechotę, tak samo jak ich koledzy po fachu.

Wiele cennych szczegółów na temat kobiecych walk odczytali archeolodzy i historycy z płaskorzeźby znalezionej w Halikarnasie (dziś w Turcji). *Gladiatrices* Amazon i Achillea (to zapewne pseudonimy arenowe) toczą bój odziane w blisko czterestokilogramowe zbroje, włączając nagolenniki i prostokątne, podbite filcem tarcze. Pancerze osłaniają ich ręce trzymające miecz. Wielkie hełmy z przyłbicą mają podobnie jak tarcze, filcową podkładkę. Ciosy mieczem są finezyjne, szybkie; sposób walki ofensywny.

Kobiety czynne na arenie zyskiwały szeroki rozgłos, a było ich niemało. Świadczą o tym znaleziska archeologiczne, wciąż wydobywane w Ostii, Londynie i wielu innych miejscowościach.

DOSTAWCA BESTII członkowie Towarzystwa Ochrony Zwierząt niepożądana

Rzymianie, jak współcześni Amerykanie, byli nałogowymi „ogląda-czami”, a ulubionym obiektem ich ciekawości były zwierzęta; w przeciwnieństwie do rodaków autorki, lubili jednak patrzeć jak przedstawiciele różnych gatunków zabijają szabijani, i jeszcze, aby wszystko było wpi-sane w interesującą fabułę. Najpierw w cyrkach, potem w amfiteatrach występowały dzikie bestie jako element zabawy czy zawodów. W roku 186 p.n.e. w Circus Maximus demonstrowano lwy i pantery w przerwach pomiędzy wyścigami rydwanów, a uroku widowisku dodawał niewielki dystans dzielący oglądających od oglądanych.

W miarę jak spektakle z udziałem gladiatorów zyskiwały na popularności, były wzbogacane i rozszerzane o dodatkowe atrakcje. By uraczyć widzów nowością, pokazywano im w charakterze przerywnika egzotyczne stworzy. Szybko jednak wydało się to organizatorom nudne; zdecydowali, że zwierzęta muszą popisywać się szczególnymi umiejętnościami. I tak strusie odbywały wyścigi, a tresowane słonie „pisały” po łacinie na piasku.

Taki program artystyczny na dłuższą metę okazał się jednak zbyt trudny, tresura czasochłonna, a dostawy żywego materiału nieregularne. W trakcie burzy mózgów narodził się więc kolejny pomysł: niech zwierzęta walczą ze sobą, to dopiero będzie właściwe wykorzystanie dzikich i oswojonych stworów. Rozgrywały się więc groteskowe starcia: byka z pytonem, słonia z lampartami, nosorożca z niedźwiedziem czy wilków z odyńcem.

Ktoś z kolei długo myślał i wpadł na koncepcję pozwalającą zarazem rozładować nadmiar skazańców. Nazwano to *ad bestias*: człowiek (uzbrojony albo bezbronny) miał teraz stawiać czoła zwierzętom. Igrzyskom przybył więc nowy stały fragment, wyznaczany zawsze na południe. Ponadto mniej zręcznych gladiatorów przekwalifikowano na

bestiarii, którzy na oczach publiczności polowali na grubego zwierza, stosując przeróżną broń i środki.

W apogeum swej popularności widowiska takie odbywały się na ponad stu stałych arenach publicznych na terenie imperium, na niezliczonych prywatnych oraz w cyrkach. Ktoś musiał zająć się zdobywaniem zwierząt, zapewniając płynność i niezawodność dostaw. Zadanie wydawało się niezmiernie trudne, technicznie i organizacyjnie. Znaleźli się jednak ludzie, których specjalnością były właśnie kłopoty. Nosili wdzięczny tytuł *praepositus camelorum* i byli urzędowymi łapaczami-myśliwymi, spedytorami, konwojentami, wreszcie niezawodnymi dostawcami towaru wprost na arenę. Dawali zajęcie dziesiątkom podwykonawców i setkom pracowników, którzy tropili i chwyтали tysiące sztuk zwierząt. *Praepositus* starał się, by wśród zwierząt (od krokodyla do wielbłąda) docierających do miejsca przeznaczenia zachowana była odpowiednia proporcja żywych do padłych.

Przybyłe zwierzęta przechodziły pod opiekę organizatora rzezi, który dbał o ich wygodę i odpowiednie odżywianie, by prezentowały się dziarsko. W przypadku lwów i innych drapieżników oznaczało to pozbawienie surowego mięsa przez parę dni, by wygłodzone nie przebierały wśród zdobyczy.

Poza ofiarami w ludziach igrzyska oznaczały więc niszczenie przyrody (przynajmniej niektórych jej elementów). Przez siedemset lat zwierzęta systematycznie mordowano w cyrkach i na arenach Rzymu. Prowincje od Syrii po Germanię ogałacano, by zaspokoić nienasycony apetyt na spektakularne jatki. Z dzisiejszej Libii ściągano słonie, z Germanii niedźwiedzie. Nawet cesarze o łagodniejszym usposobieniu, jak Hadrian, żądali rzeźnickich przedstawień, takich jak na przykład ateńskie, gdzie uśmiercono tysiąc czworonogów (może i ptaków czy węży). Ogólna liczba zwierzęcych ofiar sięgała milionów, wyginęły całe gatunki, choćby lew mezopotamski.

Nam, żyjącym w epoce uwrażliwienia na los dzikich zwierząt, trudno pojąć rzymskie delectowanie się ich śmiercią. Niemniej owe hekatomby symbolizowały dwie rzeczy: potęgę Rzymu i panowanie człowieka nad bestią.

Stąd brało się przekonanie o doniosłości pracy i godności dostawcy. Często ludzie ci chwalą się swą działalnością jeszcze po śmierci, na płytach nagrobnych, upiękuszonych wizerunkami na przykład słoni, zeszlých z tego świata w wyniku ich sumiennej pracy.

ORGANISTA WODNY

wodne, mocne uderzenie

Aleksandria w swych najlepszych dniach była Paryżem Imperium Ro-manum, kosmopolitycznym centrum naukowym i kulturalnym. W tamtejszej wielkiej bibliotece naukowcy i myśliciele pracowali, dyskutowali i dokonywali wynalazków.

Lecz najdziwniejszy przypadkowy wynalazek narodził się w pracowni fryzjera. Syn właściciela, mający smykałkę do majsterkowania Ktesibos, usiłował wymyślić mechanizm ustawiający lustro i, nie planując tego wcześniej, zaczął eksperymentować ze sprężonym powietrzem. Jego napędce sklecony kompresor wydał parę ostrych dźwięków wysokich i basowych, więc konstruktor pomyślał, że mógłby to być nowy instrument muzyczny, zwłaszcza że zupełnie nie nadawał się do regulacji pozycji zwierciadła.

Metodą prób i błędów Ktesibos skonstruował wreszcie *hydraulis*, tworząc zarazem hydraulikę. *Hydraulis* to piszczałki, do których powietrze tłoczy się z wykorzystaniem dzwonu wodnego; przyjęło się nazywać to urządzenie organami wodnymi.

Prototyp z brązu i drewna miał ciężką marmurową podstawę ze zbiornikami wodnymi i tłokami, pchającymi sprężone powietrze do umieszczonych wyżej piszczałek. Obserwatorowi przypominał zmechanizowaną, ustawioną pionowo grecką fletnię Pana. Za pomocą układu dźwigni dawało się zeń uzyskać oktawę dźwięków.

Wynalazca eksperymentował dalej, próbując innych rozwiązań, wymyślając nawet pierwszą w swej części świata pompę. Tymczasem jego żona Tais starała się ulepszyć organy. Ich melodyjna gra była zaskoczeniem dla słuchaczy, gdyż większość ówczesnych instrumentów brzmiała niesamowicie ponuro.

W ciągu następnego stulecia ulepszeń przyrządu dokonali aleksandryjczyk Heron i rzymski architekt Witruwiusz. Zmodyfikowane przez nich organy miały dziesięć piszczałek i kłapy zaworów wygięte na kształt delfinów; ich głos brzmiał potężnie, donośnie. Rozpowszechniły się w basenie Morza Śródziemnego, a wraz z nimi nowy zawód: organista.

Rozpoczęły się konkursy organowe. Utalentowany Antypater zdobył sławę w Delfach, grając przez pełne dwa dni. Niebawem bez tego instru-

mentu nie mogło się obyć żadne wesele, wyścigi konne, zaprzysiężenie, przyjęcie czy przedstawienie teatralne.

A że to kobieta spopularyzowała organy, uznano je za instrument stosowny dla jednej i drugiej płci. Toteż organistki i organiści (wraz z solistą dmącym w spiralny róg) przygrywali walczącym na śmierć i życie gladiatorom, gdy zwyczaj takiego akompaniamentu się upowszechnił.

Wśród pyszałków chępiących się mistrzostwem w grze na organach największym był sam Neron. Gdy akurat nie mordował własnej matki czy innych krewnych, bawił się klawiszami. Lecz sprawniejszy w zbrodni niż w muzyce, grał prawie tak dobrze, jak powoził rydwanem. To znaczy beznadziejnie.

Cesarstwo zachodnie przeminęło, a razem z nim okazje do koncertów organowych. Pozostały ślady długotrwałej popularności instrumentu, jego szczątki i obrazy, od Afryki Północnej po Panonię. Najpóźniejsze mozaiki przedstawiające organy datowane są na rok 500. Na niektórych kobiety i mężczyźni z równym zapalem akompaniują rozlewowi krwi na arenie, pośród trumien i fruujących zwłok. Czy inspektor od bezpieczeństwa i higieny pracy zaaprobowałby coś takiego? Nigdy, nawet gdyby grającego wyposażyc w kask ochronny.

HYDRAULIK

prawie heavymetalowiec

Dla starożytnych Greków urządzeniami kąpielowymi było w większości to, co stworzyła natura, czyli źródła i rzeki. Mężczyźni i kobiety z klas wyższych czy choćby tylko bogaci obywatele nurzali się w terakotowych wannach napełnianych przez służbę, lecz większość ówczesnych miała nastawienie bardziej „macho”. Spartanie, na przykład, słynęli z tego, że pozwalali swym ludziom kąpać się wyłącznie w rzece, im zimniejszej, tym lepiej.

Z drugiej strony hydraulicy mieli ważniejsze sprawy na głowie, niż ręczne nalewanie wody do wanien. Grecy czerpali świeżą wodę ze źródeł albo kopali głębokie studnie. Budowali też podziemne wodociągi, niektóre na głębokości 18 metrów, zasilające cysterny i fontanny.

W celu usunięcia nieczystości, przynajmniej w dużych miastach, kopano doły kloacznicze i prowadzono do nich kanały ściekowe, spłukiwane zużytą wodą. Ołowiu w greckich wodociągach stosowano niewiele, mimo jego cennej zalety - kowalności.

Na Półwyspie Apenińskim pierwsze akwedukty i kanały powstały około roku 800 p.n.e. Szybko zaczęto układać rury z *plumbum* (ołowiu), które, choć znacznie droższe, wyparły wcześniejszą wersję ceramiczną*.

Rzymskie rury miały przekrój o kształcie łzy, a na górze szew. Długość ich wynosiła 3 metry albo więcej. Prześwit mierzono jednostką zwaną *digitus* (palec, ok. 1,9 cm). Rura szeroka na 5 palców ważyła blisko 30 kg. Jasne więc, że hydraulicy (szczególnie ci mniej wykwalifikowani, przeznaczani do najcięższych prac) mieli chroniczne problemy z kręgosłupem.

Tylko niektóre fontanny i toalety publiczne, na przykład miejskie latryny w Rzymie, miały bieżącą wodę przez całą dobę. Hydraulicy umieli regulować przepływ, montując zawory odcinające, kurki itp.; przy użyciu pomp podnosili też poziom wody.

* Choć dziś tak krzywimy się na powszechne używanie przez Rzymian szkodliwego ołowiu, zwróćmy uwagę, że już wtedy światłe umysły zalecały stosowanie rur glinianych, ze względu na łatwość zarówno utrzymania ich w czystości, jak i remontowania. Jak pisał architekt z I wieku p.n.e. Witruwiusz. „woda z rur glinianych jest znacznie zdrowsza niż z ołowianych; stwierdzono, że ołów jest szkodliwy, jest źródłem bieli ołowianej, źle wpływającej na ludzki organizm”.

Jak się zdaje, w zawodzie tym działały również odważne niewiasty, mające żyłkę do inżynierii sanitarnej. By zapobiec kradzieżom rur, oznaczano je często imieniem hydraulika (i odbiorcy), co przy późniejszym badaniu tych podpisów ujawniło znaczną liczbę imion żeńskich.

Poważnym problemem byli złodzieje wody. Niektórzy spragnieni mieszkańcy przekupywali urzędników i za ich zgodą podłączali się do akweduktu. Inni, ku utrapieniu dozoru, dziurawili rury, powodując, że do legalnych użytkowników w sąsiedztwie dopływał tylko wąski strumyczek.

Rzymianie przestrzegający prawa kupowali nadwyżki wody lub oficjalnie podłączali się do zbiorników, uzyskawszy przedtem licencję od cesarza. Było to uprawnienie nadawane *ad personam*, czyli nie podlegało dziedziczeniu ani zbyciu wraz z nieruchomością. Opłaty za licencje wpływały do kasy miejskiej, a było to około dwustu pięćdziesięciu tysięcy sestereji rocznie, czyli ładny grosz.

PRZEDSIĘBIORCA BUDOWLANY budował, choć nie było wielkiej płyty

Terminarz starożytnego przedsiębiorcy budowlanego bardzo przypomina współczesny. Wtedy również trzeba było składać oferty, troszczyć się o plany architektoniczne, pilnować jakości, dawać z siebie wszystko, by dotrzymać terminu.

Partenon i inne wielkie budowle ateńskie były przedsięwzięciami angażującymi tłumy podwykonawców. Zasadnicza różnica w porównaniu z budownictwem dzisiejszym polegała na braku mechanizacji. Do transportu na duże odległości Grecy używali wprawdzie wołów, lecz w zasadzie to ludzie pozyskiwali i przynosili w poziomie czy pionie materiały budowlane.

Robotnicy byli na ogół osobami wolnymi z urodzenia, choć wśród załóg zdarzali się też wyzwolenicy czy niewolnicy wypożyczeni przez właściciela. Co ciekawe, w V wieku p.n.e. każdy biegły murarz otrzymywał taką samą zapłatę -jedną drachmę za dzień; sto lat później płaca wzrosła do dwóch drachm.

W przeciwieństwie do starożytnych Egipcjan, którzy mogli zmobilizować okresowo tysięczne zespoły do wnoszenia piramid, grecki budow-

niczy dysponował ograniczoną liczebnie wykwalifikowaną siłą roboczą. Nie miał również zbyt wielu zwierząt pociągowych ani wymyślnych maszyn; jak więc przemieszczał potężne bloki kamienne czy marmurowe walce? W jaki sposób podnosił do góry belki dachowe świątyni i konstruował wielopiętrowe budynki?

Szczęśliwie dla nas, antyczni biurokraci spisywali szczegółowe umowy, zdradzające wiele z tych tajemnic. Dokumenty przetrwały do dziś. I tak, by przemieścić kamienny blok (w kształcie walca albo innym), Grecy budowali wokół niego dwa odpowiednio duże koła z drewna, zaprzęgali sześćdziesiąt wołów i przewozili na zaplanowane miejsce, choćby trzydzieści kilometrów.

Do transportu pionowego używali wind i dźwigów. Winda miała przeciwwagę w postaci drewnianych belek; stabilność zapewniały jej odciąg z plecionych sznurów, przymocowane dokoła do pali wbitych w ziemię. Z czasem wynaleziono pomysłowy sposób zawieszania i uwalniania z windy bloków kamiennych. Z kamienia wystawały uchwyty, do których zaczepiano liny czy rzemienie. Proste dźwigi poza budownictwem znajdowały zastosowanie w teatrze, unosząc aktorów i spuszczać na proscenium.

Gdy kamienne elementy zestawiono, łączono je żelaznymi klamrami i kołkami, spajano płynnym ołowiem, a w późniejszym - rzymskim - okresie szybko schnącym betonem. W trakcie całego przedsięwzięcia budowniczy współdziałał z architektem, dzięki czemu zapewniona była zgodność każdego szczegółu z planami.

Rzymscy przedsiębiorcy budowlani, czyli *redemptores*, posługiwali się siłą ludzką i maszynami. Na grobowcach m.in. Lucjusza Pekularisa z Kapui czy wyzwolenca Kwintusa Hateriusa Tychikusa świetnie ukazane jest działanie ówczesnych dźwigów (patrz fotografia na stronie tytułowej rozdziału I).

Napęd dźwigu stanowiło dwóch do pięciu niewolników, drepczących wewnątrz wielkiego drewnianego kieratu i wprawiających go w ruch. Wytwarzali dość energii, by za pomocą powrozów i przekładni unieść ładunek drewna czy kamień na żadaną wysokość kilku pięter, gdzie zajmowali się nimi już inni robotnicy.

Budowniczości umieszczali na własnych nagrobkach wizerunki swych dzieł: łuków, świątyni itp. Reklama musiała być skuteczna, skoro rodzinna firma Haterii prosperowała przez szereg pokoleń.

ANDRONIK; niezwykły zegarmistrz

Andronik z Kyros zbudował w Atenach oryginalny zegar. Sam był niezwykłym człowiekiem, wszechstronnie utalentowanym astronomem i kreatywnym wynalazcą. Pochodził z dzikich regionów Macedonii. Trudno powiedzieć, jak trafił do Aten. Talent do konstrukcji czasomierzy zawiódł go później na grecką wyspę Tenos, gdzie dla świątyni boga morza Posejda skonstruował zegar słoneczny.

Horologium, czyli miernik czasu, który stworzył dla Aten, nazwano Wieżą Wiatrów. Budowa ruszyła na nowym rynku miejskim około roku 50 p.n.e. Powstała wspaniała ośmioboczna budowla z mlecznobiałego marmuru pentelickiego, czterometrowej wysokości.

Wewnątrz umieszczona była skomplikowana klepsydra (inaczej zło-dziej wodny), zasilana poprzez cysterne wodą z pobliskiego źródła na Akropolu. Przechodnie widzieli godzinyienne na połączonym z klepsydrą tarczowym zegarze zewnętrznym. Na każdym boku znajdowała się taka tarcza wraz z artystyczną płaskorzeźbą odpowiedniego boga wiatru, od Boreasza, rządzącego ostrym wiatrem północnym, poprzez Zefira, patrona łagodnej bryzy zachodniej, Notosa dmuchającego deszczem, po Liwosa, władającego wiatrem południowo-zachodnim i prowadzącego statki do macierzystych portów.

Ukoronowaniem pracy Andronika i samej wieży był postawiony na szczycie stożkowego dachu wiatrowskaz, czyli obracająca się brązowa figura trytona z różdżką wskazującą kierunek wiatru.

Ateńczycy przez wieki zachwycali się swą wieżą. Przetrwała do dzisiaj i nadal budzi podziw, jest jedną z nielicznych zachowanych cennych budowli starożytności. Pozostała nietknięta dzięki pomyślnemu zbiegowi okoliczności. Najpierw wcześnie chrześcijanie przerobili ją na wieżę kościelną, a w jej bezpośrednim sąsiedztwie założyli cmentarz. Potem szczęście jej też nie opuszczało: gdy Turcy niszczyli masę greckich zabytków, Wieżę Wiatrów zajęli na swoje obrzędy sufici (islamscy mistycy), a ściślej tańczący derwisze.

Piękna forma budowli, ukrytej teraz pośród barwnej ateńskiej dzielnicy Plaka, była inspiracją dla architektów po obu stronach Atlantyku. Andronik może być dumny.

KARTOGRAF

mapy lepsze czy dobre

Gdy wreszcie kłótniwi Grecy zyskali *quorum* w kwestii, „co to jest kontynent”, i zgodzili się, że wielki obszar lądowy, a zarazem uniknęli kolejnego sporu na temat, „czym jest wyspa”, za to ustalili, że kontynenty są trzy: Europa, Azja, Afryka - kreślenie map zaczęło się wydawać kaszką z mleczkiem.

Ziemia na mapach helleńskich kartografów była okrągła, kontynenty przytulone do siebie i otoczone oceanem. Niektórzy jej centrum lokowali w słynnych z wyroczni Delfach, długo z dumą przyznających sobie miano pępka świata. Na odległych od pępka terytoriach umieszczano notatkę, że tam mieszkają lwy (w łacińskiej wersji *hic sunt leones*) - poetycki grecko-rzymski eufemizm oznaczający „nie mamy pojęcia, co tam jest”. Pochody Aleksandra Wielkiego, a z nim uczonych dokonujących pomiarów odległości, pozwoliły na zdobycie nowych informacji i dały kolejny impuls do sporządzenia naprawdę dobrej mapy, która w dodatku dałaby się wygodnie składać. Najwyraźniej był to i jest cel nieosiągalny, skoro nie został zrealizowany do tej pory.

Gdzieś sto lat po Aleksandrze Eratostenes, uniwersalny uczony i bibliotekarz, typowy roztargniony profesor, badał dostępne mapy, opisy geograficzne - wszelkie dane, także szcątkowe. Choć miał wiadomości niepełne i często chaotyczne, domyślił się, że ziemia jest w istocie

okrągła, a jej obwód oszacował na 40 320 kilometrów, niemal trafiając. Dostrzegł nawet potrzebę wprowadzenia południków i równoleżników. Niestety, nie wiedział wiele, ani nie miał się od kogo dowiedzieć, na temat zamieszkałej części świata, nie mówiąc o reszcie.

Geograf Hipparch zawrzał gniewem na niedbale, na kolanie nakreślone linie Erato-

stenesa. Jak mają zwyczaj czynić naukowcy w takim stanie emocjonalnym, zjadliwie je skrytykował i zaproponował własną, elegancką wizję świata. Jego mapa ma siatkę z linii południe-północ i wschód-zachód, nakreślonych w równych odstępach, a całość podzielona jest na 360 części (stopni).

Dokonania obydwu stanowiły milowy krok w astronomii i geografii, jednak mapy wciąż pozostawały niedoskonałe. Afryka, czyli wedle ówczesnej nomenklatury Libia, unosiła się znacznie powyżej równika, podobnie jak Półwysep Indyjski daleko na wschodzie.

Minęło trzysta lat i kolejny ambitny i kompetentny kartograf, Klaudiusz Ptolemeusz, postanowił dokonać kolejnych ulepszeń. Skomponował swoją mapę na podstawie obserwacji astronomicznych, posługując się dwiema współrzędnymi, którym nadał proste nazwy: długość i szerokość. Zapożyczając najważniejsze dane od Eratostenesa, uznał ponownie, że świat jest okrągły. Jednak nie był zręcznym plagiatorem, bowiem nie przestrzegając podstawowej zasady „kradnij wszystkie pomysły, nie jeden albo dwa”. Zlekceważył podany przez Eratostenesa obwód i odległość 112 km między stopniami. Dysponował rzetelnymi wynikami pomiarów (z trzech skoordynowanych obserwacji zaćmienia Księżyca w roku 331 p.n.e.) pozwalającymi obliczyć długość geograficzną, lecz dziwnym trafem ich nie wykorzystał. Orzekł natomiast, że ziemia jest niezbyt duża, około 29 000 kilometrów w obwodzie; na stopień długości przeznaczył 80 km.

Zdarzyły mu się i pomniejsze błędy czy niedopatrzania. Najistotniejsze, że jego dorobek ze wszystkimi brakami mocno oddziaływał na późniejszych badaczy i odkrywców, między innymi na Krzysztofa Kolumba, którego majtkowie słyszeli ponoć, jak, drapiąc się w głowę, mruczał pod nosem: „według tego pokręconego Ptolemeusza lada moment będę w Indiach”.

BUDOWNICTWO WODNE twarda rzeczywistość

Grecy i Rzymianie umiłowali marmur jako materiał budowlany, zachwycali się kolorem i wzorami kamienia pozyskiwanego z poszczególnych kamieniołomów. Tam robotnicy nieustannie wykuwali z bloków nieobrobione walce, z których potem powstawały żłobkowane kolumny świątyń, pozostawiając masę drobnych odłamków.

Okolo II wieku p.n.e. jakiś uwrażliwiony na otoczenie człowiek, a przy okazji rzymski geniusz techniczny, zastanowił się nad ewentualnością wykorzystania *caementa*, czyli tego gruzu. W wyniku prób przekonał się, że zmieszawszy marmurowe odpadki z piaskiem, wodą i wapnem gaszonym uzyska świetną zaprawę murarską.

Ów nieznany wynalazca przypadkiem działał w południowej Italii, gdzie dzięki Wezuwiuszowi i innym wulkanom zalegał na ziemi podobny do piasku popiół wulkaniczny, zwany przez miejscowych *pulvis puteola-nus* (co od biedy można przetłumaczyć jako „piach, którego mamy aż za dużo wokół Puteoli”).

Nasz innowator zastosował więc *pulvis puteolamnus* zamiast piasku. Sza-ro-czerwony materiał potrzebował nieco czasu, by zastygnąć, ale stęzał na kamień, więcej niż na kamień - był twardy jak żaden inny materiał znany rzymskim budowniczym. Stał się więc szybko ulubionym budulcem, z którego wznoszono wielopiętrowe domy w dzielnicach mieszkalnych.

Ten nowy materiał zwany dziś betonem hydrotechnicznym, a wtedy *opus caementicum*, miał również tę zaletę, że twardniał pod wodą! Rzymscy projektanci potykali się o własne togi, śpiesząc do desek kreślarskich. Teraz mogli wznosić mosty, akwedukty, zapory, latarnie morskie i wszelkie konstrukcje posadowione nie na suchym lądzie.

Dokonując takiego przełomu, wynalazca otworzył nową epokę w budownictwie wodnym. Kto za cesarza Augusta wybrał tę dziedzinę, miał pełne ręce roboty na wszystkich brzegach Morza Śródziemnego. Nie zapominajmy, jakie były warunki komunikacji i transportu w tamtych czasach: pomijając doskonale rzymskie drogi, wszystko przewożono morzem; bezpieczne porty i infrastruktura nabrzeżna były konieczne do rozwoju handlu i w ogóle funkcjonowania gospodarki.

Korzyści wynalazek przyniósł też innym. Nurkowie zyskali nowy rynek pracy; wielkie statki transportowe wożące zboże do Italii nie musiały

już wracać puste, lecz dostarczały *pulvis puteolanus* tam, gdzie był potrzebny. Witruwiusz wychwalał nowy materiał w swoich dziełach, opisując betonowe konstrukcje.

Nie wszystkim rewolucja w budownictwie była w smak. Kamieniarze, od wieków zapracowani, dostawali teraz znacznie mniej zleceń, gdyż spadło zapotrzebowanie na obróbkę wielkich skalnych bloków.

Betonowe obiekty inżynierii hydraulicznej i inne przetrwały do dziś. Zdumiewające budowle z tego cudownego materiału, od akweduktu w Segowii po Panteon w Rzymie, nadal stoją. A pod falami Morza Śródziemnego archeolodzy wciąż odkrywają solidne jak skała pozostałości konstrukcji portowych, jak te najstarsze ze wszystkich w Cosa na wybrzeżu Etrurii.

SOSTRATOS; z poziomu morza do chwały

Przypuszczalnie zjawił się w Aleksandrii jako wysłannik dyplomatyczny greckiego miasta-państwa Knidos. Entuzjasta architektury, został życzliwie powitany przez władcę Egiptu, którym był zarozumiały Ptolemeusz I Soter (Wybawca), wcześniej po prostu Ptolemeusz, syn jednego z zaufanych wodzów Aleksandra.

W wyniku skandalicznej kłótni po śmierci Aleksandra o jego dziedzictwo sprytny Ptolemeusz wyszarpał dla siebie najlepszą część: Egipt. Do zdobyczy dodał samego Wielkiego, porwawszy jego zwłoki, wiezione na miejsce wiecznego spoczynku w Macedonii. Powtarzając użyteczne i dość wyświechtane usprawiedliwienie - „taka byłaby wola Aleksandra”, zbudował mu w swej stolicy wspaniałą oszklony grobowiec, dający tłumom okazję podziwiania cudu: że mianowicie trup zdobywcy połowy świata nie ulega rozkładowi.

W ciągu paru miesięcy Sostratos wkradł się w łaski Ptolemeusza na tyle, że uzyskał tytuł jego „oficjalnego przyjaciela”, co w języku aleksandryjskim oznaczało niezłą synekurę.

Zorientował się, że urzędowo zaprzyjaźniony z nim monarcha pożąda czegoś więcej nad wojnę i bogactwa. Miał się Ptolemeusz nieźle jako doznający religijnej czci król, lecz chciał być wspominany jako twórca i doceniany w Aleksandrii. Tu jego pragnienia zbiegały się z marzeniami Sostratosa.

Przybysz z Knidos zasugerował, że Aleksandria, największy port świata, powinna mieć latarnię morską. On taką zaprojektuje i wybuduje. I to

nie jakąś zwyczajną. Najwyższą, najlepszą- arcydzieło wysokości czterdziestu pięciu pięter. Ptolemeuszowi pomysł się spodobał, więc natychmiast uznał go za własny, co jest jedną z korzyści ubocznych wynikających z uprawiania zawodu króla-boga.

Sostratos zaprzął się więc do dwunastoletniej ciężkiej pracy, razem z niezliczonymi niewolnikami. W końcu latarnia stanęła w przystani, na wyspie Faros. Jej światło widoczne było z odległości wielu kilometrów. Ptolemeusz nie dożył wprawdzie ceremonii inauguracyjnych, ale na budowli wypisane zostało jego królewskie imię jako autora tego dzieła.

Budowniczy też pożył sławy i chwały u potomnych. W tajemnicy wyrył na murze „Sostratos z Knidos, syn Deksfanesa, bogom ratującym, w imieniu żeglarzy”. Napis przykrył tynkiem, który z czasem odpadł, ujawniając miano prawdziwego twórcy obiektu.

Szczęśliwie architekt doczekał uznania budowli za jeden z siedmiu cudów świata. Ośmioboczna konstrukcja, złożona z trzech kondygnacji, wspierała się na blokach z czerwonego granitu, spojonych dla pewności ołowiem. Wewnątrz spiralna rampa sięgała do trzeciego poziomu konstrukcji, pozwalając obładowanym drewnem zwierzętom jucznym docierać do wiecznie płonącego na szczycie ognia.

Wspinający się na 135-metrową budowlę zwiedzający, mógł, po wyminięciu zwierzęcych kup, zatrzymać się na pierwszej kondygnacji i spożyć rzetelnie zasłużony posiłek. Jeśli nie miał lęku wysokości, osiągnąwszy wierzchołek wychodził na balkon, skąd miał cudowny widok na wyspę, port i miasto.

Nie wiemy, czy Sostratos coś jeszcze zbudował, choć jego imię pojawia się na budynkach w Delfach i na Delos. Możemy śmiało twierdzić, że jego dzieło okazało się trwałe. Latarnia na Faros przetrzymała półtora tysiąca lat sztormów, przyływów i odpływów, trzęsień ziemi, aż do roku 1346, gdy ostatecznie runęła. Tam, gdzie wpadła w morze, znaleziono dwa tysiące masywnych brył kamiennych, ważących od 50 do 75 ton, składających się niegdyś na ten cud architektury.

DIOSKORIDES; czerwony (nie od krwi) chirurg

Praca wojskowego konowała bywa potwornie nudna, zwłaszcza w wiecznie zamglonej, zielonej, dzikiej prowincji Brytanii.

Lecz Pedaniusz Dioskorides, Grek z Anazarbus w służbie rzymskich legionów, zręczny w amputowaniu ogarniętych gangreną palców i opa-

trywaniu ran bitewnych, znalazł interesujące zajęcie. Za młodu studiował u mistrza ceniącego lecznicze właściwości ziół. W wolnych chwilach obserwował więc bogatą florę wyspy i odkrył coś, co tubylcy zwali „jagodą dębową”.

Był to owad wielkości ziarnka grochu, *Kermes ilices* (inaczej *Coccus ilicis*, czerwiec). Dioskorides pierwsze osobniki znalazł na pniu dębu. Ugotowawszy ich garść w wodzie uzyskał intensywny czerwony barwnik, jakiego jeszcze nie widział, zupełnie odmienny od pomarańczowej czerwieni marzanny.

Zrozumiał wagę odkrycia. Żył w erze przepychu i krzykliwej barwności; Rzymianie, od Nerona po plebejusza, uwielbiali kolory. Olbrzymi popyt był na szkarłat, potrzebny do barwienia luksusowych rezydencji, kosztownych szat i warg modnych dam. Z czerwca uzyska się go może łatwiej i bezpieczniej niż z cynobru, mazistego minerału wydobywanego razem z trującą rtęcią.

Niebawem czerwień uzyskana z owada stała się najmodniejszym kolorem imperium. Rozwinęło się zbieractwo. Obfitujące weń prowincje, jak te z Półwyspu Pirenejskiego, nawet część podatków płaciły workami czerwca.

Dioskorides miał ważniejsze sprawy na głowie niż zbijanie pieniędzy. Z legionami podążał na południe Galii, do Małej Azji, do Grecji. Wszędzie bez ustanku zawzięcie pracował, szkicował napotkane rośliny, obszernie opisywał, notował obserwacje, a zebrane wiadomości często wykorzystywał w praktyce.

Mniej więcej w momencie, gdy Neron popełniając samobójstwo uzalał się „co za artysta ginie wraz ze mną”, Dioskorides kończył prawdziwe dzieło sztuki medycznej - pięciotomowe *De Materia Medica*, zawierające ponad 74 tysiące haseł dotyczących zastosowania roślin leczniczych i sporządzania z nich (oraz z pozaroślinnych substancji naturalnych) medykamentów. Praktyczny poradnik opierał się na danych empirycznych, autor zignorował liczne dominujące wówczas wśród lekarzy, a często absurdalne poglądy. Opisał między innymi rośliny rodzaju efedra (*Ep-hedra*), użyteczne w powstrzymywaniu krwotoków i kaszlu, po okresie zapomnienia „odkryte” w XX wieku.

Na długo przed Dioskoridesem Arabowie z powodzeniem handlowali czerwcem. To jednak młody grecki chirurg wojskowy uczynił owada przedmiotem pożądania w całym państwie rzymskim. Jako surowiec do farbowania i pigment malarski *Kermes ilices* pozostawał rzadkim i dro-

gim towarem do schyłku wieku XV, gdy z powodzeniem zastąpiła go na rynku amerykańska krewna - koszenila.

De Materia Medica nigdy się nie zestarzała i do czasów współczesnych służy jako podstawowy poradnik dla farmaceutów i lekarzy. Nie wiele wiadomo o skromnym autorze, lecz zawartość książki jest o wiele cenniejsza niż szkarłat.

ASTRONOM

naprawianie kalendarza

Kalendarz rzymski był lunarny. Długo rządili nim kapłani, do obowiązków których należało ustalanie terminów uroczystości religijnych i *fasti*, czyli „dni pod dobrym znakiem”, kiedy wolno było prowadzić interesy. Nikt nie dokonywał transakcji ani nie trudił się zarobkowo podczas *nefasti*, czyli dni feralnych - z wyjątkiem niewolników, biedoty i kilku tysięcy robotników, których codzienna praca była konieczna.

Ponieważ kalendarz księżycowy (liczący 354 dni) nie odpowiadał faktycznemu tempu przemian przyrodniczych i astronomicznych, z czasem rok zmieniał się nie do poznania. Gdy do władzy doszedł Juliusz Cezar, oficjalny kalendarz opóźniony był o trzy miesiące; uroczystości noworoczne odbywały się w jesieni, dożynki latem, słowem - panował totalny bałagan. Kapłani uspokajali Cezara, że nie ma powodu do irytacji. Załatają wszystko, jak zawsze to czynili, wstawiając dodatkowy miesiąc. Mieli

taki zawsze w zapasie, schowany w świątyni; zwał się *Mercedonius* i w razie potrzeby wprowadzano go do kalendarza, by czas urzędowy zbliżyć do rzeczywistego.

Dyktatorowi to się nie podobało. Ostatni *Mercedonius* zdarzył się osiem lat wcześniej. Taka prowizorka urągała, jego zdaniem, rzymskiemu porządkowi. Ponadto dobrze wiedział, że kapłani zręcznie manipulują kalendarzem, naginając go do polityki. Wyżsi urzędnicy, wybierani na rok, obejmowali urząd 1 stycznia (*Januarius*). Gdy elekcja wypadła nie po myśli kapłanów, z łatwością

skracali dany rok; gdy zaś urząd objął ktoś im odpowiadający, jego roczna kadencja wydłużała się o miesiąc.

Juliusz Cezar nie znał się na astronomii ani matematyce, udał się więc do kwatery najlepszych specjalistów, czyli Aleksandrii, i na swego głównego doradcę wybrał obdarzonego błyskotliwym umysłem Sozygenes.

Ten dziwak, a zarazem geniusz nauk ścisłych i przyrodniczych, całymi latami badał ruch Słońca w powiązaniu z wpływem dni, pór roku itd. Na podstawie obliczeń doszedł do wniosku, że trzeba zrezygnować z roku księżycowego, przyjmując słoneczny liczący 12 miesięcy dających w sumie 365 dni, a co cztery lata dodawać jeden dzień w lutym (*Februarius*). Dzięki temu rok będzie liczył średnio 365,25 dni; całkiem do przyjęcia dla Rzymian.

Cezar ucieszył się, ale nie na długo, bowiem Sozygenes przekazał mu złe wieści. Rozmowa ich mogła wyglądać tak:

- Cezarze, zanim wprowadzimy nowy kalendarz, musimy dokonać sporego wyrównania.

- To znaczy?

- No cóż, powiedzmy, że rok 46 będzie jakby najdłuższy.

- O ile?

- Mhm, będzie liczył 445 dni...

- O szlag! - Cezar z góry wiedział, że kapłani nie będą zachwyceni.

Ale gdy minął ów „rok zamętu”, jak nazwano czterdziesty szósty, wszystko się ułożyło i Rzymianie bez oporów zżyli się z kalendarzem, odzwierciedlającym naturalny porządek.

Boski Juliusz pod rządami nowego kalendarza przeżył niespełna piętnaście miesięcy, zamordowany 15 marca 44 r. p.n.e. Świat natomiast korzystał z wynalazku Sozygenes do roku 1582. Nie do wiary, lecz niefrasobliwi, odporni widać na matematykę rzymscy kapłani nie bardzo mogli połączyć się w idei roku przestępnego. Przez pewien okres dodatkowy dzień wprowadzali co trzy, nie co cztery lata, póki nie pojawił się cesarz znający podstawy arytmetyki.

*SERGIUSZ ORATA; czego się nie tknął, wszystko
przemieniał w ciepłą wodę*

Przedsiębiorczy Gajusz Sergiusz Orata miał w uroczych południowo-italskich Bajach hodowlę dorodnych ryb, od kielbi po okonie („Orata” pochodzi od łacińskiej nazwy okonia: *aurata*, w produkcji którego odnosił szczególne sukcesy). Jediną skazą na jego rybim szczęściu były okresy ochłodzeń, groźne dla niektórych wrażliwych gatunków.

Zaradny hodowca próbował uporać się z tym problemem i sięgnął po grecki pomysł układu grzewczego, który zaadaptował do swoich stawów. Zachęcony jego skutecznością, uruchomił pierwszą hodowlę ostryg w Lago Lucrine (po polsku „Jezioro Pienędzy”), zyskując jeszcze większą popularność, profity i opinię znawcy tych jadalnych małżów.

Inwestując dodatkowe dochody, kupował nadające się do remontu kapitalnego domy na wsi, wyposażał je w kolejny swój wynalazek - prysznic, i odsprzedawał.

Powodzenie skłoniło go do rozmyślań nad kolejnymi innowacjami w branży wodnych rozkoszy. Zbudował łaźnię, czyli *balneum*. W jego epoce (II wiek p.n.e.) pod tą nazwą kryły się obiekty niewielkie, ciemne i chłodne, większość ludzi korzystała z kąpeli w zimnej wodzie raz na tydzień. Okoliczności wydały się wizjonerskiemu umysłowi Oraty obiecujące: przecież codzienne zanurzanie się w wodzie może stać się rozkoszą, nie utrapieniem.

Nowa łaźnia zaprojektowana została z rozmachem. Ogrzewana była podobnie jak słynne już stawy rybne. System zwany *hypocaust* stanowił przełom w ówczesnej myśli technicznej. W wydrążonej ścianie łaźni stał piec, spełniający dwie funkcje: ogrzewał wodę i powietrze. Nad paleniskiem znajdowały się dwa wielkie naczynia z wodą, która rurami i kanałami płynęła pod podłogą budynku. Gorące powietrze podążało kominami i przewodami w ścianach i suficie. W efekcie kąpiący się czuli miłe ciepło zamiast dotychczasowych dreszczy.

Hypocaust rozprzestrzenił się szybciej niż malaria na rzymskich błotach. Budynek łaźni musiał mieć pod wspartą solidnymi filarami podłogą wolną przestrzeń, w której szły kanały. Ogrzewać można było wiele pomieszczeń, a dzięki odpowiedniej modyfikacji systemu utrzymywać w różnych salach odmienną temperaturę. Do łatwo dostępnego pieca dokładali drewno jeszcze łatwiej dostępnymi niewolnicy.

Do roku 359 n.e. Rzym dorobił się jedenastu publicznych łaźni zwanych termami, czyli ciepłymi. Miały postać pałaców o szklanych oknach i liczne pomieszczenia z podgrzewanymi do różnych temperatur wodą i powietrzem, od gorących i parnych poprzez letnie do całkiem zimnych. Klienci mogli zażywać przyjemności stosownie do upodobania. Termy sytuowano w ogrodach, w sąsiedztwie obiektów służących rozwojowi fizycznemu (*gymnasium*) i duchowemu (np. biblioteki).

Popularne były także mniejsze łaźnie. Tego typu budynków - publicznych, prywatnych czy zarządzanych przez wszelkie stowarzyszenia - ogółem powstało w Rzymie nie mniej jak 856. Nie pozostawały w tyle miasta w prowincjach, choćby Ateny z dwudziestoma termami; założony w roku 100 n.e. jako kolonia weteranów północnoafrykański Timgad miał po stu latach istnienia czternaście łaźni.

Gajusz Sergiusz Orata umarł bogaty i szanowany, lecz mimo całej swej inteligencji nie przewidział chyba, jak korzystnie jego dorobek technologiczny wpłynie na zdrowie i jakość życia milionów.

STOLARZ

specjalność: meble alkoholoodporne

W I wieku p.n.e. Rzym ogarnęła zaraźliwa epidemia kupowania stołów. Podczas gdy panie po dawnemu rywalizowały w wielkości nabywanych pereł, ich mężowie współzawodniczyli w kupnie co droższych, rzeźbionych stołów z pachnącego drewna cyprysu czy cedratu. Atłasowo gładka powierzchnia, piękna woń i niezwykle zdobnictwo powodowały, że meble osiągały zawrotne ceny. Za jedno takie cacko senator Gallus Azyniusz dał ponad milion sestercji, czyli sumę płaconą wówczas za sporą nieruchomość. Jeszcze większe zdziwienie swą rozrzutnością wywołał Nomiusz, niepozorny wyzwolieniec cesarza Tyberiusza, kupując stół szerokości nieco ponad metra.

Dlaczego meble z cedratu były takie drogie? Zdecydowały chyba walory użytkowe surowca. Takiego materiału nie uszkodzi w najmniejszym

stopniu rozchlapane wino, a była to zaleta szczególnie ceniona przez zawyczaj niewylewających za kołnierz Rzymian.

Jednak głównym czynnikiem podnoszącym wartość tego materiału była jego trudna dostępność. Drzewo to rosło tylko w górach Atlasu, a pozyskanie surowca wymagało zstąpienia dosłownie pod ziemię, do korzeni. (Jeszcze dziś marokańscy rzeźbiarze ryją głęboko, poszukując resztek zasobów cedratu).

Kim byli *fabrii tinguarii*, uzdolnieni stolarze i snycerze produkujący cenne meble? W większości niewolnikami i wyzwolencami. Posługiwali się prostymi narzędziami: piłami, siekierami, młotkami, heblami, tokarkami i dłutami. Wiercili otwory używając furkadła smyczkowego, za pomocą kleju łączyli poszczególne części stołu na jaskółczy ogon, wpusty, czopy; szlifowali wyrób skórą rekina. Gdy mieli trochę czasu poza wykonywaniem stołów, pracowali nad bukowymi krzesłami czy fantazyjnymi skrzyniami z cyprysu bądź dębu.

Fabrii tinguarii to także cieśle, budujący statki, wozy i domy. Greckie i rzymskie marmurowe świątynie miały zdobione drewniane podłogi, sufity i okładziny ścienne. Do wykończenia jednej tylko budowli na Akropolu zatrudniono na cały rok dwudziestu dwóch cieśli i siedmiu rzeźbiarzy. Choć nie cieszyli się wielkim prestiżem, *fabrii* (stąd nasza „fabryka”) jako jedni z pierwszych powołali do życia cechy zwane kolegiami. Każde odbywało regularne zebrania, zbierało składki członkowskie, urządzało uczty, działało jako kasa pogrzebowa, gwarantująca przyzwoity pochówek nawet tym nielicznym, którzy nie dorobili się na szaleńczym popycie na cedratowe stoły.

Inny ważny wkład grecko-rzymskich stolarzy w życie społeczne to wygodne łoża funkcjonujące zarazem jako fotele czy kanapy. Wytwarzali je od bardzo dawna. Stanowiły niezbędne wyposażenie greckiej jadalni, bez

nich nie obył się żaden zakrapiany bankiet. Pierwotnie miały służyć wygodzie mężczyźni uczujących lub zmożonych pijackim snem. Szybko bystrzy użytkownicy spostrzegli, że swobodnie zmieści się tam jeszcze bezpruderyjny niewolnik, niewolnica czy luksusowa call-girl. Niespodziewanie narodził się sprzęt

przeobrażający przyjęcie, na którym wolno się upić, w takie, na którym wolno wszystko.

Skłonni do przesady Rzymianie oczywiście poszli jeszcze dalej, płacąc słono stolarzom za łoża o zwiększonej pojemności. Wkrótce też na ucztach pojawiły się meble dwu- i trzyosobowe ze wzmocnionym zawieszeniem.

Jeść półleżąc nie było zbyt wygodnie, lecz każdy przyzna, że taka pozycja sprzyja przełamywaniu lodów podczas orgii. Nieoczekiwanie talent stolarzy spowodował przeniesienie figli z sypialni do jadalni; ta lokalizacja utrzymała się przez wieki.

FRONTINUS; pozostawił potomnym wodną spuściznę

Przez siedemdziesiąt lat aktywnego życia Sekstus Juliusz Frontinus był na zmianę sędzią, gubernatorem Brytanii, nadzorcą dróg, pisarzem. Lecz najbardziej upamiętnił się dokonaniem na ostatnim etapie swej kariery, gdy działał jako *curator aquarum* (i nie chodziło tu bynajmniej o zajmowanie się losem egzotycznych rybek).

W wieku, w którym większość urzędników dawno była już na emeryturze, Frontinus zarządzał rzymskimi wodociągami. Podlegały mu wszelkie sprawy dotyczące systemu akweduktów, dostarczających do stolicy tyle świeżej wody źródlanej co rzeka, więcej niż otrzymywał jej Nowy Jork tysiąc dziewięćset lat później.

Wykształcony w Aleksandrii, doświadczony inżynier, przez całe życie lubił badać i poznawać budowę różnych mechanizmów.

Wybrany na konsula, czyli osiągnąwszy najwyższą w Rzymie godność, dał się skłonić do objęcia funkcji zarządcy prowincji. Nie każdego taka nominacja by ucieszyła, szczególnie gdy dotyczyła leżącej hen, wyspiarskiej Brytanii. Tam pracowicie tłumił powstania, w tym rebelie wojowniczych walijskich Sylurów, nie mniej agresywnych niż kibole piłkarscy z XX-XXI wieku n.e.

Konsulem był jeszcze kilkakrotnie. Wiele pisał, lecz dzieła te, z dziedziny sztuki wojennej, miernictwa i rolnictwa, na ogół nie dotrwały do naszych czasów.

Najbardziej zasłużył się w charakterze kuratora akweduktów. Był już po sześćdziesiątce, gdy cesarz Nerwa powołał go na to stanowisko w roku 97 n.e., z rozbrawającym uśmiechem sugerując potrzebę reform, może uszczelnienia finansów.

- Dorzucę jeszcze sekretarza, trzech państwowych niewolników i paru liktorów. Co ty na to?

Obdarzony taką ekipą Frontinus objął resort zaniedbany niczym stajnia Augiasza, źle zarządzany przez dekady przez niejednego kuratora.

Zaatakował problem z furją, jakby była to armia dzikich Walińczyków. Sytuację poznawał osobiście, sprawdzając instalacje, rysując wszelkie możliwe modele i mapy; potem przystąpił do pisania krótkiej pracy *De aquis urbis Romae* (O akweduktach). Podał tam przepustowość i wysokość dziewięciu takich instalacji, opisał ich historię, ilość wody przez nie dostarczaną, poinformował o liczbie podłączeń i przepisach dotyczących konserwacji.

Rzymskie zasady dostarczania wody były jasne: najpierw do publicznych fontann, następnie publicznych łaźni, z których ścieki zabierały fekalia z toalet do kanałów. Odbiorcy prywatni dostawali wodę po zaspokojeniu wszystkich potrzeb publicznych.

Ten rzetelnie napisany traktat, wciąż istniejący, był prawdziwym skarbem dla następców Frontinusa, podobnie jak dla obecnych budowniczych oraz historyków. Stamtąd mogą się dowiedzieć, jak Rzymianie konstruowali swe arcydzieła sztuki inżynierskiej i jak je w trakcie użytkowania konserwowali.

Na urzędzie doczekał Frontinus objęcia władzy przez następcę Nerwy. Nowy cesarz nie był na tyle szalony, by pozwolić zdolnemu administratorowi odejść w stan spoczynku. Godny podziwu *curator* rozumiał doniosłość swej pracy. Nim opuścił ten świat, często powtarzał „pamięć o nas przetrwa, jeśli zasłużymy na to życiem”, co zapisał jego przyjaciel Pliniusz Starszy.

NUREK

ciśnienie okoliczności

W portowej Ostii istniała liczna gildia nurków, czyli po łacinie *uri-natores*. Nieprzypadkowo słowo to kojarzy się niemile z uryną. Według Flawiusza im głębiej nurek schodził, tym silniej odczuwał potrzebę opróżnienia pęcherza, a to wskutek ciśnienia oddziałującego na klatkę piersiową (brak informacji, czy przypadłość utrzymywała się po wyjściu na ląd).

Oprzyrządowanie nurka było skromne. Jeśli nie zanurzał się swobodnie, używał dzwonu nurkowego w kształcie kotła, do którego dopływało powietrze. Z ołowianymi obciążnikami osiągał głębokość 30 metrów. Wynurzał się za pomocą napompowanych pęcherzy - zwierzęcych, jego organ był już dość zaabsorbowany. A po co to wszystko? By ratować sprzęt i umieszczać pod wodą elementy konstrukcji.

W starożytności większość towarów przewożono drogą morską, były więc konieczne bezpieczne przystanie, urządzenia wyładowcze, falochrony, składy towarowe. Tylko niewiele portów śródziemnomorskich zdolnych było do przyjęcia ciężkich transportowców ze zbożem.

Nurkowie to pracownicy pierwszej linii przy wznoszeniu nabrzeży, mostów itp. Układali również podwodne szalunki, do których wlewano specjalną masę, twardniejącą pod wodą. Przez lata uczestniczyli w ambitnym przedsięwzięciu cesarza Klaudiusza rozbudowy przystani Portus.

Ówczesne ruchliwe porty morskie musiały mieć znamiona współczesnych najtrudniejszych do utrzymania i rozbudowy portów lotniczych. U ujścia Tybru warunki były ciężkie: zmienne prądy, znaczne zamulenie, nieprzewidywalne wiatry. W płytkich wodach przepelnionej przystani statki często zderzały się i tonęły, a wtedy *urinatores* schodzili pod wodę, by ocalić ich ładunek. W roku 62 n.e. w samej tylko Ostii poszło na dno ponad dwieście jednostek pływających.

Ponieważ zawód ten wymagał szczególnej sprawności i wiązał się z dużym ryzykiem, nurkowie zasłużenie otrzymywali spore wynagrodzenie. Awansować mogli też w hierarchii cechowej, jak Klaudiusz Sewerus, trzykrotny przełożony organizacji nurków tybrzańskich. Spryt i talent organizacyjny uczyniły go wpływową figurą, stał się głównym patronem stowarzyszenia. Odnowił siedzibę gildii, następnie dał dziesięć tysięcy sestercji na specjalny fundusz, odsetki z którego corocznie rozdzielano

między członków cechu. No i kto powie, że człowiek ze słabym pęcherzem nie mógł zrobić nic dobrego ani niczego osiągnąć?

PRODUCENT CEGIEŁ

dobry produkt - dobre imię

Dzisiejsi budowniczowie zdumieliby się, znając gwarancje udzielane przez antycznego wytwórcę ceramiki budowlanej. Rzymskie prawo przewidywało na przykład odpowiedzialność producenta cegieł za jakość budynku i nakazywało stemplować każdy wyrób.

Nie lękali się tych wyzwiań Lukan Domicjusz i jego brat Tuliusz z dzisiejszej wioski Bomarzo. W okolicy występowała najlepsza glina alu-wialna, nie brakowało wody ani drewna do pieców. Rzym odległy był wprawdzie o osiemdziesiąt kilometrów, ale spławny Tyber zaledwie o rzut odłamkiem cegły.

Wyposażenie wytwórni stanowiły gliniane kadzie, wanny i dwa prostokątne piece. Obok znajdował się skład, gdzie nowe cegły dwa lata czekały na wprowadzenie do eksploatacji.

Operatywni bracia produkowali również dachówki i wielkie pojemniki zwane *dolii*, które po wypaleniu służyły do przechowywania oliwy bądź wina.

W roku 2005 włoscy archeolodzy szczęśliwym trafem natknęli się na ślady ich działalności gospodarczej. Znaleźli ponad setkę markowych cegieł z wytłoczonym półksiężycem - logo wytwórni, imionami właścicieli, nazwą miejscowości oraz informacją, że za wypalanie odpowiadał Tytus Januarius. Wcześniej tak pieczętowane cegły odkryto w Panteonie, w Termach Karakalii i Koloseum. Była to widać jedna z najważniejszych firm w branży, zaopatrująca prestiżowe budowy.

Producenci cegieł od Grecji po Brytanię znaczyli wyroby okrągłymi albo prostokątnymi symbolami, podając swe imiona, lokalizację, a w późniejszych wiekach jeszcze datę produkcji. Wypalanie cegieł, podstawowego budulca, było w Grecji dobrze znane od dawna, co można wywnioskować z rejestrów płac murarzy. Najwcześniejsze pochodzą z IV wieku p.n.e.; wtedy dzienny zarobek wynosił na ogół dwie drachmy, opłacani w systemie akordowym dostawali 12-17 drachm za tysiąc ułożonych cegieł.

Bracia Domicjusze odnosili nie lada sukcesy: wyroby z ich znakiem (nie tylko cegły) trafiły do Galii, Afryki Północnej, na Półwysep Pirenej-ski i oczywiście w różne miejsca Półwyspu Apenińskiego. Założone około roku 50 n.e. przedsiębiorstwo przez ponad sto lat pozostawało w rękach tej samej rodziny. W roku 121 wywodząca się z niej Domicja Lucylla Minor urodziła syna, dziedzica wytwórni i w jednej osobie późniejszego cesarza Marka Aureliusza. Okazał się solidny, jak solidni w ceglany biznesie byli jego przodkowie.

ARCHITEKT

trwałe wrażenie

Rzymscy architekci wznosili się na wyżyny sztuki, lecz na absolutny szczyt wspiął się Gajusz Juliusz Lacer. Zbudowany przezeń z dopasowanych bloków granitowych (nie do wiary, bez zaprawy!) 185-metro-wy most w dzisiejszej hiszpańskiej Alcantarze natychmiast prześcignął wszystkie inne na skali zachwytu. Wysokość budowli sięga 70 metrów - wyższego mostu w imperium nie zbudowano.

Zauroczeni ludzie cielęcym wzrokiem wgapiali się w sześć potężnych łuków - i czynią tak nadal. Lacer był świadom, że buduje obiekt niezniszczalny. Jego dzieło trwa mimo dwóch wojen i niejednej próby wysadzenia. Mała rzymska świątynia na jednym z przyczółków kryje miejsce pochówku architekta i napis „Pozostawiam ten most pokoleniom świata po wieczne czasy”.

Gwiazd sięgał także Chares z Lidos, twórca Kolosa Rodyjskiego z roku 275 p.n.e. Ten mierzący ponad 32 metry posąg greckiego boga słońca, tak wielki w przybliżeniu jak Statua Wolności, stał zaledwie 56 lat, nim runął

wskutek trzęsienia ziemi. Lecz nawet leżąc w ruinie nadal zachwycał i na wieki pozostał jednym z siedmiu cudów świata.

W środowisku architektów byli inni jeszcze giganci. Rzymianin Wi-truwiusz, architekt i autor ciekawych książek, także słynnego, upowszechnionego przez Leonarda da Vinci, wizerunku „człowieka witru-wiańskiego”. Apollodoros z Damaszku, zaangażowany przez Trajana do upamiętnienia zwycięstwa nad Dakami, zbudował urzekające forum.

Masa pomniejszych twórców wzniosła skromniejsze, mniej spektakularne pomniki, trwające do dziś. Choćby *insulae*, wielopiętrowe domy czynszowe, dominujące przez stulecia w większych i mniejszych miastach. Rzym miał takich bloków 44 tysiące, w nich dach nad głową znajdowała większość populacji.

Natomiast najbardziej niewdzięczne dla architekta zadanie pod słońcem włożone zostało zapewne na zbolale barki Dekrianusa.

W roku 80 n.e. cesarz Tytus przedstawił mu projekt typu „musisz zrobić, choćbyś pękl”. Właśnie zakończyły się prace przy monstrualnie wielkim amfiteatrze Flawiuszów (później nazwanym Koloseum), rozpoczęte

przez Wespazjana, ojca Tytusa. Trwały długo, z opóźnieniami, były koszmarnie uciążliwe. Tytus już zajął się organizacją uroczystości inauguracyjnych, całej serii igrzysk dla uczczenia zmarłego rodzica: walki gladiatorów miały wypełnić sto dni, a życie zakończyć dziewięć tysięcy dzikich zwierząt.

Przeszkodą na drodze do pełnego szczęścia była jeszcze ta głupia, trzydziestopięć-metrowa, pokryta złotem statua źle wspomnianego władcy, nieopłakiwanego przez nikogo Nerona - pozostałość po jego równie nieżałowanym Złotym Domu. Tytus wpadł na niezrównany pomysł wykorzystania jej w dobrym celu.

- Cóż to za ohyda, ale byłoby grzechem marnować tak wiele metalu. Zmień mu tylko głowę - polecił Dekrianusowi.

Ten posłusznie zabrał się do przeróbki giganta tak, by przedstawiał boga słońca, nie Nerona. Musiał także przenieść posąg

z pierwotnego stanowiska w pobliże nowego amfiteatru. To była poważna operacja, ale kolana ugięły się pod architektem, gdy Tytus zażądał, by posąg podczas podróży zachował pozycję pionową.

Wprawdzie nabawił się wrzodów ze zmartwienia, ale znalazł sposób: dwadzieścia cztery słonie, odpowiednio wiele pojemników na ich odchody, kilka skrajnie nerwowych dni i nocy - i figura stanęła na miejscu przeznaczenia, w ostatniej chwili. Dekrianus przez parę nanosekund pławiał się w blasku swego sukcesu, po czym dowiedział się, że cesarz zamierza poślacanemu kolosowi zapewnić towarzystwo bogini księżyca - korzystając z usług innego architekta.

GEODETA

mierzyć mierzalne

Wszystkie drogi wiodły do Rzymu, lecz zanim budowę jakiegokolwiek rozpoczęto, musiał wykonać swą powinność *agrimensor*, czyli mierniczy, geodeta.

Jednostką długości w pomiarach drogowych był krok - długi, blisko metrowy. Tysiąc kroków składało się na milę. Do mierzenia działek gruntu używano jednostki zwanej *actus*, odpowiadającej blisko trzydziestu sześciu metrom; taką odległość przemierzały ciągnące pług woły, zanim je zawracano.

Mierniczy uczestniczący w budowie rzymskich dróg byli wojskowymi specjalistami, stanowiącymi ważną część armii. Ich zadaniem było wytyczenie możliwie najkrótszej trasy między punktami A i B, czyli jak najmniej serpentyn, jak najwięcej prostych odcinków. Czasem więc droga w pagórkowatym terenie miała nachylenie 10-20%.

Legionowy geodeta posługiwał się czteroramiennym instrumentem zwanym *groma*, z dwoma sznurkami pionu przy kątach 45° i 90°; także tyczkami (łatami) z brązu i słupkami niwelacyjnymi. Jego pomocnicy, *gromatici*, ustawiali tyczki, wytyczając linię, czyli *rigor*, przesuważąc łaty zgodnie z poleceniem przełożonego. Dla dłuższych odcinków i w nierównym terenie *agrimensor* musiał posłużyć się wzorami geometrycznymi.

Była to jedna z najważniejszych profesji starożytności, uprawiana nie tylko w pobliżu domu. W głębokiej przeszłości przeludnione miasta albo wyspy greckie wysyłały (albo wyrzucały) swych mieszkańców w obce

kraje, by je skolonizowali. Najlepiej do osadnictwa nadawały się ziemie bogate w zasoby naturalne, którymi można by zasilać macierzystego *polis*, a zarazem możliwie odległe, by zniechęceni pionierzy nie zapragnęli powrotu do domu.

Praca geodetów była więc postrzegana jako tak wyjątkowa, że mogli nimi być tylko wolno urodzeni. Oszczędni rolnicy musieli pamiętać, że w kontaktach z mierniczym absolutnie niedopuszczalne są targi czy skamlenie o zniżkę dla seniorów.

Zarówno Grecy, jak Rzymianie lubili wszystko mierzyć. Pitagoras, wielki filozof z VI wieku p.n.e., wierzył, że liczby i relacje między nimi są święte. A prawo, że suma kwadratów przyprostokątnych jest równa kwadratowi przeciwprostokątnej, odkrył rysując patykami na piasku.

Rzymianie w sprawach nawet mniej doniosłych dbali o precyzję. Gdy maszerujące drogą wojsko zatrzymywało się na nocleg i rozbijało namioty, musiały one stać w należyтым układzie, co kontrolowali młodszy oficerowie, tzw. *mensores*. Póki cały obóz nie był we wzorowym legionowym porządku, ani dowódca kolumny, ani jego nieszczęsny *mentor* nie mieli prawa udać się na spoczynek.

BUDOWNICZY DRÓG erudyta drogownictwa

Pofałdowany, górzysty teren Grecji był utrapieniem dla budowniczych dróg. Siłami niewolników powstawały nieliczne trakty, łączące kamieniołomy marmuru z metropoliami, jak Ateny, czy prowadzące tłumy pielgrzymów do sanktuariów w rodzaju Delf czy Epidauros. Greckie armie maszerując wykorzystywały brzegi rzek lub ich wyschłe koryta.

Całkiem inaczej Rzymianie. Ci zaczęli w II wieku p.n.e. i zatrudniając wojskowych fachowców i także siłę roboczą, a nie niewolników czy cywilów, stworzyli sieć porównywalną z amerykańskim systemem autostrad.

Legiony, składające się z tysięcy piechurów i zaplecza logistycznego w postaci pojazdów kołowych, rydwanów, machin oblężniczych, zwierząt jucznych, musiały łatwo i szybko przemieszczać się po całym coraz rozleglejszym państwie. Armia była najpoważniejszym użytkownikiem

rzymskich dróg, brukowanych, więc użytecznych niezależnie od pogody, które ostatecznie oplotły dokoła Morze Śródziemne. Łączna ich długość wynosiła ponad 85 tysięcy kilometrów. Na niektórych odcinkach, na przykład w Arabii, były nawet oddzielne pasy ruchu w obie strony, oddzielone niskim kamiennym murem.

Specjaliści budownictwa lądowego i geodeci kierowali legionistami, więcej wymachującymi łopata niż mieczem. Najpierw żołnierze kopali rowy o głębokości około 1,5 m i szerokości 6 m. Jeśli gleba była miękka, wbijali pale. Dna rowów wyrównywali i kładli grubą warstwę kamieni (drenującą), potem żwir z gliną bądź betonem. Zależnie od lokalnych warunków geologicznych, klimatu i rangi szlaku mogli dodawać warstwy betonu czy ubijanego piasku. Nawierzchnię stanowiły bloki bazaltowe wygładzone z wierzchu i uszczelnione betonem.

W ten sposób powstawało coś w rodzaju mocnego muru, którego szerokość znacznie przewyższała wysokość, odpowiednio drenowanego i o lekko wypukłej powierzchni, by woda ściekała na obie strony. Przed oddaniem do użytku wyposażano drogę w krawężniki i wyrównywano niebrukowane pobocza, przeznaczone dla ruchu konnego.

Czasem kierownik robót stwierdzał, że w okolicy nie ma dobrego surowca na beton. Wtedy w razie potrzeby bruk spajano lejąc między kamienie roztopiony ołów. Do dziś dotrwały tylko nieliczne fragmenty wykonane w tej szczególnie kosztownej technologii, gdyż kiedy zabrakło cesarstwa, miejscowa ludność szybko wydłubała cenny metal na własne potrzeby czy na sprzedaż.

Budowniczowie pracowali tak solidnie, że droga wymagała naprawy dopiero po osiemdziesięciu - stu latach! Pierwszą rozpoczął budować w roku 312 p.n.e. Appiusz Klaudiusz, ówczesny komisarz robót publicznych; stuosiemdziesięciokilometrowa, szeroka na dziesięć metrów via Appia (Droga Appijska) wciąż nosi jego imię. W następnych stuleciach wydłużono ją na południe, po sam palec apenińskiego buta. Nazywana „królową dróg” częściowo użytkowana jest po dziś dzień. Najbardziej urokliwy jej fragment znajduje się w Ostii, wciąż gdzieś z oryginalnym brukiem, kamieniami milowymi i grobowcami po bokach; cień nań rzucają znacznie młodsze sosny i cyprysy.

Te olbrzymie inwestycje wraz z ich pomysłowymi rozwiązaniami odbywały się bez koparek, maszyn do układania asfaltu, bez jednej wywrotki ze żwirem. Podstawą przedsięwzięcia była siła ludzka i najprostsze narzędzia, stanowiące zwykłe wyposażenie legionisty: kilof, łopata. Konieczne też dużo potu. Taki dorobek pozostawili po sobie starodawni żołnierze.

LITURGISTA

współzawodnictwo w filantropii

Bogaci starożytni Grecy mdleli na samą myśl o pracy fizycznej czy na wzmiankę o handlu; starali się wypełniać czas inną działalnością, często praktykowaną przez ludzi dobrze sytuowanych.

Dobry pomysł podsunęło im społeczeństwo, mianowicie tak zwaną liturgię. Był to urząd, do którego trzeba dokładać; wcale nie narzucany, lecz ofiarowywany jako wielki zaszczyt na okres roku. W Atenach objąć go mógł tylko ktoś spośród trzystu najzamożniejszych obywateli, którzy też natychmiast zaczęli się o niego zabijać. Sukces tego rozwiązania skłonił inne *polis* do skopiowania go u siebie, by zestresowanym pluto-kratom dać coś znaczącego do roboty.

Jak więc widać, liturgia, znacząca tyle co „praca dla ludu”, początkowo odnosiła się do sfery świeckiej; dziś słowo to oznacza ustalony porządek obrzędów religijnych.

By zażywać chwały i rozkoszować się świadomością, że wszyscy go podziwiają, rzetelny Liturgista współfinansował budowę świątyń i inne publiczne inwestycje. Dziewięćdziesięciu siedmiu szczęśliwców sponserowało doroczne festiwale teatralne i muzyczne, inni wyposażali okręty wojenne i płacili żółd załogom. Pożądaną liturgią była funkcja gimna-zarchy, pozwalająca możnym wydawać fortunę na oliwę, stosowaną do codziennej toalety w gimnazjonie, a w szczególnie dużych ilościach zużywaną podczas większych igrzysk.

Gdy urzędowy dobroczyńca zasmakował w służbie dla społeczności, mógł przeobrazić się w stałego filantropa. Niektórzy dochodzili aż do anatemy. Termin ten, dziś mający znaczenie wyłącznie pejoratywne i oznaczający klątwę czy wyklęcie, wówczas odnosił się do ofiarowania jakiegoś

wysokiej wartości obiektu - im bardziej ostentacyjnie, tym lepiej. Były to często arcydzieła sztuki, na przykład złote posągi czy obrazy, darowywane bogu bądź bogini. Umieszczone w świątyni, mogły być podziwiane przez pękającego z dumy darczyńcę i zazdroszczącą mu publiczność.

Także u Rzymian rozwinęła się filantropia, by krezusi mogli urozmaicić swe dość monotonne życie. Sprawując urząd, patrycjusz nawet nie myślał o pobieraniu -jak plebejusz - wynagrodzenia. Wprost przeciwnie, oczekiwano od niego pokrywania różnorodnych wydatków. Cesarz Trajan zapoczątkował program zasiłków rodzinnych dla ubogich, zarzucony później przez następne administracje. Wtedy jednak owo *alimen-tum*, subsydiowane przez prywatnych donatorów, stanowiło odczuwalną pomoc żywnościową dla będących w trudnej sytuacji sierot i dzieci w wieku szkolnym.

Pliniusz Młodszy ufundował *alimenta* dla swego rodzinnego miasta. Zamiast wielkiej gotówki przekazał w najem swe nieruchomości, zasilając corocznie fundusz pomocy równowartością pół miliona dolarów. Pośmiertną chwałę zapewnił sobie zapisując w testamencie współmieszkańcom środki na publiczną łaźnię swego imienia i coroczną ucztę. Darczyńcy często zastrzegali, by te dzieła miłosierdzia były realizowane w dniu ich urodzin, żeby obdarowani każdego roku wspominali ich z wdzięcznością.

Opływające w dostatki kobiety nie pozostawały w tyle za mężczyznami, sprawując honorowo godności sędziów w różnych prowincjach i w metropolii. Niektóre mieszkanki stolicy dofinansowywały *alimenta* milionami sestercji, jak choćby ta, która dla uczczenia pamięci swego syna Macera zaspokajała potrzeby aprowizacyjne dwustu dziewcząt i chłopców.

W Grecji kontynentalnej Menodora z Sillium uruchomiła bogaty program dożywiania i sprawowała liturgię przez wiele lat. W Azji Mniejszej, od czasów Aleksandra Wielkiego pełnej kwitnących miast, mnóstwo energicznych kobiet chętnie świadczyło pomoc i dbało, by była dobrze wykorzystana. Przedsiębiorcza File jako pierwsza została żeńskim sędzią w Priene, następnie wyłożyła własne środki na zbiornik wody i pierwszy akwedukt dla wiecznie spragnionego miasta.

Niezależnie od płci czy narodowości wszyscy antyczni liturgiści odznaczali się, poza bogactwem, jedną wspólną cechą: zgodnie twierdzili, że nie istnieje coś takiego jak „anonimowy darczyńca”.

GIMNAZJARCHA

pieniądze wyciekają jak oliwa

Grecy przykładali wielką wagę do codziennej aktywności fizycznej, czy to zawodów sportowych, czy ćwiczeń wojskowych. Wszystkie warstwy społeczne powszechnie korzystały z gimnazjonów, prywatnych i publicznych, dużych i małych. Instytucje te nie mogłyby funkcjonować bez... oliwy. Choć to może brzmieć dziwnie dla współczesnych konsumentów *extra virgin*, grecki (i rzymski) sposób mycia sprzed dwóch tysięcy lat polegał na tarciu ciała najlepszą oliwą, a potem zeskrobywaniu jej zakrzywionym metalowym narzędziem.

Taka oliwa nie była wcale tania. Za jej dostawy odpowiadał gimnazjarcha - wybierany (czasem mianowany) zarządca gimnazjonów w mieście.

Sądząc po chełpliwych napisach nagrobnych, taki urząd był najbardziej pożądaną formą liturgii czy filantropii, szczytem marzeń najbogatszych spośród bogatych. By się o niego ubiegać, należało mieć lat 30-60 i majątek wyrażający się liczbą sześciocyfrową. W roli gimnazjarchów dobrze spisywały się także kobiety, nielekające się poplamienia szat płynnym tłuszczem.

Ze sprawowaniem tej funkcji wiązały się interesujące szczegóły. Gimnazjarcha nosił specjalne białe obuwie i purpurowy płaszcz. Miał laskę, którą mógł karcić niesubordynowaną młodzież; nakładał i pobierał kary pieniężne za złe sprawowanie (ekscesy na obiektach sportowych najwyraźniej mają długą tradycję); w zasadzie sprawował jurysdykcję nad każdym korzystającym z gimnazjonu.

Przez rok sprawowania tej funkcji donator potrafił wydać górę pieniędzy. Jeśli był szczególnie hojny, finansował także organizację uroczystości, płacił za zwierzęta ofiarne i fundował nagrody dla zwycięzców. Musiał też pamiętać o środkach na rzeczy bardziej przyziemne, jak specjalna glinka czy piasek, którym nacierają się zapaśnicy.

Teoretycznie mógł zrefundować część wydatków sprzedażą tego zużytego, tłustego, zmieszanego z potem piasku, gdyż uważano, że ma on właściwości lecznicze. Zazwyczaj jednak handlem tym zajmował się przełożony szkoły zapaśniczej, i to on zgarniał dochody.

Na koniec roku gimnazjarcha przedstawiał sprawozdanie finansowe, wliczając swe wydatki i występując do władz miejskich o absolutorium.

Niektórym bogaczom obojga płci rok to było za mało, ubiegali się o kolejne kadencje i sprawowali ich wiele w ciągu swego życia.

Grecki gimnazjon miał skromne początki: ring zapaśniczy, ziemny stadion do biegów i skoków w dal, kilka pomieszczeń do ćwiczeń podczas deszczu. W epoce hellenistycznej rozrósł się w skomplikowany obiekt z łaźniami, boiskami, zadaszonymi gankami łączącymi budowle, pomieszczeniami i korytarzami pełnymi dzieł sztuki, a nawet wydzielonymi miejscami do siedzenia, gdzie filozofowie i inne słabowite typy mogły prowadzić dysputy.

Na gimnazjonie wzorowane były wspaniałe łaźnie, wizytówka rzymskiej cywilizacji. One również dawały majątnym Rzymianom okazję do rywalizacji o ryzykowny i chwalebny urząd gimnazjarchy.

SOFISTA

starożytny PR-owiec

Platonowi zawdzięczamy pojęcie miłości platonicznej, cynikom - cynizmu. A sofistom? Sofizmaty. Sofistyka stworzyła sztukę pozornie słusznej argumentacji i retorykę - pustą oczywiście. Wprawdzie samo słowo pochodzi od *sofos* (mądrość), lecz przez sofistę utarło się rozumieć spryciarza, posługującego się słownymi fortelami i świadomie wprowadzającego słuchacza w błąd.

Prawdziwi filozofowie poszukiwali prawdy, próbowali zdefiniować świat lub odkryć, na czym polega dobre życie. Sofiści kształcili się u filozofów, lecz przyjmowali rolę najemników, wysoko kwalifikowanych nauczycieli, gotowych za odpowiednio duże pieniądze nauczać każdego i wszędzie. Ich poglądy były nieostre, podobnie jak wnioski z ich wywodów - co umożliwiało im, obrotnym w języku fachowcom, za pomocą zręcznych figur retorycznych i wykwintnej elokwencji zabawiać, ogłupiać i dezorientować rozmówców.

Sofistą mógł zostać tylko ktoś dobrze wykształcony, mający łatwość wysławiania, dysponujący kapitałem; podróże bowiem nie były tanie.

W złotym wieku greckiej sofistyki jej czołowi przedstawiciele, jak Protagoras z Abdery i Gorgiasz z Sycylii, byli powszechnie znani, przynajmniej w wyższych sferach.

Protagoras upowszechnił kilka zapadających w pamięć maksym, na przykład „miarą wszystkich rzeczy jest człowiek...” (niestety dalszy ciąg nie jest już tak klarowny: „istniejących, że istnieją, nie istniejących, że nic istnieją”).

Regularnie objeżdżał greckie miasta, dla urozmaicenia napisał kodeks prawny Turioi, ojczystego (z wyboru) *polis* Herodota. Jako retor brylował do siedemdziesiątki, kiedy za niezręczny aforyzm został w Atenach oskarżony o ateizm i skazany.

Zawód sofisty zapewne był korzystny dla zdrowia. Gorgiasz żył nawet dłużej niż Protagoras (według niektórych źródeł 108 lat). Zauważono go po raz pierwszy, gdy skutecznie zaagitował Ateńczyków do militarnego wsparcia Syrakuz. Specjalizował się w kształceniu innych sofistów

i mówców w sztuce perswazji. Reprezentował szkołę myślenia, której głównym założeniem było twierdzenie, że „nic nie istnieje, a choćby coś istniało, to jest niepoznawalne, a jeśli nawet byłoby poznawalne, nie można by wiedzy tej udzielić komuś innemu”.

Sofistyka przeżywała renesans w czasach rzymskich, gdy człowieka kulturalnego poznawano po tym, iż posługuje się kwiecistą łaciną i greką, skomplikowanymi zdaniem i pokrętną argumentacją.

Lucjusz Filostratos, wódz cesarza Septymiusza Sewera, przez lata stacjonował w Atenach, uznawanych wtedy w kręgach światowców za zapadły garnizon. Żeby przetrwać kryzys wieku średniego, zainteresował się sofistyką i wkrótce pozyskał wspaniałą protektorkę na dworze cesarskim: samą cesarzową Julię Domnę, która sympatię (wyrafinowaną, lecz najwyraźniej nie-erotyczną) zachowywała dla generała przez dziesięciolecie. Korzyścią z tej przyjaźni były hojnie

opłacane przez cesarzową wyprawy Lucjusza na wschód, do królestwa Partów, gdzie na życzenie Julii zbierał materiały do zbeletryzowanej biografii filozofa Apoloniosa z Tiany.

Zanim jednak skończył dzieło, swój koniec przyśpieszyła cesarska opiekunka. Do samobójstwa popchnęła ją zaciekle rywalizacja synów i, jakby tego nie było dość, przewrót pałacowy. Filostratosowi udało się uniknąć przykrych następstw; uciekł do Aten, napisał jeszcze inne książki i podobnie jak pozostali ekscentryczni sofiści dożył słusznego wieku - siedemdziesięciu lat.

SPECJALISTA OD TATUAŻU

"do kreski kreska, aż będę niebieska..."

Grecy i Rzymianie, choć spotykali się z tatuażami u barbarzyńskich wojowników i niemałej liczby ich kobiet, od Brytanii po Trację, ten sposób zdobienia skóry granatowymi wizerunkami zwierząt; uznawali za niepożądaną nowinkę. Tatuaz określali terminem *stigmata* (śląd ukłucia lub nacięcia skóry).

Zrobienie sobie tatuazu w starożytności nic było zabiegiem dla mięczaków. Po umyciu skóry sokiem z porów specjalista nakłuwał ją igłami, potem wprowadzał barwnik sporządzony z kory, żółci, kwasu siarkowego, octu i skorodowanego brązu. Zakażenia były pewne jak w banku.

W Grecji tatuaz uchodził za piętno hańby, widome znamię nadawane przestępcom, jeńcom wojennym, niewolnikom i wszystkim pozbawionym wolnej woli (jeńcy wojenni zwykle zostawali niewolnikami, bowiem okup należał do rzadkości, a obozy jenieckie nie istniały).

Pokonawszy w V wieku p.n.e. mieszkańców Samos, Ateńczycy napiętnowali ich na czołach swoim symbolem, wizerunkiem sowy. Kiedy z kolei wyspiarze wzięli górę, oszpecili pokonanych Ateńczyków tatuazem przedstawiającym statek. Lecz prawdziwa orgia tatuowania rozpełtała się podczas pechowej ateńskiej wyprawy na Sycylię w roku 413 p.n.e. Ponad siedem tysięcy wziętych do niewoli żołnierzy naznaczono piętnem konia, godłem zwycięskich Syrakuz, i zapędzono do pracy w kamieniołomach.

Z czasem Rzymianie zaczęli stosować *stigmata* na szeroką skalę, w charakterze świadectwa tożsamości. Gdy rozrastały się legiony i jednostki pomocnicze, rekrutowane z podbitych nacji, żołnierze byli trwale

znaczeni (na rękach i gdzie indziej), zazwyczaj nazwą czy numerem oddziału. W ten sposób łatwiej było znaleźć dezertera.

Identyfikacja objęła też niewolników miejskich w Rzymie. Niektórzy co bardziej bezwzględni biurokraci posuwali się nawet do umieszczania na czołach wysyłanych do wschodnich prowincji robotników napisu „*po-datek zapłacono*”.

Większość historyków jest zdania, że wbrew pozorom tatuaż czy wypalanie piętna nie było częste. Czasem dotykało gladiatorów. Schwytyanych zbiegów piętnowano literą „F” (*od fugio*, uciekam). Niektóre świątynie syryjskie i egipskie obdarzały zbiegłych niewolników sakralnym tatuażem na nadgarstku czy szyi, chroniącym przed przymusowym powrotem do właściciela; wytatuowany stawał się bowiem własnością bóstwa.

Niewolnictwo, powszechne w starożytności, nie musiało być dożywotnim statusem człowieka. Tylko w ciągu jednego trzdziestolecia 80-50 p.n.e. nadano wolność blisko pięciuset tysiącom niewolników. A co mieli począć ze wstydliwymi deseniami na czołach, rękach i nogach?

Na ogół korzystali z usług specjalisty od usuwania tatuaży. Mógł być nim cyrulik, pełniący w tym wypadku rolę chirurga plastycznego. Drastyczne metody polegały na aplikowaniu okładu z żywicy na pięć dni, wydłubywaniu rysunku igłą, posypywaniu solą, nakładaniu kompresu ze żrącym preparatem. Po dwudziestu dniach tatuaż zastępowało owrzodzenie, a potem blizna. Byli fachowcy wierzący w skuteczność stężonego octu zmieszanego z osadem z dna nocnika albo siarki z woskiem, olejem i kantarydą (muchą hiszpańską).

Najwyraźniej nasi odlegli przodkowie byli twardsi i łatwiej znosili ból. Choć pewnie zdarzali się też wyzwoleńcy wołący zapuścić po prostu bujniejsze włosy czy nosić dłuższe rękawy lub wręcz lekceważący swe *stigmata*.

DZIERŻAWCA PODATKÓW

parszywa robota, lecz ktoś musi to robić

Podatki istnieją od bardzo dawna, czego dowodzą zapisy w Nowym Testamencie. Ale dość wcześnie Grecy i Rzymianie dokonali w fiskalizmie fascynującego zwrotu. Otóż rząd, zamiast zawracać sobie głowę bezpośrednim ściąganiem podatków, sprywatyzował całe przedsięwzięcie.

Bogaci zaciekle rywalizowali o to zajęcie. Otrzymywało się je w drodze licytacji; kto dał najwięcej, zostawał urzędowym poborcą, inaczej dzierżawcą podatków, na określonym terytorium.

Obywatele mogli też zakładać posiadające osobowość prawną stowarzyszenia, czyli *publicani*, działające jako poborca zbiorowy, wykonujące też inne funkcje w ramach zawieranych umów.

Co podlegało w starożytności opodatkowaniu? Jak zwykle: własność i spadki, kopalnie, niektóre artykuły żywnościowe, zwierzęta, towary handlowe. Były też cła w ruchu pomiędzy prowincjami i greckimi miastami-państwami. Perfumy na przykład taksowano według opakowania - za ten sam zapach w fantazyjnym alabastrowym flakonie trzeba było zapłacić dwukrotnie więcej niż za zamknięty w skórzanym bukłaku.

Podatki zdzierano nieprzyzwoicie, ponad nasze wyobrażenia. Statek uiszczal opłaty za wejście do portu, przepłynięcie przez rzekę, za postój przy nabrzeżu. Opodatkowywano wszystkie dobra sprzedawane na aukcjach publicznych. Grecy, którzy opuścili rodzinne *polis* i zamieszkali gdzie indziej, płacili jako metojkowie, czyli cudzoziemcy. Podatki ściągano od soli, skóry; za niektórych cesarzy nawet od moczu używanego przez foluszników.

Handel niewolnikami też poważnie zasilał budżet. August

nakazał płacić 2% od każdej transakcji, Kaligula podwoił stawkę. A trudne dzieło zbierania tych opłat wykonywali niewolnicy poborcy.

Na podbite narody nakładano specjalne daniny. Po stłumieniu w roku 70 powstania w Judei wprowadzono specjalną regulację zwaną *Fiscus Judaicus*. Po dziesięciu latach cesarz Domicjan stwierdził, że bieżące wpływy nie pokryją zaplanowanych wydatków inwestycyjnych (takich jak kompleks pałacowy o powierzchni blisko 40 000 m²), nakazał więc poborcom w całym państwie wycisnąć z Żydów więcej, niezależnie od tego, czy wyznają swoją religię. Doprowadziło to do skandalicznych sytuacji, jak sądowe badanie mężczyzn pod kątem obrzezania, co zanotował Swetoniusz, kronikarz swojej epoki.

Swoistym podatkiem, w dodatku ogromnym, były też reparacje wojenne. Pokonani musieli płacić je Rzymianom, by zwrócić im koszty walki przeciw sobie.

Coroczny podatek pogłówny ściągano z każdej prowincji. Każdego roku wszyscy członkowie rodu musieli wrócić do miejsca swego pochodzenia i dać się urzędowo zliczyć. To z takiego powodu Maria i Józef przybyli do Betlejem.

Twardo stąpający po ziemi Grecy długo utrzymywali podatek od usług seksualnych. Rzymianie wzięli z nich przykład. prostytutki uiszczaly opłatę za licencję, ponadto miesięczny ryczałt równy cenie jednego świadczenia (według pewnych relacji nie był to ryczałt, lecz podatek od każdego aktu, co jednak wydaje się nieprawdopodobne).

Zasada dzierżawy podatków była prosta: zwycięzca licytacji wpłacał olbrzymią sumę w nadziei, że ściągnie więcej niż wyłożył. Był to zapewne wspólny mechanizm czynienia bogatych bogatszymi, skoro funkcjonował z powodzeniem przez wieki.

BUKMACHER

emocje hazardu na zimno

Musi być jakiś gen popychający ludzi do ryzykownych gier, szeroko rozpowszechniony w starożytności i dzisiaj. Przed tysiącami lat także znajdowali zajęcie pośrednicy hazardu, profesjonaliści nazywani obecnie bukmacherami.

Już Grecy zauważyli, że gra w kości czy inna może stać się nałogiem. Aby osłabić Hellenów, Filip Macedoński jako jedną z metod stosował podsycanie gorączki hazardu, która w owych czasach opanowała Ateny.

Rzymianie wprawdzie ustanowili prawo zakazujące większości gier i zakładów, przewidujące kary w postaci wygnania czy grzywny czterokrotnie przewyższającej stawkę, lecz schwyтали niewielu graczy i jeszcze mniejszą liczbę bukmacherów. Tym ostatnim więc żyło się w Rzymie wygodnie i dostatnio.

Cesarze też nie świecili przykładem. Apodyktyczny August uwielbiał grę w kości. Często dawał swym gościom po tysiąc sestercji, by z nim grali; potem każdemu szczegółowo opowiadał, jak pozwolił mu wygrać. Nie wszyscy następcy byli tak wspaniałomyślni. Kaligula nie dość, że oszukiwał w grze, to jeszcze konfiskował majątki wielu obywateli, by spłacić swe długi u bukmachera. Klaudiusz kwalifikowałby się wręcz do klubu anonimowych hazardzistów; swój powóz przerobił tak, by móc uciąć sobie w nim partyjkę w trakcie podróży.

Zresztą istniały w Rzymie liczne odstępstwa od zakazu hazardu. Podczas grudniowych Saturnaliów każdy mógł bez ograniczeń grać w kości, gry planszowe czy po prostu zakładać się o gotówkę.

Wolno było przez cały rok robić zakłady o wyniki zawodów sportowych, od boksu po wyścigi konne. Szczególnie dochodowe dla bukmacherów okazywały się walki kogutów i inne krwawe dyscypliny. W amfiteatrach, gdzie gladiatorzy staczali treningowe walki drewnianymi mieczami, pilnie obserwowali ich bukmacherzy, prowadząc porównawcze rejestry starć, statystyki zwycięstw i porażek poszczególnych zawodników, oceniając ich kondycję i stan zdrowia. Posługując się abakusem, obliczali szanse zwycięstwa tego czy innego w prawdziwych starciach. Z kolei gracze często byli przesądni, typowali zwycięzców na podstawie szczegółów uzbrojenia, „szczęśliwego” grzebienia na hełmie czy koloru odzienia.

Ze wszystkich okazji do zarobku najcenniejsze dla bukmacherów były wyścigi rydwanów, sport najpopular-

niejszy i najchętniej oglądany. W czasach gdy zbiorowy amok meczów piłkarskich był jeszcze nieznanym, przyjmowali w cyrku i poza nim typowania na zwycięstwo jednej z czterech drużyn woźniców.

Wszyscy śledzili burzliwe losy tych zespołów. Niektórzy stawiali setki tysięcy sestercji, a nawet własną wolność. Od czasu do czasu i w tym sporcie wybuchały afery korupcyjne. Bywało, że nadmierne emocje kibiców przeradzały się w zamieszki. Nawet kiedy cesarstwo jako takie oficjalnie upadło około roku 476, rydwanowy hazard kwitł nadal.

Aczkolwiek bukmacherzy nigdy nie narzekali na zarobki, to cyrk stanowił podstawę ich dobrobytu. Całodzienne imprezy dostarczały graczom wszystkiego: podniecenia, okazji do krzyku, miotania obelg na wielkich i możliwych, dodatkowych atrakcji, jak premie czy poczęstunki, atmosfery zmagania na śmierć i życie. Dla Rzymian z góry i z dołu drabiny społecznej to właśnie była loteria, kasyno, kibicowanie swojej drużynie, gra liczbowa, turniej pokera, chybił trafił, bingo - a wszystko brutalne i eleganckie jednocześnie, szaleńcze, odprężające. Któż by się oparł takiemu urokowi?

TWÓRCA KLĄTW na kłopoty - tabliczka

Martwisz się, czym może cię zaskoczyć znienawidzony przeciwnik na najbliższych zawodach sportowych? Albo oskarża cię biznesowy konkurent? Nie łam się, o starożytny; ołowiana tabliczka z klątwą, oto czego ci trzeba. Wystarczy odwiedzić najbliższego wykonawcę takich napisów, wyspecjalizowanego skrybę, wyposażonego w elementarną znajomość czarnej magii.

Tabliczki były niewielkie, z cienkiej, miękkiej blachy ołowianej, długości 5-10 centymetrów. Ich wykonawca brał *stylus*, czyli tylec z brązu, i uwieczniał w metalu przeraźliwą klątwę według pomysłu klienta lub podsuwał własny tekst. Chcąc nadać zaklęciu większą moc, często pisał je wspak.

Proste czy skomplikowane, złożenia miały ustalony schemat: najpierw imię ofiary, następnie seria, jak je nazywali Grecy, „przekleństw wiążących” czy, jak powiadali Rzymianie, „klątw unieruchamiających”. Na przykład pozwany przed sąd Ateńczyk zamówił taką formułę: „Tege-nes rzeźnik niech ma związany język, duszę i mowę...”; najprawdopodobniej chodziło o zbyt drobiazgowego świadka.

Na innej tabliczce ze świątyni bogini Demeter wymieniony jest cały skład sędziowski w pewnym procesie. Stałymi klientami twórców tabliczek byli woźnice rydwanów wyścigowych (i ci, którzy się o ich zwycięstwo zakładali). Zamówiona przez jednego z nich klątwa brzmi „zwiąż każdą kończynę i ścięgnij Victoricusa, woźnicy Niebieskich (...) i konie, którymi kieruje (...) oślepij je, by nic nie widziały, zaduś ich dusze i serca, niech nie zdołają oddychać”.

Gotową tabliczkę wykonawca ciasno zwijał i wręczał klientowi. Ten wsuwał ją w szparę w ścianie domu ofiary lub pod podłogę. W roku 19 n.e. zmarł nagle Germanik, dziedzic imperium; głośno było wtedy o znalezionych pod jego podłogą spisanych na ołowiu zaklęć, zmieszanych z krwią popiołów i innych przerażających rekwizytów.

Aby tabliczka stała się maksymalnie skuteczna, należało zanieść ją do świątyni odpowiedniego bóstwa podziemi i brązowymi gwoździami przybić do ściany lub ołtarza. W starożytnych sanktuariach od Brytanii po Kartaginę archeolodzy odkryli mnóstwo takich przedmiotów.

A co z ciężkimi przypadkami nieodwzajemnionej miłości czy niepożądanego zalotnika? Czary zapewniające miłość albo działające wprost przeciwnie pozostawały w gestii innej specjalistki - zwanej *saga* (mądra). Potrzebujący zgłaszali się do swej miejscowej „mądrej”, która sporządzała z czerwonego wosku figurkę, wypowiadając należyte słowa, a nabywca przekłuwał lalkę szpilkami bądź rzucał w ogień. Kto miał większą obsesję i pełniejszą sakiewkę mógł otrzymać woskowe figurki ściskających się kochanków zapieczetowane w garnku lub (w wersji super) ołowiane, w miniaturowych trumnach.

Jeśli klienta napastował kłopotliwy duch krewnego, którego trzeba uspokoić, czy wampir, którego trzeba zniszczyć, magiczne tabliczki należało wrzucić do domowej studni albo fontanny. Gdy sprawa była śmiertelnie poważna - albo co gorsza wampir był napraw-

dę nieśmiertelny - pozostawało tylko zagrzebać tabliczkę na stosownym cmentarzu czy w przydrożnym grobie, najlepiej tuż przy zwłokach, ewentualnie popiołach. Każdy Grek i Rzymianin o zdrowych zmysłach wiedział, że ze starożytnymi wampirami i duchami nie ma żartów. Dlatego zawsze w maju obchodzono w Rzymie święto duchów zwane Lemuria, podczas których ojcowie rodzin o północy rozsypywali czarną fasolę i dokonywali innych rytuałów, żeby ułagodzić te zaświatowe byty.

KRASSUS; głowa (do czasu) nie od parady

Podejrzany biznesmen, oślizgły polityk, bezlitosny dowódca - wszystkie te epitety nie wystarczą, by opisać karierę Marka Licyniusza Krassusa, być może najbardziej niesławnego rzymskiego prominenta.

Około roku 95 p.n.e. Krassus spostrzegł, jak łatwo można się wzbogacić na handlu nieruchomościami. Jak hiena postępował krok w krok za Sullą, politycznym gangsterem rządzącym wówczas Rzymem. Gdy dyktator skazywał na banicję przeciwników i konfiskował ich majątki, Krassus skupował je ze bezcen i odsprzedawał z maksymalnym zyskiem.

Potem wpadł na inny chytry pomysł. Dysponując grupą pięciuset niewolników wykwalifikowanych w budowaniu tandetnych domów, śledził wybuchające w mieście pożary. Zjawiał się zaraz na ich miejscu z ekipą fachowców, oferując kupno płonącego budynku. Gdy właściciel się wahał, Krassus obniżał proponowaną cenę. Nic dziwnego, że wkrótce stał się posiadaczem ogromnej liczby budowli, nabytych jako pogorzelniska, a odbudowanych niewielkim nakładem.

Szybko zaczęto mówić, że jest najbogatszym człowiekiem świata, posiadającym majątek wart dwieście milionów sestercji*.

Zadowolony z sukcesów gospodarczych, postanowił zainwestować w obiecujących polityków. Do jego dłużników należał młody Juliusz Cezar, który potężną pożyczoną kwotę wydał na organizację walk gladiatorów i wyścigów, tak wspaniałych jak jeszcze nigdy w dziejach Rzymu.

Żył Krassus w epoce burzy i zamętu, niemal anarchii; dzięki swej fortunie zdołał stworzyć i utrzymać własną armię. Wiedział, że wojsko przynosi pożytek tylko wówczas, gdy ma z kim walczyć i co plądrować. Po licznych zabiegach i naleganiach zyskał wreszcie okazję okrycia się

* Roczny budżet wojskowy Rzymu wynosił wtedy pięćset milionów, co daje pojęcie o ogromie bogactw Krassusa.

chwałą: gdy inni wodzowie zawiedli, jego wysłano przeciw powstańcom Spartakusa, trackiego gladiatora, który w roku 72 p.n.e. porwał do walki tłumy niewolników.

Ale na samym początku jeden z podwładnych przegrał wielką bitwę, więc zirytowany Krassus postanowił dziesiątkować jego ocalałych podkomendnych. (Gdyby ktoś zapomniał: dziesiątkowanie polega na ustawieniu żołnierzy w szyku, wyciągnięciu z szeregu co dziesiątego i zabiciu w hańbiący sposób na oczach wszystkich).

Oslabione nieco siły pacyfikacyjne miały potem więcej szczęścia. Opuszczeni przez wiarołomnych piratów rebelianci nie zdołali ewakuować się z Italii. Krassus otoczył ich na jednym z półwyspów; wywiązała się walka, w której poległ Spartakus. Rzymski wódz, uznając, że sześć tysięcy wziętych do niewoli buntowników na pewno pragnie połączyć się z przywódcą, spektakularnie ukrzyżował ich wzdłuż 560 kilometrów Drogi Appińskiej prowadzącej do stolicy. A że miał słabość do szczegółów, krzyże nakazał rozstawić w równych odstępach, po siedemnaście na milę.

Krassus sprawował kilka urzędów publicznych i nawet sprzymierzył się z Pompeuszem i Cezarem w luźnej koalicji zwanej pierwszym trium-wiratem. Satysfakcję sprawiało mu zmuszanie senatu do stanowienia praw sprzyjających prowadzeniu jego interesów, ale i to było mało - marzył mu się sukces na polu bitwy. Rozprawa ze Spartakusem właściwie nie liczyła się, gdyż przeciwnikami byli niewolnicy.

Mimo sprzeciwów niektórych rodaków w roku 54 p.n.e. na czele czterdziestu czterech tysięcy żołnierzy najechał odległą Partię. Państwo to nie stanowiło zagrożenia dla Rzymu, ale starzejący się już wówczas niespełniony zdobywca upatrywał w nim doskonałego przeciwnika. W tym miał częściowo rację: doskonali partyjscy łucznicy rozbili jego oddziały, ich król skrócił go o głowę i, nie mogąc pohamować mściwej satysfakcji, przez uciętą szyję wlał w kadłub roztopione złoto.

Wykupione szczątki Krassusa sprowadzono do Rzymu, gdzie uszli z życiem podkomendni, otrząsnąwszy się, wyprawili mu wystawny

pogrzeb, uzupełniony o pojedynki gladiatorskie i rozdawnictwo surowego mięsa (co stanowiło dość ordynarny dodatek do uroczystości).

SPECJALISTA OD OSKARŻEŃ

dajcie podejrzanego, zarzuty się znajdą

Dzięki popularnym filmom, telewizji i powieściom sensacyjnym prowokator policyjny jest figurą znaną w całym świecie. Dawno, dawno temu rzymskie służby specjalne osiągnęły znacznie wyższy poziom profesjonalizmu.

W początkach cesarstwa istniały różne kategorie specjalistów od oskarżeń. Najgroźniejszy był *delator*, czyli informator. Gdy rzucił oskarżenie na obywatela, otrzymywał wynagrodzenie od zaufanego funkcjonariusza cesarskiego. Metody tego niejawnego obrońcy porządku były proste. Jak mawiali od niepamiętnych czasów Rzymianie, *audacter calumniare, semper aliquid haeret* (szkalujcie śmiało, zawsze coś przyłgnie). Zapłata zależała od wagi i precyzji informacji, które pozwalały postawić pomówionego przed sądem.

Czasem chciwość popychała do takiej działalności osoby o wysokim statusie społecznym. Szczególnie za Nerona dobrze urodzeni denuncjowali innych nobileów, chcąc przechwycić ich majątek. Za Domicjana znany orator regularnie donosił za pieniądze, jedyną przerwę robiąc tylko po to, by napisać wzruszające wspomnienie o zmarłym synku (wydane oczywiście nakładem autora).

Delator był dobrze znany senatorom. Według satyryka Juwenalisa, gdy wywęszył, że ktoś narusza ustanowione przez senat prawo, otrzymywał połowę grzywny, na jaką winnego skazywano.

Qadruptatores mieli ustalony cennik: jedna czwarta majątku osoby skutecznie zadenuncjowanej albo czterokrotność grzywny na nią nałożonej (głównie chodziło w tym wypadku o nielegalne interesy jak hazard czy lichwa).

Donosiciele obu kategorii mogli też zarabiać jeszcze inaczej: jako łowcy nagród. Na przykład zamordowano członka możnej rodziny i niektórzy niewolnicy służący w rezydencji w obawie przed torturami zbiegli przed rozpoczęciem śledztwa; wówczas do akcji przystępował łapacz-

-tropiciel. Za każdego schwytanego wypłacano mu pięć złotych monet z majątku denata.

Czy można mieć cesarzom za złe posługiwanie się tajnymi informatorami? Kiedy byli rozrzutni jak Kaligula, często doprowadzali do kryzysu finanse państwa. Odczuwali w^owczas pilną potrzebę sięgnięcia po zasoby zgromadzone przez świeżo zmarłych. Jeśli żaden krezus nie był dość uprzejmy, by umrzeć w porę, delator oskarżał któregoś z żyjących, nieraz tak umiejętnie, że ten popełniał samobójstwo. Ponieważ gorąco zachęcano bogatych do przekazywania testamentem dużej części posiadanych dóbr na rzecz władcy, skarbiec cesarski bez trudu się zapełniał, a odpowiedni udział przypadwał donosicielowi.

Zawodowi oskarżyciele wiedli godne pozazdroszczenia życie, rozkoszując się zdolnością zatrwazania przyjaciół i gnębienia wrogów. W efekcie podaż chętnych do zawodu była olbrzymia, co zmusiło późniejszych cesarzy do rozprawienia się z niektórymi, widać słabiej wykwalifikowanymi, bowiem wykonując obowiązki gromadzili kompromitujące wiadomości także o panującym, traktując je jako polisę ubezpieczeniową.

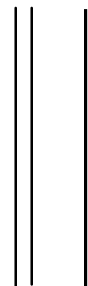
W tym stadzie czarnych owiec musiały zapewne zdarzać się i białe, o czym przekonuje Lindsey Davis w cudownie gorzkich powieściach o tajnym współpracowniku Markusie Didiuszu Falkonie. Dzięki żywym opisom autorki możemy wyobrazić sobie grupę jemu podobnych, zajętych walką na skrytym froncie, i to w epoce, gdy nie było profesjonalnych sił policyjnych.

Leż najpewniej regułą w antycznym Rzymie były czarne owce i ich skorumpowani pasterze-zwierzchnicy, chętnie wynagradzający podwładnych za wstydliwą działalność.

JULIA BALBILLA; poetycka sprawiedliwość czy ironia losu?

Zanim podniosła się z łoża, każdego ranka studiowała swe imponujące drzewo genealogiczne. Zaczynała od dziadka Klaudiusza Balbillusa, prefekta Egiptu. Nie traktował tego stanowiska jak zwykłej synekury i honorowo szefował muzeum oraz wielkiej bibliotece. Był prawdziwym miłośnikiem staroci. Jako pierwszy ze współczesnych zatroszczył się usunięcie piasku wokół Sfinksa i częściowo odsłonił kamiennego lwa.

Pradziadek Antioch jeszcze bardziej przydawał rodowi splendoru, jako ostatni król Kommageny (nieważne, czy ktoś wie, gdzie szukać takiej



krainy, ale jakie wrażenie wywiera to na nuworyszach!). Inny dziadek, Trazył, również kierował aleksandryjskim muzeum i był pierwszorzędnym astrologiem, nie jakimś szeregowym układaczem horoskopów, lecz osobistym interpretatorem nieba cesarza Tyberiu-sza. Nawet udało mu się przeżyć nieznośnego następcę Augusta. Potem był tatuś, Balbillus zwany Mądrym, i nieboszczyk brat Filopappos, król na wygnaniu, bliski przyjaciel obecnego cesarza Hadriana.

Ona też nie była gorsza. Znakomicie wykształcona, znała wszystkie liryki Safony na pamięć, należała do ścisłego otoczenia pary cesarskiej, będąc najlepszą przyjaciółką żony cesarza! Sabina potrzebowała przyjaciół - wszyscy widzieli, że zdobywanie uczucia męża to z jej strony tylko strata czasu. Biedna, naiwna cesarzowa. Julia nie miała serca uświadomić jej, że serce i inne organy Hadriana pożądały gładkiego młodzieńca, z którym imperator pokazywał się od czasu do czasu.

Julia Balbilla była nadworną poetką. Dochodziły jeszcze drobiazgi, na przykład codzienne posiłki w pałacu czy pierwszeństwo w korzystaniu z jedwabów, które cesarzowa usuwała ze swej garderoby. Możliwości podróży miała wprost niewiarygodne. Jak wędrowny dyplomata, cesarz nieustannie przenośił się z miejsca na miejsce, z wielkim orszakiem. I niemal wszędzie ciągnął ze sobą żonę, a więc także Julię.

Po dwóch latach spędzonych na trasie Grecja-Mała Azja-Syria jesienią 130 n.e. zjawili się w Egipcie - doskonałym miejscu na przypomnienie wszystkim o swym arystokratycznym pochodzeniu.

Obie z Sabiną były pełne wrażeń. Z luksusowego statku na Nilu dwukrotnie już wybrały się do kolosów Memnona, wielkich posągów „śpiewających” czasem w porannym słońcu. Skomponowała kilka utworów - o sobie, ale ze wzmiankami na temat pary cesarskiej, oczywiście, na modłę eolską; kamieniarz wykuł je na cokołach kolosów.

Nastrój psuł tylko Hadrian. Przygnębiony, wciąż posepny, gdyż jego ulubieniec Antinus utonął w Nilu. Być może po zakończeniu żałoby Sabina dostałaby szansę na prawdziwe małżeństwo?

Mimo astrologów w rodzinie Julia nie mogła raczej przewidzieć przyszłych losów - ani cesarza, ani własnej twórczości. Ewentualne zabójstwo przypadłego jak kamień w wodzie Antinusa pozostanie jedną z ciekawszych zagadek historii. Późniejsza deifikacja chłopca dokonana przez oszalałego z bólu Hadriana - jednym z licznych w dziejach absurdów. Wobec zaginięcia niezliczonych arcydzieł literatury szczególną ironią historii okazuje się dotrwanie do XXI wieku n.e. czterech mdłych wierszy Julii Balbilli, dobrze czytelnych pośród różnych „Tu byłem” na słynnych gigantycznych figurach.

FOLUSZNIK nie pachniał fiołkami

Pytani o najokropniejsze, najbardziej cuchnące zajęcie w starożytności niektórzy wskazana garbarza, używającego stale wielkich ilości moczu i nawozu do wyprawiania skór.

Lecz pierwsze miejsce w rankingu na najobrzydliwszy warsztat pracy zajmował folusznik, w świecie greckim i rzymskim stanowiący odpowiednik pracza. Rzymianie mieli najlepsze w dziejach ludzkości łaźnie, lecz niestety zapomnieli wynaleźć mydło. Co najgorsze, całe wieki wzbraniali się przed zapożyczeniem go od germańskich barbarzyńców, posługujących się tym środkiem na co dzień.

Zamiast tego folusznicy używali uryny zmieszanej z potażem (węglanem potasu), by usunąć brud z tkanin wełnianych, albo z ziemią fulerską (rodzaj gliny wchłaniającej tłuszcz), by odtłuścić delikatniejsze materia-

Antyczni Grecy i Rzymianie nie marnowali moczu. Na skrzyżowaniach ulic, w toaletach, szczególnie w pobliżu pralni, ustawiali duże gliniane gary, do których przechodnie opróżniali pęcherze. Folusznicy nie przyjmowali uryny z gospód. Będąc poniekąd znawcami tego „surowca”, wiedzieli, że siki pijaków są zbyt ubogie w azot.

Pierwszym etapem procesu prania było zanurzenie brudów w cuchnącym amoniakiem roztworze. Następnie odziani w krótkie tuniki robotnicy deptali po nich bosymi stopami (jakż zapach musiały mieć na koniec dniówki!), w wannach na tyle wąskich, by w razie potrzeby móc oprzeć się ręką o ścianę. Ich energiczne podskoki nazywano *saltus fullonicus* (tańcem folusznika) i przypuszcza się, że czasem rzeczywiście z inicjatywy przełożonego przygrywała im żwawa muzyka.

Następnie wyżymano tkaniny rękami. Do jednej wełnianej togi (o rozmiarach dochodzących do 3x6 m) potrzebnych było kilku mężczyzn.

Obywatele niższych stanów nosili togi z wełny naturalnej; kandydaci na urzędy tradycyjnie stroili się w *candidus*, czyli togi śnieżnobiałe. By zachować ich niepokalany kolor, bielono je potem, rozwieszając na wiklinowym rusztowaniu w kształcie półkuli, pod którym przez kilka godzin w garnku płonęła siarka. Następnie posypywano togę glinką fullerską. Po praniu odzież gręplowano celem poprawy struktury tkaniny, wreszcie prasowano w prasie śrubowej; klient otrzymywał odzież czystą i niepomietą.

Jakby praca nie była i tak dość trudna i niebezpieczna, dochodziła jeszcze groźba pożaru. W razie nieuwagi garderoba traktowana wapnem i siarką mogła się zapalić, zwłaszcza upchana w zamkniętym pojemniku. Nieraz ogień wybuchał też na wiozących uprane tekstylia statkach, które w ten sposób na pełnym morzu widowiskowo kończyły swój żywot.

Nieliczni Grecy i Rzymianie odważali się prać własne brudy we własnym domu; teraz rozumiemy dlaczego.

FELICISSIMUS; urodzony do robienia pieniędzy

Mama wiedziała, że będzie mu się dobrze wiodło. Przecież nazwała go Felicissimus (co znaczy „najszcześliwszy”). I wiodło się - jako zarządcy państwowego skarbcza i przełożonemu wszystkich pracowników cesarskiej mennicy w Rzymie.

Miał szczęście do zwierzchników. Polegało ono na znacznej rotacji wśród cesarzy w wyniku różnych plag i zamachów. Jego ostatni, Au-

relian, był władcą wiecznie nieobecny, zajęty walką z Wandalami, Gotami i tą dziwną Zenobią, królową Palmiry, która powiedziała Rzymowi, że go pogoni.

Felicissimus kochał swą pracę, swoje biuro w świątyni Junony Monety, mennicę na wzgórzu Celius. Lubił umieszczać swoje imię na seriach monet. Przyjemność znajdował też w przyglądaniu się, jak wytwarzana jest najnowsza partia pieniędzy.

Mennica wypuszczała miliony metalowych krążków. Przy takiej skali produkcji dziecinnie proste było obniżenie zawartości srebra, zastąpienie go odrobiną miedzi, szczyptą ołowiu. Szybka kąpiel w kwasie i monety błyszczały, jakby były ze szczerzego srebra. Komu to przeszkadzało? Można było założyć, że ten pieniądz nie wzbudzi podejrzeń i żaden mal-kontent nie wrzaśnie „oszustwo!”. Rzeczywiście, monety akceptowano. Zadowoleni byli podwładni Felicissimusa - grawerzy, palacze, kowale; osiągnął to napełniając im stale kieszenie bilonem. Zawsze mówił, że szczęśliwa załoga nie ociąga się w ciężkiej pracy.

Stale wzrastał jego prestiż i osobisty majątek, umacniała się wysoka pozycja społeczna. Obracał się w kręgach senatorskich, był na ty z przełożoną westalek.

Życie przebiegało bez wstrząsów, jak wyrób nowych sestercji. Lecz cóż to? Jakies pogłoski o nowych porządkach w mennicy? Zamach na jego *staus quo*? Na bogów, Aurelian wrócił!

Cesarska nagana spadła jak grom z jasnego nieba. Pora pokazać temu parweniuszowi odzianemu w purpurę, kto tu naprawdę rządzi. Junono, poderwę moich braci w oszustwie do powstania!

Na jego apel pracownicy stanęli jak jeden mąż. W mgnieniu oka zamknęli mennicę i wyszli na zewnątrz. Niebawem opanowali całą dzielnicę.

Na widok pierwszej fali żołnierzy idących do ataku Felicissimus zdrzął. Lecz zaraz strach przemienił się w zachwyty: jego podwładni okazali się urodzonymi wojownikami. Krew połała się w mieście, lecz skarb imperium pozostał w ich rękach. Tryumf utwierdziło przejście kilku senatorów na stronę buntowników.

Aurelian miał więcej żołnierzy, jednak morderczo skuteczni wytwórcy monet przeszli przez nich jak nóż przez masło. Po zwycięstwie Felicissimus naliczył ciała siedmiu tysięcy zabitych legionistów, co było miłą odmianą od liczenia pieniędzy.

Felicissimus cieszył się pełnym szczęściem przez parę tygodni, aż jakiś cesarski oficer zdołał go zabić. Ze śmiercią prowodyra wygasł i bunt.

Powszechne oszołomienie wywołane tą bezprecedensową rewoltą spowodowało zamknięcie mennicy na szereg lat. Zbulwersowany Aurelian dopiero w roku 274 przystąpił do reformy walutowej. Widocznie znalazł do tego czasu dość fachowców umiejących wytwarzać dobry pieniądz, rzetelny pod względem wagi i czystości metalu.

LICYTATOR

imperium po raz pierwszy, imperium po raz drugi...

Internetowi licytanci, nie mamy dla was dobrej wiadomości. Największa w świecie aukcja odbyła się już jakiś czas temu - ściślej przed dziewiętnastoma wiekami.

Wtedy dwóch Rzymian, mających więcej pieniędzy niż rozumu, stoczyło walkę o dobro, którego chyba nikt poza nimi już nie pożytał - o posadę rzymskiego imperatora. Pierwszym z podbijających stawkę był Flawiusz Sulpicjanus. teść świeżo odeszłego ze świata cesarza Petrina-ksa, zarąbanego (dosłownie) po 87 dniach panowania przez zbuntowanych żołnierzy. Drugim naiwnym okazał się senator i były gubernator Marek Sewer Didiusz Julianus.

Do licytacji doszło, kiedy obaj pełni nadziei zjawili się pod obozem gwardii pretoriańskiej, w II wieku n.e. stanowiącym prawdziwy ośrodek decydencki państwa. Żadnego nie wpuszczono do środka, więc zawiedzeni wykrzykiwali swoje oferty pod bramą. Co oferowali? Nazywało się to „donacja”, czyli dar, w rzeczywistości chodziło o łapówkę, za którą nowy władca kupował lojalność pretorianów.

Sulpicjanus zaczął od dziesięciu tysięcy; Julianus go przebił. Cena szybko osiągnęła dwadzieścia tysięcy na żołnierza (tak zaliczył Sulpicjanus). Nastąpiła chwila denerwującej ciszy, gdy Julianus nerwowo liczył na abakusie. Wreszcie skończył i wrzasnął:

- Moje ostatnie słowo: dwadzieścia pięć tysięcy dla każdego!

Normalnie żołnierz zarabiał wówczas około tysiąc dwieście sestercji rocznie.

Aukcja zakończyła się. Imperium - nieruchomość o rozmiarach USA - zostało sprzedane 28 marca 193 roku aukcjonariuszowi, który zaoferował większą kwotę. I dokonało się to bez udziału profesjonalnego licytatora.

Pomijając rzadkie sytuacje nadzwyczajne, jak ta wyżej opisana, licytacje prowadzili zazwyczaj zawodowcy. Najważniejszy z nich - *argentarius* - odpowiadał za organizację przetargu. Licytacja zaczynała się, gdy jego pomocnik *magister auctionarium* wbił włócznię w ziemię, na pamiątkę, że w dawnych czasach taki handel odbywał się bezpośrednio po bitwie, na poboju.

O nagłośnienie troszczył się *praeco*, czyli miejski herold. Było to jego dodatkowe, ekstra płatne zajęcie. Wykrzykiwał wysokość wadium, potem zgłaszane propozycje, rozweselał tłum, dbając zarazem o dramaturgię wydarzenia.

Publiczne licytacje dotyczyły majątku zmarłych albo dłużników. Licytatorzy dostawali w takich przypadkach niezłe wynagrodzenie, 1-2 procent od całości sprzedanych dóbr. Na aukcjach wystawiano też łupy wojenne, czyli towar nieraz lichej jakości, a uczestnikami bywały czasem osoby marnej reputacji, w tym niewolnicy. Stąd brało się przekonanie, że praca w tej dziedzinie hańbi. Kto się nią skalał, nie mógł pełnić urzędów publicznych. Nie ma jednak przeszkód nie do obejścia.

Niejaki Cecyliusz Jukundus z Pompejów udzielał licznym uczestnikom licytacji pożyczek krótkoterminowych, dzięki czemu osiągnął status drobnego bankiera. Handlował niewolnikami na małą skalę, a na dużą zbożem, dokonując transakcji na trzydzieści tysięcy sestercji. Otworzyła się więc przed nim droga do wyższych sfer. Zrządzeniem losu jego zapiski handlowe, setki dokumentów, przetrwały zagładę miasta w roku 79.

A wracając do największej w dziejach licytacji: z senatora cesarz Julia-nus, który za purpurę zapłacił 175 milionów sestercji, nosił ją 66 dni, po czym został stracony na rozkaz Septymiusza Sewera, człowieka na tyle sprytnego, że ogłosił się cesarzem nie przystępując do licytacji.

ROSCJUSZ; jak Clint Eastwood, tylko krócej

U Rzymian aktor nie miał wielkiego prestiżu. Jedynym wyjątkiem był Kwintus Roscjusz Gallus, ulubieniec publiczności i pierwsza gwiazda teatru.

Jako młodzieniec odwiedzał sądy, gdzie oratorzy i prawnicy wygłaszali mowy. Uczył się. Naśladował ich najbardziej ekspresyjne gesty; podpatrywał, jak gładko przechodzą od jednej sprawy do drugiej; kradł najlepsze dowcipy. Najchętniej wzorował się na wybitnym adwokacie Hortensjuszu.

Na scenie zyskał popularność dzięki zuchwałej zręczności, elegancji ruchów i zwinnym, stonowanym gestom wykonywanym dla wzmocnienia komizmu. Dzięki temu przedstawienia komediowe z jego udziałem stały się słynne. Prawdopodobnie pomagał mu wrodzony zez. Głos jego brzmiał melodyjnie i donośnie, co było istotne, gdyż tekst zarówno wesoły, jak i poważny deklamowano na tle muzyki. Zdarzały się też partie śpiewane, a Roscjusz świetnie się do nich nadawał.

Mając lat trzydzieści uzyskiwał zarobki godne gwiazdy i kierował trupą. Choć nauczanie nie było jego ulubionym pozascenicznym zajęciem, nielicznym wybrańcom dawał lekcje krasomówstwa. Wśród tych uczniów był utalentowany nastolatek Cycero, z którym nauczyciel się zaprzyjaźnił, uzyskując dzięki temu wstęp na arystokratyczne salony, a w końcu w roku 66 p.n.e. przydatnego adwokata.

Miał też drugiego pupila, niewolnika o imieniu Panurg. Właściciel zwrócił się do aktora: „Naucz chłopaka aktorstwa, a podzielimy się jego przyszłymi zarobkami”. Roscjusz przygotowywał go więc do występów, a podopieczny dobrze się zapowiadał. Niestety został zamordowany. Aktor natychmiast wytoczył sprawcy proces (zabicie niewolnika nie było zbrodnią), argumentując, że swą nauką zwiększył wartość niewolnika stu pięćdziesięciokrotnie. Jego elokwentny pełnomocnik wygrał sprawę i jako od-

szkodowanie Roscjusz otrzymał bardzo cenny majątek ziemski. Jednak zaczęły się kłopoty. Właściciel zabitego oskarżył aktora, że ten nie podzielił się odszkodowaniem. Wówczas na pomoc przybył Cycero.

Ten mowny jak nikt adwokat odniósł w sądzie sukces, który częściowo zawdzięczał temu, iż, jak się okazało, powód procesował się już z powodzeniem z zabójcą i uzyskał rekompensatę (to byłaby interesująca sprawa także dla dzisiejszych prawników).

Przyjaźń aktora i oratora umacniała się. Cycero bywał na przedstawieniach i wspominał Roscjusza w listach do przyjaciół. Na wytwornych ucztach aktor stykał się z poetami, na przykład z Katullusem, i z największym wówczas z wielkich, Sullą.

Miało to doniosłe skutki: w roku 81 p.n.e. dyktator wręczył Roscjuszo-wi złoty pierścień. Nie był to jedynie wyraz hołdu polityka dla artysty, lecz coś znacznie poważniejszego, mianowicie uznanie komedianta za ekwite, podniesienie go do stanu szlacheckiego. Zupełnie jak nadanie Paulowi McCartneyowi tytułu „sir” przez królową Elżbietę.

W sile wieku Roscjusz, bogaty jak McCartney, pojawiał się na scenie rzadko, preferując mniej męczące role, raczej zabawne, śpiewane. W trakcie swej długiej kariery upamiętnił się w komediach i tragediach. Najchętniej jednak odgrywał w teatrze prostych ludzi, także kobiety -szczególnie rybaków, niewolników, służące, pieczeniarzy, stręczycielki. Pytany o powody takich upodobań, odpowiadał figlarnie: „duże pole do insynuacji”.

PLANISTA ORGII

poszukiwani fachowcy z pomysłami

Choć na ścianach oberży od Koryntu po Capri stale pojawiały się anonse „Gorące laski chcą się zabawić”, rzadko za pomocą ogłoszeń poszukiwano specjalistów w tak ekskluzywnej dziedzinie jak animacja orgii.

Kryjąca się pod tą nazwą impreza pierwotnie wcale nie cechowała się chaosem i samowolą uczestników, spontanicznie ulegającym popędowi, lecz była starannie planowana, i to przez osoby duchowne, stanowiła bowiem tajemny rytuał, czyli misterium.

Na przykład terminarz obchodów ku czci bogini Kybele ustalali jej kapłani. Kult ten w Grecji zapoczątkowany został w Atenach, skąd rozprzestrzenił się na resztę kraju i Italię. Niepohamowany taniec do wtóru hałaśliwych podwójnych piszczałek połączony z pićm wina i kopulacją pozwalały osiągnąć ten szczęśliwy stan zwany *mania*.

Wynalazkiem greckim były też misteria dionizyjskie, przejęte przez Rzymian pod mianem Bachanaliów. Ich uczestnicy popadali w rzeczywisty szal, często tracąc nad sobą kontrolę - co oznaczało udany obrzęd, lecz niekoniecznie dla osób postronnych.

W roku 186 p.n.e. senat rzymski zakazał pijackich i sprośnych Bachanaliów, kilkuset wyznawców kultu skazując na śmierć. Ocaleli nieugięci kontynuowali „czynności religijne” w konspiracji. Zdaniem niektórych archeologów odbywali rytuały m.in. w słynnej Willi Misteriów w Pompejach.

Prywatne orgie nieraz źle się kończyły. Na przykład mający skłonność do obu płci Alkibiades (późniejszy renegat) i równie jak on pijani współbiesiadnicy, widać w poczuciu, że cały świat należy do nich, włóczyli się po Atenach, utracając setki fallusów. Było to ewidentne świętokradztwo, lecz nie zamach na nietykalność cielesną licznych mieszkańców, bowiem rzeczony organy sterczały z kamiennych słupów, tzw. herm, i miały chronić *polis* od wszelkiego zła*.

* Hermy, wielce szanowane w Atenach, stały wszędzie: u wejść do domów prywatnych, w ogrodach, na skrzyżowaniach, przy świątyniach i gimnazjonach. Były to kamienne (marmurowe) słupy, zazwyczaj zwieńczone głową Hermesa (u Rzymian Merkurego), z wzwiedzionym fallusem — symbolem pomyślności — poniżej. Uważano, że zapewniają płodność i szczęście. Część rzeźbiarzy specjalizowała się w hermach, nawet termin „wykonawca herm” stał się synonimem rzeźbiarza.

Dionizos Młodszy, dziedziczny tyran sycylijski, uwielbiał dobre zabawy, w których grał centralną rolę. Ilekroć wracał do rodzinnego Lokris, kazał układać na łożach w największym budynku miasta stosy dzikiego tymianku i róż, a na nich kompletnie nagie dziewice; sam w podobnym stroju testował kolejno dziewczęta i warianty, aż wreszcie rozwścieczeni ojcowie uprowadzili jego własną żonę i dzieci, by odpłacić mu pięknym za nadobne. Nie zadowolili się jednak pedofilią i zhańbieniem tyranowej małżonki, zabili swe niewinne ofiary, wcześniej wbijając im igły pod paznokcie.

Gdy do urządzania orgii wzięli się Rzymianie, zostawili Greków daleko w tyle. Słynna stała się czterodniowa impreza rozrywkowa Messaliny, żony Klaudiusza. Cesarzowa tak bardzo straciła głowę, że poślubiła jednego ze współtowarzyszy bezeceństw, co sprawiło, że rychło straciła ją dosłownie, pod toporem mężowskiego kata. Szeregowy obywatel Rzymu nie mógł marzyć o zaproszeniu na orgię na wysokim szczeblu, ale i tak miał wiele okazji, by szukać tego rodzaju mocnych wrażeń. Na co dzień bywał zachęcany bądź gorszony obrazkami soft czy hard porno, zapełniającymi liczne ściany i mury.

Czołowym animatorem orgii był w Rzymie Gajusz Petroniusz, którego za ostentację i pomysłowość podziwiał sam Neron. Petroniusz organizował seksparty nawet podczas pracy nad swoją słynną powieścią *Satyrykon*, w której krytykował rzymską rozpustę. Doskonale rozumiał główną obawę swych współczesnych: zaniku pożądania. Dla Nerona i jego kompanów seks był jak kokaina - za każdym razem dawka musiała być większa, mocniejsza.

Pośredniczenie w zaspokajaniu rosnących potrzeb cesarza i zarazem spełnianie się twórcze było arcytrudnym balansowaniem na linie. Ostatecznie Petroniusz wypadł z łask i otrzymał polecenie popełnienia samobójstwa. Zawsze będąc duszą towarzystwa, sprawił sobie i przyjaciółom prawdziwą orgię śmierci. Najpierw sporządził obszerną listę najpodlejszych

czynów cesarza. Uporawszy się z korespondencją, zanurzył się w miłej, gorącej kąpeli, gdzie popijając wino przedłużał swoje odejście, najpierw otwierając sobie żyły, potem podwiązując.

U boku cesarza szybko zastąpił go utalentowany sadysta Tygellin, budzący niekłamaną odrazę. Na grudniowe Saturnalia i w lipcu 64 roku przygotował szereg głośnych orgii w termach Agryppy z seksem zbiorowym, defloracją w wykonaniu gladiatorów, drastycznym upokarzaniem osób z towarzystwa przez samego Nerona i perwersyjną choć nieplanowaną, dodatkową atrakcją w postaci śmiertelnych ofiar różanego zaduchu.

Po takim starcie musiał pokazać coś jeszcze mocniejszego. Kilka dni potem wybuchł pamiętny pożar i spłonęła większa część Wiecznego Miasta. Podejrzenia w pierwszym rzędzie padły na Tygellina, gdy ogień rozgorzał na nowo w jego ogrodach (drugim obwinianym był Neron i. W każdym razie pozostał cesarskim pełnomocnikiem do działań wynaturzonych do roku 68, gdy opuścił protektora tak ochoczo, jak opuszcza się w trakcie orgii nudnego partnera.

PIECZENIARZ

trochę większa wesz

Na greckim męskim sympozjone, czyli popijawie, każdy mówił co chciał i kiedy chciał, wpadając drugiemu w słowo. Każdy, ale nie zawodowy pieczeniarsz. Na taką ucztę dopuszczano tylko ograniczoną liczbę tych szczególnych ludzi.

Pieczeniarszem nie mógł zostać byle kto. Należało mieć przynajmniej jedną czystą szatę lub togę, olbrzymi zapas żartów, śmiesznych powiedzonek i sprośnych anegdot. Także talent do poetyckich improwizacji był wielce pożądany. Pieczeniarszowi nie wolno było pochłaniać wielkich ilości jedzenia, pić zbyt wiele czy podszczypywać podających do stołu niewolnic. Musiał mieć oczy i uszy wciąż otwarte, w gotowości służenia w każdej chwili celną ripostą czy krotochwilą, by towarzystwo roześmiało się albo z aprobatą pokiwało głowami.

W Grecji najbardziej pożadanymi pieczeniarszami byli mężczyźni, poeci i filozofowie. Było również zapotrzebowanie na dowcipne filozofujące niewiasty jak Hipparchia, która nigdy nie wzbraniała się przed ucztowaniem na cudzy koszt, więc można ją uznać za przykład żeńskiego pieczeniarsza i cynika, jako że wraz z mężem Kratesem stanowili czołową parę hołdującą cynizmowi na co dzień.

Rzym także był pełen pieczeniarszy. Marek Marcjalis, najprzebieglejszy rzymski umysł I wieku, zapewne gruntownie wykształcony w zawodzie prawnika, przybył do stolicy imperium z ojczyzostego Półwyspu Iberyjskiego, by tworzyć poezję i wieszać się u klamki możnych. Postarał się o bogatych patronów, z których każdy płacił mu obficie za „pozostawanie w orszaku”. Na ucztach zabawiał gości epigramatami własnego autorstwa - krótkimi, szczerymi, często o frywolnej bądź zaskakującej treści. Człowiek, który siebie i sobie podobnych nazywał

„małymi pasożytami odzianymi w togi”, zyskał renomę tak wielką, że wydawcy-księgarze często płacili mu za możliwość skopiowania jego najnowszej książki wcześniej niż konkurencja.

Obdarzany przywilejami i dobrami przez dwóch cesarzy, odniósł negatywne skutki kilkudziesięcioletniej pracy w tym niełatwym zawodzie, gdy powrócił do sielskiego kraju lat dziecińczych - bowiem zanudził się na śmierć.

Wielu poetów przyjmowało rolę nadwornych trefnisiów dla łatwego chleba, ale nie wszyscy. Wybitnym tego przykładem była urodzona w VII wieku p.n.e. Safona, przez tysiące lat sławiona jako „dziesiąta muza”. Tworzyła genialną poezję i stać ją było nawet na odseparowanie się od zamożnych krewnych zamieszkałych na Lesbos. Miała dość odwagi i determinacji, by założyć własną szkołę dla dziewcząt z całego obszaru śródziemnomorskiego. Za sowitą opłatą uczyła je poezji, muzyki i innych sztuk. Na zamówienie pisała pieśni weselne. Jedną z jej studentek, Damofila, przebyła 800 kilometrów z Azji Mniejszej, chcąc się u Safony kształcić.

Naśladownictwo jest najłatwiejszą formą schlebiana twórcy, stąd niektórzy rzymscy poeci składali Safonie hołd, plagiatując jej twórczość, między nimi Katullus. Dwanaście wersów jego najsłynniejszego utworu o człowieku „równym bogu” to bezwstydną i zarazem żałośnie niezdarna kopia 31 fragmentu miłosnej poezji Greczynki.

Ten szczególnego rodzaju pieczeniarsz, którego (często obsceniczne) wiersze Rzym połowy I wieku p.n.e. wychwalał pod niebiosa, zapłacił za swą pychę inaczej. Życie osobiste zmieniło mu się w piekło. Przez lata pozostawał w harpim uścisku uwodzicielskiej, nieprzebierającej w kochankach Klodii.

SZYFRANT

wiadomość błyskawiczna, do uznania adresata

Kodowanie i odszyfrowywanie zapisów, stanowiące stały motyw powieści sensacyjnych, narodziło się na długo przed Leonardem da Vinci.

Grecy uwielbiali sekretne informacje, tajemnicze przepowiednie i zagadkowe teksty. Szczególnie Spartanie. Pamiętajmy, czym wyróżniało się ich *polis*, totalitarne państewko dziewięciu tysięcy wojowników.

Słynne było między innymi z okropnej kuchni i osobliwej polityki walutowej, czyli stosowania żelaznych prętów zamiast monet. Jego armia pozostawała wciąż w stanie alarmu, nawet nie będąc w polu. Sparta miała sześćdziesiąt tysięcy obrabiających grunt niewolników, zwanych helota-mi, zatem pełnoprawni obywatele mogli poświęcić uwagę ważniejszym sprawom, na przykład przesyłaniu tajnych wiadomości.

Kto w VI wieku p.n.e. był mistrzem łamigłówek, łatwo znajdował zatrudnienie jako szyfrant, gdyż było duże zapotrzebowanie ze strony wojska. Prócz ciepłej wody i innych luksusów Spartanom brakowało komputerów. Dlatego tamtejsi kryptolodzy z zapalem opracowywali nie-elektroniczne metody kodowania danych.

Któryś wynalazł chytry sposób dostarczania najwyższej wagi meldunków wojskowych na piśmie, o treści utajnionej dzięki zmianie kolejności liter. Szyfrant brał drewniany pręt z zaznaczonymi literami, do jego końca przymocowywał rzemień i ciasno owijał wokół kijka.

Wynalazek, w języku użytkowników zwany *skytale*, był gotów do przyjęcia informacji. Wódz tylko dyktował „Pomocy! Zaraz mnie tu wykończą!”, a przeszkolony skryba zapisywał jego słowa kreskami na skórze rzemyka, na wysokości liter umieszczonych na lasce. Następnie rzemień zdejmowano i obwiązywano nim jakiegoś nieszczęśnika, rozkazując mu udać się jak najszybciej we wskazane miejsce.

Tam, jeśli dotarł żywy, inny wódz odwijał z niego meldunek, umieszczał na pręcie identycznym jak ten nadawcy, odczytywał, po czym wysyłał odsiecz albo złośliwie chichotał, zależnie od stosunków z wzywającym pomocy.

Czasem w charakterze nośnika zakodowanego tekstu używano paska papirusa. Schwytanie przez nieprzyjaciół gońca z taką przesyłką stwarzało śmiertelną groźbę ujawnienia tajemnic, więc w takiej sytuacji kurier był obowiązany wiadomość zjeść. Znając codzienną dietę Spartan, w tym ich niesławny czarny rosół ze świńskiej krwi i octu, można zakładać, że przeżuwany zwitek papirusu traktowali jako egzotyczny, niskokaloryczny przysmak.

HEROLD MIEJSKI zawodowy krzykacz

Grecy pragnęli, by o ich ważnych sprawach było głośno, więc miejscy heroldzi stale byli potrzebni, w kraju macierzystym i w koloniach. U Platona można przeczytać, że państwo doskonałe nie powinno być większe niż zasięg głosu herolda. *Polis* było około stu, może więcej, i ośrodkami większości były miasta średnich rozmiarów, nie zaś rozległe metropolie. Ateńską organizację państwową zamieszkiwało, wliczając niewolników, jakieś sto tysięcy ludzi, ale sama stolica była niewielka, przejście z dowolnej dzielnicy na centralną agorę zajmowało zaledwie kwadrans.

Herold musiał dysponować żelaznymi płucami i umieć wydawać donośne dźwięki niezależnie od pogody. Typowe komunikaty, jakie wygłaszał, dotyczyły narodzin, zgonów i wykroczeń, ponadto rzeczy zgubionych i znalezionych. Możemy oczami wyobraźni zobaczyć jak wykrzykuje choćby taki tekst: „Pani Sokratesowa zgłasza ponowne zaginięcie taczek z fetą i męża”. Do obowiązków herolda należała bowiem pomoc w poszukiwaniu zgub, także zapodzianych małżonków.

Na częstych w zamieszkiwanych przez konfliktową populację Atenach publicznych zebraniach i procesach sądowych herold pełnił obowiązki woźnego trybunału, wywołując strony czy wzywając do zachowania ciszy. Na licytacjach pracował w charakterze zapowiadacza.

Aby w swych nieznających megafonów czasach wzmocnić komunikat werbalny, stosował sztukę chironomii, czyli gestykulacji, uprawianą także przez aktorów, oratorów i demagogów. Jego bogaty repertuar gestów współcześni znali doskonale, jak niesłyszący znają język migowy. (W Grecji i Włoszech przetrwało wiele z tego wyrazistego „przemawiania rękami”, co możemy zauważyć w serialach typu *Rodzina Soprano* bądź prawie w każdym filmie o mafii sycylijskiej).

Rzymski odpowiednik herolda, czyli *praeco*, miał zadania donioślejsze. Obchodził okolicę, wzywając na igrzyska, wyścigi. Na koniec zawodów ogłaszał zwycięzców. Przed rozpoczęciem przedstawienia uciszał publiczność w teatrze. W trakcie wyborów grupy obywateli - centurie właśnie jego powiadały, na kogo głosują, on zaś wykrzykiwał wyniki elekcji (nie zajmował się sondażami wyborczymi).

Odczytywał na głos nowe przepisy stanowione przez senat. Gdy zmarł ktoś znaczny, *praeco* podawał szczegóły obrzędu pogrzebowego. Takie

wydarzenie zawsze miało dużą frekwencję; wszyscy, a zwłaszcza złodzieje kieszonkowi i żebracy, gorąco pragnęli uczestniczyć w procesji żałobnej i obserwować stos pogrzebowy.

Na zakończenie rozprawy herold sumiennie meldował liktorom, jaką karę sąd wymierzył winowajcy, a ci odprowadzali następnie skazanego na miejsce przeznaczenia.

W Rzymie zawód ten, początkowo ani zaszczytny, ani ważny, zyskał szczególnie na znaczeniu w okresie cesarstwa. Wzrosły wówczas dochody heroldów, którzy poza urzędową zapłatą od sądu i wszelkich organów publicznych otrzymywali wynagrodzenie od kierowników ekip gladiatorów za wykrzykiwanie imion wschodzących mistrzów areny.

Zarobków ubocznych przybywało, na przykład od wdzięcznych obywateli, uradowanych odzyskaniem zaginionego małżonka czy innej własności. Zalotnicy starali się wciskać datki, by przy okazji wygłaszania zwykłych komunikatów zabrzmiało też ich płomienne wyznanie.

W taki sposób dobrze zorganizowani, koopeujący ze sobą heroldowie wznosili się do klasy średniej. Słynny był przypadek Sekstusa Newiusza, który ze współnikiem osiągnął wielki majątek, potem ze spadkobiercą tegoż wszedł w spór w sprawie sprzedaży nieruchomości. Przegrał proces, mimo iż reprezentował go w sądzie wybitny Cycero. Zachowana do naszych czasów nudna, przydługa mowa tego retora adwokata jest obowiązkową lekturą studentów.

Sekstus rozwrzeszczałby się naprawdę głośno, gdyby mógł ujrzeć nasze czasy, kiedy funkcja *praeco* ogranicza się do karnawałowego pijaństwa na Bourbon Street w Nowym Orleanie.

SYKOFANT

wielkość i upadek figowego podziemia

Atrakcyjny fach sykofanta wyrósł na ubogiej, skalistej glebie Attyki, regionu zdominowanego przez Ateny. Nie udawało się tam wiele upraw poza oliwkami i figami. Słodkie, pożywne owoce były przez rolników szczególnie cenione. Przywódca *polis*, reformator Solon,

zakazał ich eksportu - i tak już zostało, choć Grecy z wysp i nawet asce-tyczni Spartanie gotowi byli drogo zapłacić za ten towar.

Znalazł się ktoś, kto próbował zaspokoić ich zapotrzebowanie i zarobić na tym - oczywiście przemytnicy. Tym samym powstała na rynku pracy kolejna nisza do zapelnienia, nisza donosicieli.

Nazwano ich sykofantami, czyli „wykrywaczami fig”. Często pojawiali się w sądach, zeznając w procesach o potajemne suszenie i bezprawny wywóz owoców. Zachęteni sukcesami, poszerzyli zakres działań i w IV wieku p.n.e. dokonywali już prowokacji i składali fałszywe oskarżenia w różnych innych sprawach.

Z biegiem lat figi i ich tajny eksport straciły na znaczeniu, sykofant zaś stał się synonimem konfidenta, w rozumieniu służalczego pochlebcy i oszczercy.

Tymczasem w Atenach zawód szpicla nabierał coraz większego zna-czenia. Nie był uprawiany z pobudek altruistycznych, nie polegał na skła-daniu „obywatelskich donosów” w dzisiejszym rozumieniu. Nagrodą za skuteczne oskarżenie, zakończone konfiskatą, były dwie trzecie czy na-wet trzy czwarte majątku (towaru), którego dotyczyło. Nic dziwnego, że zachęceni takimi bodźcami ateńscy sykofanci trwali na posterunku.

DEMOKEDES I MILO; mięsożerni i nadzwyczajni

Gdy na igrzyskach w Olimpii popularność zyskały sporty siłowe, takie jak zapasy, atleci zabrali się za dietę wysokobiałkową, trenerzy za ich szkolenie, a lekarze za składanie zawodników z powrotem do kupy.

Lecz w VI wieku p.n.e. lekarze sportowi tacy jak Demokedes wciąż byli rzadkością. On sam pochodził z Krotony, greckiej kolonii w południowej Italii, gdzie dominowała filozofia Pitagorasa z Samos. Pitago-reizm był sposobem na życie, polegającym na podtrzymywaniu więzów wspólnotowych i dobrego nastroju poprzez odpowiedni sposób odżywiania i medytację, na docenianiu zdrowotnego działania muzyki i tańca.

Demokedes był obiecującym medykiem: wykształcony, miłośnik za-pasów, zręczny w nastawianiu zwichniętych stawów. Bardzo różnił się od swojego ojca. By nie znosić dłużej apodyktycznego charakteru rodzica, uciekł na wyspę Eginę, gdzie przez rok pracował jako lekarz. Zadowolone z niego tamtejsze władze oferowały mu sześć tysięcy drachm, jeśli prze-dłuży kontrakt na kolejny rok. On jednak, świadom teraz swej wartości, uznał się za wykonawcę zawodu wolnego (antycypując nasze dzisiejsze

regulacje). W następnym roku zarobił dziesięć tysięcy od Ateńczyków; w kolejnym dwanaście zapłacił mu za usługi tyran Samos.

Nawet nie zdążył policzyć, w którym przedziale podatkowym się znajdzie, gdy Persowie najechali wyspę i znalazł się na dworze Dariusza w charakterze niewolnika. Czarno widział przyszłość, gdy raz król perski upadając skręcił boleśnie nogę w kostce. Używszy swej sztuki, wyleczył monarszą kontuzję i z pogardzanego niewolnika stał się podziwianym i szanowanym... niewolnikiem, niestety.

Na szczęście pojawiła się kolejna prominentna chora: jedna z żon Dariusza cierpiała na wrzód piersi. Bezwzględny Demokedes przed podjęciem leczenia wymógł na niej przyrzeczenie pomocy w ucieczce. Po licznych przygodach dotarł do ojczystej Krotony (gdzie tymczasem tatuś psychotyk przeniósł się do Hadesu) i poślubił córkę niezrównanego za paśnika Milona.

Ów grubas zwyciężał w Olimpii już jako junior. Utrzymując linię dzięki zięciowi, zdobył wieniec oliwny na pięciu kolejnych igrzyskach, którego to rekordu nikt już nie pobił. Wyznawca pitagoreizmu, z religijnym nabożeństwem przestrzegał bogatej mięsnej diety. Podobno raz przyprowadził do Olimpii żywą krowę, tam ją zarznął (chcemy wierzyć, że potem upiekł) i do zapadnięcia nocy obgryzł do ostatniej kosteczki.

Podobnie jak inni czołowi sportowcy, poza Olimpią startował na różnych wielkich igrzyskach Hellady, łącznie zwyciężając trzydzieści jeden razy; pierwszy dokazał takiej sztuki. „Nigdy nie zostałem rzucony na kolana”, chwalił się (pozycja na klęczkach oznaczała przegraną w zapasach).

Wycofał się ze sportu, lecz miał okazję dowieść, że nie jest tylko starzejącą się górą mięśni. W roku 510 p.n.e. poprowadził armię swego *polis* do zwycięstwa nad wrogim miastem Sybaris.

Być może potem już tylko odpoczywał i rozkoszował się spokojną starością w towarzystwie córki i jej męża, kołysał wnuki, popijał wino, zagryzając tłustą karkówką.

A może nie. Legenda głosi, że raz próbował rozłupać pień drzewa tylko za pomocą własnych rąk i nóg, uwiązał przytrzaśnięty - i stado wilków miało wysokobiałkowe party.

SĘDZIA OLIMPIJSKI liczył się tylko zwycięzca

Podstawowe przepisy starożytnych igrzysk olimpijskich ułożyła komisja kodyfikatorów, ale praktycznie przebiegiem zawodów zarządzało dziesięciu twardych ludzi zwanych *hellanodikai*, czyli „sędziami Greków”. Był to urząd honorowy, nieprzewidujący wynagrodzenia. Powoływano nań w drodze losowania, a o sprawowanie go mogli ubiegać się tylko najczcigodniejsi mężczyźni z Elidy - krainy, na terenie której znajdowała się Olimpia. Obowiązki swe pełnili przez trzy miesiące.

Najpierw wysyłali heroldów, ogłaszających dziewięćdziesięciodniowy święty pokój. Gdy jakieś miasto-państwo go złamie, zostanie obciążone grzywną, a jego sportowcy nie będą dopuszczeni do zawodów. Spartanie w roku 420 p.n.e. nie mogli się powstrzymać od walki i zapłacili za karę równowartość sześciu tysięcy wołów.

Przez trzydzieści dni poprzedzających igrzyska sędziowie dozorowali zgromadzonych zawodników, organizowali zawody eliminacyjne, ustalali przebieg treningów i jadłospis. Spóźnialskich dyskwalifikowano, chyba że mieli niepodważalne usprawiedliwienia (w większości nie mieli). Nastraszeni odpowiednio zawodnicy odbywali następnie pięćdziesięcio-ośmiokilometrową pieszą wędrówkę do Olimpji, w połowie drogi dokonując rytualnego oczyszczenia z grzechów i składając ofiarę ze świni.

Na miejscu *hellanodikai* ścierali świński tłuszcz, wkładali intensywnie purpurowe szaty, ustalali harmonogram konkurencji, załatwiali wszelkie sprawy sporne i przystępowali do sędziowania. Zazwyczaj przyglądali się zawodom ze specjalnego sędziowskiego stanowiska. Przez pięć dni decydowali o wszystkim, rzadko dyskutując w kwestii remisów, ustalali i ogłaszali zdobywców pierwszego miejsca (drugi i trzeci zupełnie się nie liczył).

Piątego dnia wkładali na głowy zwycięzców wieńce oliwne. Sporadycznie miewali do czynienia z niesubordynowanymi sportowcami, podlegającymi chłóście za faule, zakłócenie treningu, próbę przekupstwa. (Czy były jakieś substancje zakazane? Brak danych, lecz jeśli nawet ktoś takich używał, ci strażnicy fair play batami wybiliby je z winowajcy).

Dzieje starożytnych sportowych zmagania olimpijskich obejmują tysiąc lat. Przez ten czas zmieniali się sędziowie. Niewielu oskarżono o korupcję, ale jeśli już jacyś brali, to na skalę olimpijską. Weźmy ów okropny

rok, gdy straszny Rzymianin, pełen ambicji, lecz pozbawiony talentu, przywłókł się do Grecji, by wystartować w Olimpii. Najpierw przeniósł 111 igrzyska z roku 65 na 67. Mógł to zrobić, bo był cesarzem Neronem. Sędziowie patrzyli, pełni obaw, jak powozi swym dziesięciokonnym zaprzęgiem, spada z rydwanu przejechawszy połowę trasy, z cudzą pomocą wsiada ponownie, lecz i tak dociera pierwszy do mety. Ponieważ jednak dostali wcześniej okazałą ćwierćmilionową łapówkę, z przekonaniem ogłosili jego zwycięstwo.

Odetchnęli, gdy rok później Neron zakończył żywot i mogli uznać tamte igrzyska za nieważne, wykreślając imię potwora z listy tryumfatorów. Radość popsuł im jednak nowy imperator, skąpiec Galba, żądając zwrotu pieniędzy.

Z wyjątkiem opisanego, w najwyższym stopniu niegodnego pamięci incydentu z Neronem, sędziowie olimpijscy mieli wysokie morale i świadomość służby publicznej. Ponosili koszty sędziowania, ponadto oczekiwano od nich wspierania finansowego danych igrzysk. Pokrywali opłaty związane z pracą niewolników, nieprzewidziane wydatki na procesje i przewidziane na zużywaną w wielkich ilościach oliwę; płacili także należność oprawcom, wykonującym karę chłosty.

Dla widzów wstęp był wolny. Wobec braku bileterów przy bramie na igrzyska (poza *hellanodikai*) łożyły majątne rodziny z okolicy i budżet Elidy. Minęły tysiąclecia i taka hojność jednostek wydaje się dziś nie do pomyślenia.

SPRZEDAWCA FAST FOODÓW porcja kaszy w rozmiarze super

Fast foody, tak powszechne w dzisiejszym świecie, są naśladownictwem wzorca z powodzeniem testowanego przez Greków i Rzymian w czasach antycznych.

Sprzedawcy dań na wynos zadebiutowali na pradawnych świątach i uroczystościach, jak choćby trwających tydzień igrzyskach w Olimpii, gdzie koczowały tysiące głodnych, spragnionych zawodników i kibiców.

Punkty gastronomiczne o bardziej stałym charakterze powstały potem w ludnych miastach, jak Ateny czy Korynt. Dość nędzne zakłady zbiorowego żywienia, nazywane „powiekami” (gdyż ich drzwi otwierały się

i zamykały z częstotliwością mrugania okiem), odwiedzali głównie wyzwolenicy i imigranci.

Starożytni pisarze niezwykle wiele czasu i papirusu poświęcali na rozprawianie o sympozjonach, degustacyjnych spotkaniach mężczyzn z towarzystwa, ignorując fakt, że większość Greków żyła i odżywiała się skromniej, za luksus uważając świeże zioła i sosy. Prosty lud jadał zupę z porów, kaszę jęczmienną, fasolę, owoce morza i ryby, chleb, miód, oliwki; także figi, winogrona itd.

W wielu domach nie było urządzeń do gotowania (stan typowy również dla dwudziestowiecznych Aten, gdzie panie domu co rano do najbliższej piekarni nosiły jednodaniowe posiłki do ugotowania). Wobec tego prowadzenie baru szybkiej obsługi było dobrym interesem. Nawet skromny filozof mógł pozwolić sobie na tanią ośmiornicę z nadzieniem serowym. Rzym, podległe mu miasta i kraje z entuzjazmem przyjęły ten wzorzec. Zresztą często fast food był jedynym rozwiązaniem. W zabudowie stolicy imperium za Augusta przeważały *insulae*, wielopiętrowe domy czynszowe, których budowę umożliwił wynalazek betonu. Mieszkały w nich rodziny należące do wszystkich warstw społeczeństwa. Inwestorzy, obawiając się pożaru i goniąc za zyskiem, budowali je bez kuchni i bieżącej wody. W efekcie większość mieszkańców musiała polegać na garkuchniach, które pojawiały się wszędzie, między innymi w okolicach łaźni publicznych. Właściciele głośno reklamowali swoje specjały, od gołąbków po ryby głębinowe.

Tego typu drobne firmy rozpowszechniły się również w miastach pozabawionych wysokiego ryzyka. Podgrzewane patelnie, gotowe przekąski i tłuste dania na wynos cieszyły się powodzeniem od Efezu po rzymską Brytanię.

Bary, czyli *propinae*, były skromnie urządzone; wystarczył stół, taborety i lada z glinianymi garnkami, zawierającymi pożywną soczewicę,

kaszę jęczmienną itd. Ich klientelę stanowili pracownicy fizyczni, oczekujący posiłku taniego i kalorycznego, bardzo lubiący chleb *libum* z serem i jajami.

Inny rodzaj jadłodajni to *thermo-polii* (po prostu „ciepłe miejsca”), serwujące gorące jado i napoje przyciągające osoby ze wszystkich klas.

Menu, często wyryte w marmurze i wystawione na zewnątrz, obejmowało smażone kiełbaski, pieczone kurczęta, ryby, wieprzowinę i *ofellae*, czyli pierwowzór pizzy. Któryś optymistycznie nastawiony szef kuchni proponował nawet pawia jako danie obiadowe. W tej branży często działali byli piekarze, uważając pracę w niej za łatwiejszą.

Grecy i Rzymianie stosowali przyprawy, ci drudzy szczególnie sos *gamm*, dodawany do wszystkiego.

Jak można przypuszczać, punkty sprzedaży fast fo-odów przeobraziły się w ośrodki życia społecznego. W ich ruinach znaleziono wyraźne ślady codziennej aktywności: stoły, na których regularnie odbywał się hazard, spisy pracowników, odezwy polityczne, na ścianach nabazgrane zapiski miejscowego lichwiarza. W Pompejach archeolodzy natrafili nawet na podręczną kasę *thermopolium* z ponad tysiącem monet, które zapewne stanowiły dzienny utarg z 23 sierpnia 79 roku, porzucony w panice przez personel, gdy popioły wulkaniczne zasypywały miasto.

BIBLIOTEKARZ

pogrzebać w książkach - owszem.

Wypożyczyć? Nie!

Dawni bibliotekarze cieszyli się powszechnym zaufaniem. Korzystano z ich wiedzy i mądrości. Zarabiali nieźle dzięki wielkodusznym sponsorom.

Wedle dzisiejszych standardów kolekcjonerskich panowało bezprawie. Pracownicy działów nabytków wielkich bibliotek z wypiekami na twarzy i w poczuciu słuszności przeczesywali góry zwojów, zwożonych jako łupy wojenne. Słynne księgozbiory w Antiochii, Pergamonie, Atenach i na Rodos powstawały drogą przywłaszczenia, w małym stopniu dzięki zakupom.

Ptolemeusz, rządzący w wielkiej i ruchliwej Aleksandrii, założyciel tamtejszej słynnej biblioteki, stosował metodę jeszcze bardziej drastycz-

ną. Na jego polecenie pierwszy główny bibliotekarz Demetrios konfiskował książki z zawijających do portu statków. Dotyczyło to wszystkich jednostek i każdego zwoju czy woluminu. Nowy nabytek kopiowano, Demetrios wręczał kopię kapitanowi, a oryginał tryumfalnie umieszczał wśród swoich skarbów.

Książki w postaci zwojów papirusowych (każda składała się z jednego lub większej ich liczby) przechowywano w dziesięciu halach. Niezmordowany w rekwirowaniu kierownik, uznany naukowiec, zgromadził w trakcie swej dwudziestodwuletniej pracy ćwierć miliona zwojów. Wydaje się też, że uruchomił pierwszy sklep z pamiątkami, sprzedający kopie popularnych dzieł.

Juliusz Cezar, chciwie pochłaniający teksty i także piszący, miał wstydliwy epizod w życiu, gdy w roku 47 p.n.e. podczas ulicznych walk jego legionistów z aleksandryjczykami zapaliły się magazyny biblioteki. Jako ekspiację za spopielenie czterdziestu tysięcy dzieł zamierzał utworzyć bibliotekę w Rzymie, ale plany te miały - to chyba stosowne określenie - krótki żywot. Jednak już po jego zamordowaniu powstał stosowny budynek. August, by nie uważano go za gorszego, zbudował dwa. Późniejsi cesarze instalowali biblioteki w kompleksach zabudowań wielkich łaźni publicznych, nadając całej inwestycji swoje imię.

Władcy Rzymu, pragnący dobrej sławy u potomnych, za konieczną jej przesłankę uznawali tworzenie stanowisk pracy dla bibliotekarzy. Powstawały luksusowe biblioteki od Timgadu w północnej Afryce po Halikarnas w Azji Przedniej. Nawet w celowo zrujnowanej Kartaginie Rzymianie, jakby przeprasząc, zbudowali wspaniały obiekt tego typu. Powstawały także w mniejszych ośrodkach, jak przykładowo na wyspie Kos. Majętni mieszkańcy łożyli na budowę i kupno książek.

W tamtej epoce bibliotekarze nie musieli prowadzić kartotek czytelników, gdyż książek nie zabierano do domu. Zwoje były do użytku tylko na miejscu. Dlatego właśnie w sąsiedztwie wielkiej Biblioteki Aleksandryjskiej mieszkali liczni uczeni.

Bogacze posiadali biblioteki na pokaz, ze względów prestiżowych; wciąż odkrywa się kolejne, nie tylko w Italii. W prywatnych księgozbiorach dzieła łacińskie i greckie przechowywano oddzielnie; składające się na jedną książkę zwoje zamykano w skórzanym futerale zwanym *capsa*.

Pewien mól książkowy postanowił powołać do życia pierwszorzędną bibliotekę jako wyraz hołdu dla swego nieżyjącego ojca, Celsusa, człowieka - jak twierdził - prawego i sprawiedliwego.

Zapewne zgodzili się z tą opinią ojcowie miasta Efezu. W roku 110 zezwolili na rozpoczęcie robót ziemnych pod bibliotekę i na złożenie tam doczesnych szczątków Celsusa. Taki wybór miejsca wiecznego spoczynku (zwłok czy popiołów) zdarzał się rzadko, poczytywany był raczej za świętokradztwo i naruszenie wymogów sanitarnych. Gmach na dwanaście tysięcy książek prezentował się okazale. Wciąż nosi nazwę Biblioteki Celsusa. Choć o samym patronie i grobie przewodnicy rzadko wspominają (widać ich zdaniem jest mało ważny), potężne posągi symbolizujące jego zalety obowiązkowo oglądają wszyscy.

KALLIMACH; starożytny bibliotekarz czynu

Kiedys bibliotekarze zdobywali się na bohaterstwo. W roku 168 p.n.e., kiedy Rzymianie opanowali Grecję, naczelny bibliotekarz z neutralnego Pergamonu wyruszył do Rzymu z misją dyplomatyczną. Jego celem było uchronienie biblioteki pergamońskiej przed zniszczeniem, a przy okazji krzewienie kultury literackiej.

Misja przyniosła skutki - niezamierzone. Słowo pisane, nawet w języku greckim, stało się modne. Po pięciu wiekach obchodzenia się bez biblioteki Rzymianie zachęcali teraz swych wodzów do przywożenia książek w charakterze łupów wojennych. (Najbardziej zachłanny okazał się Sulla, który po zdobyciu Aten obok tysięcy dzieł sztuki i różnych wartościowych przedmiotów zagarnął bibliotekę Arystotelesa).

Superbibliotekarzem można nazwać Kallimacha, drugiego kierownika aleksandryjskiego Muzejonu (czyli domu muz), wielkiej budowli pełnej uczonych, instrumentów badawczych i zestawionych w dwa zbiory książek. Większa z tych bibliotek miała aneks, utworzony, by pomieścić wciąż napływające dzieła; znajdował się w Serapeum, najsłynniejszej w mieście świątyni.

Kallimach był poetą, pochodził z greckiej Cyreny. Szybko przyciągnęła go kulturalna atmosfera Aleksandrii, gdzie władali miłośnicy nauki i sztuki Ptolemeusz I, II i III. Kallimach pracował jako nauczyciel, a gdy pozyskał życzliwość sfer dworskich, został powołany na głównego bibliotekarza.

Dziś największym problemem w tym zawodzie są finanse, jego problemem było gigantyczne zadanie uporządkowania zasobów. Nikt wtedy nie słyszał o katalogu, kartotece, układzie tematycznym. Tysiące dzieł

zapisanych było na identycznych zwojach papirusowych, większość o objętości większej niż jeden zwój. Żadnych tytułów, tylko etykieta zawierająca kilka pierwszych słów. Biblioteka musiała przypominać magazyn projektów zapelniany przez pokolenia niedbałych i roztargnionych architektów.

Nie było wyjścia, zabrał się do pracy. Zajęła mu lata, przyprawiła niemal o utratę wzroku. Lecz jej efektem był dokument zatytułowany „*Tablice wybitnych dzieł kultury greckiej i ich autorów*”, mający na szczęście skrócony tytuł „*Pinakes*”. Zajmował 120 zwojów; dzielił księgozbiór na osiem sekcji. Nie miał nic wspólnego ze skomplikowaną klasyfikacją dziesiętną, ale i tak był bardzo przydatny, pozwalał bowiem poszukującemu zlokalizować pozycję, zanim umrze z głodu pośród regałów.

Katalog podawał tytuł książki, rozmiar (liczbę wierszy), pierwsze słowa tekstu, biogram autora, streszczenie i jeszcze inne informacje. Ta gigantyczna praca przyniosła Kallimachowi tytuł „ojca bibliografii” oraz wieczną wdzięczność pisarzy i badaczy wszystkich epok.

Dzięki temu sumiennemu bibliotekarzowi i jego pracy (miejmy nadzieję, że ktoś pomagał mu zdejmować i układać papirusy na półkach) aleksandryjscy jajogłowi dowiedzieli się wreszcie, ile książek naprawdę mają do dyspozycji: 42 800 w aneksie i niemal 500 000 w wielkim księgozbiorze (nie licząc duplikatów).

Ironia losu objawiła się później. Kallimach zmarł około roku 235 p.n.e., katalog i wiele książek swego autorstwa pozostawiając bibliotece. Spłonęły w przypadkowym pożarze aneksu w roku 47 p.n.e. i pożarze wielkiej biblioteki w V wieku, celowo wywołanym przez tłum chrześcijan.

POSŁANIEC cesarski konny

Wysyłanie korespondencji z terminem dostawy „im szybciej, tym lepiej” w czasach antyku nie było trudne, pod warunkiem że nadawca był cesarzem bądź urzędnikiem najwyższego szczebla. Cesarz August na początku swego panowania (27 p.n.e.- 14 n.e.) ustanowił *cursus publicus*, pierwszą służbę publiczną przenoszącą listy, wiadomości oraz pakunki po całym wielkim i wciąż powiększającym się imperium.

Pierwotnie czyniła to sztafeta pieszych gońców. Ale odciski i pęcherze siały spustoszenie, wyczerpując rezerwę maratończyków, wkrótce więc biegaczy zastąpili jeźdźcy. Pokonywali odcinki 30-50 kilometrów między stacjami pocztowymi. Na niektórych stacjach człowiek i wierzchowiec mogli stosunkowo wygodnie przenocować, napić się i zjeść. Przesyłki niewymagające pośpiechu i cięższe transportowano wołami.

Kurier przemierzał przeciętnie od 60 do 80 kilometrów dziennie. August opracował nawet system przesyłek priorytetowych, *cursus velax*, w którym konni posłańcy pędzili ze wszystkich sił, a pilne listy przebywały do 200 kilometrów jednego dnia. Na niektórych trasach przewożono je małymi wozami o ładowności niespełna 700 kilogramów, ciągniętymi przez parę koni, co pozwalało wydłużyć dzienny dystans do zawrotnych 270 kilometrów. Praca posłańców byłaby trudniejsza, gdyby nie dobrze utrzymane drogi, stale konserwowane wysiłkiem armii i prywatnych darczyńców, których imiona utrwalono na kamieniach milowych. Wykazy odległości między stacjami spełniały funkcję map drogowych.

Z *cursus publicus* korzystać mogli na mocy przywileju liczni urzędnicy, lecz nie była to instytucja masowego użytku. Co nie czyniło różnicy możliwym i bogatym, którzy zawsze mogli posłużyć się prywatnym posłańcem, czyli zaufanym niewolnikiem.

Lecz na ogół, gdy jakaś zwykła Kasandra chciała przesłać słówko komuś mieszkającemu daleko, udawała się do najbliższego portu, gdzie statki czekały na wyjście w morze, i wypytywała wokół, aż znalazła kogoś zmierzającego w interesującym ją kierunku.

Ta powolna i czasami wędrująca okrężnymi drogami poczta grzecznościowa funkcjonowała zadziwiająco skutecznie. Przede wszystkim dostarczyciel przesyłki często prosił o taką samą przysługę w rewanżu. Archeolodzy znaleźli moc wspaniałych materiałów: listy pisane i otrzy-

mywane przez zagniewane żony - kury domowe, samotnych żołnierzy, tęskniących za rodzicami uczniów, zaniepokojonych przedsiębiorców, przesyłające całuski narzeczone. (Stąd wiemy, że Grecy zaczęli korespondencję od „raduj się” i kończyli „bądź silny”).

Listy na papirusie, zwijane w rulon i pieczętowane woskiem, nie wymagały znaczków, kopert, nawet adresu, skoro doręczycielowi dawano ustne wskazówki w rodzaju „dla Lucjusza z Cyreny, mieszka obok świątyni Hery, na pewno trafisz - i uważaj na psa”.

U schyłku starożytności doskonały system stworzony przez Augusta zaczął szwankować. Przybywało urzędników państwowych oraz chętnych do wykorzystywania poczty dla celów prywatnych.

Jeszcze większe obciążenie przyszło wraz z rozwojem najpierw zalegalizowanego, a potem uznanego za państwowy Kościoła. Pracownicy duchowni często podróżowali, lecz jeszcze częściej wysyłali listy i instrukcje. *Cursus publicus* nie zdołał udźwignąć wszystkich tych obowiązków.

Mimo całego zużycia i nadużycia poczta rzymska pracowała, póki istniało cesarstwo na zachodzie, czyli gdzieś do roku 476. Pod względem zasięgu i efektywności nikt nie dorównał jej przez następny tysiąc lat lub nawet dłużej.

TOPIARIUS

mistrz „rzeźbienia” roślin

Każdy Rzymianin będący właścicielem wiejskiej willi miał również ogród. Czy był to duży kawałek gruntu, czy mały, należało umieścić tam coś atrakcyjnego - zwierzęta, rośliny czy przedmioty ozdobne - żeby sąsiedzi zzielenieli z zazdrości. Może uroczy staw z węgorzami, a nad nim brązową figurę Saturna pożerającego własne dzieci? Ktoś wreszcie wpadł na nadzwyczajny pomysł: zielony zwierzyniec, czyli bestie wystrzyżone z krzewów.

Mimo niedostatku inspirujących pism ilustrowanych typu „Piękny Ogród” właściciele eleganckich posiadłości łatwo wcielali swe marzenia w życie, gdyż pracę wykonywał za nich legion znających się na ogrodnictwie niewolników.

Ci uszeregowani byli według hierarchii mającej więcej szczebli niż chwastów rosło w ogrodzie. Na szczycie drabiny służbowej stał poważa-

ny i podziwiany *topiarius*, artysta sekatora, umiejący z bukszpanowego żywopłotu wyczarować na przykład słonia. Moda na takie „posągi” pojawiła się za Augusta, wykreowana przez niejakiego Gajusza Macjusza, uważanego za pierwszego w dziejach rzeźbiącego ogrodnika. Zważywszy jednak, że ten patrycjusz był z cesarzem za pan brat, chyba raczej komenderował robotnikami niż osobiście przystrzygał zieleń.

Utworzenie i utrzymanie takiego ogrodu wymagało specjalnych zdolności. Fachowcy musieli mieć coś więcej poza szczękaniem żelaznymi ostrzami. Praktykując u mistrzów, uczyli się szczepienia sadzonek, poznawali sekrety przycinania korzeni w celu wyhodowania drzew karłowatych i inne tajemnice sztuki ogrodniczej. Ze starożytnych tekstów wynika, że wielu, może większość, *topiarii* to wyzwoleńcy.

Stosowane narzędzia niewiele różniły się od tych, które dzisiaj można znaleźć w arsenale działkowca: widły, motyka, grabie, sekator oraz okuta drewniana łopata.

Jak dziś, tak i przed wiekami każdy szanujący się ogrodnik miał ulubione rośliny, przy których upierał się, ignorując życzenia właściciela gruntu. Nie do pomyslenia był ogród bez palmy daktylowej czy srebrno-listnej topoli, bez mirtu albo wawrzynu, przydatnych ponadto na wieńce dla uczujących gości; nie do wyobrażenia bez żywych korytarzy z cyprysów.

Wszystko po to, by stworzyć tło dla *opus topiarium* - dzieła *topiariu-sa*, na których odziany w powalaną ziemią tunikę twórca zbijał grube pieniądze. Mistrz w torturowaniu roślin małych i dużych, potrafił nadać sośnie kształt piramidy, ryczącego lwa czy jakiegoś znaku łacińskiego alfabetu. Najzdolniejsi umieli przemieniać gaje cyprysowe w eskadry okrętów albo sceny myśliwskie. Udziwniać na potęgę - taki był cel i szczyt marzeń. Puścić na żywioł, niech rosną jak chcą? - o nie, to kłóciło się z rzymskim ideałem ogrodu.

Jak i w naszych czasach, naprawdę dobry, niezawodny ogrodnik był rzadkim zjawiskiem, a więc zainteresowany doskonałością ogrodu właściciel wolał się nim nie chwalić. W efekcie płaca wybitnego *topiariusza* zależała od jego siły przebicia. Zdarzało się nawet, że za zgodą zleceniodawcy wznosił sobie wiecznie zielony pomnik, uwieczniając swe imię roślinnym liternictwem. Częściej pośmiertną chwałę zapewniały mu absolutnie wolne od fałszywej skromności napisy na kamieniu nagrobnym, wyrte z inicjatywy potomków.

MASAŻYSTA

dumny z posiadania śliskich klientów

Chcecie coś wiedzieć o oślizgłych pracownikach? Szukajcie nie dalej niż w rzymskich łaźniach publicznych. Tam mężczy i żeńscy *unctores* bez wcześniejszych zapisów obsługiwali każdego, kto się zgłosił. Przez blisko pięć nienagannie czystych wieków każdy - od niewolnika po wyższego urzędnika - korzystał codziennie z kąpeli, mył się gąbką w termach albo w podobnych im mniejszych obiektach nazywanych *balnae*, znajdujących się w każdym szanującym się mieście imperium.

Do licznych łaźni, dotowanych przez filantropów, wstęp był wolny; wejście do płatnych kosztowało ćwierć najmniejszego nominału; za niewolników nieraz płacili właściciele.

W państwie rzymskim było więcej urzędzeń i środków ułatwiających życie niż w niejednym współczesnym. Nie znano jednak mydła i szamponu, wobec czego rutynowo stosowano świeżą oliwę w dużych ilościach, ewentualnie z domieszką pachnącego jaśminu lub szafranu.

Nacierania oliwą dokonywali masażyści. Oczywiście robili też masaż, nieraz z użyciem innych maści, stosowali kosmetyki i podawali napoje lecznicze (szczególnie skuteczne w połączeniu z kąpielą), dawali rady

odnośnie diety i gimnastyki. Grecy zawsze przykładali wagę do profilaktyki, Rzymianie brali z nich przykład. Bardzo rozsądnie, ponieważ grecko-rzymska farmacja, diagnostyka i terapia pozostawiały wiele do życzenia.

Choć lekarze różnili się w poglądach na temat wyższości wody zimnej nad ciepłą (na przykład Celsus i czołowy medyk Augusta Antoniusz Musa), nie kwestionowali przydatności *unctores*. Ci zaś obsługiwali równie często chorych, jak zdrowych.

W Grecji od najdawniejszych czasów zapaśników przed zmaganiem w pale-strze smarowano oliwą. Mieszano ją przedtem z drobnym piaskiem (najlepiej afrykańskim), który zatykał pory i za-

pobiegał wydzielaniu potu. Po odbytych pojedynkach nacierano sportowców ponownie (oliwa z piaskiem, kurzem z ringu i potem!), kapano i zdrapywano powstałe błocko zakrzywionym ostrzem, czyli strygidłą, nie omijając bruzd i fałdów skóry.

Gdy codzienna kąpiel stała się nawykiem rzymskich obywateli od Brytanii po Syrię, te nieco surowe procedury zmodyfikowano. Pierwszą czynnością klientów stał się wysiłek fizyczny (marsz, bieg, może gra w piłkę), którego celem było wystąpienie potów; następną wizyta w *unctarium*, gdzie poddawali się oliwieniu i masażowi; wreszcie kąpiel. Stosowano też inne warianty, zależnie od upodobań. W każdym obiekcie znajdowały się pomieszczenia o różnej temperaturze powietrza, od ciepłego do bardzo gorącego, oraz baseny z wodą, od zimnej do ciepłej. Czasem klient po wyjściu z wody brał kolejny masaż, co dla *unctores* - zazwyczaj niewolników albo wyzwolenców - oznaczało jeden napiwek więcej.

Istnieją jeszcze resztki i ruiny łaźni rzymskich, dające pojęcie o dawnej świetności tych instytucji. Wciąż jednak pozostają nieznane pewne sprawy dotyczące zaangażowanej w nich siły roboczej, a była to trzecia co do liczebności grupa zawodowa w imperium. Na wyświetlenie czekają fakty związane z pracą masażystek i masażystów: ile oliwy zużywali w ciągu dnia? jak wiele śliskiego, tłustego płynu trafiało do basenów? Wreszcie pytanie za 64 miliony sestercji: w jaki sposób oczyszczano wodę, jeśli w ogóle oczyszczano?

PRODUCENT BIELIZNY

co starożytny pod spód wdziewał?

Badania nad bielizną starożytnych Greków i Rzymian oraz nad jej wytwórcami zostały haniebnie zaniedbane. Wciąż pojawiają się zagadki, operuje się dziewiętnastowiecznymi terminami, powodującymi dezorientację.

Weźmy choćby słowo *zona*, tłumaczone jako pasek. U Homera nie ma strony, na której jakaś bogini nie zrzuciłaby paska czy nie była zeń odziana.

Dziś terminem pasek w odniesieniu do bielizny damskiej określa się na ogół gumowo-tekstylny element niepokazywanej światu garderoby, używany od epoki wiktoriańskiej. *Zona* natomiast to szeroki pas w dosłownym znaczeniu, którym Greczynki obwiązywały się, by ścisnąć i podtrzymać fałdzistą szatę przeszkadzającą w pracy czy w załatwieniu naturalnej potrzeby. Jedyna okazja, gdy *zona* mogła się kojarzyć ze sprawami intymnymi, następowała w noc poślubną; wtedy panna młoda nosiła ją zawiązaną na skomplikowany i mocny węzeł, z którym musiał poradzić sobie małżonek.

Cóż więc nosili starożytni pod togami, chitonami i płaszczami? Damska bielizna była dość złożona. Najpierw różnego typu biustonosze - u kobiet z dużym biustem niekiedy takie, aby obie piersi zbliżyły maksymalnie do siebie. Z kolei wełniana koszula, czasem ze skórzanym wykończeniem *strophium* u góry. Młode dziewczyny na zewnątrz ubioru, tuż pod piersiami, obwiązywały się *cingulum* (rodzaj szarfy), spełniającym oczywistą funkcję: podkreślania wdzięków.

Niewiele było pracy przy damskiej bieliźnie dolnej, zniechęcająco ubogiej i niewyszukanej, po prostu byle jak zawiniętej opasce biodrowej. W zimnych porach roku panie wdziewały długie, obcisłe wełniane majtki, którym można było zarzucić wszystko, tylko nie frywolność. Choć rzemiosło bielizniarskie ledwie zipsało, z trudem upłynniając biustonosze, a nader rzadko jedwabne damskie koszule, nie wprowadziło do swoich ani odrobiny fantazji czy żywszych kolorów.

Jeszcze surowsza monotonia panowała w modzie męskiej. Rzymianie byli zwolennikami przyzwoitości, a rozumieli przez nią ubiór „na cebulkę” i całkowite osłonięcie ciała poza rękami i głową. Pod togami nosili długie koszule lub tuniki i solidne lniane kalessony, sięgające kolan.

Były też wyjątki: robotnicy niskiego stanu pocili się tylko w przepaskach biodrowych ściśniętych rzemieniem. Pracownicy show-biznesu jak linoskoczkowie i żonglerzy nosili obcisłą bieliznę, by nie pokazywać nic prócz swojej zręczności.

Grecy odsłaniali więcej męskiego ciała, przynajmniej zanim dostali się pod rzymską władzę. Na co dzień okrywali się *himationem*, czyli praktycznie prześcieradłem; tradycjoniści nie wdzielali nic pod spód, jeśli wierzyć greckim wazom. W skład uroczystego stroju męskiego wchodziła ponadto tunika (w charakterze podkoszulka) i przepaska na biodra.

Sportowcy współzawodniczący czy trenujący w gimnazjonie występowali nago. Lecz pojawienie się *nudits*, czyli zupełnie bez odzienia, w innych miejscach było w bardzo złym guście i powszechnie potępiane. *Nudus* u Greków i Rzymian funkcjonował jako synonim wyrobnika.

Zrozumiałe, że wobec tego docelowym rynkiem zbytu producentów bielizny była klasa wyższa i wszyscy, którzy mieli nadzieję do niej się dostać.

CENZOR

gęsi też się liczyły

Niektóre stanowiska obrastają najdziwniejszym zestawem obowiązków. Tak było z wielce szanowanym urzędem cenzora, powstałym w Rzymie 440 lat przed naszą erą.

Początkowo zawód był stateczny, praca dość monotonna. Cenzorowie, urzędnicy wybierani, liczyli i oczyszczali. Co pięć lat ustalali cenzus. Nawet bez pomocy komputera było to śmiesznie łatwe. Należało zanotować imię, wiek obywatela, jego domowników, posiadane nieruchomości, inne dane (szczególnie uprawy), także dochód. Wszystko to służyło określeniu statusu społecznego, a *co* za tym idzie, prawa do głosowania i obciążeń podatkowych.

Gdy cenzorzy skończyli tę pracę, nie mogli oddać się lenistwu i popijaniu wina. Musieli przygotować *lustrum*, obrzęd oczyszczenia Rzymu.

Podczas tej ceremonii pełnoprawni obywatele tłoczyli się na Polu Marsowym, zaś grupa osób wybranych ze względu na swe imiona, oznaczające „bogaty” czy „szczęściarz”, uroczystie prowadziła w procesji kapłanów i ich pomocników

dokonujących uboju zwierząt ofiarnych oraz przeznaczonych pod topór knura, byka i barana.

Kiedy wszyscy przebyli wyznaczoną trasę, składano Marsowi ofiarę. Przy innych okazjach bóg otrzymywał tylko kęsek mięsa, resztą pieczonego pożywiał się głodny naród. Rytuał *lustrum* wymagał ofiary całopalnej, czyli kompletnej przemiany zwierząt w węgiel. Cenzorzy przyrzekali bogom identyczną ofiarę ponownie, jeśli Rzym będzie cieszył się nadprzyrodzoną protekcją przez kolejne pięć lat.

A że opisane obowiązki nie wydawały się zbyt uciążliwe, więc nosicielom podziwianych, purpurą lamowanych tóg narzucono kolejne. Mieli czuwać nad moralnością i zachowaniem społeczeństwa. Zdarzyło się, że obowiązkowy i drobiazgowy cenzor usunął z grona senatorów winowajcę, który poważnie naruszył obyczajność, całując własną żonę w miejscu publicznym.

Dodatkowo musieli organizować przetargi na inwestycje finansowane z kasy państwowej jak naprawa akweduktów i dróg. Z kolei poproszono ich, by poświęcili nieco wolnego czasu na kontrolę księgowości instytucji finansowych. Godność z synekury stała się niezłą harówką.

Lecz zupełnie dobiła nieszczęśników sprawa gęsi kapitolńskich, świętych ptaków Junony. Ich dzielne stado wszczęło alarm, gdy w roku 390 p.n.e. barbarzyńscy Gallowie podstępnie zaatakowali Rzym, a wartownicy i ich psy spali snem sprawiedliwego. Rzec można - gęganiem ocaliły lekkomyślnych, głupich jak gęsi Rzymian. Od tamtej pory ptaki z pełnymi honorami hodowano w świątyni Junony. Miały ładny widok z pagórka i rozległe łąki wokół. Ale przecież trzeba było je żywić i doglądać. Ponieważ działo się to w Rzymie, musiał się tym zająć oficjalny nadzorca. Nietrudno zgadnąć, na kogo padło.

PRZEDSIĘBIORCA POGRZEBOWY zgonem zyskać na znaczeniu

Śmierć, pewna jak podatki, bywała podobnie jak one źródłem dochodu. Grecko-rzymski zakład pogrzebowy zatrudniał liczną załogę specjalistów; kierował nim właściciel, czyli *designator*.

Nieważne, jakiego kto był wyznania i czy w ogóle w coś wierzył. Z wyjątkiem wyznawców kultów tajemnych, na przykład Izis, oraz

wchodzących na scenę chrześcijan, ogół starał się o przychyłność bogów głównie na tym świecie. Z drugiej strony nawet najbiedniejsi pragnęli mieć godny pogrzeb, żeby w życiu pozagrobowym nie być zmuszonymi do dręczenia sąsiadów ani straszenia zwierzchników.

Cywilizacje rzymska i grecka przechodziły na przemian przez okresy, gdy zwłoki grzebano, w trumnie albo bez trumny, oraz gdy palono je na stosie. Nadzorował wszystko *designator*, łącznie ze stypą, ofiarami ze zwierząt, wielkim pochodem, pogrzebem czy kremacją.

Ta zaś była przedsięwzięciem dość skomplikowanym. Najpierw niebalsamowane zwłoki elegancko ubierano, następnie umieszczano w pięknej lektyce w pozycji typowej dla pasażera za życia. Lektyka stanowiła główny element orszaku pogrzebowego. Pochód był widowiskowy i głośny: muzykanci dęli w piszczałki dorównujące im długością, zawodowe płaczki i profesjonalni żałobnicy umiejętnie rwali sobie włosy z głowy i zawodząc rozdierali paznokciami policzki. Razem z nimi kroczyli mimowie w woskowych pośmiertnych maskach przodków nieboszczyka. Aktor grający zmarłego opowiadał dowcipy. Czasem niesiono najcenniejsze skarby i klejnoty pozostawione przez nieboszczyka, zadając szyku przed zawistnym tłumem.

W końcu wszyscy docierali do solidnie ułożonego stosu. Umieściwszy ciało na szczycie podpalano go, co czynił *ustor*, znajdujący się na rzeczy podwładny *designatora*. Teraz następował niesamowity (z punktu widzenia człowieka XXI wieku) moment: zręczny młodzian, który przyprowadził na miejsce ulubione zwierzęta zmarłego, kolejno je zabijał i rzucał w ogień, by spłonęły razem z panem czy panią.

Gdy już wszystko się spaliło, gaszono zgliszcza winem, zaś przedsiębiorca pogrzebowy i zarazem mistrz ceremonii polecał umieścić popioły w urnie albo bezpośrednio złożyć do grobu.

W złotym wieku ateńskiego antyku nagrobki, czyli stele, dekorowano niezrównanymi arcydziełami rzeźby i malarstwa. Rzymscy projektanci i wykonawcy grobów popadali już w przesadę. Ich wielopiętrowe

konstrukcje stały wzdłuż każdej drogi biegnącej do stolicy, a kształtów i pomysłowości zazdrościliby im dzisiejsi architekci. Te właśnie obiekty stanowią źródło licznych zawartych w książce ciekawych informacji o życiu i pracy szarych ludzi. Miejsca spoczynku przygotowywali dla siebie niemałym kosztem piekarze, budowniczowie, woźnice rydwanów i tylu innych...

Jeśli zapobiegliwi i ambitni ponosili tak duże wydatki na wybudowanie zawczasu grobowca, to i *designator* na każdym pogrzebie musiał zarabiać krocie. Lecz jak radzili sobie ci bardziej bliscy ekonomicznego dna niż szczytu? Nawet niewolnicy i ludzie z marginesu łączyli się w kasy pogrzebowe, które kupowały miejsca w zbiorowych grobowcach zwanych kolumbariami, czyli w „gołębnikach” - gdzie w przegródkach umieszczano urny.

Niektórzy do własnego odejścia nastawieni byli filozoficznie, nawet radośnie. Inskrypcja na jednym z grobowców głosi: „Złożywszy z rozkoszą kości, nie dbam o głód, nie cierpię na artretyzm, nie zalegam z czynszem, nie mam długów. Zaprawdę, nie tylko jestem tu stałym lokatorem, ale też nie płacę komornego”.

KLAUN POGRZEBOWY za opłatą rozweselał żałobników

Pomyślcie: kto bardziej potrzebuje poprawy nastroju niż tłum żałobników? Rzymianie zdawali sobie z tego sprawę i wynaleźli zawód zaspokajający to zapotrzebowanie społeczne - klauna pogrzebowego. W zmarłego wcielał się *archimimus*, szef trupy mimów. (W Rzymie starożytnym mimo- wie żeńscy i męscy grali role mówione, nie byli artystami pantomimy).

Archimimus szefował zespołowi jako manager, kierownik artystyczny i często czołowy wykonawca. Mimowie dawali przedstawienia w teatrach oraz rezydencjach prywatnych. Najlepsi mieli dość zajęcia poza pogrzebami, bowiem „prawdziwi” aktorzy tradycyjnie pogardzali lekkimi widowiskami rozrywkowymi.

Pochówki dobrze urodzonych były zawsze wystawnymi, niecodziennymi spektaklami, a więc okazjami do dobrych zarobków. Szczęśliwy przypadek dawał niektórym klaunom budzące zazdrość role cesarzy.

Gdy w roku 79 zmarł Wespazjan, władca lubiany, lecz nader oszczędny, w ostatniej drodze towarzyszył mu, udawał go i wykpiwał arcymim Fawor, wypytując z niepokojem o koszt „swojego” pochówku. Kiedy powiedziano mu, że sięgnie dziesięciu milionów sestercji, zapiszczał ze zgrozą: „To lepiej dajcie mi z tego sto tysięcy i ciśnijcie mnie do Ty-bru”^{*}.

Mim musiał jak najwierniej zagrać tego, kogo właśnie chowano. Nikt właściwie nie wie po co - może, by zarazem zjednać duchy przodków i rozproszyć pogrzebowy smutek. Chcąc jak najlepiej spełnić swe zadanie, wdziewał ubranie zmarłego i odpowiednią maskę, niósł insygnia jego urzędu.

Przez całą drogę z domu pod stos głównego klauna otaczali współpracownicy, skocznie tańcząc i odgrywając komiczne scenki. *Archimimus* naśladował gesty nieboszczyka, jego wymowę i ulubione zwroty i sposób poruszania. Zatem u obserwatorów inne niż dziś skojarzenia musiało budzić określenie „chodzący trup”.

^{*} Rzymianie mogli w pełni docenić dowcip klauna, bowiem wiedzieli, iż do Tybru wrzuca się ojcobójców i innych zbrodniarzy, zawiązawszy ich uprzednio w skórzanym worku razem z kotem, węzem, psem albo innymi żywymi zwierzętami.

BIBLIOGRAFIA

Przez trzydzieści lat pozostawałam w zachwycie badawczym, przedzierając się przez nasze grecko-rzymskie dziedzictwo. Najwięcej użytecznych wiadomości znalazłam u Arystofanesa, Atenajosa, Arystydesa, Cyncerona, Diogenesa Laertiosa, Herodota, Juwenalisa, Kasjusza Diona, Marcjalisa, Pauzanasza, Petroniusza, Pliniuszów Starszego i Młodszeo, Plutarcha, Seneki, Strabona, Swetoniusza, Tacyta, Witruwiusza i Ksenofonta.

Przekłady wielu ich dzieł w krytycznym opracowaniu znaleźć można na stronie internetowej Bill Thayer's Lacus Curtius; tamże wspaniałą pracę o miłości (<http://penelope.uchicago.edu/Thayer/E/Roman/home/html>).

Pozaksiążkowe źródła informacji to napisy nagrobne, monety, dzieła sztuki, badania terenowe, sprawozdania archeologów, wykopaliska, listy z epoki - te częściowo dostępne w „Select Papyri” Loeba. Ponadto nieocenione były dla mnie prace:

Adkins Lesley i Roy Adkins, *Dictionary of Roman Religion*, Oxford University Press 1996. Balsdon J.P.V.D., *Life and Leisure in Ancient Rome*, Phoenix Press 2002. Casson Lionel, *Travel in the Ancient World*, John Hopkins University Press

1994. Conolly Peter, *The Ancient City*, Oxford University Press 1998. Dalby Andrew, *Siren Feasts, a History of Food and Gastronomy in Greece*, Routledge 1996. de Camp L. Sprague, *The Ancient Engineers*, Ballantine 1974. Dupont Florence, *Daily Life in Ancient Rome*, Blackwell 1992. Finley M.I., *The Ancient Economy*, University of California Press 1973. Forbes R.J., *Studies in Ancient Technology*, EJ. Brill 1966. Greene Kevin, *The Archaeology of the Roman Economy*, University of California

Press 1990. James Peter i Nick Thorpe, *Ancient Inventions*, Ballantine 1994. Jennison George, *Animals for Show and Pleasure in Ancient Rome*, University of Pennsylvania Press 2005. Keuls Eva, *The Reign of the Phallus*, Harper & Row 1985. Majno Guido, *The Healing Hand*, Harvard University Press 1975. Meltzer Milton, *Slavery, a World History*, Da Capo Press 1993.

Ormerod H.A., *Piracy in the Ancient World*, Liverpool University Press 1978.
Potter D.S. i D.J. Mattingly [red.], *Life, Death and Entertainment in the Roman Empire*, University of Michigan Press 1999. Roebuck Carl [red.], *The Muses at Work*, MIT Press 1969. Shelton Jo-Ann, *As the Romans Did: A Source Book*, Oxford University Press
1988. Smith William, *Dictionaty o/Greek and Roman Antiquities*, wyd. drugie, Little
Brown 1859; liczne hasła dotyczące Rzymu dostępne na podanej wyżej stronie internetowej Lacus Curtius. Strong Donald i David Brown, *Roman Crafts*, Duckworth 1976. Young David C, *The Olympic Myth of Greek Amateur Athletics*, Ares 1984.